GWIAZDA

KSIĄŻKA SKŁADKOWA.

WYDAWCA

BENEDYKT DOŁĘGA.

TOM PIERWSZY.

WILNO.

Nakład i druk T. Glücksberga.

1855.

GWIAZDA.

Dochód z tej xiążki, za potrąceniem kosztów wydania, przeznacza się w zupełności na odbudowanie Kościoła zgorzałego w Gubernii Wileńskiej w miasteczku Niemenczynie.



X. STANISŁAW JUNDZIŁ Sch. Pij.
Professor Emeryt Historyi Naturalnej w byłym Uniwersytecie Wileńskim.

GWIAZDA

XIĄŻKA SKŁADKOWA.

№ 2.

Beatae aures, quae non vocem foris sonantem, sed intus auscultant veritatem docentem.

Thomas à Kempis.

La Science rend l'âme inquiète, dit-on, et, trop curieuse, elle nous eloigne de Dieu.. — Comme s'il y avait une science qui ne fût en lui, comme si la lumière divine réfléchie dans la science n'avait pas une vertu de sérénité, une puissance pour calmer les coeurs, leurs communiquant la paix des vérités éternelles, des indestructibles lois qui seront encore quand les mondes auront fini.

Jules Michelet.

WYDAWCA

BENEDYKT DOŁĘGA.

KIJOW.

1847.

Печатать позволяется,

Съ тѣмъ, чтобы по отпечатаніи представлено было въ Цензурный Комитетъ узаконенное число экземпляровъ. Кіевъ 1846 года Декабря 10 дня.

Цензоръ, Статскій Совѣтникъ,
Орестъ Новицкій.

Czcionkami T. Glücksberga.

DO

PANA ALEXANDRA PARCZEWSKIEGO,

Obywatela powiatu Wileńskiego, parafii Niemenczyńskiej.

Chłosta należy się każdemu, kto na nią zasługuje.

(*J. Przecławski* w N. 90 Tyg. Pet. 1846.)

Przemawiając wstępnie do Ciebie zacny Obywatelu, który, jak wyższa, czysto duchowa istota, z dobroczynnego tylko wpływu cnót swoich znany mi jesteś, wiem, że najskromniejszym rysem Twojej osoby przykre obudzę w Tobie uczucie, wiem to, ale potrzeba ten raz uledź okolicznościom, które domagają się odemnie gwałtem sprawozdania z rozpoczęcia i kontynu-

acyi Gwiazdy: — *a to sprawozdanie niemogłoby być dostatecznem, gdybym niezaczął od Ciebie, od źrzódła, śmiem powiedzieć, istotnej mojej zasługi.*

Miło mi wyznać publicznie, że w Tobie czcigodny Panie Alexandrze znalazłem wierne odbicie mojego ideału dobrego Obywatela. *Ty jesteś, za kim oddawna duch mój tęsknił, kogo najrańszą myślą odróżniałem od zwyczajnych ludzi, czyj szacunek i przyjaźń za prawdziwy skarb życia uważam. Kiedy tu, w tej cichej, godnej surowego Trapisty rezydencyi, czytałem w zakreślonej porze list jednego z moich korrespondentów, który jest najbliższym i ustawicznym świadkiem Twojego życia; kiedy rozważałem niczém, żadnémi przeciwnościami, niedostatkiem, chorobą nawet nieprzerwany ciąg Twoich starań o dobry byt i szczęście tych, którym Bóg za Ojca i Opiekuna Ciebie przeznaczył; kiedy obok tego wpatrywałem się w czyste, zawsze pogodne, żadnym cieniem obłudy, niewdzięczności i niesprawiedliwości ludzkiej nieomroczone oblicze Twoje; wtedy dusza moja tak świątobliwym przejmowała się urokiem, władze myślenia i czucia do tak szczytnych nieziemskich nastrajały się wzruszeń, że zdaje się żywy Anioł z Nieba zstąpiwszy ku mnie w owej chwili znalazłby mię najzupełniej do obcowania z sobą przygotowanym. Rzecz naturalna, zapragnąłem silnie, namiętnie okazać Tobie moje współczucie. I otoż w jednej z owych chwil*

uroczystych, wtenczas, gdy obraz Twojego poświęcenia się dla poratowania zrospaczonych różnemi klęskami współbraci, niebieskim jaśniał w mych oczach blaskiem, wykwitł z mej duszy (a wierzę najmocniej, że za sprawą samego Boga wykwitł:) pomysł dobroczynnej publikacyi. *Taki pomysł nie jest-li prawdziwą w życiu ludzkiém* gwiazdą? *Porozumiałem się z moimi przyjaciołmi i zaimprowizowaliśmy pod takim tytułem xiążkę— a xiążkę, za której treść oppozycyjną gotów jestem zawsze odpowiedzieć przed Bogiem i przed ludźmi!*

Główną oppozycyą w Gwiazdzie *są zredagowane przezemnie listy mojego korrespondenta Alberta Gryfa. Zacny młodzieniec traktował w tych listach o filozofii, krytyce i historyi z powodu niektórych zdań celniejszych naszych pisarzy, szczególniej p. M. Grabowskiego i hr. Rzewuskiego, traktował tłumacząc się jasno, logicznie, z umiarkowaniem, wyrażając myśli i przekonania swoje najprzyzwoiciej*, sine ira et odio, *słowem, postępował w tém, jako człowiek wyższego usposobienia, rzadkich zalet umysłu i niepospolitej piękności ducha. Pisząc to zrazu do mnie, zezwolił później na ogłoszenie zdań swoich drukiem w przekonaniu, że te dotycząc się wysokich zagadnień naukowych mogą wywołać dyskussye wiodące do głębszego ich zbadania, do zupełnego wyjaśnienia rzeczy. Zawiedliśmy się w tej błogiej dla piśmiennictwa naszego rachubie, bowiem o dyskussyi nikt z interesowa-*

nych osób pomyśleć nawet nieraczył; wszakże, pomimo niegościnnego przyjęcia Gwiazdy *w naszym wielce zkądinąd przystępnym Tygodniku, pisma Alberta Gryfa, jak z mnóstwa czytelnych dowodów wnioskujemy, powszechną na siebie ściągnęły uwagę. To śmiałe, pełne energii wystąpienie młodzieńca przejętego zapałem do nauk wprawiło w zdumienie ogół, a gruntowność zarzutów i niepospolita siła rozumowania zjednały mu u myślących przeważne znaczenie umysłowe. Nie są - to marne słowa, każdy bowiem, kto czytał* Gwiazdę, *sam tego na sobie doświadczył, sam idąc za nicią logicznych wywodów uległ w końcu silnemu przekonaniu autora. On wszędzie, na każdym punkcie swoich uwag zostawia ślady szczérego zamiłowania prawdy, a gdzie wytyka krzywe opinie, sofizmata, fałsze, tam potęgą dyalektyki i dzielnym odblaskiem moralnej swej wyższości wlewa w duszę czytelnika wstręt, gniew i oburzenie. Pan Kraszewski, przed którego bystrym wzrokiem nic utaić się niemoże, odezwą swoją podaną do* Biblioteki Warszawskiéj (*Marzec. 1846.*) *oddał sprawiedliwość talentowi tego Kallaboratora* Gwiazdy, *ocenił jego naukę, obszérne oczytanie i ową pracę erudyta, która tak jawna w jego pismach. Zdaje się, że ta odezwa wsławionego pisarza o nieznajomym mu* niepospolitych nadziei *młodzieńcu powinna być aż nadto wymowną dla tych, którzy potrzebują zawsze gruntować zdania swe na autorytetach.*

Kiedy tak pierwsze wystąpienie P. Gryfa ocenionèm zostało przez ludzi bezstronnych, zobaczmyż, co powiedzieli na swoje usprawiedliwienie ci, których myśli zpowodowały jego literacką ze mną korrespondencyę. Cóż?—nic, a nawet gorzej niż nic, bo do powiedzianych już pierwej nowe dodali fałsze i śmieszności.

P. Gryf zrobił zarzut autorowi Listopada, *że mówiąc o wielkiej wierze Anglików rozmijał się z prawdą, wiadomo bowiem z historyi, że Anglicy są narodem, u którego do największego wzrostu przyszedł materyalizm i że Francya, lubo u siebie rozwinęła filozofię XIII w. przecież pierwiastek do niej z Anglii wzięła. To zdanie, jakoby Anglia uniknęła wpływu doktryny, którą poprzednio (w XVII w.) sama zaszczepiła i rozwijała, było rzeczą niemałej wagi, zwłaszcza u autora nie wszystkim znanego ze swoich paradoxów. Cóż na to obwiniony?— Oto, sam siebie tylko zadowolił powtórzeniem tego samego* absurdum *w swojém filozoficznèm roztrząśnieniu* kwestyi praw celno - zbożowych w Anglii (*N 3 Tyg. P. 1846.*). *Pojęliśmy arystokracką metodę oczyszczania się z zarzutów—* nul n'aura d'esprit hors nous et nos semblables!- *ale niedość tej jednej śmieszności, nastąpiła w tejże Gazecie z powodu zdań Gryfa o krytyce również ukośna, głucha, chociaż dla świadomych rzeczy zupełnie przezroczysta odpowiedź p. M. Grabowskiego. Każdy, kto czytał w Gwiazdzie 1. List mego korrespondenta, wie, na co*

odpowiada p. Grab. w N. 45 T. P. (1846). W tym 1. Liście p. Gryf zastanawiając się nad mylném, tchnącém umarłą klassycznością zdaniem p. Grab. ukazał ramieniem biegłego dowódzcy na Estetykę, jako na naukę sine qua non, *naukę głównie obowiązującą dzisiejszą juryzdykcyę literacką; wyraził żądanie, aby krytyka i wszelkie literacko-naukowe sądy opierały się nie na jakichś gustach przemijających, nie na uczuciu indywidualném, ale na estetyczném przeświadczeniu się o istocie piękna; powiedział, że empirya, którą P. Gr. za wyłączny żywioł swego krytycyzmu obrał, wszędzie jest rzeczą nie zupełną, dającą sam tylko materyał bez ducha, bez twórczego pierwiastku i że krytyk* ex professo *niepowinien brać fenomenów niezbadawszy ich ducha, nieobeznawszy się gruntownie z prawami, których te fenomena cząstkowém są tylko objawieniem. Takie i tym podobne myśli dosadnie a z pewną godnością i wdziękiem rzucone stanowią treść wspomnionego listu mojego korrespondenta. Chęci jego były najszczersze, najlepsze; każdy widzi, że wystąpił tutaj samodzielnie z pobudek najczystszych, najszlachetniejszych, w przejęciu się miłością samej nauki, bez owych widoków prywatnych* (arrière-pensées) *tak dotykalnych w pismach każdego samoluba, a co większa, bez żadnych pretensyj do pochwał, bo też i niemógł, przeciwiąc się w taki sposób ustalonym u nas literackim opiniom, niemógł mówię spodziewać się pochwał od tych,*

co w ręku swoim absolutnie dzierżą pismienne monopolium. Dość jawną było rzeczą, że wymowny głos Gryfa dzielnie wraził się w serca i umysły tych, ku którym był zwrócony, ale zbyt wielcy we własném swojém i swoich przybranych przyjaciół rozumieniu, niechcieli oni zniżyć się do dania mu odpowiedzi, zaledwie coś tam półgębkiem, mrucząc, inter parentheseos *powiedzieli, a i to coś takie, że pożal się Boże!— Wymaganie Gryfa niebyło* dziecinne, *jak się zdało p. Grab., bo wypadło z głębokiego zastanowienia się nad naturą sztuki; jemu chodzi w krytyce nie o dowolne* ażurowe formułki, *ale o stałe, dobrze wyrozumowane pewniki, o stosowanie się do pewnych logicznych zasad sztuki, o to jedném słowem, czego uczy i do czego prowadzi Estetyka. Na poważne, gruntowne a z tak zniewalającą otwartością wyrzeczone zdania innej wcale spodziewaliśmy się od p. Gr. odpowiedzi, odpowiedzi wolnej przynajmniej od tej niechęci, jaka się wyraziła w przemilczeniu osoby, co dała mu powód do jego* nie dziecinnych *uwag. Sam z powołania, czy z dobrej woli zajmując się wyższym oddziałem literatury, wiedzieć powinien, że w sprzeczkach naukowych osobista uraza wcale nieuchodzi, tém bardziéj, że jako autor, gorliwie w swoim zawodzie pracujący, zawsze może być pewnym dla siebie szacunku jak Gryfa, tak i każdego światłego człowieka— pewnym, pomimo różnicy indywidualnego poglądu, opinii i przekonania.*

Z kolei wypada tu powiedzieć kilka słów o tém, co pod rubryką Rozmaitości *ma miejsce w N 81 tegorocznego Tygodnika. Jestto artykuł zpowodowany moim na niniejszą Xiążkę Prospektem czyli raczéj dopiskiem do niego — artykuł, który najdostateczniej nam objaśnił znaczenie wyrazu* vendetta. *Jestto arcydzieło w swoim rodzaju, niém bowiem dowiódł p. Przecławski (aczkolwiek użył na to czasu niemało, bo od 1. Sierpnia do 24 Października), dowiódł niezrównanej biegłości* w dorabianiu potrzebnych do swojej sprawy faktów. *A czyż tego niedość, aby naprzeciw wszelkich gniewów i niechęci indywidualnych okazać się człowiekiem godnym powszechnego szacunku? a czyż niedość mówię tego tak świetnego talentu, aby stać się wyższym nad wszystkie zarzuty, aby zawsze i wszędzie, w każdém acz najjawniej uwłaczającém swojej osobistości zdarzeniu górować rozumem, charakterem, zasadami!? I niechże tu teraz ośmieli się kto mierzyć z taką Potęgą!.. O biedny Dołęgo, tu kres twojego zuchwalstwa, tutaj, w obliczu téj najświetniejszej twórczego geniuszu reprimandy, która cię zgniotła, zdeptała i, na powszechne wystawiła urągowisko! Dalej już ani krokiem nieruszysz, niemożesz ruszyć! Zginąłeś, przepadłeś na wieki ze swoją* Gwiazdą, *tak jak zginęli, przepadli twoi adherenci Gryf i Fisch, jak zginie i przepadnie każdy, ktokolwiek ośmieli się dotknąć ową Potęgę sztyletem choćby najsprawiedliwszej urazy,*

albo oddać po prostu, nieprzyzwoicie, *swoje względem niej uczucia, przekonania!*

Żart na stronę. Dołęga nie mucha, aby mógł zginąć od ciosów jednego Dowcipnisia. Stwórca Gwiazdy, *jakkolwiek słabym jest człowiekiem, tyle przynajmniej uczuwa w sobie niebieskiego światła, że wszystkie wysiłki geniuszów złości i fałszu nic przeciw niemu dokazać niezdołają!— Obaczmyż, czém jest w istocie swojej ta gazeciarska arcyramota.*

P. Wydawca Tygodnika Petersburskiego (Publicysta, Dyktator naszego uczonego świata, przed którym korzyć się zwykli najznakomitsi nasi Estetycy,) został oskarzony o absolutyzm i niesumienność redaktorską *przez Benedykta Dołęgę (lichego równie w pospolitym jak i literackim świecie subalterna,). — To przygoda w dziejach peryodocznej polskiej literatury niesłychana! I jak tu zcierpieć podobne zuchwalstwo, zwłaszcza, że principia tego oskarzenia w formie pewników rzucono przed oczy Publiczności!? Głównie więc chodziło p. Wydawcy o wynalezienie, o wykopanie jakim bądź trudem najsilniejszej pobudki do tak śmiałego kroku, a ustanowienie, że Dołęga nie z żadnych (uchowaj Boże!) widoków zdrowo myślącego człowieka, ale po prostu z gniewu, z nienawiści, z desperacyi, obudzonych surowém traktowaniem niedowarzonych jego płodów, ośmielił się wystąpić z takiém oskarzeniem. To była główna zasada arcyramoty p. Przecławskiego. Jakoż, kto tylko ją*

odczytał, kto poznał z niej historyę redaktorskich jego stosunków z Dołęgą, Gryfem i Fisch'em, ten musi mu oddać sprawiedliwość, że niedarmo suszył głowę przez trzy miesiące — Żywa, żywiusieńka Minerwa wyszła z tej głowy!! I jakże teraz wielkim we własnych oczach, jak prawym, cnotliwym i nieskazitelnym jest w oczach Publiczności autor tego wiekopomnego trudu! O zarzutach ciśniętych przez Dołęgę już teraz ani gadaj komukolwiek; umysły, najbardziej energicznością ich uprzedzone, całkiem już się skłoniły do uwielbienia najsprawiedliwszego *z ludzi; a* Gwiazda? *owa* lepianka ze zbrakowanych artykułow?.. *biedna Gwiazda ołowiem ciężkim spadła z firmamentu Kijowa i ze wstydu het gdzieś w głąb ziemi się zaryła!*

Żart na stronę. Światło-to nie ciemność; prawda—to nie fałsz; Gwiazda *Dołęgi — to nie* Północna Zorza *Przecławskiego! Walą się na nią kłębami ciężkie wyziewy Głupstwa, sykają jadem zaprawne żądła Zawiści, biją sztuczne pioruny Złości i Kłamstwa; mimo to wszakże Ona, pieszczota moja, w pierworodnej swej czystości wzeszła po nad złotogłową* Ławrą *Kijowa— wzeszła, aby świecić na pociechę orłów, prawych dzieci Przyrody, żyjących w podniebnej eteru krainie, a na postrach puszczyków i nietoperzów, tych obmierzłych, w cieniach jedynie nocy kryjących się bękartów! I ktoż z tej padalczej tłuszczy zmierzyć uczuciem zdoła, jaka mię roskosz unosi na widok ogniska ożywionego*

duszą mojej missyi? Kto z krótkowidzów pojmie, jakiej ja pociechy doznaję częstując współbraci owocem sumiennej mojej pracy!? Ja się pysznię tą moją oblubienicą Gwiazdą, *pysznię się nią, jak jutrzenką lepszego szlachetniejszego życia w sferze umysłowości, bo dobroczynne jej promienie gdziekolwiek sięgną, wszędzie natrafią na serca czułe, nieskażone fałszywą cywilizacyą i wszędzie, pomimo krakania, warczenia najzawziętszych wrogów Prawdy, wszędzie one wdzięcznością i błogosławieństwem powitane będą!*

Arcyramota niczém więcej niejest, jak nędznym wymiotem obrażonej miłości własnej. Czytamy w niej ku końcowi: ,,dla naszego usprawiedliwienia się chodzi nam jedynie o dokładne oznaczenie ogólnego ducha i dążenia Gwiazdy.'' *To właśnie był sęk najtwardszy. Jakże go rozrąbał? Czem że przecie ten duch i to dążenie oznaczył? Widzisz Obywatelu, że nieuciekał się bynajmniéj do siedmiu mędrców, nierobił inwokacyi z formuły Twardowskiego, nietargnął się nawet na kradzież, jak Prometeusz, a jednak oznaczył* dowodami jaśnemi jak słońce! *oznaczył rozumem* filozoficznym *Kostrowca i* estetycznym *Grabowskiego — dwiema latarniami czerkieskiej cywilizacyi! alfą i omegą swego Tygodnika! — Tak samo, jak wyżej nieco oznaczył* nastanie Gwiazdy *dowcipem swoim, który mu do kominkowych* kombustyj *i* holokaustów *dostarczył co niemiara* awalanszów *z Kijowa*,

a w dodatku jeszcze, jedną z istot wyższego rzędu (jużci jeżeli nie siostrę to przyjaciółkę dowcipnisia,) aż z Łysej góry sprowadził!.... I jakże po tak mądrém, logicznêm, jasnêm jak słońce *oznaczeniu, niemiał wyrazić przekonania swego*, że każdy bezstronny uzna Wydawcę Tygodnika za zupełnie usprawiedliwionego? *hę?.. To wyraził literalnie, a w duchu musiał powiedzieć z miną tryumfatora:* Myśleliście, że mię ktokolwiek i czémkolwiek zkonfundować może? patrzcie więc, jakem zgromił, zgniótł, zniweczył Dołęgę i podobnych jemu śmiałków!" — *I zaiste wielki to, wielki w swoim rodzaju człowiek!.. Potrzeba Ci Obywatelu zejść na niższe stopnie, spuścić się w dół głęboki, w otchłań, aby się przypatrzyć do tej wielkości: tutaj nie miejsce* (1).

---

(1) P. Wydawca Tygodnika nazwał kilka moich słów o nim przy Prospekcie *attakiem* — a to był tylko lekki wabik, słaby błysk z panewki, nic nieznaczący sygnał. Dołęga nie tak attakuje, kiedy idzie o duszę duszy jego, o *Gwiazdę*! I cóż teraz pocznie ten *zupełnie usprawiedliwiony*, jeżeli na odparcie owego *niby attaku* wszystkie zasoby swego dowcipu użył? co? — „ *Gżony bez odpoczynku przez szatana, pożerany gorączką, rzucę się wściekłą myślą na wszystko*!" (Śm. i Odr. str. 17.) Coś nie po ludzku odpowiada! Ale *jacta est alea* — biez już skręcony. Człowiek, któremu na każdym kroku dowodzą niesumienności, otwarte ma pole do pisania paskwilów. Paskwi-

Czém jest i jakie ma znaczenie antifilozoficzna gawęda p. Żegoty Kostrowca, którą tak potężnie utuczył się Tygodnik tegoroczny, to wyświecone zostało należycie w jednym z listów Alberta Gryfa umieszczonych na końcu

---

lem czyli bezczelnym wymysłem jest właśnie to, co p. Przecławski skreślił w tej swojej ramocie pod tytułem historyi stosunków swoich z Dołęgą, Gryfem i Fisch'em. Aby się przyznać do postaci wystawionej przez p. Przecławskiego pod imieniem Dołęgi, należałoby, obok wielu innych oznak ślepoty, wierzyć jeszcze 1-mo, że p. Przecławski sprzyja literaturze tyle przynajmniej co sobie; 2-do, że zdanie p. Przecławskiego o czem lub o kim bywa wypadkiem czystego sądu a nie ubocznych względów, i 3-tio, że Tygodnik przez niego redagowany jest pismem mogącém zjednać komu bądź rzetelną sławę albo powagę autorską: — a któż z ludzi mających zdrowe o rzeczach wyobrażenie chciałby robić siebie dobrowolnie waryatem? Dołęga, niniejszy Wydawca *Gwiazdy*, człowiek dzięki Bogu po dziś dzień *sanus mente et corpore*, nigdy nic niepisał wprost do Tygodnika, to zaś, co z przygodnych bądź moralnych bądź literackich pism jego, niewyłączając i krytyki na *Domysły o przyszłości rodu ludzkiego*, wydrukował p. Przecławski, jest wyjątkiem z przyjacielskiej jego korrespondencyi z P. Grzegorzem Lubeckim, który od r. 1834 nietylko w Kijowie ale nawet w powiecie kijowskim niemieszka. W następnej naszej xiążce (objętość bowiem niniejszej ściśle już zawarowana) umieszczony będzie *Artykuł spalony przez Wydawcę Tygodnika Petersburskiego*; z tego artykułu dowie się

niniejszej xiążki. Doczekaliśmy się wreszcie ostatniego rozdziału tej gawędy, a w nim recenzyi o nas i o naszej Gwiazdzie — *i jakiej recenzyi!! Powiem z góry, że potrzeba mieć rozum jezuicki, oddychać i żyć jezuityzmem,*

---

każdy, ile jest w tém prawdy, że Dołęga, jako krytyk wyżej wspomnionych *domysłów, udawał przed Wydawcą Tygodnika przekonanie i skruchę z wyrzeczeniem się swego zdania.* Powiada tenże Wydawca, że nie więcej jak jeden lub dwa znośniejszych artykułów P. Fisch'a umieścił w swojém pismie: — nieprawda, bo ich tam najmniej dwadzieścia znaleźć można, a niektóre nawet (te szczególniej, co najmniej są cenione przez Autora) zostały *in perpetuam rei memoriam* uwieńczone apologicznymi przypiskami samego Wydawcy, jak: *o Mieszaninach*, *o Duszy w suchotach*, *o Niezabudce* i t. p. Co do Alberta Gryfa, ten uczuwszy w sobie przemagającą skłonność do literackiego zawodu i oddawszy się ćwiczeniom w rozlicznych przedmiotach naukowych, potrzebował naturalnie wejść za pośrednictwem peryodycznego pisma w literackie stosunki z krajowymi pisarzami; probował sił swoich na polu czystej krytyki, brał pod swój rozbiór wychodzące u nas ważniejszej treści dzieła i pisał, jak dzisiaj pisze, logicznie, swobodnie, oryginalnie: — a jeżeli artykuły jego uznanej przezemnie wartości i przezemnie posyłane do Tygodnika jak: *o Filozofii Bochwica*, *o Paradoxach Bejły*, *o Powieści składanej i o Pierwiastku Ukraińskiej poezyi w Rossyjskiej literaturze*, równie jak przez niego samego *o Padurze*, *o Gogolu*, ba nawet *o Humorze we względzie uczuciowym* (podpisany

aby napisać coś podobnego! Powierzchownie tylko uważając, czyliż ton téj recencyi trywialnie bakalarski, a hojnie przesycony drapiącymi diezesami *zawiści i złej intencyi, może wejść w jakiekolwiek porównanie z czystą, poważną,*

Antonina M.) — jeżeli te artykuły p. Wydawca obrócił na *kombustye* i *holokausty*, to któż dziś, widząc szczytny, rozległy, gruntowną nauką filozofii zasilony samodzielny talent tego młodzieńca, nienazwie takiego czynu barbarzyństwem? kto, wziąwszy na uwagę ten jeden czyn p. Przecławskiego, niezgodzi się z nami, że on jest wrogiem talentów, Kannibalem kształcącej się młodzieży!?.. W tém *usprawiedliwieniu się* p. Przecł. napisaném *dla pożytku ogólnego i bez zachowania najmniejszej do nas urazy* ujmują szczególnie czytelnika *umiarkowaniem i przyzwoitością literacką* te oto wyrażenia: — *Giez pisarski głęboko zapuścił swe żądło — poczuł w sobie podwojoną autorską malignę — nawrócenie się na zdrowy sposób myślenia było tylko stratagematem — jako prawdziwie chory nieznający swego stanu — rzucił się na desperacki wymysł — rogaty Duch zarozumienia osiodłał swą ofiarę — z nieustraszonością kominiarza poszli po drabinie filozoficznej* — Wśród takich i wielu innych tym podobnych wyrażeń zastosowanych *par prédilection* do Autora *Prospektu na Gwiazdę* natrafiamy na następne w témże zastosowaniu słowa: „*zwątpił o sumienności poczty, o trafności adresu i jął nasyłać żyjące osoby, które pod różnemi pozorami nalegały o tyle upragnione imprimatur.*" A chcesz wiedzieć Obywatelu, co to znaczy? Zapytaj Wydawcę Rocznika Literackiego, on właśnie jest tą

wkradającą się do duszy harmonią krytycznych listów Gryfa? Wiedzieliśmy, podając te listy do druku, że treść ich niepodoba się naszym znamienitościom literackim właśnie dla tego, że znaminite ich defekta wykrywa; mogliśmy

---

żyjącą osobą, co nalegał, nie o *imprimatur* wszakże ale o zwrót j·*dnego* z wymienionych wyżej artykułow Gryfa, który na jego ręce posłałem był do Tygodnika. Artykuł o sposobie traktowaniu poezyi Ukraińskiej przez Rossyjskich pisarzy w formie listu do mnie napisany, ztąd szczególnie zasługiwał na ogłoszenie, że oznajamiał najdokładniej z belletrystyką pobratymczą co do elementu' właściwego naszej literaturze. Tak byłem pewny przyjęcia go do Tygodnika, że niezostawiłem u siebie kopii. Kiedy więc doniosł mi p. Podbereski ostatecznie, że nic nie mógł wskórać u p. Tygodnikarza, zmuszony byłem *dowieść mu nieznania najpospolitszych przyzwoitości literackich*, to jest, napisać list pod wpływem mocnego oburzenia na jego prawdziwie tatarski absolutyzm (*ergo* nowy materyał *do holokaustu!*). Przeczytajcież, co on mnie na to odpowiedział w N. 6. tegor. Tygodnika! Było to *praeludium* do niniejszego paskwilu: ale zostawiwszy na stronie część drażliwą tej odpowiedzi, co do samej rzeczy jest tam mowa: o *obowiązkach wydawców względem swych korrespondentów*, *o niemożności materyalnej* (! ! ?), *o potrzebie ustanowienia biura umyślnego*, *o niepodobieństwie wydawania pisma peryodycznego w innych warunkach* (? ?), o *podziwieniu*, *że proste i tak pospolite pojęcia o rzeczy objaśniać trzeba*, a potém jeszcze *o obłokach*, *o światostanie i o mirmidonach* — cha, cha! Kto nieznał

przypuszczać, że będą jakie-takie recenzye, repliki, rekryminacye, ale nigdy (spowiadam się szczerze,) nigdy nam w głowie niepowstało, aby ktoś, zwłaszcza z ludzi roszczących prawo do umysłowego autorytetu, mógł przyjść do ta-

---

interesu, mógł pomyśleć czytając tę, jakby z *Pamiętników rozumowanych* wyjętą, nauczkę, że domagano się od p. Wydawcy rzeczy niepodobnej a przynajmniej mogącej przynieść pewny uszczerbek jego Tygodnikowym funduszom, a tu chodziło tylko o to, aby niepotrzebny mu na nic artykuł oddał na powrót temu, od kogo go wziął. Pytam się więc, co tu można bardziej uważać za *skutek okoliczności niezależnych od woli człowieka*, czy moje żądanie, czy odpowiedź p. Wydawcy? albo jaśniej: kto podobniejszy do waryata, ten-li, co prosi o oddanie swojej własności do rąk osoby wskazanej; czy ten, co niechce uskutecznić tej prośby z powodu *materyalnej niemożności*!?..— Że Dołęga wolny jest od wszelkich *osobistych pretensyj*, o tém najłatwiej przekonać się można ze sposobu jego życia. To właśnie najmocniejszy rys w jego charakterystyce, to stanowi jego *oryginalność*: bo któż jest bez pretensyi do wyższych stopni, do znaczenia, honorów, dostatków a przynajmniej do wygód i wygódek stanu niezależnego! a on jak stanął raz w cywilnej służbie na nizkim szczeblu subalterna, tak stoi na nim uporczywie i ani myśli posunąć się wyżej, bo przekonany jest, że siły i zdolności, jakiemi go Pan Bóg obdarzył, na tym tylko szczeblu korzystnie, z pewnym skutkiem użyte być mogą. Dołęga ma swoje wady, jako człowiek, ale niejest, niemoże być nigdy preten-

kich postrzeżeń i wniosków, jakie czytamy w N 86 Tyg. Pet. w tejto recenzyi p. Żegoty Kostrowca. Osłupieliśmy Obywatelu, odrętwieli, jak gdyby nas znagła powiew moru uderzył, albo nieczysta siła dotknęła! Zdarzało się nam

---

dentem do sławy jakiejkolwiek, a tém bardziej do Tygodnikowej! Niewiedział, nieprzeczuwał, niemógł sobie do głowy przypuścić p. Tygodnikarz, aby Dołęga, ów *tribunus plebis*, zuchwały *koryfeusz oppozycyi literackiej* był człowiekiem, któremu właśnie najblizsi jego kamraci, przyjaciele wciąż wyrzucają na oczy *brak wszelkich pretensyj*; — niechże tę osobliwość psychologiczną rozstrzygnie jakkolwiek i wniesie do swoich *Pamiętników rozumowanych*, a najpilniej zalecamy, aby niezaniedbał zrobić tam adnotacyi, że w punkcie przypisania Dołędze *żądzy figurowania* plan jego Justyfikacyi okazał się najniezręczniejszym, całkiem fałszywym, *Vox populi vox Dei*, trzeba więc chcąc niechcąc poddać się smutnej konieczności. — Dosyć jest wziąść Fałsz za zasadę jakiej pracy umysłowej, aby cała jej osnowa raziła potwornością myśli, zdań i wniosków. W tej Justyfikacyi opisany jest Dołęga, jako człowiek *niewprawny ani w myśleniu ani w pisaniu*, *mający pojęcia mgliste*, *nierozwinięte*, *zwichnięte*; człowiek, *co niemogąc sam przed sobą zdać sprawy z swych myśli, jeszcze bardziej się w nich plata, gdy innym chce je udzielić.* — A ktoż jest Autorem tego opisu? Nie kto inny, jeno Przecławski, ten sam, co przed odczytaniem Prospektu na *Gwiazdę*, ba jeszcze przed ukazaniem się Petersburskiej *Gwiazdy*, zapraszał tegoż Dołęgę do uczestnictwa w swojej *Zorzy Północnej* (*vulgo*

w życiu przebywać miejsca okropne, słyszeć złowrogie hasła w ciemnych borach, być nawet celem napaści ludzi uzbrojonych w noże, ale nic podobnego i wtenczas niedoświadczyliśmy. Bo uważ tylko, ten p. Kostrowiec, Czoło religij-

---

w bańce mydlanej) i nawet go w charakterze *skromnego pisarza* (*ergo* wolnego od autorskiej maligny) do grona *znakomitych spółpracowników* swego pisma (Ob. N. 45 T. P. 1840.) wcielił! — ten sam, co o wartości płodów umysłowych Dołęgi, jako *wybranych z obfitego zasobu materyałów* stanowczo (ibidem) zawyrokował i toż samo w uroczystém *Przemowieniu do Publiczności* (N. 51 str. 272.) powtórzył! Cóż więc ztąd wyprowadzić można? To tylko jedno, że Wydawca Tygodnika nie rozsądkiem i sumieniem zwykł rządzić się w zdaniach swoich o osobach, i rzeczach ale okolicznościami. I to jest prawda faktyczna, dotykalna. *Omnia ad voluntatem*, *nihil ad veritatem* — to godło p. Przecławskiego. Okoliczności u niego przede wszystkiém: one, rzec można, grają *principale* w jego redaktorsko-obyczajowém *pot-pourri*: jedne naprzykład (brak materyałów do Tygodnika) wydobywają z duszy jego najpatetyczniejsze motywa admiracyjne na rzecz Kraszewskiego; drugie (obfitość materyałów — *Listopad*, *Stosunek*, *Pantofel*) redukują całą orkiestrę jego dowcipu do jednej świstałki, każąc mu pomiatać talentem i pracą tego pisarza jak plewą niepotrzebną; te znowu (a zawsze ze żrzódła wygórowanego egoizmu płynące) popychają go do jakiegoś ważnego przedsięwzięcia, owe do zrobienia zmian pewnych, a inne do zupełnego zaniechania; okoliczności obowiązują go, okoliczności

nych naszych pisarzy, sądzi, wykłada, tłumaczy, objaśnia, kombinuje, rozstrzyga i do powszechnej wiadomości podaje, że my chcemy naszą Gwiazdą (*to nasze słowa*) uwolnić (*kogo? co? to uznano za nienależące do rzeczy*) z ohydnych

---

uwalniają od obowiązków; okoliczności każą mu szydzić z wiary publicznej, mieć za nic talent, zasługę, cnotę, ludzkość, samego nawet Boga! słowem, jeżeli kunszt pisarski zdolen jest tworzyć cuda, jeżeli może urzekać, oślepiać ludzi, to tego dowiódł najlepiej Wydawca Tygodnika podtrzymując nim przez lat tyle swoją nicość moralną! Taka metoda postępowania zdradza w nim aż nadto indywidualność przesiękłą, przepojoną nawskróś jezuityzmem; bo właśnie w *Objaśnieniu* 10 *Przykazań* przez O. Tomasza Tamburini Soc. Jesu (L. 1. C. 3. p. 26.) na pytanie: „*Czy wolno w jednym przedmiocie trzymać się raz tej drugi raz owej opinii?*" — czytamy odpowiedź: „*Można z sumienną pewnością robić to, co uzna się za rzecz dla siebie dogodną i najmniejszego grzechu niedopuszcza się ten, kto podług swojej opinii raz tak, drugi raz inaczej postępuje.*" I ten człowiek myślał, że wiecznie tumanić będzie Publiczność kunsztem swoim? I on wyobrażał, że potrafi zawsze nędzną swą taktyką zapewniać tryumf sobie i swemu ohydnemu absolutyzmowi? że zdoła nawet oczyścić się z ciężkiego zarzutu niesumienności czerniąc atramentem swej duszy ludzi prawych, gorliwych o dobro publiczne, wystawiając ich przed Publicznością w postaci półgłówków, waryatów, szarlatanów, oszustów! ? ? cha, cha, cha! Dajcież mu bravo pp. Estetycy, autorowie uprzywilejowani— to wasz mistrz, doradzca, przyjaciel!

więzów jezuityzmu i chińszczyzny; *a przez to rozumiemy* (*to jego słowa*) — zaprowadzenie filozofii Trentowskiego odrzucającej Chrześciańskie Objawienie i kościoł, który równie z nim nazywamy jezuityzmem i chińszczyzną, *oraz* zakazanie wszystkim Religijnym pisarzom, aby nieważyli się wspomnieć o filozofii!! — *W Imię Ojca i Syna i Ducha S. Wszelki Duch Pana Boga chwali!*,. *Zamiast zapytać p. Kostrowca, gdzie było sumienie jego, kiedy prządł w głowie swojéj ten wniosek i to rozumienie; zamiast wezwać sprawiedliwości Boskiej na ukaranie ręki, która to szatańskie oskarzenie kreśliła, postaramy się raczej objaśnić mu tutaj, o ile można najdokładniej, wyrazy, których niemógł czy niechciał zrozumieć.*

---

cha, cha, cha! — to mąż poświęcenia się dla dobra ogółu, który jedyną osłodę trudów swoich znajduje *w ojcowskiem do nich przywiązaniu i nadewszystko w uczuciu powinności służenia poczciwej sławie*! cha, cha, cha!— to Sokrates polski, co *wypowiedział straszną, morderczą, nieskończoną wojnę fałszom i kłamstwom*! cha, cha, cha! — to wzór pisarzy religijnych, kierownik oświaty spółczesnej, który *na grubość włosa nigdy niezboczył z drogi sumienia i prawdy*! cha, cha, cha! to człowiek jednoczący w sobie wszystkie warunki moralnej doskonałości! to najsprawiedliwszy z ludzi! to zwierciadło sprawiedliwości! to sama Sprawiedliwość!! bravo! bravissimo! cha, cha, cha!. SIC ITUR AD ASTRA! Qui nimium probat, nil probat.

Chytrość, obłuda, lekceważenie wszelkich prawideł rozumu i moralności; cześć religijna bałwanom interesu; egoizm wygórowany aż do zapomnienia najświętszych względem Boga i ludzi obowiązków; antypatya ku wszystkiemu, co piękne, szlachetne i wzniosłe; sprzyjanie zmysłowym uciechom, zbytkom, rozpuście; przewaga pozoru nad istotą, kłamstwa nad prawdą, układności światowej nad prostotą i pokorą ewangeliczną, dowcipu nad sumieniem, czczego syllogizmu nad myślą żywotną; zarozumiałość niebotyczna; żądza przodkowania niczém nienasycona; dwoistość eskobaryczna w mowie i postępowaniu; zmyślność i przewrotność machiawelska: — otoż jest, co my rozumiemy przez jezuityzm.

Miękkie puchowe łoże Sybaryty, czyli poziome, nigdy niezmienne statu quo *umysłowe ludzi, niewierzących w postęp ducha, w wyższe moralno - umysłowe przeznaczenie człowieka: — a to najprostsza definicya* chińszczyzny.

Zacytowane przez p. Kostr. słowa: „uwolnić (*dodać trzeba* umysł) z ohydnych więzów jezuityzmu i wszelkiej chińszczyzny" *wzięte są z pierwszego listu p. Gryfa, w którym, jak wiadomo naszym czytelnikom, jest mowa od początku do końca o empirycznym tylko krytycyzmie p. Grab., o filozofii zaś Trent. równie jak o religii i religijnych pisarzach najmniejszej wzmianki tam niema. Zapytujemy więc p. Kostr., zkąd on wziął rozumienie, że my dążymy* do zapro-

wadzenia filozofii odrzucającej Chrześciańskie Objawienie i kościoł, *że chcemy*, aby religijni pisarze niemówili i nie wspominali o filozofii? *zkąd? zkąd? jeszcze raz zkąd?* — *Jużci nie zkądinąd, tylko z tej nauki, która nam zupełnie obca, a w której sam ku podziwieniu wszystkich czytać umiejących wygórował, zolbrzymiał!!!*

Taką samą logiką pastwiąc się nad biedną naszą męczenniczką Gwiazdą, *przyszedł jeszcze do następnych uwag:* „Widzieliśmy, do czego p. T. dąży (*och! widzieliśmy z boleścią serca*,). Coż sądzić o tych, co gwałtem gardłują za jego ateuszostwem (*czemuż nie za wyższością jego umysłową mocno ugruntowaną na Chrystyanizmie w formie protestanckiej, i to nie gardłują a w stosowném odzywają się miejscu?*) co znieść niemogą, jeśli kto dotknie się tego umu bożyszcza (*trudnoż znieść, jeśli kto czapkę swą błazeńską chce wdziać na głowę rozumnego człowieka!*)? Co sądzić o tych, którzy oszukując naszą publiczność chrześciańską (*dzięki Najwyższemu, ani jezuitami ani ich patronami nie jesteśmy!*) wydają dziełko na Kościoł Niemenczyński (*och! to kość w gardle naszych Religijnych pisarzy wydających dzieła nie na kościoł!*) dla podkopania kościoła naszego (*gdzietam! jezuityzmu według powyższej definacyi*) i wydarcia z serc wiary (*tak, tak, wiary w waszą przewagę koteryjną!*) przez upowszechnienie pism p. Trentowskiego (*przez wykrycie na jaw wszy-*

stkich nadużyć moralno-umysłowych, kłamstw i fałszów w naszèm piśmiennictwie!).

Tak p. Kostrowiec znieważając na każdym kroku święte miano Religii, naciągając przemocnie wyrazy do swoich widoków koteryjnych, pomiatając uczciwym trudem i chwalebnym czynem z jednéj, a prawdą i wszystkimi warunkami dobrze wychowanego człowieka z drugiej strony, niedziw, że niemasz prawie wiersza w jego recenzyi, gdzieby nam niezarzucał to braku nauki, to niezdolności zgłębienia przedmiotu, to używania słów niezrozumiałych, to przekręcania cudzych fraz i zdań, to obłudy, to ateuszostwa. A chcesz Obywatelu mieć jakiekolwiek pojęcie o nauce, rozumie i sumienności p. Kostrowca? — Oto mała próbka. Mówi on w ciągu swojej bakalarskiej przeciw nam deklamacyi: „I tak krzyczą na Jezuicki Empiryzm! Gdyby nasi samorodni (*to jest, niepatentowani*) myśliciele używali wyrazów dla siebie zrozumiałych (*a co?*) pewnoby takiego bąka nieucięli (*takiego*). Empiryzmowi czyli doświadczeniu zmysłów otworzył drogę Bakon (*alboż nie erudycya?* o terque quaterque benedictus Kozlovius!) i Empiryści są Materyaliści (*najoczewiściej, ale to w filozofii Kostrowca, nie w żadnej innej*), czego dotychczas nikt Jezuitom niezarzucał.— *Niezarzucał! Tak p. Kostr. zawyrokował, tak napisał i tak wydrukowano. Na końcu tej diatryby żadnej niewidzimy daty, ale wyżej nieco Wydawca zrobił uwagę, że* to

było napisane jeszcze przed wydrukowaniem w N 81 artykułu (*arcydzieła*) o Prospekcie na Gwiazdę. *Moglibyśmy więc posunąć datę* ad libitum *i przypuścić, że to było napisane jeszcze przed otrzymaniem przez p. Kostr. patentu na autora, albo nawet przed wyzwoleniem się jego z wiadomej czytelnikom tyrańskiej opieki ciotki, która go ptasiém mlekiem karmić niechciała;— bo jakże człowiek dojrzały, pełen nauki, a co większa,* autor patentowany *mógł napisać, że dotychczas nikt niezarzucał Jezuitom materyalizmu!? A zkądże materyalizm wziął swój początek? a ktoż roztargał więzy surowej moralności? kto zbytki, nierząd, swawolę, rozpustę i wszystkie niecnoty rozkrzewił? To właśnie jedna z istotnych, rzeczywistych zasług OO. Jezuitów; oni pracowali na nią w pocie czoła, starali się uwiecznić ją trwałymi, niepożytymi czasem pomnikami. I ktoż to śmie im zaprzeczać tej zasługi? wszak oni są tutaj, żyją obecnie pomiędzy nami, gotowi zawsze obstać za sobą, za owocem ciężkich swych trudów i mozołów? — Przywołajmy ich samych na świadectwo.*

Oto przed nami O. Franciszek Pomey Societatis Jesu z Małym Katechizmem teologicznym *wydanym w Lyonie r. 1675. Czytajmy.*

P. Co my zobaczymy w Raju?

O. Najświętsze człowieczeństwo Chrystusa, ubóstwione ciało Dziewicy Maryi i innych Świętych, oraz niezliczone mnóstwo różnych piękności.

P. A inne zmysły nasze będą-li doznawać właściwej im przyjemności?

O. Tak jest, a co dziwniejsza, doznawać będą wiecznie bez żadnego przesytu.

P. Jako? słyszenie, powonienie, smakowanie i dotykanie przynosić będą tę roskosz, jaką przez nie w naturze naszej ziemskiej czujemy?

O. Tak, bez wątpienia. Słyszenie upajać się będzie słodyczą dźwięku i harmonii, powonienie najroskoszniejszémi pachnidłami, smakowanie najdelikatniejszymi pokarmami, naostatek nic nie będzie brakowało do zupełnego uszczęśliwienia zmysłu dotykania.

P. W jakie szaty odziewać się będą błogosławieni?

O. W szaty chwały i światła, które promienić się będą ze wszystkich części ciała, a szczególnie z tych, które najwięcej dla Boga ucierpiały.

Cóż to jest, proszę mi powiedzieć, jeżeli nie materyalizm?

Oto O. Henryk Henriquez Soc. Jesu *ze sławném dziełem swojém:* O Zabawach Świętych w Niebie. *Dowiadujemy się z niego:* —

Że małżonkowie tak jak tu całować się, pieścić i śliczne dziatki płodzić będą, ale z większą nierównie roskoszą. Że maskarady, uczty i balety będą uweselały męczyzn i kobiet. Że Aniołowie ukazywać się będą w koszulkach muślinowych, spodniczkach wydętych (*à vertugadins*) i bogatych żeńskich sukniach z włosami pięknie fryzowanémi. Że każdy błogosławiony będzie miał dóm osobny w niebie, gdzie Chrystus mieszka w pałacu bardzo wspaniałym. Że najwyższą będzie roskoszą całować i obejmować ciało błogosławionych kobiet.

Że kobiety w odkrytych łazienkach kąpać się i śpiewać jak słowiki będą i t. d. i t. d. —

Wszak-to i w Islamizmie nic materyalniejszego znaleść niemożna!?

Tenże ojciec w inném dziele swojém w Sumaryuszu Teologii moralnej *powiada, że Duchowny, jeżeli w obronie własnej zabije męża kobiety, z którą zchwytany został na cudzołoztwie, niestaje się przeto nieregularnym i może nadal sprawować kapłańskie obowiązki. To samo stwierdza i O. Antoni* Eskobar *sławny Jezuita Hiszpański w* Wykładzie zdań przyjętych bez sporu w całej Teologii moralnej, *mówiąc, że Duchowny, który pozbawia się sukni swojej, niezasługuje bynajmniej na exkommunikę, chociażby to robił w haniebnym celu kradzieży, cudzołoztwa lub wejścia* incognito *do miejsca rozpusty.*

Oto jeszcze do usług p. Kostrowca Jezuita Piotr Kornel. *Ten w* Komentarzu do Pism Proroka Daniela *cytując słowa Zuzanny:* „Jeżeli ulegnę nieczystym chuciom tych starców, będę zgubiona", *powiada, że w tej ostateczności, kiedy niesławy z jednej a śmierci z drugiej lękała się strony, mogła była powiedzieć Zuzanna:* „Ja się niezgodzę na sromotną czynność, ale ją wycierpię i aby zachować życie i honor, nic o niej nikomu niepowiem". *Następnie zaś upomina i naucza témi słowy:* „Ale kobiety młode, bez „doświadczenia, myślą, że aby pozostać w czy„stości, trzeba wołać o pomoc i wszystkiemi

„siłami opierać się zwodzicielowi. Grzech się
„niepopełnia inaczej, jak przez zezwolenie i
„spółczynność. Zuzanna mogła była pozwo-
„lić starcom, aby dokonali na niej rozpustnego
„czynu, pewna rzecz, że, niemając w nim sa-
„ma wewnętrznego udziału, żadnegoby grzechu
„niepopełniła".

*Zdaje mi się, że i to nie oddycha spiry-
tualizmem?*

*Niechaj prócz tego zajrzeć raczy nasz Re-
cenzent do* Teologii moralnej powszechnej *Jezu-
ity Jakóba* Gordona; *do dzieła* O cnotach i wy-
stępkach *Jezuity Ferdynanda* Castropalao; *do*
Pytań praktycznych dla Spowiednika *Jezuity
Franciszka Xawerego* Fegeli; *do* dwóch Xiąg o
prawie i sprawiedliwości *Jezuity Jana* Dicastilla;
do dzieł Jezuity Klaudyusza Lacroix; *do* Zdań
teologicznych *Jezuity Karola Antoniego* Casnedi;
do Summaryuszu grzechów *Jezuity Szczepana*
Bauny (*choćby dla poznania różnicy między wy-
razami* stuprum *i* fornicatio); *do* Traktatu moral-
nego *Jezuity Jana* Azora; *do* Objaśnień piątego
przykazania Bożego *Jezuity* Airault'a; — *niech
mówię zajrzy, a znajdzie tam takie rzeczy, o ja-
kich może poczciwym profanom ani się śniło!*

Ojciec Amedy Guimeniusz *mówi w swojém*
Opusculum: „*Niejest konieczną rzeczą wierzyć
w Tajemnice Trójcy S. i wcielenia Chrystusa
aby być zbawionym*". *Ojciec Jan* Cardenas
w swojém: Crisis Theologica *wyraża:* „*wolno
jak w błahej tak i w ważnej rzeczy używać przy-*

sięgi niemając zamiaru jej dotrzymania, byleby dobra do tego była przyczyna". *Ojciec Herman* Busenbaum *oświadcza w swojej* Teologii Moralnej, *że ten nie jest jeszcze pijany, kto może odróżnić człowieka od wozu siana; a Ojciec Piotr* Alagon *w* Skróceniu zbioru teologicznego S. Tomasza z Aquinu *naucza, że w skutek przykazań Boskich wolno jest kraść, cudzołożyć, nawet zabić niewinnego!* (1)

I p. Kostrowiec rozumie, że zaprzeczając prawdzie z jakichkolwiek widoków może rościć pretensyę do autorytetu, do ufności publicznej? że rozsiewając błędne o rzeczach wyobrażenia, tumaniąc ludzi fałszywą nauką ma prawo zwać się religijnym pisarzem? że obstając za Zakonem napiętnowanym niecnotą wszelkiego rodzaju, dobrze służy Kościołowi i społeczności Chrześciańskiej? Cóż może być nieznośniejszego w publicznym pisarzu nad złą jego wolę, pychę, despotyzm!?... Ten nieproszony nasz nauczyciel, daleki od naśladowania zaleconych przez kościoł cnót pokory, słodyczy, i bratniej życzliwości, cieszy się owszem, gdy może użyć swojego rozumu na zaćmienie światła prawdy, upośledzenie talentu i wystawienie najlepszych intencyj

---

(1) Obszerniejszą wiadomość o zasługach OO. Jezuitów, którym rad zaprzeczać p. Kostrowiec, znajdzie czytelnik w niniejszej xiążce w artykule Alberta Gryfa: *o Dziełach Eugeniusza Sue*.

w odrażającej barwie głupstwa, obłudy i sekciarstwa: — niejestże-to wielogłowy potwór jezuityzm? *Cały świat Chrześciański pielęgnuje dzieła rozumu, oddaje hołd szczery geniuszom, ceni samodzielność we wszystkich gałęziach nauk i taką drogą do wielkich swoich postępuje przeznaczeń; u nas ojciec Żegota ze swoją patentowaną bracią gardłuje, że filozofia — to głupstwo; że autor* Żyda Tułacza — *to człowiek bez religii, szaleniec; że samodzielność prowadzi do fałszów, herezyi, wywrócenia wszelkiego porządku;* tandem, *że nic lepszego jak włożyć na rozum szlafmycę i pisać dla zbudowania wiernych różnego rodzaju prozą i wierszem* Mieszaniny: — *niejestże-to wielojęzyczna poczwara* chińszczyzna? *Uważ z tego kochany Panie, czy miał racyę Wydawca Petersburskiej* Gwiazdy *wypowiedzieć swą niechęć nieprzyjacielowi zdrowych myśli i napisać z precyzyą* (z podkreśleniem, *jak mówi Kostrowiec*), *że Listy Gryfa bodaj czy nie pierwszém są u nas zamanifestowaniem się z wyższego stanowiska? Nasz Recenzent czytając tak boleśny a najsprawiedliwszy wyrzut, zamiast uderzyć się w piersi po Chrześciańsku, wolał puścić wodze pogańskiej swojej zarozumiałości — powiada:* nic śmieszniejszego! nic zabawniejszego! *Poszukajmyż, co on u siebie dla ściągnienia uwagi czytelników pisze z podkreśleniem. Oto* — wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi! *Cóż to znaczy i czego to ma dowodzić, kiedy każdy z nas tak dobrze siedzi, ja na translatorskiém, a Gryf i*

Fisch na deputackich krzesłach, jak p. Kostrowiec na swojém rektorskiém? Iotoż - to, czém chcą nam zaimponować w swoich recenzyach!!.. Niemamy przywilejów, patentów na autorstwo? a gdyby i tak, to czyliż podobnymi argumentami zabezpieczyć się dzisiaj można od odpowiedzialności za nadużycie wiary publicznej? czyliż p. Kostr. mniema, że Publiczność, która tylko czyta, a nie pisze sążnistych artykułów i niewydaje dzieł obszernych, niema prawa powstać przeciw panom autorom, gdy ci jej brednie za rozum a kłamstwo za prawdę przedają? Tak zpyszniał, tak się wydelikacił p. Kostr. na swojej wysokości nauczycielskiej, że wątpić już potrzeba, czyby dziś pozwolił komu z niepatentowanych zbliżyć się do siebie i niechybnieby zapotrzebował okazania patentu nawet od człowieka, którýby mu (Deus avertat!) *lecącemu w przepaść chciał podać rękę pomocy.— Takto Panie* honores mutant mores! *Powiada ten Mąż patentowany*: „Dawne to zdanie, że można poznać ludzi charakter z ich sympatyi”. *Alboż tém nas zawstydzić można? wszak my niesympatyzujemy z najmniejszą odrobiną tego, co się ukrywa pod dwoma wyżej objaśnionymi wyrazami? Wyrozumował sobie nasz Recenzent łącznie z Wydawcą Tyg. Pet., że* Gwiazda *nasza niczém więcej nie jest, jak objawem dziecinnych, szalonych, gwałtownych pretensyj do sławy autorskiej: — tego też i trzeba było dla zbudowania potężnej, granitowej, zdumiewającej lo-*

gicznością kształtów recenzyi. Z dobrej, dobrze dobranej temy, dobre też musiały wysnuć się warjacye. Czytelnik upaja się niemi, jak elixyrem umyślnie dla jego intellektualnej rozkoszy przyrządzonym. Wszystkie są wyborne, przesłodkie, cudowne! wśród nich atoli najbardziej zajął naszą uwagę ten oto passaż: „Pytam się, czy przed wydaniem Gwiazdy śniło się komu, że u nas są nowi ukryci jeniusze? *Passaż tak piękny, tak po mistrzowsku rzucony, że niepodobna oprzeć się chętce użycia go do małej fantazyi choć przy bałabajce. (Hej Andruszka! podaj mi swój instrument). Sprobujmy bez* praeludium.

(con tenerezza)

Nie śni się gospodarzom huragan straszliwy,
Co ma pozrzeć, spustoszyć rodzajne ich niwy.
Nieśnią się małżonkowi trąb żałośne tony,
Które wkrótce usłyszy na pogrzebie żony.
Nie śnią się bogatemu żale, utrapienia;
Nie śni się szulerowi stęchły chleb więzienia;
Nie śni się podróżnemu ostry zbójcy topór;
Nie śni się Don Żuanom przeszkoda i opór;
Nie śni się skąpcy strata brzęczącej gotówki;
Nie śni się cudzołożcy wystrzał z dubeltówki, —
Nikt nie śni o jutrzejszej biedzie i goryczy:
Autor, równie jak złodziej, śpi na swej zdobyczy
najspokojniej. i t. d. i t. d.

Do tego można dodać recitativo *w tym* np. *guście:* —

(giocoso).

Czy śniło się p. Kostrowcowi przed napi-

saniem tej jezuickiej perory, że są pomiędzy nami ludzie, którzy, niezalecając się religijnością w mowie i pismach, stokroć lepiej od tych, co mianują się religijnymi pisarzami, służą Bogu i krajowi spełniając ściśle Boskie przykazania, pracując sumiennie w swoim zawodzie i przykładając się wszystkiemi siłami do dobra ogółu?

Czy śniło się Ojcu Żegocie po odbyciu, napisaniu i wydaniu na świat swojej pielgrzymki z Portretem, *że są szalone głowy, co wziętość, zaszczyty, powagę i sławę przez kogokolwiek nabyte o tyle tylko cenią, o ile one są wskazówką skromności, cnót wielkich, prawdziwej zasługi i wylania się dla dobra ludzkości?*

Czy śniło się znakomitemu, wielce uczonemu patronowi Jezuitów po otrzymaniu już patentu na Autora, że znajdą się kiedyś młokosy, nieumiejący katechizmu (*sic*), *co błysną mu w oczy fatalną* Gwiazdą *i śmiać się będą na całą gębę z jego religijności, powagi i nauki?* — *i t. d. i t. d.*

Potém jeszcze zrobić można a piacere *ruladkę tra-la-la-, jakbyś rycerski dał komu węzeł, i — koniec fantazyjki.*

Są tu jeszcze temy również treściwe, naprzykład: — Dobra opinia o sobie połowę szczęścia stanowi. (*brillante, Alla Polacca*) — Nie idzie tu o rzecz ludzką ale o religię. (*Maestoso, sempre sostenuto, con divozione.*) Ze śmiercią tych kilku u nas piszących (*filarów Tygodnika*) wszystko ogłuchnie! (*lamentabile, Tem-*

po di Marzia.)— temy powiadam treściwe i wielce przydatne do fantazyj, ale tą razą musimy poprzestać na jednej, bo i czasu niemamy na zabawę i struny do djabła porwały się na bałabajce.

Każdy widzi, że główną sprężyną i zarzewiem tej jezuickiej perory było nie co innego, jeno zabezpieczenie od dalszych szwanków powagi koteryjnej, ale tu pretextem arcyważnym, którym zwykle patentowani nasi pisarze gnuśność swą podpierają, jest gorliwość o religię. Z kolei i nam wypada powiedzieć: — nic śmieszniejszego, nic zabawniejszego. *Bo jakże? p. Kostrowiec w zbytku gorliwości swojej o religię wziął ogón naszej* Gwiazdy *za jakiegoś smoka wyrzuconego z piekieł na pożarcie ludzkości, za nowego Attylę grożącego światu wywróceniem wszelkiego porządku! I kogoż to nierozśmieszy? Zawołany obrońca Jezuitow, z powagą mogącą zawstydzić rycerza Dulcynei, stanął w obronie religii — cha, cha, cha! — i przeciw komuż? przeciw ludziom, którzy, nieomamieni bynajmniej bakalarskim akcentem i rabińską pompą, widzą w nim właśnie, w jego myślach, chęciach, celach, w jego pisanej i drukowanej* nauce, *co najmocniej przeciwi się duchowi i zasadom świętej naszej religii? I zaiste. Bo czyliż pospieszył, jak przystało światłemu, niepłonnej powagi autorskiej używającemu chrześcianinowi, oddać nam sprawiedliwość, wyrazić swoje współczucie, zadowolenie, żeśmy wyt-*

knęli śmiało błędy i fałsze popełnione przez naszych w pismiennictwie pryncypałów? *Czyliż choć kilką słowy zalecił do naśladowania dany przez nas przykład osładzania bytu dotkniętych klęskami współziomków za pomocą dobroczynnej publikacyi? czyż wreszcie, gdy nasz ze słusznego oburzenia wynikły zapał za naganny, ton oppozycyi naszej za ostry, za obrażający uważał, dał nam życzliwe, w duchu religii, jakiekolwiek przełożenia, rady, uwagi, przestrogi, upomnienie? gdzietam! Zamiast tego wszystkiego, on z gorliwością Iskariota wziął się do ściągania kamieni na nasze głowy, do pisania fałszywego przeciw nam świadectwa, do oskarżenia nas przez gazetę, że my dziełkiem naszém* oszukujemy publiczność chrześcijańską!! *Piekielnyż to Jezuita!!!.. Godny sprzymierzeniec uosobionej Zawiści i Złości, gracz niezrównany w frazesa* à propos de bottes, *Wydawca Tygodnika z podobnąż energią oddał się ciężkiej pracy skrutatora! Cel święty, chwalebną intencyę, poczciwy trud, czyn dobry — wszystko, czém się zaleca nasza oppozycyjna xiążka, odrzucił na stronę, aby nas wystawić jako szarlatanów, półgłówków, ludzi bez żadnych zasad i charakteru!. I tacy ludzie mienią się być* religijnymi pisarzami? *I pisma takich ludzi mogą wywierać wpływ zbawienny na kogokolwiek? Pojmująż oni istotę, duch, znaczenie religii, kiedy przy lada zdarzeniu występują z mandaryńską swoją ambicyą, z pretensyami do autorytetu, z pa-*

tentami na swój rozum? Wiedząż oni, co to jest religia, co religijność w obyczajach, w postępowaniu? Wszakżeto u jednego z tych religijnych pisarzy niemogliśmy nawet za pieniądze, za kilka czerwonych złotych dostać jednej xiążki do nabożeństwa! — darmo słaliśmy listy upominalne jeden za drugim, darmo dopraszaliśmy się o słówko, o jedno słówko odpowiedzi — pieniądze przepadły, a ten religijny człowiek przechwala się dziś jeszcze z kiepska po węgiersku że awalansze *pism naszych skazywał na* kombustye i holokausty!... *Uchowaj Chryste Panie świętą swoją religię od takich obrońców a nas i naszą literaturę od podobnych orędowników!*

Gwiazda *nasza nie do smaku koteryi Tygodnikowej, cierpka, odstręczająca! Ojciec Żegota na samym początku swojej recenzyi nazwał ją* gorzkim owocem — *och! bo jakże gorzki! niczém przy nim essencya piołunu, aloesu, genciany! Widzimyż, jak się krzywił, krztusił biedny nasz Recenzent skosztowawszy tej goryczy; jak pracowicie gromadził akcessorya do swojej sprawy; jak ślęczył, mozolił się po inkwizytorsku nad wynalezieniem dzielnych sprężyn do potępienia zuchwałych prawdomowców; jak rzucał się od Gryfa do Dołęgi a od tego do Fisch'a, aby zdobyć słówko, słóweczko dla siebie potrzebne; jak wreszcie sadził się na zniewalające, doświadczonego w kaznodziejce effektu zwroty i z religią, z Chrystusem w ustach warczał na ludzi budujących kościoł! Biedny! I*

nikt żeto z czytelników nieoceni takiego trudu sercem? nienagrodzi politowaniem?.. Och! pojmujemy całą okropność gwałtownego upadku, poniżenia; czujemy, ile-to duma patentowanych naszych mężów ucierpieć musiała ztąd, że my pojmując znaczenie duchowego postępu i łaknąc pewnego zasiłku dla myśli odezwaliśmy się z pochwałą człowieka żyjącego gdzieś aż pomiędzy Niemcami! ale coż my tu proszę winni? Sic fata tulerunt! — *inaczej być niemogło, kiedy ten nasz katechista ogrodziwszy się talmudami scholastycznej mądrości, czy też kwintessencyą z niej* Metodą filozoficzną *Ojca Joachima, pisze dzieła, od których stokroć lepsze czytali ojcowie ojców naszych, a ci, na których wyzwał się obrońcę, wyraźnie oszukują Publiczność plotąc jej pod tytułem krytyki, filozofii i historyi same dziecińs twa, brednie i fałsze?.. Nasza oppozycya jest aktem uroczystym, świętym! Nie w cieniach nocy, nie przy migotaniu koteryjnych, sekciarskich światełek, nie przy smolnych łuczywach podłego egoizmu i nie w dziupłach, gdzie kryją się sowy i puhacze, ale przy pełném świetle słońca, wśród dnia, na otwartym placu, w obec ludu chrześciańskiego, w obliczu ucywilizowanej Europy my się opowiadamy prawymi synami idei wieku, gorliwymi duchowego postępu wyznawcami! Cożto? Sofiści nasi rozzuchwalili się aż do tego, że sięgają po rózgę dyktatorską? że chcą być Cenzorami Cenzorów!? I ci, którym*

prawo karcenia zuchwalców służy, mieliby dłużej takim szaleństwom pobłażać? Nie! miara już się przebrała. Czas upokorzyć zhardziałych autorków, czas położyć granice koteryjnym pretensyom i wszelkim nierządom w krainie polskiej umysłowości! (1)

My reprezentujemy w sobie myślącą Publiczność, która aż nadto długo dowodziła wam panowie autorowie ślepej, nieograniczonej ufności, opłacając dzieła wasze, jak sami chcieliście i czytając je bez krytyki, bez żadnego rozbioru; — przyszła pora, że chce użyć praw każdemu nabywcy właściwych i przez nas, tak jest, przez nas Koryfeuszów Gwiazdy — ludzi nowych, *potrzebuje od was, niewzględząc na wysokie wasze kwalifikacye i patenta, potrzebuje ścisłego sumiennego rachunku z dzieł waszych* (2)*!*

---

(1) Następna apostrofa wymierzona jest nie do całej koteryi Tygodnikowej a do jej *Centrum* wyłącznie; to zaś *Centrum* lubo z trzech tylko osób złożone, stanowi jednak rozmaitością swoich autorytetów wielki, potężny w Literaturze polskiej XIX w. DECEMVIRAT. Zdaje mi się że tak, a gdyby wreszcie rachuba okazała się niedokładną i brakowało czego do 10, to można dodać coś ze składu *Pantofla* — rzemyk, lisztewkę albo i cały przodek. Można powiadam, bo ten, kto go używa, potrafi dać sobie radę i z jedną podeszwą, umiejąc i lubiąc chodzić po pastwiskach literatury jak i po kniejach poleskich *à l'antique*, *more antiquo*, niby bohater Odyssei, albo który z zalotników Penelopy.

(2) Koterya Tygodnika okrutnie nie lubi *nowych*

Precz z koteryami, z absolutyzmem! Niwa Literatury winna zostawać pod czułą opieką ogrodników, a nie w ręku niszczycieli. Jakże to wy postępujecie, jak obchodzicie się z nasionami socyalnych i filozoficznych nauk? Zaledwie ukaże się talent samodzielny, rokujący świetną dla tych nauk przyszłość, wy go natychmiast zgnębić, zdeptać staracie się — i czemże? — religijną swoją dążnością! och! a ta dążność czyż nie wiemy, czy nie przekonaliśmy się, że niczém więcej nie jest, jak cuchnącym zgnilizną klassycyzmem!? Religijność, to marne słowo w mo-

---

ludzi i temuto największą może dozę niełaski jej dla nas przypisać trzeba. Ktoby chciał dowiedzieć się w jak przekonywający sposób tłumaczy tę swoją antypatyę, tego odsyłamy do ostatnich dopisków w *Listopadzie*, a tutaj przytoczymy prawdziwą anegdotkę. — Niedawno, przed kilku tygodniami będąc z wizytą u zacnych moich znajomych Państwa Z. trafiłem na to, że jeden z naszych Kijowskich literatów, otoczony gronem kobiet i mężczyzn, czytał artykuł hr. Rzewuskiego umieszczony w Petersburskiej *Gwiazdzie*. Słuchano z uwagą, nie bez pewnych poruszeń i grymasów, ale cicho, aż dopiero w tém miejscu, gdzie autor wychwalając arystokracyę Włoską a potępiając *rządy zaimprowizowane przez Napoleona* wyraził się: „*a Napoleon sam człowiek nowy, tylko nowym ludziom mógł ufać.*” — przerwał ktoś z boku — Jakto się ma rozumieć? — Jużci nieinaczej (odpowiedział sędziwy K. z cierpkim uśmiechem potrząsając głową) tylko, że i Napoleon nie to, co Rzewuski!

wie i pismach waszych: pod tém słowem ukrywa się gnuśność umysłowa, czyli chińszczyzna *w najobszerniejszém jej znaczeniu! Czyż nie widzimy: na jakie zdobywacie się argumenta, aby odwrócić młodzież zdolną od zdroju wyższych filozoficznych nauk? czém rozstrzygacie żywotne kwestye, któremi was jak trąbką pocztarską budzi codziennie myślący zachód? co przytaczacie na okazanie, że wasza stagnacya oznacza ruch, życie? Trudno wyobrazić sobie doskonalsze zaślepienie i umysł więcej ubity rutyną form bezdusznych, ale tenże tylko stan wasz trupi i objaśnić nam może, czemu stojąc przy prawdzie tak boicie się jej kontroli ze strony naszej, czemu boicie się myślącego ludu szukającego ze świecznikiem rozumu szczęścia dla siebie w wierze! Patrzcie tam, gdzie religia nie w pustych bakalarskich krzykach a w sumiennem pracowitém wyraża się życiu, jakiemi drogami i z jakiém pojęciem celu swego kształcąca się postępuje ludzkość? Z nauk, na które wy rzucacie anatemę, jakieżto we wszystkich odnogach społecznego bytu rodzą się ulepszenia? Bo siły Bóg dał, aby niemi pracować, nie gnuśnieć; rozum, aby go rozwijać, nie pętać. I któż może być wrogiem samego siebie? kto dobrowolnie chciałby się tarzać w ciemnościach i błędzie? Religia przetrwała już czasy dysput i kontrowersyj. Zbudowana ręką samego Boga na wiekuistej żadną sofisteryą ludzką niezachwianej prawdzie, ona stała i stać będzie do skończenia świa-*

ta własną swoją mocą. Obrony czyjekolwiek, a tém bardziej wasze, wcale jej niepotrzebne. Wszak jeśli kiedy rodziły się herezye, odszczepieństwa, ateuszowstwa, to nie zkądinąd, jeno z winy samychże obrońców, bo przez ich usta zwykle przemawia namiętność, duch partyi, interes. Zważcie to i starajcie się wyrażać religię więcej w czynach niż w pismach, to jest, bądźcie raczej religijnymi ludźmi, *niż religijnymi* pisarzami. *Czegoż wy od nas chcecie, wszak my was po chrześciańsku traktujemy?. Niesiemy wam nowy owoc redaktorskich naszych trudów, owoc takiegoż smaku, jak i poprzedniczy, jeśli go pokorą i wyrozumiałością niepocukrujecie. Macie przed sobą nową* Gwiazdę, *a w niej (może dla tego, żeście nas kollaboracyą swoją niewspomogli?) takież same uwielbienie dla Eug. Sue i Trentowskiego, takiż sam brak nauki i zdolności, taka nieznajomość katechizmu i takie ateuszostwo, jak w poprzedniczej. Cenzura Kijowska również niemiała względu na wasze prerogatywy autorskie, jak i Petersburska. Widzicie, że niema sposobu pozbyć się tej utrapionej* Gwiazdy!. *Sprobowalibyście jednak zapozwać tego Pana Nowickiego — jest pretext — wszakto on najwidoczniej zdaje się wspierać radykalizm*, вольнодумство, *pozwalając* młokosom *występować tak zuchwale przeciw wam Senatorom w Literaturze — religijnym pi-*

rzom? cha, cha, cha! (1) *No, czytajcież już, czytajcie*, jeśli nie z własnej ochoty, to choć dla miłości Pana Boga, *bo przecież od was, jako prawowiernych katolików, należy się* ofiara *do naszej skarbony? Wy wyrzekliście się wszelkich z nami stosunków; powiedzieliście z góry i potem jeszcze powtórzyliście z podkreśleniem, że niechcecie mieć nic wspólnego z nami, z naszą publikacyą; wzgardziliście poczciwém przedsięwzięciem, chwalebnym, bo z uczucia niedoli współbliźnich podjętym, trudem; poczytaliście za nic szczére nasze poświęcenie się dla wsparcia upadającej pod nawałem klęsk parafii; obróciliście w pośmiewisko to, co i w duchu i w rzeczy jest zacném, świętém, co nas wewnętrznie zaspakaja, raduje, co natchnieniem z Boga i modłami wiernego ludu pobłogosławionem zostało; puściliście wodze złym namiętnościom; nazwaliście nas młokosami, głupcami, szarlatanami, ludźmi bez żadnych zdolności, bez nauki, charakteru i wszelkich zasad moralnych; roztrąbiliście przez gazetę, że my dziełkiem na-*

---

(1) Tytuł *młokosa* może i nie jest właściwy Dołędze, który niezadługo, jeśli Bóg pozwoli, rozpocząć ma piąty krzyżyk swego wieku, jako urodzony w r. 1808: — z tém wszystkiem przyjmuje go bez wstrętu, nawet z pewną satysfakcyą, rozważywszy, że on kapitalnie odróżnia noszących go od starców zużytych i niema nic wspólnego z pierwiastkiem mefityzmu, którym tak śmierdzi żyjąca dzisiaj Scholastyka.

szém Chrześciańską publiczność oszukujemy; słowem, wyobraziwszy sobie, że społeczność chrześciańska a wy, to wszystko jedno, odłączyliście nas całkiem od siebie, od ludzi: — (jakiż to czyn wasz! jakie wasze sumienia!!!?) — my jednak niezrażeni taką religijnością *waszą i dalecy od przyjęcia rozumem i sercem korsykańskiego obyczaju —* vendetty, *wyciągamy do was rękę po* ofiarę na Kościoł, *a ofiarę nie z worka, nie ze szkatuły waszej, nie! — (wiemy, że i przy skarbach Krezusa wybyście byli uboższymi od najuboższego Niemenczanina!) — ale z pewnych kryjówek duszy waszej, z tych kryjówek, gdzie gnieżdżą się pycha, zarozumiałość, zawiść i tym podobne ptaszki. Wszak to niewiele? Przeczytajcie naszą* Gwiazdę *cierpliwie, z pokorą, z wyrozumiałością i odezwijcie się* po ludzku, *to jest, zróbcie krok chrześciański do naprawienia krzywdy bliźniemu wyrządzonej, zróbcie mówię, a to będzie dostateczną, najdostateczniejszą z waszej strony ofiarą na Kościoł. Zaręczamy Redaktorskiém słowem (słowem Dołęgi), że za taką ofiarę i Xiądz Pleban Niemenczyński pozwoli imiona wasze pomieścić w gronie Dobrodziejów swojej owczarni. Czegoż wam więcej potrzeba? czyliż was nie po chrześciańsku traktujemy? — Ale dajcie pokój dalszym waszym recenzyom i usprawiedliwieniom się: wszystko, na co w tej drodze zdobyć się jeszcze możecie kunsztem swoim, byłoby tylko powtórzeniem tych zarzutów kapcańskich, których*

potężną już próbę (avant-goût) *daliście nam w NN. 81 i 86 Tygodnika, a które hańbią rozum i serce najmniej oświeconego człowieka! Bądźcie przecież ludźmi i zrozumiejcie dobrze swój stan, swoje zdolności, swoje obowiązki! Wyście słudzy a nie panowie! do was należy podrzędna czynność rzemieślników obowiązanych stosować się ściśle do danego przez Publiczność gustu! W wielkim zawodzie kształcenia się duchowego nie wy drobniutkie, nadęte swojemi pretensyjkami jednostki, ale Publiczność jest Sędzią kompetentnym, Superarbitrem! Ona sądzi, rozstrzyga, wyrokuje stanowczo i ona też tylko ma prawo karcić, chłostać! Na pismienniczej waszej drodze mina pedagogów, mentorów, bakalarzy wcale wam nieprzystoi. Daliście się aż nadto poznać ze swego ubóstwa, nędzoty, łachmanów. Wykryliście mimo woli i wiedzy swojej wielki, przerażający* deficit *w waszej spiżarni nauczycielskiej. Nieprzywłaszczajcież sobie praw, których najprostszy zdrowy rozsądek upoważnić nie może, a zchylcie raczej czoła i pomyślcie szczerze o przydbaniu tego, do czego was w niniejszej xiążce* Chwalibóg *i* Gryf, *religia i filozofia namawiają! Czegoż wy więcej od nas chcecie? czyliż was nie po Chrześciańsku traktujemy? — A jeśli wam zrobione będą nowe z naszej strony zarzuty, nielekceważcie ich próżną swą pychą i niemówcie, jak jeden z waszych:* „oczyszczenie się z zarzutów dla tych, co mię osobiście albo z pisma mego znają, jest

niepotrzebném, a o tych, co mię dotąd poznać niechcieli lub nieumieli, i mnie też wolno się nietroszczyć." *albo* „Przebaczamy tę obelgę ze względu iż nierozumie wyrazów" — *nie! tak tylko ktoś, kiedyś, nie w swoją skórę odziany mógł się odzywać, i to w bajce, a nie w pismie mającém minę* usprawiedliwienia się! *Dzisiaj to nie uchodzi. Nastrzępiać się słowami potrafi lada gryzmoła, a nam idzie o co innego, idzie o autorytet duchowy, o piękny rozumu, woli i serca charakter, o niepodejrzaną czystość wyższego powołania, o świętość, o kapłaństwo literackiej professyi — idzie o to, aby każdy biorący się za pióro autorskie, przy niezbędnych do tego zasobach wielostronnej nauki, był człowiekiem moralnego wpływu; aby czuł, myślał i działał, jak powinien świattły do przewodnictwa na drodze umysłowej powołany Chrześcianin; aby ukochawszy swoj zawód przez wzgląd jedynie na korzyści duchowe, jakie zeń spłynąć mogą na ogół, miłość, szacunek, wdzięczność, błogosławieństwo i modły tego ogółu za najwyższą prac swoich nagrodę, za jedyny i najpożądańszy skarb w życiu swojém uważał. Tak przesławni, jaśniejący przywilejami i mnogiemi wysokiej swojej godności attrybutami Decemwirowie! o to nam tylko chodzi i tego jedynie domagamy się naszą Oppozycyą. No, więc powiedzcież, co wam w tej apostrofie niepodoba się? Czyliż was nie po Chrześciańsku traktujemy?*

P. Kostrowiec był dla nas na polu litera-

tury tém, *czém w historyi naturalnej* sexus indefinitus, *a w grammatyce* genus neuter *i byłby tém zapewne na zawsze pozostał, gdyby niewyobraził sobie wgramoliwszy się na rusztowanie Venturowskiego absolutu, że może katechizmować dzisiejszą Publiczność w imie jezuityzmu i chińszczyzny i że jest mądrością zdolną nadawać przedmiotom kolory według swoich intencyj i widzimi się. Zadaliśmy*, *musieliśmy sobie zadać trochę pracy w określeniu jego* jakości, *bo to nasz obowiązek*, *bo karcenie czczej pedanteryi, pychy, samolubstwa i wszelkich monstrualności moralno-umysłowych, równie jak oddawanie hołdu skromnej zasłudze*, *pożytecznej pracy*, *szlachetnym tchnącym miłością publicznego dobra pomysłom i czynom, wchodzi do planu naszej Redaktorskiej missyi. O! upewniamy p. Kostrowca i Kompanię, że plan nasz*, *poczęty w chwili przejęcia się entuzyazmem czci ku dobremu Obywatelowi*, *godzien jest powszechnej emulacyi*, — *plan piękny, szczytny, święty, bośmy go wyjęli z samego serca religii i na miłości bliźniego ufundowali!*

Redaktorskie sprawozdanie skończone.

W Imie Ojca i Syna i Ducha Świętego:

Boże! Tyś mię natchnął — ja narzędzie Woli Twojej. Ty mię prowadzisz — z Ciebie moc i krewkość moja. Ty mię zasilasz — niebieskie światło duch mój opromienia. W Tobie, w Twojej Opatrzności Wszechmocny Panie i Ojcze wszy-

stkie mych uczuć i myśli złożyłem nasiona — i mogęż wątpić o użyteczności przyszłych z nich owoców? Po drodze życia nasrożonej ostem i cierniem idę przy pochodni miłości Twojej — i cóż mię wstrzymać, co zatrwożyć na tej drodze zdoła? Święta Wola Twoja o Wielki, jedyny losów moich Władzco! Spełniłem, wychyliłem do dna podany mi przez wrogów posłannictwa mego kielich goryczy, i otoż upadam na twarz przed Twoim Świętym Majestatem, upadam z mocną wiarą, że do tych ofiar małych, które na Twoim ołtarzu złożyłem, dołączyć raczysz obecne moje cierpienie i, jako promyk zasługi, przyjmiesz je na chwałę Swoją a na pożytek ludzi. Błogosławiłem Ci Panie w dniach wielkiej radości, gdyś mię upadającego na duchu ramieniem Anioła swego podźwignął; błogosławię Ci teraz w dniach smutku, mając duszę ciężarem niesprawiedliwości ludzkiej ugniecioną; błogosławić Ci będę w przyszłości, wystawiony na najsroższe prześladowania nieprzyjacioł moich i błogosławić Ci nieprzestanę we wszelkich kolejach do ostatniego momentu życia mego! Amen.

A teraz mili, szanowni, znajomi i nieznajomi, mający udział w dobroczynnej mojej publikacyi Obywatele i Urzędnicy, wy wszyscy, którzy, po przeczytaniu tych brudnych potwarczych piśmideł Tygodnikowych, raczyliście pośpieszyć ku mnie ze słówkiem pociechy, z upewnieniem swojego dla mnie szacunku i niezmiennej życzliwości, przyjmcie odemnie publicznie

najczulsze dzięki za tę dobroć waszą — przyjmcie i wierzcie, że raz powstałe w sercach waszych przychylne ku mnie uczucia uważam za najdroższą własność moją — własność, o którą, jakkolwiek mały i słaby, niewzdrygnę się walczyć z Tytanami!

Ty zaś czcigodny Panie Alexandrze, którego piękne usiłowania na drodze cnót Chrześciańskich pobudziły mię, pomimo nieudolności i służbowych obowiązków, do przybrania charakteru publicznego i przed którym, jako najwierniejszym postępowych wyobrażeń i wyższego u nas smaku przedstawicielem, zmuszony byłem wyspowiadać się szczerze z myśli, uczuć i wrażeń obudzonych zuchwalstwem złowieszczego jezuityzmu — Ty wiesz aż nadto, jaką ja cenę przywiązuję do szacunku Twego i jak dotkliwą byłaby dla mnie utrata tego skarbu, abym potrzebował wyrażać tutaj wdzięczność za Twoje niezachwiane we mnie zaufanie. Składając w ręce Twoje nową Gwiazdę (*nową może podnietę zawiści próżnych a hardych Sofistów!*) *pocieszam się myślą, że trud mój sumienny, przyjęty i oceniony przez Ciebie, niestanie się igrzyskiem złości ludzkiej, ale owszem weźmie nad nią przewagę i wywrze zbawienny wpływ na ludzi oddających się literackiej professyi. W trakcie zajęcia się układem i wydaniem tej xiążki poznałem, jak ważnym i zamożnym jest w środki dobroczynne Urząd Redaktora pism zbiorowych. Ten urząd, z którego podły affe-*

ryzm zrobił sobie poduszkę puchową, mógłby połączyć najściślejszym węzłem jednostki z ogółem, piszących z czytającymi, autorów z publicznością; mógłby obudzić sympatyę do umysłowych rozrywek — tak, że nowy pisarz, nowe przedsięwzięcie literackie, nowa xiążka stawałyby się przedmiotem powszechnego zachwycenia, nie jak dzisiaj, gdzie te wszystkie nowości w największym nawet miłośniku Literatury wstręt tylko i niechęć obudzają. — I do tego dwóch tylko cnót potrzeba, dwóch — bezinteressowności i moralnego do pracy swojej przywiązania — cnót tak łatwych a tak niestety rzadkich u nas! Nasz poczciwy Decemwirat, co to cudze widzi za lasem swego niewidząc pod nosem, wolałby w swoich polować kniejach, swoje wytępiać nadużycia, niż wyszukiwać wron białych i zdobywać się na jakieś tam reakcye przeciw zamorskim rozumom. Obyczaje narodu stokroć więcej cierpią od niemoralnego postępowania własnych przewodników umysłowych, niż od xiąg choćby najrozwiąźlejszych zagranicznych. Francuzkie czy niemieckie złe *zawsze jest pierwiastkiem obcym, innej natury, pierwiastkiem niemogącym mieć prostego wpływu na nasze obyczaje. Sympatya zresztą do zagranicznej literatury cóż nam tłumaczy, jeżeli nie czczość albo ubóstwo własnéj? a to ubóstwo zkądże pochodzi, jeżeli nie z płochości, niedbalstwa, niezdatności, niesumienności, czyli jedném słowem demoralizacyi pp. Autorów? Kiedy mnie kto*

mówi, albo kiedy czytam, jak który z naszych Autorów uskarza się, że dzieło jego za nizko jest cenione przez xięgarzy, zawsze mam najgorsze wyobrażenie o takiém dziele. Rzecz prosta, kto pisze w zamiarze odniesienia ztąd pewnej korzyści materyalnej, ten pracę swoją stawi na równi z przedmiotami kramarskimi: — a możnaż tam znaleźć jaki zasiłek moralny, gdzie element utworu sprofanowany został poziomą kupiecką rachubą, gdzie pierwiastek bezinteressowności żadnego niemiał udziału? Ja nigdy niemogłem zgodzić powolania Autora z professyą człowieka na chleb pracującego; w mojém pojęciu autor, wieszcz prawd moralnych, wyraziciel nieziemskiej na ziemi doskonałości jest czémś wyższém od zwyczajnych ludzi, a praca ducha w żaden sposób niekombinuje się z pretensyami jarmarkowej czeladzi. Mnie się zdaje.. ale dość tego. Już i tak spodziewać się możemy mnóstwo tem *do fantazyj; trzebaby zawczasu pomyśleć o naprawieniu uszkodzonej nieco tą razą bałabajki.*

Labor ipse est voluptas. *Z* Gwiazdą *rozbratu robić nie myślę: rozstanę się z nią, a rozstanę bez żalu wtenczas dopiero, kiedy znajdę człowieka pałającego ku niej tąż samą co ja miłością. Numer 3, do którego mamy już niejakie materyały, stanie się przedmiotem Redaktorskiej naszej troskliwości wnet po rozesłaniu naszym Łaskawcom obecnie drukującego się. Co do dochodu z niego, na jaki użytek ma być obrócony,*

Twojej-to zacny Panie Alexandrze, którego dusza najwyższą swą rozkosz w czynach Miłosierdzia znajduje, Twojej woli i postanowieniu zupełnie poddaję. To postanowienie, o które dopraszam się uroczyście i do którego najskrupulatniej zastosować się miłym dla mnie obowiązkiem będzie, raczysz zrobić i zakommunikować mi bez zwłoki, abym mógł je wyrazić na biletach prenumeracyjnych, które przygotować należy. Jakaby nie była objętość naszej xiążki, cena jej pozostanie na zawsze ta sama, 1. rubel srebrny, względem opieszałych tylko, to jest nie dobrodziejów, nie-prenumeratorów, jako też niechcących mieć z nami nic wspólnego niezmienimy naszej surowości, bo zawsze Gwiazdę *naszą, jakkolwiek cierpką, gorzką, pótrublem wyżej opłacać będą musieli. Sądzimy, że droga do nas dostatecznie już wiadoma* omnibus quorum interest *z jednego (lubo zdaniem Estetyków* niedorzecznie napisanego) *Prospektu i dla tego jak przez Tygodnik p. Przecławskiego tak i przez inne, jeśli są równie nam życzliwe, kommunikacyjne mosty przeprawiać się z naszymi Redaktorskimi* awalanszami *niebędziemy mieli potrzeby.*

Nie na patentach, nie na próżnej dumie,
Ale na cnocie ludzkość się zasadza:
Kto dobrze robić niechce lub nie umie,
Niechaj przynajmniej drugim nieprzeszkadza.

Zamykam tę moję obronną Przemowę do-

datkiem najczulszej prośby do Ciebie przezacny Obywatelu, abyś temu świątobliwemu pełnemu wieku i zasług Mężowi, którego wizerunek ozdobił moją Gwiazdę, *oświadczyć raczył synowski mój affekt i najgłębsze uszanowanie; abyś Go jako tęczę upragnionego pomiędzy pismienną naszą bracią przymierza odemnie, od wszystkich dobrze myślących pozdrowił, a razem wyjednał mi na drogę, którą dla chwały Boga i pożytku bliźnich obratem, Ojcowskie Jego błogosławieństwo.*

Z uczuciem pięknych przymiotów Twojej duszy, z uszanowaniem, życzliwością i przyjaźnią najtkliwszą jestem i być pragnę do zgonu Twoim dobry Obywatelu

Panie Alexandrze Parczewski.

Sługą
Benedykt Dołęga.

d. 30 Grudnia 1846
Kijow. —

HISTORYCZNA WIADOMOŚĆ
O
KOŚCIELE NIEMENCZYŃSKIM.

Miasteczko Niemenczyn biorąc nazwisko od rzeczki Niemenczy 1), wpadającéj do Wilji, leży o trzy mile od Wilna, w gubernji i powiecie wileńskim. Niemenczynem nazywał się także *Podkrzyż*, zostający teraz w posiadaniu Hrabiego Konstantego Tyzenhauza, a niegdyś majątek Jezuitów wileńskich Ś. Jana, z którego Jezuici kościołowi niemenczyńskiemu obowią-

(1) Ktoby chciał szukać źródłosłowu, znajdzie go w litewskim języku; *Nie mana* nie moje i *czynaj* tu; coby znaczyło, *tu nie moje*, lub *tu cudze*. S tąd możnaby domyślać się że w Niemenczynie może zaczynała się niegdyś dzielnica którego z Xiążąt Litewskich. W przywilejach Niemenczyn nazywany jest Niemanczyn.

zani byli płacić dziesięcinę. *Czerwony-Dwór* niegdyś dziedzictwo Massalskich, a teraz pięknie zabudowany i wzorowie pod względem agronomicznym urządzony majątek światłego obywatela Alexandra Parczewskiego, nosił także Niemenczyna nazwisko. Sławne pięknością położenia *Werki* pod Wilnem, należały do dóbr stołowych biskupstwa wileńskiego. Xiąże Biskup Massalski chcąc żeby Werki były dziedzicznemi w jego imieniu, oddał za nie Czerwony-Dwór (dawiéj jakeśmy rzekli nazywany Niemenczyn) i obowiązał się w przydatku wyrestaurować katedrę wileńską. Nazwisko Niemenczyna sięga czasów przedchrześcijańskich w Litwie. Kościoł parafialny niemenczyński pod tytułem *Wniebowzięcia Najświętszéj Panny Marji i Świętych Wojciecha i Jerzego*, jest jednym z siedmiu kościołów założonych wespół z katedrą wileńską i erekcją biskupstwa wileńskiego przez Władysława Jagiełłę, zaraz po koronacji jego w Krakowie w roku 1387. — Chociaż pierwiastkowy przywiléj zaginął, ale w najdawniejszych naszych kronikarzach znajdujemy niewątpliwe jego starożytności świadectwo. Pisze Maciéj Stryjkowski: „Założył i zbudował ko-
„ścioł Biskupi Jagiełło w zamku wileńskim niż-
„szym, (dolnym) na tém miejscu, gdzie piérwéj
„gorzał ogień pogański ustawicznie, który Bo-
„dżanta Arcybiskup Gnieznieński, poświęcił na
„pamiątkę S. Stanisława i nadał go dochodami
„hojnemi, i tak na Biskupa, jako na Kanoniki

„ i Wikarie dostatecznie należącemi, Andrzeja
„ Wasilona polskiego szlachcica, z herbu Ja-
„ strzębców zakonu Franciszkanów mnicha po-
„ bożnego żywota, Elżbiety Królowéj węgier-
„ skiéj spowiednika, przedtem Biskupa Cereteń-
„ skiego piérwszym Biskupem wileńskim przeło-
„ żył i postanowił, ktemu siedem kościołów pa-
„ rafialnych plebańskich z dostateczném nada-
„ niem w Litwie fundował: piérwszy w Wił-
„ komierzu, w Mejszagole, w Niemenczynie,
„ w Miednikach, w Krewie, w Bołciach i w Haj-
„ nie 1), które też kościoły Królowa Jadwiga
„ dosyć hojnie klejnotami srébrem i krzyżami,
„ także ornatami kosztownymi z skarbu wła-
„ snego nadała." (2)

Piszą kronikarze, że Władysław Jagiełło przez rok cały jeździł od miasta do miasta, szczepiąc religią chrześcijańską. W tenczas zapewne i niemeńczyński kościoł oglądał swego Króla fundatora. Wnuk Władysława Jagiełły, a brat Kazimierza Świętego, Król Polski Alexander, nadał kościołowi niemeńczyńskiemu pola i łąki zwane Okwiany między rzekami Wilią i Niemenczą leżące.

---

(1) Do najdawniejszych także kościołów w Litwie należy kościoł Giedrojcki założony w lat 23 po katedrze wil. to jest w r. 1410, w którym Władysław Jagiełło pod Grünwaldem Krzyżaków pobił.

(2) *Kronika* Stryjkowskiego X. XIII. *rodział V.* Marcin Kromer X. XV. Rzepnicki *Vitae praesul. poloniae* 11. 168.

Przywiléj pierwiastkowéj fundacyi kościoła niemenczyńskiego niewiadomo jakim sposobem zaginął. (1) W 1525 r. Pleban niemenczyński, Notaryusz królewski Xiądz Jan Kunicki, wyjednał u Zygmunta I-go nowy przywiléj w Krakowie datowany, potwierdzający nadania swoich poprzedników. Przywiléj ten w autentyku na pargaminie, z pieczęcią wiszącą, znajduje się w archiwum Dyecezalnem Wileńskiém. Na odwrotnéj jego stronie prywatna ręka napisała, że kościoł niemenczyński fundowany jest przez Alexandra Witolda brata Jagiełły; ale ta wiadomość na samém tylko podaniu jest oparta. Zygmunt III-ci w 1623 r. a Stanisław August w 1776 r. przywiléj Zygmunta I go potwierdzili. Jest wzmianka w spisie dokumentów plebanii niemenczyńskiéj, że w 1495 Marca 13 nadane były indulgencje dla kościoła niemenczyńskiego; lecz tego dokumentu dziś znaleść nie można.

Piérwszy kościoł Króla Jagiełły niewątpliwie drewniany, trwał do czasów Jana Sobieskiego, za którego panowania, Kanonik Smoleński a proboszcz niemenczyński Xiądz Cherubin Jankiewicz, nowy kościoł swoim kosztem wybudował, w sprzęty kościelne opatrzył i dla

(1) W przywileju Zygmunta I-go powiedziano, że pierwiastkowy przywilej *per incuriam aliorum plebanorum, aut quodam alio Sinistro eventu est deperditum.*

konsekracji jego sprowadził Mikołaja Słupskiego, Biskupa Gracyanopolitańskiego, Prałata Archidyakona wileńskiego w r. 1680. Plebania niemenczyńska, która niegdyś czyniła około 40,000 złotych polskich dochodu, najczęściéj zostawała w ręku Biskupów, Prałatów i Kanoników, i niemało znakomitych ludzi między swymi plebanami liczyła. Czytamy wzmiankę o Niemenczynie w poezyach sławnego Macieja Sarbiewskiego: *Quales Lucisci vel Nemencini lacus Udumve Bezdani nemus.* (*1. Epod.*)

Zdaje się jednak, że to jest wzmianka o Niemenczynie jezuickim, który się dziś Podkrzyżem nazywa. Do znakomitszych plebanów niemenczyńskich należy naprzód Xiądz Jan Kunicki Notaryusz Króla Zygmunta I-go.

Od roku 1617 do r. 1651 Xiądz Wojciech Żabiński, Prałat Dziekan i Officyał Wileński, Pleban Swirański i Worniański, Sekretarz Zygmunta III-go był plebanem niemenczyńskim.

Między r. 1669 a 1680 Xiądz Cherubin Jankiewicz fundator drugiego kościoła, a po nim X. Piątkowski Kanonik i Officyał wileński sekretarz królewski.

W r. 1689 został plebanem niemenczyńskim X. Alexander Horain Kanonik wileński, a w r. 1727 także Alexander Horain Biskup Hieroneński, Suffragan Żmudzki, Archidyakon wileński, który długi wiódł proces z Jezuitami wileńskiemi S. Jana. Jezuici mając w parafii niemen-

czyńskiéj majątki Niemenczyn (*dziś Podkrzyż*) i Bezdany, obowiązani byli płacić dziesięcinę kościołowi niemenczyńskiemu. Ta na mocy dobrowolnéj ugody zamieniła się na opłatę pieniężną, którą poprzednicy Biskupa Horaina i sam Biskup przez lat przeszło dwadzieścia odbierał w ilości 40, potém 60, a nakoniec 80 czerwonych złotych. Póki była zgoda, Jezuici na uroczystości z celebrą i z kazaniami jeździli do Niemenczyna, a kiedy po spaleniu restaurowali kościoł świętojański w Wilnie, Horain im dwuletnią dziesięcinę darował. Lecz gdy zaszły nieporozumienia między Jezuitami a Horainem, a Horain na mocy przywileju Zygmunta I-go zaczął się domagać dziesięciny nie w pieniądzach, ale w naturze, wtenczas Jezuici nawet pieniężną dziesięcinę płacić przestali. Rozwinął się uparty proces, który ówcześni Rektorowie jezuiccy Xięża Jankowski, Antoni Skorulski i Kazimierz Przeciszewski z Biskupem Horainem wiedli, sprawa toczyła się naprzód w Nuncyaturze, gdzie Horain przegrał. Po przegranéj apellował do Rzymu, a tymczasem w Nuncyaturze drugi przeciwny pierwszemu dekret na swoję korzyść otrzymał.

W Rzymie był wówczas sławny X. Ignacy Włodek, autor dzieła o Naukach Wyzwolonych. Ten odrazu zapowiedział Jezuitom wileńskim, że w Rzymie wygrać nie mogą, i radził ugodę. (1);

(1) Autentyczny list X. Włodka w rękopismie.

tę jednak dopiero przegrana Jezuitów sprowadziła.

Po zniesieniu Jezuitów, Stanisław August oddał plebanią niemenczyńskę jednemu z najznakomitszych onéj epoki pisarzów Stanisławowi Adamowi Naruszewiczowi Biskupowi Łuckiemu, który jak ciągle pisał ody na pochwałę Augusta, tak i z tego powodu napisał wiersz pod tytułem: *Niemenczyn.* Imie i dzieła tego znakomitego historyka i poety tak są znajome, że dla sławy Niemenczyna dosyć jest wspomnieć, że Naruszewicz przez lat kilkanaście był plebanem niemenczyńskim.

Następca jego X. Marcin Steckiewicz rządził kościołem niemenczyńskim do r. 1807.

Tymczasem za staraniem Xiędza Strojnowskiego, świętéj pamięci CESARZ ALEXANDER I, dla pomnożenia dochodów b. Cesarskiego Wileńskiego Uniwersytetu oddał mu w 1803 roku dziesięć najbogatszych beneficyów (1), a w ich liczbie niemenczyńskie, z warunkiem, że one miały zostawać w dożywotniém władaniu ówczesnych posiadaczy. Uniwersytet, chciał takowe beneficya rozdawać professorom swoim duchownego stanu, jako pensyą i emeryturę; za zdaniem jednak niektórych członków, a zwła-

---

(1) Beneficya te były: Troki, Kaplica Ś. Kazimierza przy Katedrze Wileńskiéj, Niemenczyn, Onikszty, Oszmiana, Kowno, Grodno, Gieranony, Wołpa i Mussa jako uposażenie Suffraganii.

szcza Xiędza Jundziłła, postanowił pobierać sam dochody z tych beneficyów, a professorom duchownym przeznaczył pensji i emerytury po 1,500 r. sr. dla porównania ich z professorami świeckiemi, i takowy układ przez ówczesnego Ministra Oświecenia zatwierdzony został. W 1807 r. umarł pleban niemenczyński X. Steckiewicz, a na żądanie Rektora Uniwersytetu Jana Sniadeckiego, Xiądz Bonifacy Stanisław Jundziłł przyjął administracją plebanii niemenczyńskiéj, i chociaż administrował ją nie więcéj nad rok jeden, jednak dla historji kościoła niemenczyńskiego, jest to prawdziwym zaszczytem, że w liczbie jego rządców widzimy tego uczonego weterana, twórcę historji naturalnéj w Litwie i założyciela ogrodu botanicznego w Wilnie. Żyjący weteran, professor emeryt b. Cesarsko-Wileńskiego Uniwersytetu Xiądz Bonifacy Stanisław Jundziłł, Pijar, urodził się w 1761 r. wstąpił do zgromadzenia Xięży Pijarów w Lubieszowie w r. 1777. Po powrócie z podróży naukowéj, którą kosztem Kommissji edukacyjnéj obojga narodów między 1792 a 1797 r. odprawił, był naprzód wice-professorem w Uniwersytecie Wileńskim do roku 1801 i w roku 1798 założył pod górą zamkową ogrod botaniczny w Wilnie. W r. 1801 został zwyczajnym professorem historji naturalnéj w b. Cesarskim Wileńskim Uniwersytecie i wykładał ją po polsku do r. 1824, w którym emeryturę otrzymał. Mie-

szka teraz w Wilnie otoczony czcią trzech pokoleń.

W 1824 r. prezentowany został przez Uniwersytet Wileński na Plebana niemenczyńskiego, Xiądz Florjan Bobrowski ex-jezuita, autor Słownika łacińsko-polskiego. Ten pracowity i uczony kapłan urodził się w r. 1787. Nauki pobierał w Połocku u Jezuitów i w r. 1798 do ich zgromadzenia wstąpił. Wyświęcony na kapłana w r. 1807, był Kaznodzieją w Witebsku lat trzy, a potém nauczycielem w Orszy i Dyneburgu. Po sekularyzacyi w 1813 r. był bibliotekarzem w Szczorsach u hr. Chreptowicza, a potem kapellanem u Choisel'a. W téj to epoce wypracował swój wyborny Słownik i wydał go piérwszy raz w Wilnie u Zawadzkiego w r. 1822 pod tytułem: *Lexicon Latino Polonicum.* Słownik Łacińsko-Polski, na wzór słownika Jakóba Facciolatti ułożony.

W r. 1824 zostawszy plebanem niemenczyńskim i Dziekanem pobojskim, wiódł życie ciche na ustroniu poświęcając się literaturze do r. 1840, w którym się pożegnał z tym światem. W ostatnich latach życia przy osłabionym wzroku, wydał jeszcze drugą edycyą swojego Słownika znacznie pomnożoną i poprawioną.

Kościoł niemenczyński w pożarze miasteczka spłonął ze wszystkiemi sprzętami i całą zakrystyą d. 20 Sierpnia 1842 r.

10 Listopada 1846 r.

X. S. K.

O POKORZE.

KAZANIE NA NIEDZIELĘ IV. WIEKIEGO POSTU

MIANE W KOŚCIELE KATEDRALNYM WILEŃSKIM ROKU 1845.

przez

X. JANA CHWALIBOGA.

Tedy Jezus poznawszy iż mieli przyjść aby go porwali i uczynili Królem, uciekł za się sam jeden na górę. Jan. VI.

Rzesza zgłodniałych obraca troskliwość tego, którego tytuł miłosierny—pięciorga chleba i dwóch ryb wystarcza mnogiéj tłuszczy — bo ją odziela ręka, którego imie — Bóg! Cud, cud widziany oczami rzeszy wzbudza uniesienie ludzi, piersi wdzięczności pełne już Go okrzyknąć mają Królem, a *Jezus uciekł za się, sam jeden na górę.* O jakże to przystało temu, czyje usta mówiły: *Uczcie się odemnie iżem jest cichy i pokornego*

serca.— Rozstąpcie się dumą napiętnowane świata teorye; ogłosić dziś chcemy skromną o pokorze naukę. Ten, co doświadczywszy Hioba w dniach powodzenia, trącił go o łoże boleści, Ten, co rozhukanego Izraela ze łzami w oczach nad rzekami Babilonu ustawił, Ten wam dziś serca roztwiera na naukę o Pokorze, Ten rolę gotuje na przyjęcie świętego ziarna pokory. .

. . . .

. . . .

. . . .

jęki, płacze, śmierci, głody, pomory, wszystko co nas otacza, czém nas nawiedza Pan Bóg, zdaje się pisać wam ustęp do nauki o pokorze.

. . . .

. . . .

. . . .

. . . .

Do pokory woła was Ewangelia, do niéj was chylą zewnętrzne życia wypadki,— ją nam ten post wielki zaléca, a Religija niezadługo was powoła na rospamiętywanie upokorzeń Zbawcy, którego historya życia do zdrady ucznia, a stamtąd do śmierci na krzyżu, wypisana głoskami saméj pokory. Głusi zdają się słyszeć nawoływanie czasów do pokory — ślepi zdają się widzieć jéj potrzebę . . . .

. . . . Pokory tedy bracia moi, pokory! Tę dzisiaj daninę z serc waszych wybrać winienem, ażebym ją złożył przed Tym, którego sercom waszym przypomni

Kościoł, gdy cierniem ukoronowany, z trzciną za berło, podany był wzgardzie rozjadłego ludu, którego śmierć, u grobów naszego Miasta, rozpamiętywać będziemy. Poznaniu, poczuciu, nabyciu świętéj cnoty pokory, kilka uwag poświęcimy. A kiedy słowa o niéj przebrzmią, umilkną — w duszach waszych, niechaj ślad zostaje, że myśl wasza przez chwil kilka rozważała piękności i dobra pokory.

Ale o Boże! cóż znaczy chęć, któréj Ty łaską nie wesprzesz — albo co słowa nieudolnego człowieka, którego Ty nieożywisz? albo co jego ku bliżnim gorliwość, jeżeli serc ich nie zmiękczysz? Błogosław Panie pracownikom swoim, a *owoce sam zawiąż*, *sam weź* je na chwałę swoję. —

Cóż jest człowiek, co w nim, co jego, żeby nie poczuł pokory? Życie jego, — to kilka kroków od kolebki do grobu — dobra jego; — to Boże łaski — a w nim samym, niewiadomość — a przy nim, — słabości, zepsucia. Bo tak dzieci swoje wyposażył pierwszy człowiek, pierwszy grzesznik. Ciało jego, ile to chorob, cierpień umęczy, nim znowu wróci do ziemi, z któréj wyszło, nim wróci na pastwę robactwu. Rozum jego, ile to przesądów, błędów, opinii igraszką — bogaci się, żeby się spostrzegł ubogim — uczy się coraz poznawać więcéj nieumiejętność własną. Serce jego i uczucia w ciągłéj walce — nigdy pokój — rzucą jutro, czego dziś pilnie szukają — chcą dzisiaj, czego niezechcą już jutro — zaczarują

się i znów rozłudzą, nim nie wytrawią, zobojętnią, przepalą i w popioł niejako obrócą. Cóż więc człowiek? I nic że już niema w człowieku coby go uwalniało od pokory? A jegoż dobre chęci, przymioty; nie przeważąż tych słabości, powodów pokory? a jegoż ziemskie korzyści, a osobiste zasługi, nie dadząż mu trochę prawa do dumy szlachetnéj, do ukontentowania z siebie? — Nie Chrześcianie! Zewnętrzne korzyści urodzenia, godności, dostatków — to dzieła przypadku, czasem owoce niesprawiedliwości, a nigdy nie dają prawa do wynoszenia się nad drugich — bo, człowieku, co się chełpisz z urodzenia, godności, dostatków, pozwól niechaj ci odbiorą te tytuły, i idź wówczas świecić sobą samym, — idź spójrzeć, doświadczyć, o ile jesteś i jakim jesteś człowiekiem? bo człowieku, co się chełpisz korzyściami ciała ogładzonego pieszczotami zbytków i bogactwa, przebierz się w odzież żebraka, jedz dni kilka chleb jego, na dni kilka przyjmij jego bole, jego nędze— gdy cię przyjaciele dawni odstąpią, gdy ci pochlebcy urągać poczną; poznasz, zobaczysz, o ile jesteś i jakim jesteś człowiekiem.

Ani nam więcéj pozwolą prawa do dumy wewnętrzne nasze korzyści: rozum, talenta i cnoty nawet. W ocenieniu ich bowiem, naprzód nas bardzo omyla miłość własna — jéj to dzieło, że oczom własnym, wszelka mierność nasza, w olbrzymie się kształty osobliwych zdolności, geniuszu przebiera. Potém czyjąż łaską

rozum świeci, błyszczy talent, a i cnota świętością się promieni? — Powiada Apostoł; *Co masz czegobyś nie wziął, a jeśliżeś wziął, przecz że się chlubisz, jakobyś nie wziął?* (1) Człowiek z siebie jest albo nicość, albo grzech — a jeżeli go nieco podnoszą łaski Boże, toż wielkość jego cała z Boga pochodzi, i, poświadczywszy wszechmocności, dobroci samego Boga, niezmienia człowieczego jestestwa. Wszelka wielkość przy człowieku, to rzecz obca, zaledwo drobna cząstka jego zasług, a i tę zakryją słabości, grzechy, występki, ta obfitsza treść człowieka. Cóż więc człowiek, co w nim, i co jego, żeby nie poczuł pokory? Naczynie z gliny, choćbyś je największemi drogościami napełnił, przestanież być zlepkiem błota? Ten, który żyje jałmużną możeż się za bogacza udawać? Czyim rękom obce powierzone bogactwa, możeż się przechwalać z obcego dostatku? Taki nam obraz człowieka zwierciadło prawdy odbija — a jeśli takim jest człowiek, jakże ma nie być pokornym?

Pokora przed Bogiem; będzie to szczere uznanie naszéj wszechstronnéj zależności od niego — naszéj przed Nim nieudolności, naszego moralnego skażenia. A przed sobą, będzie to sąd umiarkowany we wszystkiém o swoich siłach, i swoich przymiotach. A przed ludźmi, będzie to dobrotliwe szanowanie wszystkiego, co cudze, prawdziwe i ważne. Tę powinność

---

(1) 1. Kor. IV. 7.

i cnotę zaleca nam sam Pan Bóg i kładzie ją za warunek naszego zbawienia.

Pierwsze prawo ubłogosławione w Ewangelji: *błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie* (1), zaleca pokorę. Kamień to węgelny Ewangelii całéj. Nie popokora ust, nie pokora postawy, nie zmyślona, nie udana, nie obłudna; ale pokora w głębi sumienia, w sercu, jest chrześciańską pokorą. Tam gdzie sam Bóg tylko prawości uczuć człowieka dostrzega, gdzie sam widzi, s kąd osądzi, we wnętrzu, w sercu, w sumieniu, tam swój przybytek mieć winna pokora. Tam się ona zaszczepić powinna, s kąd wyszła przez usta Ewangelicznego Publikanina, który ukorzony pamięcią swoich złości, to tylko umiał z uczuciem powiedzieć: *Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!*

Roztworzcież serca, szlę do was czyste słowo Boże: *Obmierzła jest pycha przed Bogiem i ludzmi — przecz że się pyszni ziemia i popioł* (2)? *Gdzie jest pokora, tam i mądrość* (3). *Pokora chwałę poprzedza* (4). *Bóg pysznym się sprzeciwia, a pokornym łaski swoje dawa. Uniżajcie się tedy przed mocną ręką Bożą*,

(1) Math. V. 3.
(2) Ekkl. X. 7. 9.
(3) Przysł. XI.
(4) Przysł. XV.

aby was wywyższył czasu nawiedzenia (1). *Który jest większym z was, niech będzie sługą waszym — a ktoby się wywyższał będzie uniżon: a ktoby się uniżał będzie wywyższon* (2). *Także i wy, gdy uczynicie wszystko co wam rozkazano, mówcie: słudzy nieużyteczni jesteśmy: cóśmy byli winni uczynić, uczyniliśmy* (3). *Uczcie się odemnie iżem jest cichy i pokornego serca* (4).

Powinność ciągłego postępowania w cnotach, wkłada na nas obowiązek pokory. Scisłe bowiem, owszem nierozjemne jest przymierze pokory z Ewangelicznemi cnotami. Nieznajdziemy i jednéj-, któraby niepotrzebowała pokory, któraby się bez niéj obydź mogła. Czy wspomnim na wiarę, co umysł, nasz tajemnicom podaje, jak w żywéj wierze postąpim bez pokory? Czy wspomnim na pobożność, co nas przed Majestat Najwyższego Pana przenosi skrzydłami pobożności — będzie pokora. Czy się do pokuty zwrócimy, która na przekor dumie, próżności, każe wyznawać ułomności i grzechy nasze, co tam poczniemy bez cnoty pokory? Przebieżmy wszystkie powinności ku Bogu, sobie, ku bliźnim, wszędzie nam mocy, sił, zdolności, ochoty, wytrwania, sama tylko potrafi dodać pokora. Pokora podwaliną cnot wszystkich, po-

(1) 1. Piotr. V. 5. 6.
(2) Math. XXIII. 12.
(3) Łuk. XVII. 10.
(4) Math. XI. 29.

kora pobudką, pokora stróżem cnot innych, pokora zaprawą, pokora solą, co inne cnoty od zepsucia ochrania. Niema cnot bez pokory. Bez niéj wszystko się kazi, psuje, więdnie od podmuchu dumy, próżności; bez niéj, same cnoty to gasną, to tracą cenę swoję, to obracają się czasem w słabości, występki; jak przy niéj znowu; blasku, piękności, zasługi przed Bogiem dostają. I oto jest dla czego mawiał S. Augustyn: *Choćbyś mię stokroć zapytywał, która jest najprzedniejsza cnota Chrześciańska? Stokroćbym ci odpowiedział — pokora.*

Pokora jest wpływem światła. Próżność, duma, miłość siebie, czemże to nie łudzą zwolenników swoich? Przeciw rzeczywistości i prawdzie, tysiące zastawiają pozorów, fałszów, mamideł. Uczy się téj bałwochwalczéj wiary duma, próżność te mary ogania. Pokora spokojnie patrzy na wszystko, sądzi zdrowo, nie depce, nie gardzi; boby już pokorą nie była. Ale ani ją chwała świata obłąka, bo zna ten ognik co to błyśnie, to zgaśnie, zna jego i próżność i płochość. Ani ją zwiedzie stugębna opinija ludzi, bo zła, czy dobra, jest jak odzież, ubiorą w nią i rozbiorą lepsi i gorsi ludzie; a człowiek, jakim jest prawdziwie u Boga, znalezion będzie. Brzmij więc świecie czy pochwałą, czy naganą, świeć się ziemio godnościami czy bogactwy, pozorami czy prawdami; pokora z cicha przejdzie po za mamoną waszą, i pójdzie swą drogą za sumieniem, za prawdą, za krzy-

żem do Ojca światłości, do zgotowanych sobie przeznaczeń.

Pokora ma na sobie najwięcéj z prawdziwéj wielkości. Ona dąży do niéj. Czy jaki niedostatek jeszcze, to go najpierwéj poczuje pokora. Czy która cnota do nabycia, to braku jéj naprzód dostrzeże pokora; bo i czuwać nad sobą i dążyć do celów moralnych, najpierwéj potrafi człowiek opatrzony w cnotę pokory. Pokora wymija wszystko co marne, co błahe, co się sprzeciwia Bogu. Pokora szuka Boga — ona naśladowaniem dzieł Najwyższego chce się doń zbliżyć, ona by jak Opatrzność Boża pragnęła bez przechwalania się, rozgłosu, służyć dobru ludzi. I nie sąż to górne cele, jakie zakłada, po jakie sięga pokora? To też kiedy w sercu pokornego człowieka zagore uczucie wielkości Boga i miłości woli Jego, cóż mu już wielkim zostanie z ułudnych ponęt wielkości światowych? Jak kiedy oko co wprzód po promieniach słońca popływa, mało już potem dostrzega cacek ciemności tak człowiek pokorą do Boga i Jego wielkości zbliżony, tam już swe serce zostawił, stygnąc dla ziemskich nicości.

Pokora nie tłumiąc szlachetnych i wzniosłych uczuć, sama im stałości i męztwa dodaje, sama jest owszem początkiem prawdziwéj wielkości duszy. Przedstawmy sobie pokornego człowieka, wolnego więc od względów ludzkich, wolnego od poruszeń miłości własnéj, od tajemnych niepokojów próżności, posłusznego głoso-

wi Boga i powinności — co go zadziwi? co go zatrwoży? co jego siły skrępuje? co go zatrzyma na drodze? co nim zachwieje? — trudności! Ale jakież trudności nie przeniesie człowiek pokorny? Miłość siebie, bojaźń o siebie, oszczędzanie się — nie, to nie jego uczucia. On słyszy tylko wolą Bożą i za jéj spełnieniem pójdzie przez gniewy, potwarze, miecze, i, jeśli tylko jest prawdziwie pokorny *wszystko może*, jak powiada pismo: *W tym, który go ukrzepia*, cóż go zatrzyma? Co nim zachwieje? Upokorzenie, zawody? On się tego nie zlęknie — on szuka upokorzenia, bo to go zbliża do Chrystusa, dodaje świeżego prawa do zbawienia. A zawody? jakąż pokornemu przeszkodą? Może go w nich Pan Bóg probuje. Choć wiele razy poczciwych celów nie dójdzie, probować będzie bez zrażenia, jakoby probował raz pierwszy! O Bracia moi! potrzeba być choć trochę pokornym, żeby zrozumieć, iż sam tylko Chrześcianin pokorny i na najszlachetniejsze rzeczy odważyć się, i sam tylko z prawdziwą wielkością duszy ich dopełnić potrafi. Przy pokorze tylko być może wielkość duszy prawdziwa. Cokolwiek prawdziwie wielkiego było na świecie Bożym, cokolwiek zdumiało ludzi szlachetnością, wspaniałością, poświęceniem się, wielkością duszy; poczęło się od pokory, zaparcia się siebie. Usta też i życie Świętych Pańskich ogłosiły i utwierdziły świętą prawdę, że wielka jest moc w pokorze. Ona nas od drobnostek uwalnia —

od obaw próżności, od zdrażnień miłości własnéj; a przez to samo gotuje w nas zdolność ku temu co wielkie, wspaniałe — wiele zmyje z siebie plam, wiele fałszów zetrze, wiele ujmie zgryzot, kto dumę i próżność umorzy — a w piękną się odzież oblecze, dziwną się mocą opatrzy, wiele nowych rozkoszy w świetniejszych dążeniach poczuje, kto się nauczy, kto poda cnocie pokory.

Pokora prawdziwa jest jeszcze tajemniczym środkiem utrzymania pokoju ze wszystkimi ludźmi. Kto szczerze pokorny, nie może być w niezgodzie z braćmi. Lżą go, on milczy. Krzywdzą go, on znosi bez wyrzekania. Obelgi i krzywdy zda się odpadają od pokornego serca. Z człowieka drażliwego, cierpliwy, z tkliwego, nieobrażliwy do stopnia, iż złość najdziksza tępi na nim strzały swoje; jaka to piękność moralna! — a ta w nim niby nieczułość, ta owszem miłość, jaką pokorny bliznę każdą odpłaca, jest może najdziwniejszém zjawiskiem, jakiemu w prawdziwéj wspaniałości i męztwie nie sprosta żaden czyn bohaterski, żadna z pobudek ziemskich waleczność. Słusznie tedy, że pokora jedna serca ludzkie; bo jakże się oprzeć słodyczy, wdzięczności, miłości, jakiemi się otacza człowiek pokorny? To też cena jego przed wszystkimi ludźmi. Dumni, próżni, mściwi, źli i dobrzy, wartość jego rozumieją, i prawdzi się tu czasem na ziemi, że *kto się uniża, podwyższonym będzie*.

Któryż więc język uwłoczy pokorze? Bo cóż się już wyda godniejszém czystego rozumu i prawego serca? Gwiazda to nowa, co z Ewangeliją zaświeciła światom, słodkim blaskiem ujmującym umysł, serce. Wszystko co piękne, przez nią w nowy się powab obleka. Ona każdą zasługę podnosi, ona czasem zastępuje zasługę — w niéj się najpiękniéj Chrystyanizm wyraża — a ma cóś niewymówionego jeszcze, co się w niéj wielbi, podoba i kocha.

Obiegliśmy śladami pokory, obejrzeliśmy pośpiesznie jéj piękności i jéj skutki; zobaczmy ją przy człowieku, w jego życiu, jego uczynkach. Człowiek pokorny nieuwodzi się próżną chwałą, nie zapiera się wad własnych, prawdzie nie zaprzecza, jéj owszem słucha i jéj ulega. Nie zazdrości powodzeniu, ani się cieszy z upadku bliźniego — z serca owszem podziela i radość wesołych i łzy płaczących — niezapomina się w pomyślności, nie traci męztwa w nieszczęściu, nie sieje niezgod między bracią, jest owszem ich jednawcą, aniołem, że powiem, pokoju. Miłość swoję i swój szacunek nie do samych wyższych, ale i ku niższym obraca, nikim nie gardzi — złość nie zapala serca jego — ust jego nie kalają obelgi — a jakkolwiekby nań działali ludzie, nie wzbudzą w nim ani ostrości, ani uporu — Źli się przeciwko niemu osrożą; złém za złe nieodpłaci — w głosach owszem nieprzyjaciół, poszuka prawdy, a jakkolwiek oblaną żółcią, weźmie ją za naukę,

czy przestrogę dla siebie. Posłuszny rozkazom Bożym do stopnia, że kiedy go praca powoła, nic mu nie przeszkodzi — bardziéj, miękkie próżnowanie. Pokorny jeszcze się sobą nie narzuca ludziom, umie milczéć, gdzie sam treścią mowy — zawsze rad ze swéj doli, o bliźnich z pobłażaniam sądzi, nie chce dumnie na formę siebie odlewać wszystkich ludzi — przy osobach zacnych słabości znosi, nie szepce o nich potwarczo, zdradliwie. Tak postępuje, że choć ludzie muszą uznawać jego wyższość, jéj jednak z żadnéj ostrości nie czują. — Jakiekolwiek są przeszkody, któremi się ludzie chcą osłonić przed powinnością pokory, wszystkich jednak do niéj obowiązuje religija. I mieli ją wszyscy ludzie wielcy przed Bogiem i światem. Choć możnym był Abraham, z pokorą powiadał o sobie: *jestem proch i popiół* (1). Miał władzę nad braćmi Mojżesz, a jednak w serce jego duma nie weszła. Na piękném czele koronę nosił Król Dawid — jego to głos ozywa się w psalmie; *Jam jest robak, a nie człowiek* (2). Sławnej umiejętności byli trzéj młodzieńcy Hebrajscy, o których Daniel powiedział: *Tobie Panie sprawiedliwość, a nam zawstydzenie twarzy* (3). Sam Chrystus przyszedł-li na świat, żeby się chełpić z swojéj władzy i chwały? Nie, majestat

(1) Gen. XVIII. 27.
(2) Ps. XXI. 7.
(3) Dan. IX. 7.

Jego Boży osłoniła pokora, postawą ubogiego człowieka. A jeżeli On tyle się uniżył, jakąż być powinna nasza pokora? Z tém słowem o pokorze, obracam się do was Chrześcianie Bracia moi! ile wam ona znajoma, ile upodobana, niechaj was z cicha obliczy sumienie wasze. Lecz jeżeli by się tu za mnie ukazał oczom waszym Ten, co was kiedyś sądzić będzie i zapytał, ileście ją brali za prawidło życia? Cóżbyście na to odrzekli *dumni, którym do próżnéj chwały, do mamideł płochych, potrzeba aż nieszczęść wielu braci waszych?* Cóżbyście na to odrzekli *próżni, którym dla chwilowego popisu, dla przyjemności złośliwéj, potrzeba aż zszargania poczciwéj sławy, całéj zasługi życia pracowitych braci waszych?* Cóżbyście na to odrzekli *zarozumiali, na obalinach spotwarzonych braci utwierdzający tron pychy*, z *którego prawda może was co chwila obalić?* albo *chełpliwi, odważający się płocho przesądzać*, co *waszą nieudolność rumieni?* Cóżbyście na to odrzekli *mściwi, złośnicy, wichrzyciele drogiego pokoju* (1)? Ale ze wszystkich nas bracia, ktoby dziś nie był winien, skoroby sam P. Bóg chciał nas przesądzić z cnoty pokory? Nie mamy świętych jéj skutków, bo nie mamy saméj pokory, nie mamy wzajemnéj miłości, bo nie ma-

---

(1) Na odbicie tych wielkiéj wagi pytań trzebaby liter ognistych, płomiennych. Szkoda, szkoda; żé ich niema u Glücksberga! (Wyd.)

my pokory. Złośćmi, zawiściami, tarciem się obelg o obelgi, potwarzy o potwarze, iskrzy się jeszcze ogólne życie nasze; bośmy się jeszcze nie przyuczyli cnoty takiéj, żeby aż zostać pokornymi! — Mamże jednak okazywać oczom waszym tę gałęzistą rózgę chłost Bożych, albo zaogniać bole wasze, któremiby się z was wywołać dała pokora. Równiem dziś gotów wspołpłakać z wami, jako się i oburzać widząc nieupamiętanie wasze! Same bowiem nieszczęścia nie idą nam w korzyść, w pożytek moralny, więcéj się w nich okalecza niż poprawia; bo je składamy na serca nieczyste, złośliwe, na obrazę a nie na miłość; a wszystko dla tego, że nam braknie pokory.

Pokory tedy Bracia pokory! Pokora niech wejdzie w sumienia wasze z nauką o sobie, z zarzutem przy sobie — dla dobra własnego wysłuchajcie dziś tego nawoływania do pokory. Probujcie — darujcie tylko z serca urazy wzajemne — żniszczcie obraźliwość próżności waszych, a będzie wam spokojniéj, szczęśliwiéj w życiu — a ile to jeszcze spokojniéj, szczęśliwiéj, jeśli powoli poczniecie wypełniać wszystko co każe pokora. W imię Ewangelii upominam was, bądźcie pokorni! W Imie Kościoła, który roztwarza przed wami trybunały pokuty na pokorne win waszych zeznanie, proszę was, bogaćcie się w cnotę pokory! W Imie S. Krzyża, przez strumienie krwi wylanéj pokornie na krzyżu, przez śmierć pokornie na nim podjętą wołam,

zaklinam, pokory w sercu, pokory w czynach — pokory przed ludźmi — pokory przed Bogiem — pokory przy Świętej pokucie! Boże! Ty sam w nas rozbudź cnotę pokory! A Ty, któryś cierpiał za nas grzesznych, Jezu Chryste Panie miły, zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad nami! Amen.

DWA WSPOMNIENIA

Z DZIEJÓW

KAMIEŃCA PODOLSKIEGO.

Kamieńcze, grodzie nasz luby,
Ojcze nasz! rodzinny grodzie!
Perło mitry Gedyminów!
Kolebko Podola Synów!
Święta Arko w naszym rodzie! —
Gdzie ledwie nie każdy kątek
Coś wspomina z dawnych czynów,
Z sześcio-wiekowych pamiątek
Naszej sławy, lub zaguby;
Z któremi aż dotąd trwasz.
Pozdrawiam cię Ojcze nasz!
Serce Miasta Wieżo Biała,
Coś z Czarnego Piotra ręki (1)
W nadobne kształty i wdzięki

Strojna, w górę wyleciała
Nad Kamieniec całą głową;
I wysmukła jak dziewica,
Jak młoda Oblubienica
Odziana w szatę godową,
Świecisz białością tak świeżą; —
Pozdrawiam cię Biała Wieżo!

Znam ja dwa dni Twoich cierpień,
Które co rok miesiąc Sierpień
W dniu trzydziestym przypomina
Sercu Podolskiego Syna: —
I jak w mej pamięci leżą
Tak zaśpiewam tobie Wieżo,
I tym wałom i tym ścianom
I mym braciom Podolanom!

1.

W środku Kamieńca, grodu Podola,
Stoi Wieżyca; jako topola
Słupem wybiegła z dołu do góry,
Aż omal szczytem nie sięgła chmury.
Ciosowe wschody wiodą w krużganek,
A przez te wschody w środek wieżycy
Do Radnej Izby ciągną co ranek
Burmistrze, Wójty, Rajcy, Ławnicy.
Z nade drzwi głównych błyszczy w dziedziniec
Płyta marmuru z Czarnokoziniec (2),
I z dali można wyczytać z płyty
Łaciński napis gładko wyryty.
A w wyższém piętrze na cztery strony
Lane z żelaza z bronzu balkony;
Po nich stróż miejski czujnie przebiega,

Patrzy za ogniem i lud ostrzega.
A wyżej zegar koła rozwija,
Godziny Miastu w dzwony wybija.
A jeszcze wyżej ku niebu gonią
Szczyty wieżycy wzniosłe jak Tatry:
A tam na szczycie igrają wiatry
Z koronnym Orłem, z Litwy Pogonią.

Ale jak spada burza niszcząca;
Tak spadł dzień straszny w czasie niedługim: —
Byłto trzydziesty Sierpnia miesiąca
W tysiąc sześćsetnym siedmdziesiąt drugim.

Mahomet czwarty, pan Carogrodu,
Przybiegł z potęgą całego Wschodu;
W orszaku Hanów, Baszów, Wezyrów
I Beglerbejów i Seraskirów;
Sztandar Proroka groźnie rozwinął
I na Kamieniec bułatem skinął.
A niezliczone tłumy pohańców
Pomknęły szturmem do twierdzy szańców.
I sześć tygodni grzmiały harmaty,
Świszczały kule, bomby, granaty.
Nakoniec w mieście jęk się rozlega:
Lud przerażony, w rozpaczy biega,
Męże, niewiasty, starce i dzieci.
Wszystko zmieszane, w nieładzie leci;
Z wież biją w dzwony, z harmat na wałach;
Wśród dział i dzwonów grzmi dzikie *Ałłach*! —
Aż dreszcz przejmuje, aż bledną twarze.
Tłoczy się biedny lud przed ołtarze,
Nurza się we łzach, a w pieniach smutnych
Brzmi głos Kapłanów w psalmach pokutnych;
Bo cała ufność tylko na Boga.

Z nikąd odsieczy, ratunku niema,
A wycieńczona mordem załoga
Zaledwie kilka godzin wytrzyma.

W tym dniu okropnym biała wieżyco
Patrzałaś trwożnie za swą siostrzycą,
Co się w bojowym tumanie bieli
Na murach twierdzy przy Cytadeli,
Grożąc zastępom wściekłych Osmanów;
Broni ją tylko pierś Podolanów
I wódz nieznany, z rodu Germanów (3).
Lecz oto w wyłom lecą poczwary,
Drą się Dżeledży, Spahy, Janczary, —
I niema środków obronić wieży.
Podolski hufiec do wodza bieży,
A dzielny Niemiec skoczył do lochu,
Lont zapalony przytknął do prochu
I z Podolany nad Ottomany
Wyleciał w górę niepokalany!
Cześć takim wodzom! tym braciom cześć,
Co śmierć, niż hańbę, woleli znieść!

Gdy Baszta w Zamku z gromem wzleciała,
Wieża wśród grodu wstrzęsła się cała,
Aż ziemia pod nią silnie zadrgała,
Aż zleciał Orzeł, Pogoń zleciała
I na Katedrze krzyż Święty runął!
A gdy się czarny tuman rozsunął,
Jak smutny widok przedstawił ranek!
Z katedry meczet, stajnia z kościoła (4);
Na rynku Turków pełno dokoła,
Pełen ich Ratusz, pełen krużganek;
A w Izbie Radnej w środku wieżycy
Nie stare Wójty, Rajcy, Ławnicy,

Ale w turbanie przy jataganie
Iskinder-Basza siadł na Dywanie!
A na balkonach *namaz* z wysoka
Spiewał *Muezzin* synom Proroka, —
A wyżej zegar jęcząc, powoli
Liczył godziny smutku, niewoli;
A jeszcze wyżej, po nad zwaliska
Bisurmański xiężyc błyska!

2.

Wiele, wiele dni minęło
Wśród powodzeń i wśród strat,
Rok za rokiem upłynęło
Sto czterdzieści osiem lat.
A ratuszowa Wieżyca biała
Wśrodku Kamieńca, jak przedtém, stała
I napis błyszczał z nad drzwi wchodowych (5).
Lecz w środku wieży w Izbach Sądowych
Nie stare Wójty, nie Bisurmany,
Ale Prezydent zasiadł z Ratmany.
Z balkonów budnik strzeże pożaru;
Tylko brzmią dawne dzwony zegaru,
Tylko, jak dawniej, z wiatrami gonią
Koronny Orzeł z Litwy Pogonią.

Lecz znowu przyszła chwila niszcząca,
Przyszedł dzień drugi z Niebios wyroku,
Znowu trzydziesty Sierpnia miesiąca
W tysiąc ośmsetnym dwudziestym roku.

W Kamieńcu wielki zjazd na wybory.
Panowie dają bale, wieczory,
A zaproszeni z dwunastu powiatów,
Możni dziedzice i szlachta szara

Ucztują społem, grzmią pośród wiwatów
U Guberskiego Marszałka Komara.
Illuminacya wspaniała płonie
Na rynkach, placach, po każdej stronie;
Wszystkie przejazdy, bramy, ulice,
Wieże i gmachy i kamienice,
Wszystkie balkony, ganki, barjery,
Ubrane w lampy i rewerbery,
Rozlały razem na wszystkie boki
Czarodziejskiego światła potoki.
Lecz najjaśniejszym blaskiem gorzała
W niezliczone lampy strojna
Ratuszowa wieża Biała.

Noc była ciemna, cicha i spokojna;
Na jej tle czarném, jakby na całunie,
U szczytu wieży w promiennej łunie
Srebrzysty Orzeł z Pogonią stał
I w brylantówym odblasku drgał.
Ładnie-to było pojrzeć w około, —
. . . .
. . . .

Raptem przez balkon dym się pocisnął,
Wnet silniej buchnął i — ogień błysnął,
Płomiennym kłębem w górę potoczył,
Stróż wrzasnął: pożar! Lud ogień zoczył,
I jęk boleśny, nieutłumiony
Przeleciał miasto na różne strony;
A coraz głośniej rosnąc w oddali
Wśród biesiadników runął do sali.
W trwodze, rzuciwszy rzęsne wiwaty
I roztruchany i srebrne blaty,
Każdy się do drzwi pocisnął z trudem;

Aż na ulicy złączeni z ludem
W tumulcie, ścisku każdy w skok bieży
Na główny rynek do Białej Wieży.
A ogień bucha i w górę leci,
Jak wąż płomienny żarzewie świeci
Pnąc się po belkach, i głownie żaru
Już oświeciły wnętrze zegaru.
Zegar, jak giermek dawnémi laty,
U drzwi Rycerskiej górnej komnaty
Krok w krok stąpając sprawował czaty: —
I gdy na basztę Zbójca uderza,
On w progu przejście mu zatamował
I piersią drogę zatarasował
Tak, że lub wroga swą potęgą zdusi,
Albo go pierwej wróg pokonać musi,
Nizli dosięgnie Rycerza.
Tylko smętném powiódł okiem
Po swym Grodzie ulubionym,
I szedł na śmierć dawnym krokiem,
Uroczystym, niezmienionym
Jak męczennik na męczeństwo.
A gdy coraz wróg naciska
I wzrasta niebezpieczeństwo,
Zerwał wagę i grzmotnął w samą pierś ogniska,
Aż się żar w burym dymie zaczernił, zamroczył,
Aż stęknął; — a dech mocny z paszczy się wytoczył
I, jak fontana ognia, straszliwy, wysoki
Słup gorejących iskier wzleciał pod obłoki.
To hasło walki na śmierć! Ogień się rozszerzył,
Zegar jak w bębny alarm bojowy uderzył;
Puściwszy młyńcem koła i zębate walce
Darł płomienie na szmaty, szarpał na kawalce;
A potem, potem zwolna, grobowémi tony

Na swój pogrzeb ostatnie bił godziny w dzwony
Aż skonał.
Nad jego trupem
Ogień pomknął jasnym słupem
I płomiennym w koło wieńcem
Otoczywszy Wieży skronie,
Jak pochodnią nad Kamieńcem
Dalekie oświecił błonie.
A w rynku, jak sięgnąć okiem,
W koło na placu szerokim
Tak zbiegło się ludu wiele: —
A wszystko-to Podolanie,
Wraz wieśniacy i mieszczanie,
Szlachtă i obywatele,
Wszystko syny jednej matki
Wszystko-to Podola dziatki.
Smutny wzrok utkwili w mary,
Gdzie Orzeł, jak Kiejstut stary,
W xiążęcej mitrze, srebrną szatą osłoniony
Z Pogonią, jakby z giermkiem, na stosie złożony
Płonął w obliczu całego narodu
Pośród rodzinnego grodu.
Ogień zaś w kolumnę zbity
Groźnie wzniósłszy się nad szczyty
Krwawo i okropnie wraz
Zamigotał jeszcze raz
I wstrząsł dachem tak, aż z trzaskiem
Pękła więź żelaznych śrub,
A szczyt wieży z hukiem, blaskiem
Zapadł się jak gdyby w grób.
I rozległ się we wnętrzu jęk głuchy, ponury,
I słup iskr gorejących wyleciał do góry,
Strzelił olbrzymią sosną ku niebios sklepieniu,

Jak gdyby na ostatnią cześć Całopaleniu,
I gasł zwolna w ciemności. Niebo się zczerniło
I wszystko zgasło; tylko w górze widać było
Lekki odblask promienia nad szczytem zwalonym,
Niby krąg aureoli nad Błogosławionym.
Potém, gdy się mgły rozwiały,
Smutny widok był w poranek:
Przy ruinie pozostały
Tylko wschody i krużganek;
Napis w głąb muru się schronił (6).
I zegar już niezadzwonił.

Serce miasta Wieżo Biała!
Dziś już mówią, że ty stara,
Żeś zgrzybiała, strupieszała
I niedźwigniesz już zegara.
Mówią, żeś dwa dni przetrwała,
Lecz gdy dzień nadejdzie trzeci,
Twój słup runie, gruz poleci
I ty znikniesz Wieżo Biała (7)!

Pisałem w Kamieńcu Podolskim d. 30 Sierpnia 1846 r.

Leon Bożawola Romanowski.

PRZYPISY.

(1.) Według Legendy miejscowej objętej w dziełku pana Ch. pod tyt. *Trzy Lilie*, Piotr Czarny mieszczanin kamieniecki był Budowniczym Wieży ratuszowej.

(2.) „Czarnokozińce, Podolskie miasteczko nad Zbru-„czem z ruinami Zamku sławnego bytnością Stefana „Czarnieckiego: jest tu źródło siarczane, gips, alaba-„ster i marmur.” (Stat. Pod. Gub. X. Marczyńskiego.)

(3.) „Kiedy okopy zewnętrze wyniosła mina i Tur-„cy przystępowali do szturmu, Komendant wywiesił „białą chorągiew, znak poddania Zamku. Inaczej po-„stąpił dowódzca załogi Niemiec, ktorego nazwiska

„ niezachowała historya, zapalił prochy pod sobą i „ w chwili poddania Zamku z częścią załogi, basztą „zamkową i kawałkiem muru wyleciał w powietrze." (Podole, Wołyń Al. Przezdzieckiego.)

(4.) Katedra kamieniecka obrócona była na Meczet, jak świadczy dotąd stojący przy niej Minaret, a stajnie zrobili Turcy z kościoła Franciszkanów, który potem odbudowany i znany pod napisem, dziś zabielonym, *Omnibus in Omnibus* oddany na Cerkiew domową Arcybiskupią.

(5.) Deo Favente Regnante Serenissimo Augusto II Polonorum Rege Duce et Electore Saxoniae Camenecum Anno 1699 Die 22 7bris ab Ottomanis receptum reparatum et redunitum Rei-publicae.	Z Bożej Łaski pod panowaniem Najjaśniejszego Augusta II Króla Polskiego Xięcia i Elektora Saskiego Kamieniec 1699 roku dnia 22 Września od Turków odebrany odbudowany i na nowo wcielony do Rzplitej.

(6.) Pro Restaurationis Sumptu Palatinatui Podoliae Gratitudinem inscribit S. P. Camenecensis Anno Domini MDCCLIV.	Za Odbudowania koszt Województwu Podolskiemu wdzięczność zapisali Starsi i Lud miasta Kamieńca Roku Pańskiego 1754.

Ten napis potem warstwą wapna pokryty zniknął.

7. Kiedy w zeszłym 1845 r. miasto sprowadziło z Wiednia nowy zegar, zamiast postawienia go na wieży Ratuszowej umieszczono w bocznej ulicy na frontonie Cerkwi Arcybiskupiej, z powodu, że fundamenta wieży okazały się niedość mocne; a wieść głosi, że według nowego planu miasta wieża Ratuszowa ma być zwalona.

ZAGROBA.

(Obrazek obyczajowy).

Siedzieliśmy z doktorem Tarnem u komina i długo nie przerywali milczenia, trzaskiem tylko płonących drewek i szumem drzew ożywionego niekiedy. On spuścił głowę wyłysiałą i ciągnął dym fajki, powolnie poglądając na węgle, ja zamyśliłem się o jego opowiadaniu, tylko co skończoném, które głębokie na mnie zrobiło wrażenie.

Była to chwila, jaka zwykle następuje po żywéj bardzo rozmowie, gdy człowiek wewnątrz siebie rozbiera słowa cudze i swoje, porządkuje wrażenia i godzi sprzeczności.

Doktor widząc mnie zamyślonym i smutnym prawie, odezwał się nareście podnosząc uśmiechającą, pogodną twarz swoją, na któréj dobroć, łagodność i siła malowały się razem.

— Tak mój drogi! niema jak być doktorem, aby poznać ludzi.

— I odczarować się — rzekłem.

— Odczarowują się tylko zaczarowani, odparł, a ja nim nigdy nie byłem. Nie doznałem tego boleśnego wrażenia, bom z razu przeczuwał ludzi jakimi są w istocie. Istotkami drobnych rozmiarów, w których połowa złota, połowa gliny — wyjątki są tylko grubiéj złocone, a zawsze glina we środku.

Milczałem. Doktor dodał po chwili nakładając nową fajkę.

— Co mnie prawdziwie unosi, to walka tego słabego stworzenia z sobą, z bliźnimi, ze światem, z gliną własną i cudzą; gdy ta walka na myśli jakiéj pięknéj się opiéra, gdy choćby ma na celu nie objawienie bolu wewnętrznego i tortury tajemnéj. Ten chłopiec Spartańczyk, któremu ukradziony lis wyjada żywe mięso, a który nie piśnie, nie zajęczy, jest obrazem wielu wielkich ludzi, mało znanych i ocenionych, co bolejąc przez szlachetną dumę, uśmiechają się do śmierci. Nie raz bywałem świadkiem wielkich cierpień, co się heroicznie ukrywały, na których reszta ludzi ani się nawet poznała. Są to dramata tajemne, które Bóg ocenia i nadgradza gdzieindziéj.

— Pewien jestem, że masz podobny dramat w zapasie, opowiedz proszę.

— A zaraz ciekawość! — ale godziż się to opowiadać?

— Czemuż nie? — zyskujesz więcéj jednym współczuciem.

— Już tym o których mowa, nic po twojém współczuciu.

— Nie wzbudzaj próżnéj ciekawości, opowiedz lepiéj,

Doktor zaczął.

„Lat temu kilka mieszkałem jak wiesz w Kijowie i dość byłem tam wzięty. W kilku domach stałem się przyjacielem i gościem codziennym, niejako członkiem rodziny— Do tych kilku domów policzyć potrzeba państwa Zagrobów. Nie wiem ja, bo to wcale rzecz nie moja, czy to familia jaka dawniéj sławna a dziś podupadła, to wiem, że niewidziałem w poczciwych z resztą ludziach większéj dumy rodowéj, jak u nich."

— Może to być stara, dobra rodzina szlachecka, ale nic więcéj, odparłem."

— I ja myślę, bo nazwisko niesłychane! Cóż powiesz na to, że Zagrobowie mieli się za najstarszą szlachtę w swoim powiecie, za szczątek potężnego rodu, za coś nad ludzi wyższego. Poczciwe z resztą ludziska, ale z téj strony kompletnie śmieszni. Nauczyłem się był ich illustracji familijnych na pamięć, żałuję że mi z głowy wywietrzały. Jeden jakiś tam Kasztelan, jeden Sufragan, dwóch panów Starostów, jakiś Pan Generał, odzywali się w każdéj rozmowie. Portrety ich mieliśmy w jadalnéj sali. Stary mój zacny Zagroba uważał się za potomka wielkiéj krwi i jak to szlachcicowi polskiemu łatwo, mawiał często że z trzema królewskiémi rodami jest spokrewniony przez kobiety. Dow-

cipnie bardzo dowodził tego powinowactwa idąc ku niemu po szczeblach najrozmaitszych. Tego rodziła ta, tamta krewniła się z tym i t. d. aż przyszedł do Sobieskich, od Sobieskich do Stuartów, do Radziwiłłów a od nich do całéj Rzeszy niemieckiéj, do Leszczyńskich, a od nich do Burbonów. Zresztą powtarzam że Zagroba był bardzo uczciwy człowiek, tylko nadęty trochę, próżniak jak tylko u nas bywają próżniacy, wszystko gruntujący na słowach a nieumiejący wziąść się do niczego, naostatek bojący się nowości wszelkiéj jak ognia.

Żonę miał poczciwe kobiecisko, ale tak obałamuconą wielkością familii Zagrobów i potęgą umysłową małżonka, że byłaby w ogień skoczyła, gdyby jéj mąż kazał. Z jakąż to nieraz exaltowanéj roskoszy fizionomiją słuchała wieczorami nieskończonych genealogij P. Zagroby, ktore na pamięć umiała! Trzeba wiedzieć że nasz szlachcic w herbarzu żył i herbarzem, a wszelką umiejętność heraldyczną na korzyść swéj familii obracał. Najmilsze mu były cytacje, kiedy o któréj staréj i dobréj rodzinie piérwsze w dziejach wspomnienie znalazł, kiedy się i jak pańska jaka familia podniosła. Z szyderskim uśmieszkiem, zażywając tabaczki, powoli wyrzucał daty bez omylki, a na końcu zawsze (finis coronat opus) zawieszał wieniec Zagrobów i ginące w chmurach wieków początki ich rodu, o którym potrafił odszukać daty

i wspomnienia sięgające X wieku. Dalej już prządł domysły gładko aż do arki Noego.

Znasz już mego starego Zagrobę, którego pomimo śmieszności kochałem. Był to człowiek dobrego serca, głowy małéj, jak widzisz, ale wiary pełen i szlachetności. Pan Bóg temu małżeństwu dał jedną tylko córkę. Śliczne dziecko, które przeprowadziłem oczami od kolebki do — grobu! Znałem ją na wsi wprzódy, gdym przybył do Kijowa, już to była panienka. Śliczna powiadam ci, śliczna! Biała jak marmur, niebieskooka, z ciemnym włosem, a w ruchu twarzy i całéj postawie prawdziwie idealna.

Pan Zagroba coby się miał cieczyć córką, to się gryzł że nie miał syna. Nie mówił o tém nigdy przed żoną i owszem dla niéj miał zawsze argument, że syna ciężkie wychowanie i los nie wiedzieć jaki; ale gdyśmy byli sam na sam, a był pewny że go Jejmość nie posłyszy, nieraz powtarzał:

— Biada mój konsyliarzu! nie mam syna, przyjdzie na mnie skończyć się domowi. Słyszałem o Zagrobach w krakowskiém, ale jako żywo, to samozwańcy, samozwańcy!

— Mój kochany Prezesie, odpowiadałem, co ci tam o tém myśleć, ciesz się czém Bóg dał i kwita.

— Ba! ba! Wam to tak mój konsyljarzu mówić, wy bo niemacie imienia, którebyście z kilkaset lat pamiątkami daléj przekazali, ale my. —

— Któż to wy? spytałem.

— Kto? zabawne pytanie! my! stare rody, rody magnackie, historyczne.

— Mój Prezesie, zdaje mi się przesadzasz.

Ruszył ramionami i umilkł, a potém zawsze dodał.

— Wy bo wczarajsi, niechcecie nic wiedzieć, aby się niczemu nie pokłonić. Dajmy temu pokój!

— Dajmy pokój!

Ale pomimo że sam proponował to — Dajmy pokój — mimowolnie nawracał znowu rozmowę na ten sam przedmiot. Dziad Kasztelan, Stryj Jenerał, lub co podobnego, służyło za węzełek do połączenia się znowu z ukochaną przeszłością, do utyskiwań, że wielki ród Zagrobów zagaśnie w kądziel przechodząc.

Oboje państwo już byli w wieku, że się nie mogli spodziewać potomstwa.

Anielkę wychowywano bardzo starannie. Nie mówię o nauce, o talentach, bo te bogatym łatwo jest dać dziecięciu, ale o moralném prowadzeniu dziewczęcia, Nie było to wcale wychowanie dzisiejsze w którym *Ja*, tak wielką gra rolę, gdzie dziecię wcześnie się uczy zajmować sobą, myśleć o sobie i nie cenić ani serca rodziców, ani szanować siwych ich włosów. Anielka była dziecięciem, któremu zrana wmówiono, jak wielkie jest poświęcenie, jak piękny obowiązek. Gotowała się do życia, jak do walki, jak do ofiary.— Matka cicha i poczciwa starych

czasów niewiasta, wlała w nią chrześcijańskie uczucia, zaparcia się siebie i gotowości do poświęceń. Życie nie ucztowe, wesołe i lekkie, ale poważne, wielkie i święte z koroną męczeńską na skroni, już stało przed tém dziecięciem, które nie bladło i nie traciło wesołości wpatrując się w swą przyszłość, może ciężką. Matka bowiem ucząc ofiary, nauczyła ją także, że wszelką traci wartość czyn, z którego się chlubim, który pokazujemy światu: obowiązki najcięższe, boleści najsroższe, cicho i tajemnie między człowiekiem a Bogiem przechodzić miały. Anielka też przy powadze, którą okazywała wcześnie, nie straciła swobody i uśmieszku dziecięcego — Powiadam ci, było to dziecię uroczego wdzięku. Przywiązałem się do niego sercem całém i jako lekarz dbając o zdrowie, czasem słowo rzuciłem matce, naganiając zbyt surowe przygotowanie do życia.

— Mój mości Dobrodzieju! odpowiadała Prezesowa wzdychając, powołanie kobiety ciężkie i wielkie, życie jéj ciągłą ofiarą i poświęceniem. Nie dziwuj się że Anielkę ku temu gotuję. Da jéj Bóg taki los, że się bez poświęceń obejdzie, że weseło za sercem i wolą własną pójść będzie mogła, tém lepiéj! ale nuż inaczéj Bóg zdarzy? to niesłusznaż, żeby na wszelki przypadek gotową była?

Na to nie było co odpowiedzieć,

Lata biegły, a Anielka dorastała: Prezes

zawsze mówił o Kasztelanie dziadzie, o Jenerale stryju i utyskiwał przedemną, że gaśnie wielki ród Zagrobów. Śmiałem się w duchu. Anielka miała już lat piętnaście. Śliczne dziéwczę a co więcéj jak święta jaka, poważna z pogodą na czole, niewinna a pełna rozumu, dziecinna a dojrzała głową. Serce jéj w piersiach niewiem czy zabiło kiedy do kogo, tak od dziecka wiedziała, że uderzenie jego samowolne męczarnią tylko być może. Moc nad sobą miała niesłychaną. Ojciec choć ją kochał, nieoceniał, matka płakała z radości; ona wiedziała, jakim skarbem była Anielka.

Mnóstwo już młodych ludzi zaczynali uczęszczać do domu prezesowstwa, bo piękna, bogata i jedynaczka wabiła. Starzy przyjaciele i znajomi Prezesa, co po lat dziesięć go nie widywali, teraz z synami przyjeżdżali i tak nadzwyczaj byli grzeczni! tak się wpraszali w starą przyjaźń! tak ściskali ze łzami!! Młodzież kłaniała się w ulicy Prezesowi tak nisko! zdaje się nawet że przed oknami domu więcéj ruchu i życia było teraz, niż przedtém.

Nie domyślałem się wcale, ażeby (choć to porządek konieczny) Anielka miała pokochać kogo. Zdawało mi się patrząc na nią, że ten aniołek wszystkich zarówno kocha na ziemi, a owéj gwałtownéj passyi, namiętności, co to ją miłością zowią, nigdy może na swoje szczęście niedozna.

W tém jednego wieczora odbieram kartecz-

kę od Prezesowéj, zapraszającą mnie na jutro rano na godzinę dziesiątą.

— Coż to, chory kto? Broń Boże! spytałem człowieka.

— Nie! odpowiedział stary sługa —. wszyscy zdrowi, musi to być tak jakiś interes.

Obiecałem przyjść, ale wezwanie już mnie niemało zastanowiło. Było w tém coś niezwyczajnego: o godzinie wyznaczonéj Prezes zwykle wychodził z domu na sądy — w samém zaś napisaniu karteczki, przebijał się żywy niepokój.

Przepoźniłem się o pół kwadransa przypadkiem, i zastałem już Prezesowę w jadalnéj sali, widocznie niespokojną, czerwoną, chodzącą żywémi krokami.

— A! chwałaż Bogu żeś Pan przyszedł! zawołała ciągnąc mnie do drugiego pokoju.

— Coż to? jakiemuż bolowi winienem, że mnie Pani tak rada wita?

— Chodź, chodź Doktorze, zaraz się dowiesz o wszystkiem!

— A Anielka? — spytałem po drodze.

— Anielka? z niejakiém pomieszaniem odpowiedziała matka — wyszła na przechadzkę z Miss Lockart.

Zaledwieśmy weszli do pokoju, Prezesowa obróciła się do mnie z pałającą twarzą.

— Na Boga, proszę pana, niech to tylko będzie między nami co mu powiem. Chcę zasięgnąć jego rady, jesteś przyjacielem naszym,

nieodmawiaj mi jéj, głowę tracę, nie wiem co robić.

— Cóż to takiego? słucham Pani! ale nadewszystko zaczynajmy od początku.

Nachyliła mi się do ucha.

— Doktorze! Anielka się kocha!

Osłupiałem — W kim? gdzie? jak?

— Oczy matki nie zwodzą! to wielkie nieszczęście dla mnie. Już miesiąc patrzę z uwagą, jestem tego pewna. Wzięłam na siebie nareście zasięgnąć waszéj rady.

— W kimże przecie? — dodałem —

— W młodym Januszu Silnickim —

— Powiedzże mi Pani, kto to jest? spytałem, bom go tu zaledwie kilka razy widział u państwa i nieznam wcale.

— Nikt już pewnie lepiéj nie wié, co tylko o nim wiedzieć można — odpowiedziała żywo zawsze matka. Mogłabym jego biografiją napisać, takem się wyuczyła jéj od niejakiego czasu — chłopiec bardzo majętny.

— Tém lepiéj.

— Ślicznie wychowany —

— Tém lepiéj.

— Bardzo pięknego prowadzenia —

— Winszuję Pani.

— A! nie winszuj mi proszę —

— Rodzice ludzie uczciwi i dosyć pokaźni.

— Wszystko dobre.

— Syn Ekonoma! dodała — załamując ręce

Prezesowa, syn Ekonoma! a szlachectwo, Boże odpuść!

— Waćpan wiész, dodała, że mój mąż jest ostatnim potomkiem wielkiéj rodziny.

Uśmiéchnąłem się — ona mówiła daléj.

— Nie wyda za nic Anielki za niego.

— Mnie się zdaje że Pani przesadzasz trudności, jeśli go przyjmuje w domu.

— O! to co inszego! wiém z pewnością, że jéj za niego nie wyda.

— Szanowna Pani! jestto już nie dzisiéjszych czasów przesąd, zważania nadewszystko na stary ród w kolligacjach. Wszyscyśmy starego bardzo rodu, bo przedpotopowego; a że jeden, jak powiada poeta, wyprzągł woły z rana, a drugi wieczorem,

Prezesowa potrząsła głową — widzisz Pan, taki ród jak Zagrobów! Mój mąż szuka ubogiego potomka pięknego imienia koniecznie.

— Mnie się zdaje, że to się prędzéj ułoży, niż Pani myślisz.

— O! gdzie tam! rzekła wzdychając. Że ojciec był ekonomem, to nic może jeszcze, ale dziad był —

— Coż takiego?

Prezesowa jąkała się nieśmiejąc wymówić.

— Cóż takiego? powtórzyłem.

— Dziad był Parochem unickim — w —

Spójrzała na mnie! Ja się uśmiéchnąłem.

— Radziwiłłowie, rzekłem, wywodzą się od Lezdejki, a nikt im tego niewyrzuca. Nie trap

się Pani nadaremnie i przedwcześnie. Mnie się zdaje, że jeżeli Janusz człowiek dobry, uczciwy, starannie wychowany i majętny, Prezes na urodzenie nie bardzo zważać będzie.

Tak mówiłem, ciesząc Prezesowę, ale prawdą a Bogiem, czułem, że Zagroba ciężki będzie w takim razie.

— S kądże Pani wnosisz że Panna Aniela...

— O! tobym ci długo opisywać musiała, jak ja to poznałam. Naprzód mój Konsyliarzu, jako matka czuję każdy ruch serca mojego dziecięcia, jak gdyby ono jeszcze nieoddzieliło się odemnie. Czucie to macierzyńskie wskazało mi naprzód, gdziem oczy skierować miała. Anielka go kocha, sama o tém niewiedząc. Spójrzenie, rozmowa, oczekiwanie, zabawy, wszystko to dowodzi. Nie będzie to nigdy szalona miłość dzisiejsza, coby doprowadziła do smutnych ostateczności jakich, bo Anielka nadto dobrze na to jest wychowana — ale —

Spuściła głowę.

— Bądź Pani dobréj myśli — Tymczasem —

— Cóż mi radzisz?

— Dość zimno i umiarkowanie Janusza przyjmować, ja pójdę na zwiady, co to za kawaler.

— A! nieskończenie ci będę wdzięczna. A czy nie mógłbyś tak zdaleka — zdaleka wypytać trochę Prezesa?

— Sprobujemy!

W téj chwili weszła rumiana cała Aniela i przywitała mnie weselszym niż kiedy uśmié-

chem, Trzymała przepyszny bukiet w ręku.

— A! z kądże tak śliczne kwiaty? spytała matka.

— Pan Janusz dał je Miss Lockart — a Miss była tak grzeczna —

Matka przelotnie spójrzała na mnie.

— Śliczne kwiaty! — dodała.

— Włożym je w szklankę! — podbiegając zawołała Aniela —

Ja pożegnałem Prezesowę.

Tegoż dnia miałem wieczorem długą rosprawę z P. Zagrobą. Była mowa o Anielce — stary zawsze swoje powtarzał. Co to za nieszczęście, że niemam syna! są wprawdzie Zagrobowie w Krakowskiém.

— Ale to samozwańcy — dodałem z uśmiéchem.

— Samozwańcy, albo i nie, rzekł kiwając głową Prezes. W roku 1673 jeden Antoni syn Tadeusza Zagroba z Zagrobskiéj Woli, przeniosł się, jak dochodzę, z Płockiego w Krakowskie i ożenił tam z Jakubowską (dobra stara szlachta, mieli tam ze sześć wsi) — Linija Antoniego syna Tadeusza z Jakubowskiéj nieznana mi zupełnie — Kto wie? może od niego ci Zagrobowie pochodzą? Pisałem już dowiadując się — Gdyby tak było.

— A gdyby tak było? spytałem.

— Gdyby tak było — dorzucił, należałoby, należałoby zbliżyć się do tych Zagrobów.

Widocznie Prezes całéj swojéj myśli niepo-

wiedział — potarł czoło, pochodził po pokoju i dodał siadając a bijąc mnie po kolanie.

— Wielkich rodzin, wielkie obowiązki!

— Wszystkich ludzi, kochany Prezesie —

Uśmiéchnął się —

— Wy tych *naszych* obowiązków nie znacie:

— Przyznam się, że nie pojmuję, jakiebyście mieć mogli wyłącznie?

— Obowiązki względem pięknego imienia i świetnéj przeszłości. Jestto spadek, którego marnować grzech wielki.

— Należy go powiększyć prawdziwie wielkiemi czyny — dorzuciłem.

Prezes znowu się uśmiéchnął litościwie.

— To nic, rzekł, ale przelać trzeba imie i pamiątki komuś, aby niezgasły.

Rozśmiałem się, — zawsze ci Prezesie syn w głowie.

— A gdybym go miał?

— Będziesz go mieć!

Spójrzał mi w oczy — jakby mówił —

— Co to jest?

— Zięć a syn, dodałem, to prawie jedno.

Prezes począł świstać i ruszać ramiony.

— Gdyby był Zagroba! rzekł cichutko —

— Prezesie! Prezesie! zawołałem — proś Boga aby był uczciwy człowiek, aby z nim Anielka była szczęśliwą, nie żeby był Zagroba.

— Waćpan mnie nigdy niezrozumiesz..

— Aż nadto cię pojmuję — ale na miły Bóg

familie Grachów i Scypionów przepadły, a Waćpan chcesz nieśmiertelności dla Zagrobów?

— Mówmy o czém innéni kochany konsyliarzu.

— Zapewne i lepiéj, mówmy naprzykład, co myślisz o licznych konkurentach Anieli, którzy twój dom napełniają?

Zagroba westchnął.

— Upadek! rzekł, całkowity kraju upadek! Zapomnienie wszelkich tradycyj! Wystaw sobie, każdy mnie pyta o historyją familij, nikt nie wié czém byliśmy. Imiona nieznane, nowe, ośmielają się ubiegać o rękę ostatniéj z rodu tak znakomitego — Wystaw sobie że niejaki Silnicki...

— A! rzekłem, a cóż masz przeciwko niemu?

— Syn Ekonoma, wnuk Parocha! zawołał animując się Prezes. Pojmujeszże to Waćpan?

— Bardzo dobrze wychowany i przyzwoity młody chłopiec.

— Ale co mi tam do tego!

— Dałżebyś córkę łotrowi pięknego imienia?

— Nie, zapewne, ale przyznasz, że wybierając z dwojga, między dwoma uczciwymi ludźmi, wolałbym świetny ród, gdzie cnota tradycyjnie przechodzi od prapradziadów, gdzie wiém że nié ma plamy, że krew czysta się przelewa. Waćpan Doktor, a nie wierzysz w rassę?

Ruszyłem ramionami — Mój szanowny Prezesie, dodałem, niezawodna że cnotliwe tradycje, dobre wychowanie, cenić się powinny, że dobre co zowią urodzenie, jest niejaką rę-

kojmią dla charakteru, ale czy dziś uważaj. Dzisiaj potomkowie wielkich rodzin nieznają nic nad *użycie*, używają młodości, życia, imienia, pieniędzy, o żadne nie troszcząc się *obowiązki*. Wielkie rodziny są w moralnym upadku, więcéj jeszcze niż materjalnie zrujnowane. Swieżsi ludzie pracują na imie.

Musiałem tak mówić, wiedząc że inaczéj do niego nie trafię. Zastanowił się — westchnął.

— Tak! upadek! upadek! dodał — nikt nie wié nawet co byli Zagrobowie!

Na tém skończył.

Pocieszałem Prezesowę i niespuszczałem z oka młodego chłopca, którego znajomości szukałem, a on jakby przeczuwając, że przyjaciel domu, pożyteczny mu być mogę, może też sympatyzując ze mną, przywiązał się do mnie łatwo i szczérze.

Było to dobre chłopię z tego Janusza. Odwagi, gotowości na poświęcenia pełne, szlachetny jak rzadko, przytém skromny, zamknięty w sobie i łagodny. Głową nie górował nad drugich, choć miał zdolności i łatwe pojęcie, ale sercem mógł przodkować wszystkim. Nigdy mi się nie odkrył z przywiązaniem do Anieli, ale to było i tak widoczne. Ja zaś nie wyprowadzałem go na zwierzenia i owszem starałem się od nich ustrzedz, boby mnie były zobowiązywały — Zdaleka śledziłem postępy przywiąza-

nia dwojga młodych, drząc na myśl, co z tego wyrosnąć może.

Tak upłynęło kilka miesięcy, nadeszły kontrakty. Nic się w położeniu osób nie zmieniło. Matka pilniejszém niż kiedy okiem śledziła Anielę, więcéj niż kiedy mówiła jéj o poświęceniu i obowiązkach.

Już Kijów zaczynał się zewsząd przyjeżdżającymi napełniać, mieszkanie moje nieustannie przez znajomych odwiedzane, interesów mnóstwo, starych przyjaciół kilku towarzyszących wszędzie; słowem straciłem z oczu na dni kilka Prezesowstwo.

Jednego ranku około godziny dziesiątéj, wybierałem się z Ludwikiem na miasto, gdy słyszę turkot powozu (sannéj nie było) i Prezes wpada, ale tak zmieniony radością, tak promieniejący, wesół, widocznie szczęśliwy, pijany jakąś myślą, że nie wiedziałem, co to znaczyć może. Poskoczył ku mnie jakby odmłodniał, ścisnął mnie za rękę, począł całować i odciągając na stronę trochę, zawołał głosem stłumionym radością.

— Wiesz! pochodzą od Antoniego syna Tadeusza!

— Zupełniem był zapomniał o genealogii i usłyszawszy to, na chwilę myślałem, że zwarjował.

Spójrzałem mu w oczy zdziwiony.

— Jest tu! jest tu! młody Zagroba z Krakowskiego, — są dowody! pochodzą od Antoniego syna Tadeusza! prawdziwi, starzy Zagrobowie!—

— Bardzo winszuję, rzekłem. Teraz więc gdy sam spokojny jesteś o imie, możesz być całkiem swobodny w rosporządzeniu losem córki; tradycje złożysz w ręce krakowskich Zagrobów.

— Waćpan niedochodzisz mojéj myśli! no! no! na potém o tém, Ubodzy, ale co się zowie zacni ludzie! żebyś wiedział jaki do mnie list stary Maciéj Zagroba z Gruszyc napisał? Syn jaki człowiek przyzwoity, jaki żywy Zagroba! Całkiem rysy familijne, podobniuteńki do dziada Kasztelana. Mów co chcesz, a jest coś w fiziognomii. — Ale! ale! proszę cię na obiadek! będziem obchodzić przybycie młodego Anastazego Zagroby. Mam pewne projekta! Późniéj się dowiesz — pomówiemy — czekam na godzinę piątą.

Scisnąłem go za rękę dość smutnie, a on lekko i podobno śpiéwając (najfałszywiéj, ale bardzo głośno) zbiegł ze wschodów do powozu.

Scisnęło mi się serce na tę wiadomość. O piątéj byłem u Prezesowstwa.

Sam zawsze jaśniał rozkoszą i wesołością, sama uścisnęła mnie za rękę z twarzą bladą, na którą próżno usiłowała wywołać coś nakształt uśmiéchu. Aniela zamyślona przy oknie bawiła się zwiędłym kwiatkiem. Oczy moje z ciekawością padły na przybysza w którym przeczuwałem narzeczonego Anieli. Ojciec już ich tak łączył okiem, że nikomu jego projekt tajnym być nie mógł, nawet obcym. Od razu po-

kochał Anastazego Zagrobę i wszystkie w nim znalazł doskonałości. Anastazy bowiem jedną miał wielką cnotę, cnotę najlepiéj ocenioną przez Prezesa: znał doskonale historiją, kolligacije, starożytności i był heraldyk znakomity. Niesieckiego i Duńczewskiego umiał na pamięć prawie. Słuchając go, oczy Prezesa napełniały się łzami, chwytał mnie za rękę, ściskał ją aż do sińców i szeptał: a co! słyszysz? słyszysz Waćpan? Co za nauka! jaka pamięć! cudownie! cudownie! jeszczem podobnego niewidział młodzieńca.

Ale muszę ci wprzód opisać Pana Anastazego. Niezdarzyło mi się w życiu nic widzieć bardziéj sztywnego, krochmalnego, poważnego niezgrabnie i podobniejszego do lalki. Był to chłopak nawet ładny, blondyn, trochę za mało miał świéżości, ale zbudowany pięknie, barczysty, trzymający się jakby kija połknął. Każdy ruch jego wymierzony, obrachowany, nie z uczucia, nie z serca, nic nagłego, rzekłbyś że się jak marjonetka w pewne tylko strony i ograniczone sposoby zginać może, a zawsze mniéj więcéj jednakowo. Na twarzy nigdy znaku poruszenia, jakiś uśmieszek zimny, równy, wejrzenie szklanne, suche, rozmowa pompatyczna i wyszukana słowami dobieranémi, powolna. Grzeczny aż do śmieszności, zimny aż do wstrętu, na piérwszy rzut oka niepodobał mi się. Brak serca był w nim widoczny a charakter może nawet gwałtowny krył się pod tą szatą

chłodną i bezbarwną. Mogłem się bardzo mylić, postanowiłem śledzić. Aniela w czasie obiadu spojrzała bojaźliwie kilka razy na niego. Silnicki blady, ale poruszony do najwyższego stopnia siedział przy mnie na mękach.

Po obiedzie wyszliśmy z Prezesową do gabinetu, spójrzeli i mówić nie było potrzeba. Kiwnęła głową — Wyda ją niechybnie za niego.

— Może potrafimy zapobiedz?

— Niepodobna! niepodobna!

— A Aniela?

— Ona kocha! wiem pewnie.

— Czy Janusz jéj się oświadczył, czy jéj mówił? czy bardzo się zbliżyli do siebie —?

— O! nie! nie! wszystko w spójrzeniu i urywanych półsłowach. — Tém lepiéj.

— A Aniela nic ci Pani nie mówiła?

— Ale ona nie wié, co się z nią dzieje.

Rozeszliśmy się — Prezes porwał mnie ażebym słuchał jak pięknie mówi Anastazy o familii Zagrobów. W istocie daty sypały się jak z za rękawa, imiona gradem leciały, a stary płacząc ściskał młodego chłopca, który go z uszanowaniem zimném w ramię całował.

— Jestem w uniesieniu! wołał Prezes — wystaw sobie, że wiedział takie rzeczy, które tradycionalnie tylko w familii się przechowywały, które ja miałem za moją wyłączną własność. Wié, że Jan syn Wawrzyńca kochał się w stryjecznéj siostrze, która, jak owa z Oświecimia, umarła nim dyspensa przyszła; wié,

że Wawrzyniec miał ogromną brodawkę na prawém uchu, która mu porastała od dzieciństwa białym włosem; wié —

Ruszyłem ramionami.

— Waćpan jesteś demagog! zawołał.

Rozśmiałem się serdecznie.

— A koniec końców, to niepospolity młodzieniec. Co za takt, jaka wytrawność, jaka zimna krew!

— Prezesie! w młodym ta przedwczesna krew zimna, niedobrze wróży. Może być i serce kamienne. Nie lubię, gdy młody trochę nie szaleje.

— Waćpan jesteś exaltowany!

Gdyśmy rozmawiali, Anastazy poszedł i usiadł przy Anieli, która go z uśmiechem bawiła, ale oczami szukała Janusza, który, schwycił kapelusz i wyniosł się prędko.

— Patrzaj, rzekł Prezes, przysiadł się do Anielki — co to będzie za para!

— Już o tém myślisz!

— A! i nie od dziś!

— Prezesie! mówmy serjo. — Gotów jesteś poświęcić dziecię — rozpoznaj że go lepiéj, zmiłuj się —

Stary prawie się obraził na to.

— Waćpan mnie masz za głupca konsyliarzu, albo za człowieka bez serca! Jużciż nic nie robię na wiatr i po szalonemu? ale ten młody człowiek, to fenomen!

— Wić, że Wawrzyniec miał brodawkę na

uchu, szepnąłem cicho. — Obowiązek odwołał mnie stąd i odejść musiałem. Kilka dni nie widzieliśmy się.—Silnicki smutny przyszedł do mnie. Zdawał się błagać wzrokiem a nie śmiał nic powiedzieć. Nazajutrz przywlokł się znowu, radził się mnie, bo był chory. Stary ojciec, kontuszowy szlachciura przyszedł z synem. Ten wziąwszy mnie na stronę i kłaniając się nizko po staroszlachecku a traktując mnie suto *Dobrodziejem*, wynurzył się całkiem. Musiałem odebrać im wszelką nadzieję, ale obiecałem mówić z Prezesem. Po południu poszedłem do niego — Zastałem z Anastazym na poważnéj o przodkach rozmowie, wziąłem na stronę i powiedziałem o co szło. Skrzywił się i odstąpił.

— Mój konsyliarzu, rzekł, co za osobliwsza myśl: Zagrobowie i Silniccy!

— Co masz przeciwko niemu?

— To, że chcę córkę wydać za Anastazego, rzekł poruszony, innych przyczyn nie zrozumiesz — téj dosyć.

— Ale znaszże go dostatecznie?

— Jeśli nie znam, to poznam.

Odprawił mnie nadąsany, a gdym powiedział o tém saméj, widać już koniecznością związku córki z Anastazym przejęta, bo wierzyła w męża, jak w Ewangeliją, odpowiedziała mi, — Anielka poczciwe dziecko, może tam co i ma w sercu, ale potrafi się poświęcić. Wola mego męża niezłomna, mówił mi już o niéj

i kazał przygotować Anielę. Biedne dziecko, płacze, ale musi być posłuszną.

W miesiąc potém byłem zaproszony na zaręczyny. Odbyły się one sztywnie, zimno, przyzwoicie, a Anielka wymogła na sobie że nawet nie płakała. Była tylko blada jak ściana. Prezes walca tańcował podpiwszy.

Zmęczony wziął mnie potém na stronę.

— Dziękuję Bogu, rzekł, dziękuję Bogu! jestem prawdziwie szczęśliwy! te poczciwe dzieciska moje, tak siebie godne, tak śliczne, tak szlachetne, tak są do siebie przywiązane. Robię ich szczęście. Uważasz jak Anielka blada jest od wzruszenia, co za poważny wyraz szczęścia i błogości na twarzy Anastazego!

Anastazy po prostu był lalką bez duszy.

— Już to, dodał, i matka temu rada! a co ja!! ha! ha! dawno nie byłem tak szczęśliwy! o! dawno! — I nie dla siebie się cieszę, ale jestem pewny, że oni wszyscy ze mną, że spełniam najskrytsze ich życzenia. Ich radość odbija się we mnie.

Matka siedziała jak trup sina z bolu patrząc na córkę, która uśmiéchała się boleśnie. Dowiedziałem się późniéj że biedne dziecko wyznało matce płacząc, iż wstręt niepohamowany, nieprzełamany czuła ku Anastazemu.

Nadeszło wesele bardzo do zaręczyn podobne, z tą tylko różnicą, że Prezes szalał zupełnie, a Aniela dwa razy zemdlała, co złożono na zbytnie gorąco i wzruszenie. P. Anasta-

zy chodził jak żuraw, uśmiéchał się i zdawał nie czuć wcale co się koło niego działo. Biedna ofiara straszliwie zmieniona, zaparła się całéj przyszłości i poczuła jak matka święcie uczyniła sposobiąc ją do ofiar, poświęceń i cierpienia!

Nazajutrz po weselu byłem proszony do państwa młodych, którym ojciec kupiwszy dóm, chciał ich mieć przy sobie. Spodziewałem się znaleść Anielę bardziéj jeszcze znużoną, cierpiącą i z wyrazem boleści na twarzy. Całkiem przeciwnie zastałem. Od piérwszéj chwili gdy nierozerwany węzeł złączył ją z Anastazym, w modlitwie (mówiła mi matka) zaczerpnąwszy sił potrzebnych; starała się światu okazać, że była szczęśliwą. Niktby się nie mógł domyśleć, że ją ojciec poświęcił swéj woli dziwacznie. Lękając się tego, okazywała mężowi czułość, gdy istotnie wstręt odpychał ją od niego. Na jéj twarzy zawsze pogoda duszy czystéj, uśmiéch łagodny, rezygnacja anielska. Ci tylko co jak ja wiedzieli sprężyny wszystkich ruchów, ocenić potrafią heroizm téj kobiéty. Świat pospolicie miał ją za bardzo szczęśliwą. Kobiéty tylko dziwowały się, jak Aniela pełna uczucia i serca mogła pokochać człowieka tak utrapienie zimnego. Składano to na dziwaczność gustów, na prawo kontrastów i t. p. nikt prawdy się nie domyślał.

Ja, com był świadkiem całéj walki i poświęcenia téj kobiéty, powiadam ci, żem w życiu nic większego, uroczystszego i świętszego

nie widział. Rzekłbyś, patrząc na jéj życie prywatne, że nic dla niéj nie zostawało do życzenia, że opływała w szczęściu. Ojciec mówił mi ciągle z przekąsem. A co panie? ha? albo nieudało mi się wydać Anielki? albo nie szczęśliwa?

Matka wszystko wiedziała, ale dopomagała poczciwa, do heroicznéj komedyi, którą wszyscy grali. Anastazy codzień widoczniéj okazywał się człowiekiem bez serca. Rozumiał on żonę i coby miał ją cenić, coby miał wdzięczność prawdziwą i uwielbienie poczuć dla niéj, był tylko chłodnym dla oka troskliwym małżonkiem, z którego iskra uczucia nigdy niewystrzeliła! obojętny dla Anieli, nie myśląc wcale co jéj życie osłodzićby mogło, co uprzyjemnić, troszczył się tylko o siebie. Był to egoista jakich mało na świecie: ale że doskonale umiał grać rolę człowieka surowego uczciwego i ściśle sprawiedliwego, człowieka co spełnia sumiennie obowiązki: świat nigdy mu nic nie wyrzucał, nie dopatrzył się nawet w jego czynnościach, okrucieństw jakie popełniał. Żona kryła je starannie. Był to tyran domowy bez litości i serca, ale o tyranii znoszonéj przez Anielę z uśmiéchem, żywa dusza niewiedziała. Żona piérwsza zawsze go wymówiła, zawsze pochwalila. On to przyjmował zimno, za obowiązek zapewne, i głową jéj za to nie kiwnął.

Tu to dopiéro Aniela, ukazała mi się prawdziwie wielką, prawdziwie świętą niewiastą.

Jéj staraniem mąż pozyskał powszechny szacunek, na który podobno niebardzo zasługiwał. Ojciec miał ją za najszczęśliwszą, w końcu nawet matka mówiła mi:

— Wiész kochany konsyliarzu, Anielka tak się jakoś przywiązała do tego poczciwego Anastazego, tak go kocha! spokojna przynajmniéj jestem o jéj przyszłość. Prawda, że powierzchownie zimny człowiek, ale cnót wielkich. —

Nigdy się nie mogłem dowiedzieć, jakie to jego były te wielkie cnoty tajemne, ale mi o nich ojciec, matka i Aniela mówili ciągle. To wiem, że P. Anastazy w karty się zgrywał i miał w mieście ślicznie ukryte stosunki z któremi wprawdzie nie było się co chwalić. Przypadek odkrył mi to, ludzie mieli go za tak surowego i wielkiéj cnoty człowieka, że go nawet nikt nie posądzał. Co się tyczy kart, te nie namiętności, ale raczéj towarzystwom przypisywano i wciągnieniu się w stosunki, których zerwać było niepodobna. P. Anastazy tymczasem domęczał żonę. Ta powszechnie za szczęśliwą miana kobiéta, schła, więdła uśmiéchając się i umarła nareście, zostawując sierotkę po sobie.

Prawdziwego jéj życia i cierpień, nikt może nie znał prócz Boga i kilku bardzo bliskich osób. Pospolicie cytowano to małżeństwo za jedno z najszczęśliwszych i najprzykładniejszych. Gdy Aniela umarła, obawiano się nawet o życie P. Anastazego.

Trzebaż było takiego wypadku. żeby oddawna chorując na wątrobę i nie bardzo wstrzemięźliwe wiodąc życie, P. Anastazy wkrótce potém umarł także. Powszechny głos, śmierć jego żalowi po zgonie żony przypisał.

Takie pospolicie sądy ludzkie; taka znajomość skrytych sprężyn życia.

Stary Zagroba żyje po dziś dzień i wychowuje wnuczka, wspominając z rozczuleniem o przywiązaniu wzajemném Anieli i Anastazego. Matka nawet poczciwa, która za życia już poczynała w nie wierzyć, teraz słysząc o tém ciągle, przekonana najmocniéj, iż się serdecznie kochali i bardzo byli szczęśliwi!

Janusz Silnicki dotąd nieżonaty, odwiedza często Prezesa, bo się zajmuje sierotą biedną Jasiem, który przypomina rysami twarzy biedną zgasłą wcześnie Anielę. Mówimy z nim czasem o niéj, a poczciwy chłopiec dziś jeszcze ma często łzę na oku, gdy wspomni swoją piérwszą i może ostatnią miłość. Prezes cały zajęty *pamiętnikiem familijnym*; który wkrótce ogłosić zamyśla, dla zbudowania powszechnego. Niezapomniał w nim i o brodawce Pana Wawrzyńca.

J. I. Kraszewski.

d. 10 Sierpnia 1846 r.
Grodek.

POETA NARZEKA NA POEZYĘ.

Cożto jest na tle błękitu,
Nad chmurami, tam, wysoko,
Na szczycie mego zenitu?
Ledwie moje dojrzy oko.. —
To są gwiazdy! a te gwiazdy,
Te błyszczące kwiatów roje,
Te niebiańskie odaliski,
Są to dawne bóstwa moje,
Po których słodkie uściski
Lotne odbywałem jazdy!

Dawny ich powabów jeniec,
Zapamiętały szaleniec,
Uwierzyłem ich uśmiéchom,
Ich czarownym ust kielichom
Co mi nieprawdę szeptały, —
I zapomniałem o świecie.
Dziś mnie, głodnemu poecie (? ?),
Gdy młode przeszły zapały,
Pozostał czczy, suchy wieniec,
Mara jakiejś głupiej chwały!

A tu, na ziemi zrodzona,
Zimna na lutnie i miecze,
Śmiejąca się, wypasiona
Proza się poziomo wlecze!
Wzywała mnie, gdym był młody,
Abym po chmurach nie hasał;
Niebiegł z orłami w zawody,
A z nią się razem wypasał.
Dumném na nią patrząc czołem
Wzgardziłem nią, bo w mym locie,
W mych skaczących dni obrocie,
Mym pokarmem, mym żywiołem
Były młode wiosny wdzięki,
Szmér strumyków, łzy jutrzenki;
Odgłos gromów, szczęk orężów
I walczących wrzawa mężów.
Ach jakżem, dziś widząc siebie,
Tym pokarmem się utuczył! —
Dziś na ziemi, nie na niebie
Radbym się za prozą włoczył.
Ale pani wypasiona,
Wprzódy odemnie wzgardzona,
Dziś mną gardzi; harda, głucha
Głosu mego już niesłucha: —
I ja nędzną mą powłokę
Po kolących cierniach wlokę!

Ach czemuż ja, dziś w tym znoju
Kąpiąc się szalonym ruchem,
W méj ubiegłéj wiosny zdroju
Byłem tylko ogniem! duchem!
Czemuż sny me malowane
Przez nagłą metamorfozę
W taką się wyśniły zmianę,

W tak okropną zlały prozę!
Czemuż Muzy, bóstwa moje,
Które z czuciem i zapałem
Nad życie moje kochałem,
Te niebiańskich istot roje,
Dały mnie, gdym grobu blisko,
Na téj prozy pośmiewisko!

Przeklęctwo wam o zwodnice!
Przeklęctwo wam niewdzięcznice!
Oby nigdy duch ognisty,
Młody, nieskalany, czysty,
Po wasze wieńce nie sięgał,
W wasze się jarzmo niewprzęgał!
Obyście wasze zapały
Z braku, z potrzeby wlewały
W zimne piersi Egöistów,
Matematyków, Jurystów,
Pasibrzuchów, Pieczeniarzy,
Kancellistów i Lekarzy!
Oby za wami szli w ślady
Kochankowie — same dziady, —
By z ich natchnień, na śmiech światu,
Wbrew mądrości majestatu,
Zalegały ziemskie szlaki
Dziwolągi i cudaki!..

Franciszek Kowalski.

U W A G A.

Zarzuci kto może Wydawcy, że wbrew wyraźnemu w Prospekcie swoim zastrzeżeniu dopuścił się anachronizmu umieszczeniem w Gwiazdzie tego *Narzekania*? Jakkolwiek zarzut ten zdaje się być gruntownym, sprawiedliwym, bo poeta w najgorszéj doli, w najsmutniejszém położeniu narzekać tylko może na ludzi, na świat, na losy, ale nie na poezyę, która sama w sobie będąc najwyższém indywidualném dobrem nic niema wspólnego z prostymi środkami do życia, z rzemiosłem; z tém wszystkiem, kiedy zważymy, że pomimo najbardziej teraz uogólnionych pojęć o wyższém przeznaczeniu prac umysłowych, pierwiastek błogosławionéj niegdyś pod różnemi imionami *chinszczyzny* mocno jeszcze tkwi korzeniem swoim w literaturze, nieprzestając wywijać na wszystkie strony mieczem po bohatérze Cerwantesa *legitime* osiągnionym, to i wypadnie zgodzić się *volens nolens* na uznanie wszelkich z tego pierwiastku płynących myśli, zdań, pociech, narzekań, modłów i przekleńctw za istotną (chociaż nawiasową tylko) przynależność naszego punktu cywilizacyi. Wydawca stara się być w układzie swojéj xiążki ściśle *konskewentnym*. Zresztą, co do tego utworu P. Kowalskiego, wziąwszy sam jego tytuł *w klassycznëm* pojęciu, to jest, odmieniwszy *poezyę* na *wiersze*, a *poetę* na *wierszopisa*, rzecz się okaże nietylko znośną, ale nawet moralnie uczącą, — bo ilużto jest pomiędzy naszą bracią *nie-Kowalskich*, którym jeżeli nieprzyszło jeszcze, to przyjdzie niezawodnie kląć swoją manię do pustych, bezowocnych trudów!

Pomimo tej uwagi, aby okazać, że dalecy jesteśmy od pogardzania wszelką jakąbądź właściwością naszej Literatury, dołączamy tu jeszcze, łaskawie nam przez pana *Incognito* nadesłane, innego rodzaju *narzekanie*.

DO NIECZUŁÉJ KLARY.

Powiedz mi Klaro, dla czego
Niechcesz przekonać się o tem,
Że ty dla serca mojego
Najdroższym jesteś przedmiotem?
Ja cię ubóstwiam i cenię
Bez końca, miary i granic; —
A ty i moje płomienie
I mnie samego masz za nic.
Ja płaczę z żalu, jak dziecko; —
A ty łez moich nie widzisz
I jeszcze z flegmą zbojecką
Jak szydzisz ze mnie, tak szydzisz.
Gdybym cios dostał na wojnie,
Czy od cholery nareście,
Tobym zgasł sobie spokojnie
I mniejsze cierpiał boleście...
Ale jak widać po wszystkiem
Ja ciebie błagam daremno;
Ty igrasz, jako wiatr z listkiem
Z moją miłością i zemną.
Gdy więc nie można litością
Natchnąć kamiennej twéj duszy,
To niech cię razem z miłością
Paraliż ciężki naruszy!!!

Pozwolą łaskawi czytelnicy uzupełnić tę kategoryę jeszcze jedną lamentacyą. Wszakże *omne trinum perfectum*? — a właśnie na zamknięcie dostałem z teki co najlepszego. Czytajcie.

STOLNIK ŻALI SIĘ PRZED SKARBNIKIEM

NA

BEZBOŻNEGO SYNA.

Och bieda mój Skarbniku z dzisiejszą młodzieżą,
Tak różną od swych ojców zdaniem i odzieżą; —
Pogardziwszy żupanem, kontuszem i pasem,
Niegoląc łbów przestanie wierzyć w Boga z czasem.
Jużto taki czas nastał przed skończeniem ziemi,
Jaja się rozumieją od kur być mędrszemi;
Mało się modlą, poszczą, więc rzecz oczéwista,
Że przyszły obiecane czasy antychrysta.
Mój syn z maleńku niemiał do modlitw ochoty: —
Raz dałem mu obrazek z xiążki *Ołtarz złoty*,
W trzy dni zdarł na kawałki! co widząc żałośnie, —
Oj wielkiż pomyślałem łotr z niego urośnie!
A choć stare przysłowie źle karmi proroków,
Zgadłem jednak, jak gdybym czytał z xiąg wyroków.
Niewierzy w opętanych, czary i odpusty;
Jada mięso w post wielki, jak gdyby w zapusty.
Gdy mu z Pisma o drzewie zakazaném gadam,
Twierdzi, że inne jabłko zjadł łakomy Adam.
Modlić się przed jedzeniem nigdy niepamięta;
Mszy świętéj słucha tylko w uroczyste święta,
A gdy ja się krzyżuję i w pyski się tłukę;
Ten przykład mu niesłuży wcale za naukę.

W czasie śpiewów porannych i ku wieczorowi,
On mi ani jednego *Amen* nieodpowi!
Ani się gniewu Boga nielęka zuchwały,
Ani kar, które zawszę bezbożnych spotkały; —
Bo kiedy przeszłej wiosny pierwszy raz zagrzmiało,
Stał jak mruk, gdym ja wrzeszczał: „*A słowo się stało*!"
Kiedy piorun uderzył tuż koło obory,
On mi radził jakoweś stawić konduktory: —
Mniema głupiec, że jeśli coś na czémś osadzę,
Zdołam przeto odebrać Najwyższemu władzę,
I pioruny, co grzesznych przerażają trwogą,
Muszą bić w jego tyki, gdzieindziéj nie mogą.
O bluźnierska nauko zepsutego wieku!
Przedtém ani się śniło kiedy o tém człeku.
Oj nietakto uczyli Jezuici nasi!
W mądrych czasiech, gdy Polską rządzili dwaj Sasi,
W tych czasiech (czego żaden klasztor nienagani),
Kiedy i Król pił dobrze i wierni poddani,
Z młodu nas oswojano z kościelną posługą.
Byli mądrzy, ponieważ ćwiczono ich długo.
Ten w kraju na najpierwszych dostojeństw był szczycie,
Kto całe *Quae maribus* umiał należycie.
W złotych czasach dla Polski nikt nie był nieukiem
Bo razem połączony był Alwar z kańczukiem.
Dziś jeszcze ledwo takich podsędków obaczę,
Jacy niegdyś w proformie siedzieli wąsacze.
A cóż mówić o sławie naszych Dyalogów?
Tyś udawał anioła, ja djabła, ci bogów.
Jak pięknie, uwieńczone bluszczem i wawrzynem,
Tańczyło *Gerundium* z *Plusquam* i *Supinem*!
Jeździł Stanisław Kostka tryumfalnym wozem
Depcąc Turków wpół nagich, związanych powrozem.
Poźniéj, gdy Sodaliskim prefektem zostałem,

Ach z jakimżem godzinki zaczynał zapałem!
Po modlitwie, gdy starsi trochę się napili,
My młodzi wyśmienicie w palcaty się bili.
Okazaliśmy korzyść z tak dobrych lekcyi
Na sejmikach, zajazdach, królów elekcyi.
Pijąc dobrze w palestrze, lepiéj w trybunale,
Prawda, że nam upornie grozili Moskale; —
Lecz Polska do sądnego dnia byłaby stała,
Bo stała na nierządzie i nierządem trwała.
A gdy część jéj urwano, choć nie byłem posłem,
Salva integritate manifest zaniosłem,
I ażem z dokumentów pewnych się dowiedział,
Że na ziemi odpadłéj Saski Polak siedział.
Teraz na nas zwalają zguby kraju winę,
Że starych było zdanie gniewać Katarzynę: —
Starychże było zdanie sejmowi podniętą
Zmienić rząd, zwiększyć wojsko, znieść *libèrum veto*?

(po małym przestanku ziewnąwszy:)

Bodajto, jak najstarszy syn Pana Skarbnika! —
W nim jeszcze został wierny obraz katolika,
Sam otwiera, przystraja, oczyszcza kaplicę,
Sam zapala, objaśnia i sam gasi świce.
Mój niedba, choć go ojciec zowie heretykiem;
Czyta xiążki pisane baranim językiem;
Do mądrych Chmielowskiego xiąg nie ma ochoty,
Piotr Skarga nie dla niego napisał *Żywoty*.
Mówi, że téj drabiny nie było i nie ma,
Co Jakób widział we śnie *własnémi oczyma*;
Śmie wątpić niedowiarek, choć z ust ojca słyszy,
Że chleb święcony zmienia w nietoperze myszy;
Nie wierzy w siedmiu braci, co trzy wieki spali,
Ani w djabłów sądzonych w Trybunalskiéj sali!
Wierzysz-że, by tym cudom przeczył niedowiarek,

Co w oczach naszych działał ów sławny Xiądz Marek?
Aby tego świętego , co uzdrawiał wielu ,
Nazywał , Boże odpuść , oszustem z Karmelu ! ?
Złym xiężom śmiało każde wyrzuca bezdroże
Niezważając , że zawsze są to sługi Boże.
Wielbi Cieciszewskiego nie , że jest kapłanem ,
Nie dla tego , że zgodnie z świętym żyje stanem ,
Nie przeto , że Newskiego Alexandra nosi ,
Że publicznie o boskie miłosierdzie prosi ,
Lecz , że wspiera ubogich , ratuje sieroty : —
Eh , to wspólne są lutrom i kalwinom cnoty !
Nie dla każdéj starości zna uszanowanie , —
Ah , zadrzysz mój Skarbniku , gdy usłyszysz zdanie !
Tak mi śmiał odpowiedzieć , gdym go spytał o to ; —
„ Czczę nie żołądka strawność , lecz rozsądek z cnotą! ”
To mi mowa ! Czy zbrodniarz czyli człek uczciwy ,
Każdego czcić należy , skoro ma łeb siwy.
Ta prawda nad bezbożnym nie ma żadnéj mocy ,
Który się raz spowiada koło Wielkiejnocy ;
A zapadłszy na zdrowiu , kto wie , czy w chorobie
Pomyślał przez sześć niedziel mieć xiędza przy sobie!..
Tak rozwlekle gdy Stolnik na świat nasz narzeka ,
Westchnął i swém westchnieniem przebudził Stolnika.



Czyim jest utworem i czy była kiedy drukowaną ta pocieszna jeremiada? — nie tego niewiemy; wszakże, kiedy prostoduszność staropolska tak wiele dzisiaj popłaca, zdaje się nam, że istotną robimy przysługę czytelnikom *Pamiątek starego szlachcica i Listopada* dając jéj miejsce w naszej xiążce. Pod każdym względem na lepsze ona zasługuje przyjęcie od tych ckliwych w rodzaju elegijnym wierszydeł, jakiemi nas hojnie obdarza szanowny *Pielgrzym Warszawski*, bo też wszystkie te absurda, jakie tu prawi osiwiały i osowiały Stolnik, podziśdzień jeszcze kursują u nas, jak wytarte polskie złotówki, które czasby było naznaczyć nową pieczęcią zgodniejszą z fizyonomią wieku. Gdyby kto życzył sobie przedrukować ten wiersz w monumentalnym jakim zbiorze (np. P. Grabowski w swoich *Pamiętnikach domowych*) najchętniéj na to zezwalamy. Wielu jest dzisiaj takich, co żadnego niemają pojęcia o tańcu *Gerundium* z *Plusquam* i *Supinem*, tańcu poważnym, klassycznym, przynoszącym niemałą zaletę inwencyi OO. *Societatis Jesu*; więc nie odrzeczy byłoby komu ze znakomitych naszych Estetyków zająć się naukowie tym elementarnym przedmiotem. Usiłowania niepozostałyby bez korzyści dla ojczystéj literatury, a kto wie, przy dzisiejszej antypatyi do szalonych ruchów i skoków, możeby i sam P. Każyński, który etymologicznie okazał starożytność wziętéj dziś Polki, niewzgardził pracą w celu odgrzebania onego zabytku jezuickiéj Terpsychory?

(Wydawca).

O SZKOLE KRZEMIENIECKIÉJ

I O JÉJ FUNDATORZE

TADEUSZU CZACKIM,

TAKŻE

O INNYCH RZECZACH DOTKNIĘTYCH LISTEM

PETRONIUSZA TETERY

Umieszczonym w N. 76. Tygodnika Petersburskiego roku 1845.

(*List do J. I. Kraszewskiego*).

> Mnie zapytajcie, — nie Bejłę, nie Kostrowca, ani tych; co jak błędne echo toż samo po nich powtarzają; — ja wam powiem, co to była młodzież Szkoły Krzemienieckiéj? —
>
> *Odpowiedź na list Kwestarza Somnambula. Athen.* 1845 *Z. IV.*

Prawdę napisał P. Petroniusz Tetera, że mam szczęście korrespondować z Panem, bo rzeczywiście chwile te za szczęśliwe uważać można, w których się wynurza przed osobą, co wszelkie tchnące szczerością płody umysłu i serca światłą a sumienną oceniać zwykła rozwagą. Radbym z całéj duszy takie chwile umnożyć,

ale ach! czas mój tak jest rozdrobiony powołaniem mojem, że niełatwo z niego coś dla siebie, dla swego prywatnego szczęścia oszczędzić. A potém, czyż niemam i na to uwagi, że mnogich i ważnych zatrudnień Pana przerywać i tak pożytecznego dla ojczystéj literatury życia fantazyjnie napastować niegodzi się? W téj może chwili nauczające, jak zwykle, o rzeczach ojczystych, z uczuciem szlachetnego serca, z gorącą miłością cnót i poświęceń się narodowych, sumienną krytyką przywar towarzyskich skreślasz karty, które dla czytającéj Publiczności nader miłym będą upominkiem? — i jakże nie miłym, kiedy ta Publiczność, ufna solidarności wziętego Autora, w błogiém zostaje przeświadczeniu, że on ani narodu zgniłym trupem nie nazwie; ani stowarzyszeń naukowych młodzieży (rozumie się nie bałagulstwa) do robactwa w téj zgniliznie wylęgłego nie przyrówna; ani doczyta się sponiewierania poczciwéj a ubogiéj naszéj szlachty; ani trafi na drwinkowania z prac i poświęceń się Męża cnotą i naukami wielkiego; ani też przerazi się niegodném wspomnieniem, powagą króla niby wspartém, o brudach czasów zeszłych, które nie naród lecz kilka indywiduów skalały? — Takie potwory intellektualne, odrażająca strona, istne kloaki w literaturze stały się wyłącznym udziałem pisarskiego talentu Jarosza Bejły; to jego dziedzina, on w niéj celujący, jedyny!

Prawdę mówiąc, czasby już przestać pisać

i komentować o Bejle i jego płodach: ale kiedy P. Tetera (że użyję na ten raz wyrazów Trentowskiego:) jakby *jaźń*, jakby *sobowtor* Bejły występuje w Tygodniku Petersburskim z ironią prawdziwie demoniczną, bo ani narodu ani osób nieoszczędza, więc darujesz mi Pan, że mu trochę czasu zajmę przeglądem tego gazeciarskiego listu (1).

Kiedyś, za dawnych u nas Akademickich czasów, były w Wilnie dwa pisma peryodyczne, przy przyjaznych skądinąd stosunkach spór między sobą wiodące: jednego tytuł: *Gębacz*, a

---

(1) Niechże się dowie szanowny Pan Kaczkowski, że ten list, przedmiot najdotkliwszéj może w jego życiu goryczy, niepozostał bez surowego odporu ze strony jego współobywateli. Odebraliśmy właśnie od jednego z nich wymowną skargę na Wydawcę Tygodnika Petersburskiego, że nieraczył umieścić w swojém pismie posłanego mu artykułu *contra Tetera*, i mamy sobie za obowiązek, aczkolwiek sama strona staje obecnie do rozprawy, dać z tego artykułu stosowny na swojém miejscu wyjątek. Wiemy, że dowodzić P. Przecławskiemu przejęcia się duchem koteryi, dowodzić w obliczu areopagu złożonego z takich arbitrów, jak Bejła, Tetera, Autor Listopada, Grabowski, Tarsza, Kefaliński i Kostrowiec, byłoby to jedno, co porywać się z motylką na słońce: my też w głębokiém uczuciu własnéj niemocy niebierzemy się bynajmniéj za to, a staramy się jedynie, aby zostające w edytorskiém naszém rozporządzeniu materyały w najbardziéj zaspokajającą całość ułożone były.

(Wydawca)

drugiego: *Wiadomości brukowe* i jedno drugiemu taki sens moralny wypisało:

Amat me Simeon, Simeonem ego.
Drwi ze mnie Szymon, ja sto razy z niego.

Taka dewiza posłużyćby i tutaj mogła, gdyby prawdopodobieństwo było, że ku mnie choć trochę skłania się serce Tetery; ale któż na sympatyę ludzką rachować może? już mnie, jako wychowańca Czackiego, ten zaszczyt ze strony P. Petroniusza ominąć musi: nieinaczéj więc, tylko jak o zupełnie mi obcém indywiduum, rozrozprawiać z Panem powinienem i będę o sobie. Ponieważ Pana skazał P. Tetera, nie wiem dla czego, na kollaboratora mego i to tylko dla napisania przedmowy do dzieł moich wydanych i mogących być wydanémi, o czém bynajmniéj niemyślę; należy więc, abyś mię Pan dostatecznie poznał, jakich myśli, jakiego pojęcia i zdania jestem?

Wziąwszy przed oczy Teterowskie dowcipkowania, taką z nich przed Panem zdaję sprawę na czysto i otwarcie. Po pierwszém przeczytaniu gazeciarskich konceptów naśmiałem się dowoli, jak gdybym Momusa *Żołkowskiego*, nie zaś poważne pismo polityczno-literackie *Przecławskiego* czytał; bo czy to drwinki, czy szyderstwa, zawsze nasamprzód śmiech rodzą, a potem już stosownie płacą się obojętnością lub pogardą. Po powtórném odczytaniu smutek czoło me zasępił i jakby żalem serce objął. Mój Boże! pomyślałem sobie, co za potrzeba mar-

notrawić tak swój rozum, jakto robi ów *Sobowtór* Bejły? Azaliż niemógłby pożyteczniéj czasu i rozumu użyć? Szczęśliwy, gdy ma tyle swobodnego czasu, że na płoche i mizerne koncepta starczyć go może! Ale niech nim rozporządza, jak mu się podoba, to jego własność, do nas nic to nienależy. Inna rzecz z rozumem; rozum indywidualny jest własnością ogółu, z niego prędzéj późniéj zdać trzeba rachunek społeczeństwu; marnotrawienie jego na czcze fatałaszki jest przestępstwem w społeczności, zbrodnią w cywilizacyi. Chwila namysłu nastąpiła, czy odpisać, czy zamilczeć? Rozum ostatnie nakazywał, poszedłem wszakże za sercem, za sercem dziecinném, co każdą obrazę ojca lub matki głęboko przyjmie, dotkliwie uczuje. A czyż i to mała ponęta dla mnie, kiedy chwytając się téj zręczności, mogę choć trochę czasu korrespondencyi z Panem poświęcić? Proszę więc Pana mego o cierpliwość, do dłuższéj zabrałem się gawędy. Do drwinek i szyderstwa niemam usposobienia z natury, a tém bardziéj nie wyuczyłem się tego w Krzemienieckiéj szkole. Cnotliwy mąż *Czacki* tak mawiał do młodzieży, jeśli mu kiedy w ręce wpadły jéj swawolne pismienne igraszki i satyry —„ *Dowcipnie to i zręcznie napisano, ale czy w swojém miejscu? Trzeba być bardzo upewnionym o swojêj nieskazitelności, aby śmiało drugim wytykać wady. Molierow i Krasickich mało, choć dowcipkujących dużo — obyście swoim pierwéj podołali wadom,*

niż brać się mieli do nauczania i karcenia drugich." Te i tym podobne naszego dobroczyńcy przestrogi, oddalały nas co raz bardziéj z drogi Satyr. Do innych próbek pióra ciągle nas zachęcał i naprowadzał. Jakoż powiem Panu, że nigdy na Krzemienieckiéj niwie, rozwinąć się i wybujać roskosznie te piekące, te kolące rośliny nie mogły. Pełen talentu *Jan Januszewski* wolał swe dowcipne strofki, temi kończyć słowy— „*Smieję się z samego siebie*"— niżeli kogoś żartem dotknąć. Probował niepospolitych zdolności i usposobień *Stanisław Worcel*, jakby filialne dla Wileńskich, *Wiadomości brukowe* w Krzemieńcu zaprowadzić. Ale jako wychowaniec tejże szkoły, uledz jéj duchowi musiał. Znaliśmy i kochali w Krzemieńcu *Jana Stępkowskiego*: ten swoim ubawiał dowcipem a czasem i zadrasnąć umiał, ale tylko słowy; bo szanując wynalazek *Guttenberga*, niechciał, co przez myśl przejdzie, drukiem odbijać; bo rozumiał cele oświaty *Czackiego* i z téj ścieżki niezbaczał. Co *Czacki* zaprowadził, to było świętém: tak jego cnocie wierzono, tak jego cieniom poszanowanie oddawno.

Widzisz więc kochany Panie, że żartować i drwić z drugich nie jest moją rzeczą. Każdemu jest przyjemnie, dowcipne żarty słyszeć lub czytać. Dowcip zabawi, dowcip nauczyć może; ale do niego potrzeba *rozumu i rozsądku*; pierwszego by dostarczył materyałów, drugiego by niemi rozporządził; bez pierwszego żarty będą

nudnę, bo zawsze prawie też same; bez drugiego same tylko brednie a często brudne paplarstwo. Czego tu niedostaje w téj ramotce *Teterowskiéj*, sam Pan najlepiéj osądzisz i mnie przekonasz, bo ten może być tutaj kompetentnym sędzią, kto zapisał xiąg wiele o charakterach i obyczajach ludzkich, a nigdy nie poważył się ze szlachetnéj zejść drogi. Ironia i drwinki z indywiduów podobać się nie mogą, bo to czysty paszkwil, najmniéj nieodpowiedny warunkom dowcipnego żartu, a coż trzymać o sercu, o charakterze Autora, gdy za cel podobnych drwinek całą massę swych ziomków, cały naród obierze? *Tetera* z urągowiskiem odzywa się do nas „*wyłącznym przywilejem my żadnych wad niemamy — jak wynaleść tam smieszną stronę, gdzie wszyscy cnotliwi, świątli, umiarkowani i przyzwoici?*" W takim rodzaju pochwały i tym tonem wyrzeczonéj, zupełna jest nagana narodu. Kto napada na wady lub niedostatki indywiduow, ten sięga po własność osobistą i naturalnie taką zaczepną bronią do walki, do szermierstwa wyzywa. Publiczność radaby więcéj widzieć zacnych *Filipowiczów*(1). Niechby ci wszyscy stanęli do odwetu którym *Bejła* rękawicę rzucił. Takie walki niedrażnią ogółu, owszem ten im poklaskuje. Ani do osobistéj urazy, niechęci, nieprzyjaźni, prowadzić

---

(1) Atanazy Filipowicz, obywatel, co opisał *Pomieszanie Bejły*.

to powinno; byle te krytyki, te spory były prawdziwą recenzyą, przywoitym sposobem, nie po szarlatańsku, nie po dziecinnemu oddaną. Z upodobaniem odczytujemy o obyczajach i zwyczajach dawnych *pamiątki Soplicy*, *pamiętniki Ignacego Chodźka*. Jednym ciągiem czytamy pisma *Nieboszczyka Pantofla*, *Ramoty i Ramotki Literackie*, *Latarnię czarnoksięzką*, *Bigos hultajski*, gdzie tak żywo oddane obyczaje i zwyczaje nasze, gdzie się może nie jeden z czytelników na wskroś przejrzał. Ale kto do całego narodu się bierze, ten wyższe powinien mieć pomazanie, pomazanie Historyka, nie zaś polotnego Pisarza. Bo czyż historyk tak niesumiennym być może, aby z gburowskiego i niesfornego obejścia się bałagołów i skórkowéj szlachty (z kąd inąd dobréj młodzieży) już o zgniliznie narodu, o zagubie jego, o zagładzie nawet języka rokować? Te chrapliwe a smętne złowrogiego puszczyka jęki ciężkie z nas westchnienia wywołały. O gdyby choć słabém echem dostały się one do serca *Bejły* lub *Tetery*, nieprzechwalaliby się artykułem *o przyszłości*, gdzie nawet naszą mowę pisaną do Samskryckich zapędzają hieroglifów! Czyliż się godzi tak zapierać samego siebie? Politycznémi wypadkami nie jeden naród starł się ze swego bytu, a przecież narodem sobie właciwym być nie przestał. Czeska lub Szląska mowa, trwają do dziś dnia w swéj jędrności i życiu, ani, Bogu chwała, nieprzychodzi nam jeszcze decyfrować ich pisma. Rządy w mą-

drości swojej tak dysponują jak widzą tego potrzebę; ale imienia Czecha, Szlązaka, Polaka, tych szczepów Słowian za zagładzone uważać niechcą: A potém, przy takiéj potędze druku, jakież pismo zaginąć dziś może? — Niezapierajmy się przedwcześnie rodzinnego miana, jakiém Bóg narody odznaczył: złożmy raczéj w ręce Opatrzności i narody i ich mowę, ich pisma i byt cały; nie zaś o ich losach, przeznaczeniu i przyszłości bałamućmy.

Niema narodu bez wad jemu właściwych, bo naród jest summą indywiduów ułomnych, zwyczajnie jak ludzie. Ma więc nasz narod i cnoty i wady swoje. Obok prawości i otwartości charakteru, obok miłości Boga i ludzi, obok wrodzonéj potężnéj władzy umysłu, jest łatwowierność, chęć do niezgody, lekceważenie, opieszałość w pracy, niewytrwałość wprzedsięwzięciu. Dawniéj sam narod pochlebiał sobie ciągle; zatwardział w wadach, bo je za cnoty swoje uważał. Źle to było. My historyą nauczeni chcemy być lepsi. Niepochlebiajmy sobie, ale też niebrudźmy się ani mową, ani pismem, ani czyny. Mnie się zdaje, że każdy z nas szczegółowo wzięty, ma przymioty i zalety, które dla dobra społeczeństwa i narodu mógłby upożytecznić: ale czyż jeden wprowadzony w ogół, gdzie namiętności przez najgrubszą przedrą się powłokę, marnieje we wszystkiém i jest jak drzewo co go wichry jesienne gnąc na wszystkie strony, z liści ogołociły, korę podarły, w ko-

narach wzruszyły; samo oschłe z wyciągniętémi ramiony stoi, na każdą stronę upaść gotowe. Wiele wszakże z otaczających go krzaków wytrzymuje nawałnice, a silnie w ziemię wrosłe, rosną i rosną całe w sobie, pożyteczne z siebie. O gdyby nie samolubstwo, ileżby to zachowało się pożytecznych zdolności od poniewierki! — Te nasze chropowatości moralne delikatnie na jaw przedstawiać, zręcznie je ku ogładzie prowadzić, do poczciwych własnego chowu pisarzy dziejów i obyczajów narodowych należy. Dość jest i było cudzych piór, które nas bynajmniéj w wadach nieoszczędzą, szeroko je opiszą a cnotę choć prawdziwą zatają. Cóż myśleć o historyku, a przynajmniéj o tym, co o swoim narodzie zabierając się wyrokować, taką dywizę położył sobie: „*Ten jest kapcanem co się trzyma tej maxymy, brzydki to ptak co swe gniazdo paskudzi*" — Powiem Panu, że piéwszy raz nadarzyło się mi czytać taki sens i wyrazy prawdziwie kapcańskie; — i nic też dziwnego, że taki pisarz, unikając podług swych wyobrażeń epitetu *kapcana*, wydobywa na wierzch brudne jakieś sprawy, i chociaż może tylko wyjątkowe a bynajmniéj nieogólne, za moralną niejaką własność całego narodu przedstawia.

Daléj przechwala się z ironią *Tetera* artykułem o *Szlachectwie*, jakby arcydziełem *Bejły*. Rzuciwszy czarny kir na cały naród, podawszy w zapomnienie ojczystą mowę, śmielszą już nogą po cząstkach narodu, po jego instytucyach stą-

pać można. Trzebaż było w opisach pseudo-historycznych znęcać się nad poczciwą naszą szlachtą, że ci ani krwią na wojnie, ani radą i zasługami w pokoju nie zdobywali klejnotu szlacheckiego, ale z arystokracyi matactwem na się ściagali? — Ubolewać raczéj temu Pisarzowi wypadało nad losem potomków, których przódkowie życie i mienie w obronie kraju i w zamieszkach tak częstych niosąc, zapominali o swych pargaminach, dokumentach, metrykach i t. d., których nawet ślady w tym chaosie spusztoszeń i nieładu krajowego, prawie zaginęły. Z sercem pełném żalu patrzaliśmy nieraz, jak biedna szlachta dawnych i znanych imion, pewnie nie z palca wyssanych, kopała się od ziemstwa do ziemstwa, od grodu do grodu, czy Bóg nie da szczęśliwie okrawki klejnotu herbowego tu i owdzie porozrzucane poskładać? — nie jeden o kiju w ręku, o torbie na plecach w dalekie gnał strony, gdzie zasłyszał o jakimś imienniku, gdzie zajrzał jakby jutrzenkę przyszłego swego i swéj mnogiej rodziny szczęścia. Omyliła nie jednego nadzieja; praca, starania i koszta zawiodły; ze ściśnionem sercem jak w ciężkiéj żałobie, dobił się nareszcie do swéj zagrody, do swego zagonu i z pokorą religijną oddał się rosporządzeniom Rządu, jakby wyrokom Boskim. A jeśli czasem westchnie za przeszłością, to i ktoż się zadziwi? gdyż boleśnie tracić co przodki z pracą budowali, krwią własną wielekroć obmyli i dro-

gą spuścizną mieć na zawsze chcieli. Czy więc to frymarctwem nazwać można było, gdy drobna szlachta nietylko po aktach krajowych, ale i po magnackich archiwach szukała, w butwiejących już szpargałach dochodziła śladów donacyi, kupna, przekazów, intercyz i t. d., i one jakby skarby, jakby własne penaty do domów swoich zanosiła. Wypisaćby raczéj przystało przestrogę dla możniejszych i tych, którzy archiwa lub cudze lub własne szczęśliwie dotąd przechowali, aby biedniejszym pomocą i radą służyli. Byłoby to szlachetniej niż jeszcze potrącać nieszczęśliwego.

Po takich wyprawach na cały naród, na część jego najszlachetniejszą, nasi rycerze ostrym obracają się mieczem na własność narodową; na szkołę krzemieniecką. Zdawało się z nich jednemu, zaufanemu w mocy swojego ramienia, że budowę uświęconą samemi już tylko wdzięczności wspomnieniami i nie zaprzeczoną użytecznością w społeczeństwie zgruchotać, a w jéj zwaliskach pamięć cnot i zasług wielkiego męża zagrzebać potrafi.

Pojąć nie mogę powiadam szanownemu Panu, wyrozumować nie potrafię, zkąd wyrodziła się u kilku naszych pisarzy potrzeba upokarzających wspomnień o *Czackim*, jego duchu, jego szkołach a szczególniéj o Krzemieńcu? — Wszak żaden z wychowańców téj szkoły nie zachodzi w drogę nikomu, każdy z nich idzie po swojéj ścieżce ochoczo, pracowicie i uczciwie. Trzebaż

im było doczekać się, aby z pomiędzy współrodaków ten i ów napadał na nich jak na wielkim gościńcu, z nauk i wiadomości odzierał, urojenia poetyczne i zarozumiałość narzucał, na woltyżerów i skoczków przerabiał? — I kiedyż to nastąpiło? oto, kiedy uczniowie téj szkoły po długich i mozolnych w publiczności usługach, już gęstym okryci szronem, zmarszczkami poorani, zstępują w znacznéj części z widowni ruchawego świata, zanosząc w domowe zacisza sumienne przekonanie, że jak Bóg przykazał życie swoje spędzili! — A szczupła ich resztka, uczciwą pracą i poświęceniem się w usługach, siły swe zużywając, spiesznie za swymi kolegami dąży — Piękna zaiste nagroda od spółziomków swoich!

Drwinkowanie z *wielkich mężów*, mówiąc słowami *Tetery*, jakich krzemieniecka wydała szkoła, o ile są śmieszne o tyle płaskie. Podobało się, uroiło się *Teterze* nazwać tych wielkiemi, którzy są dobrze usposobieni, porządni, pożyteczni a nawet znakomici w swoich zawodach. Wszystkie te wszakże epitety dalekie są od ideału *wielkiego męża.* Musi Pan *Tetera* rozumieć, iż sam jest *wielkim mężem*, kiedy tak łatwo drugich za takich uznaje. Wiekami wielcy wyradzają się mężowie — w naszych prowincyach dość będzie dla nas chluby, gdy skronie jednego *Tadeusza Czackiego* wieńcem wielkości ozdobiémy. Słuszność zaś każdy mi przyzna, że wyliczone przezemnie osoby w odpowiedzi *Kwe-*

starzowi Samnambulowi, sprawiedliwie noszą miano pożytecznych i znakomitych w usługach ludzi; że chociaż *Tetera* w inwentarz jak bydło ich zajmuje, łatwiéj wszakże w robotach literackich prześcignąć *Bejtę*, niż stanąć obok roboczéj chudoby, jaką mamy w *Michale Wiszniewskim*, obu *Sieńkiewiczach*, *Korzeniowskim* i kilku innych, łatwiéj z fanfaronadą szafować zdaniami religijno-filozoficznémi rzadko z siebie, często z drugich wysnutémi, niż zbliżyć się do prostoty, do skromności i do głębokich moralno-teologicznych wiadomości X. Prałata Ożarowskiego. Dla czegoż tak drażnią P. *Teterę* wyrazy *i tam daléj*, *i tylu innych*, któremi zamykam w pismie mojém wyliczenie znanych i pożytecznych osób, w różnych gałęziach nauk i powołań?— Usposobienia naukowe, w jakie uposażała się młodzież krzemieniecka, ułatwiały przystęp do różnych zawodów i ku szybszemu w nich kierowaniu się dopomagały. Pytam więc, czy niezasłużyli na zaszczytne wspomnienie *np. Żochowski*, *Lewocki*, *Spendowski*, *Taborowski*, *Serwatowski*, jako Pedagogowie? *Bukar*, *Tustanowski*, *Rykaczewski*, jako znani już z własnych utworów, już z porządnych tłómaczeń dzieł obcych? — Czyliż *Kazimierz Jaxa Komarnicki*, ów Estetyk w malarstwie, nie zajął, nienauczył czytelników Athenaeum, swémi uczonémi rosprawy o *światło-cieniu*, o różnych epokach sztuki malarskiéj, dokładnie i przyjemnie wypracowanémi? — A ów pseudonim *Ludfim Wo-*

tyński, *vulgo* Dr. *Uszczapowski* w Bracławiu, nieściągnął-że uwagi myślących naturalistów, swym nowym rozbiorem praw natury? (ob. Athen. Z. II. i III. r. 1845).

Co do ustępu, w którym P. *Tetera* ze zwykłą sobie ironią przywodzi braci *Kutasińskich* jako *wielkich ludzi* ze szkół krzemienieckich, to żart płaski i nie na swojem miejscu. Gdyby się był cokolwiek nad użytecznością osób przezemnie wspomnionych zastanowił; gdyby był kogo z bliżéj znajomych zapytał o przymioty rozumu i serca tych osób, to samby dzisiaj przyznał że daleko rozsądniéj i uczciwiéj byłoby zamilczeć, niż zdobywać się na ladajakie koncepta. Nie dla żartu wspomniałem ja o *Daryuszu Poniatowskim*, *Alexandrze Czackim i Kończewskim*, jako o technikach; z tych bowiem *piérwszy*, z zasobem wiadomości i nauk w szkołach krzemienieckich czerpanych, stanął w rzędzie celujących uczniów u *Härmbstädta,* sławnego Profesora technologii w Berlinie, *drugi* udoskonaleniem cukrowarstwa i innych gałęzi przemysłowych, dał się pożytecznie ogółowi poznać; *trzeci* zaś obeznany z wiadomościami fizycznémi i mechaniką, zastosował w kraju naszym aparata parowe w całéj obszerności do cukrowarstwa. Drwinkowanie z pięknéj metody *Lipińskiego* sarkastycznéni jéj stosowaniem do gry fortepianowéj, mało czucia, mało sensu dowodzi. O belletrystach też, którzy przez skromność prace swe tece powierzają, wspomniałem

nie dla czczéj pochwały, owszem w mocnéj wierze, że te prace czas i przekonanie o ich użyteczności na świat wyprowadzą. Właśnie czytamy już głęboką rosprawę o Literaturze Greckiéj *Wiktora Krajewskiego*, w zeszycie IV. Athenaeum 1845 r., a w *Przyjacielu Ludu* znaleść mogą PP. *Bejła i Tetera* (jeśli szukać zechcą a czytać ośmielą się) gruntowny, uczony i sumienny rozbior *Mieszanin Obyczajowych* przez *Albina Piotrowskiego* dokonany. Reszta wspomnionych przezemnie i przemilczanych jak: *Eustachy Iwanowski*, *Erazm Michałowski*, *Gustaw Olizar*, *Piotrowscy*, *Joachim Piegłowski*, *Julian Lewicki*, gotowe mają roboty, już w historyi ogólnéj, już w szczegółach ojczystych i rozmaitych przedmiotach, i nie omylę się bynajmniéj twierdząc z góry, że każde ich pismo (jeśli publikować zechcą) więcéj by nauczyło, zabawiło, miléj do duszy i serca przylgnęło, niż wszystkie wyskoki dowcipu *Bejły* i jego Sobowtóra *Tetery*.

Zechciéj tylko dobrze poznać Szanowny Panie Józefie wychowańców *Czackiego*, znajdziesz w nich ochotę do nauk, garnienie się do ludzi z nauką i duchem publicznym; i przyznać musisz, iż zrobiony im zarzut *zarozumiałości*, zupełnie jest fałszywy. Wieluż to z nich stanęło na stopniu znakomitych pisarzy, a żaden nieośmielił się powiedzieć „*odkąd Autorem zostałem niedbam o krytykę*„ albo „*tych tylko zdania uważam, których znam sposób myślenia*" albo jeszcze „*nic mię bardziéj nie oburza*, *jak*

pochwały głupców„ A więc Panowie Literaci, i wy uczeni, którzy daleko mieszkacie, którzy w gawędkach z Autorem udziału niemieliście, a z tąd i niemacie szczęścia być mu znani; musicie milczeć, musicie w milczeniu czytać co napisze; a broń Boże dać swe o tém zdanie! — bo jeśli naganicie, pogardzi wami publicznie, wyszydzi was sam Autor lub Tetera: a pochwalicie, to gotowy już macie uprzejmie wam nadany epitet głupców. I o toż to wzorowa skromność autorska! nieujmujeż ona Ciebie Szanowny Panie Józefie? zgodzisz się ze mną, że jest to w swoim rodzaju ów sławny samém nawet nazwiskiem Alchemik *Aurelius Theophrastus Paracelsus Bombastus*, który monumentalne swe dzieło od tych słów zaczął: „*nie ja do was, wy do mnie chodźcie! nie ja od was, wy odemnie się uczcie!* —

Praca i uczciwość były godłem wychowańców Czackiego: gdzie tylko głos Czackiego przemówił, tam cześć Bogu, poszanowanie i posłuszeństwo władzom, miłość dobra publicznego, skromność w obyczajach, praca w naukach, jakby przykazania jakie, odbijały się po kościelnych i szkolnych murach w Winnicy, Kamieńcu, Humaniu, Barze, Lubarze, Włodzimierzu, Międzyrzycu, Łucku i innych miejscach. Tam usadowił Jagiełłę, Styczyńskiego, Bieleckiego, ówdzie Miładowskiego; tam X. Bardeckiego, Andrzeja Lewickiego, Korsaka; tam X. Szybińskiego, tam Bazylego Zienowicza tam X. Par-

nickiego i t. d. a zawsze poczciwość i sumienność za pierwsze uważał Czacki przymioty. Niemało też wykształciło się w tych szkołach ludzi, ważne i uczciwe niosących krajowi usługi, różne i znakomite stanowiska w społeczeństwie zajmujących: a wieluż z nich i w cichych powołaniach warci byliby wspomnienia, bo niekoniecznie trzeba wysokich urzędów, niekoniecznie autorkować, aby społeczeństwu poczciwie i pożytecznie się wywiązać.

Przebiegał Czacki corocznie z niezmordowaną pracą obszerne nasze prowincye; przestawał wszędzie że tak rzekę z młodzieżą, z nią się bawił, nauczał, usposobień śledził, złych karcił, dobrych nagradzał, pojętnych ubogich do Krzemieńca zabierał, możniejszych tamże do wyższych nauk napędzał; miał bowiem to przekonanie, że gdy fortuna dostarcza środków do wykształcenia umysłu, społeczność ma prawo wymagać więcéj od bogatszych. A tak szkoła krzemieniecka stała się w ciągu lat kilku obszernym sadem, gęstą winnicą, dokąd szczepki i latorośle ze wszystkich miejsc znoszono i tam je troskliwie pielęgnowano. Już więc z saméj natury rzeczy, nie miała w sobie popsutego ziarna ani zdziczałego zielska. Czacki jak geniusz opiekuńczy wszystko złe, co stało na drodze młodzieńczéj namiętności, usuwał i gdzie mógł swoją cnotą i powagą oskrzydlał. Rodziców i familie do Krzemieńca nagromadzał, bo chciał wy-

chowanie domowe z publiczném zespolić, narowy wykorzenić, przedziały urodzenia i fortun zbliżyć i pojednać. W tym także celu zaprowadzone były zabawy, z których prywatne zwały się *wieczorami*, publiczne *kassynami*. Ale czyż na nie uczęszczać mogła młodzież hurtem i samowolnie? Bynajmniéj. Drobna tylko ilość wybranych, raz na tydzień w czasie karnawału dopuszczaną była i to po oczyszczeniu się z grzechów u Dozorcy i u Prefekta. Znany ze swéj surowości, przerażającéj prawie powagi i nieugiętego charakteru Prefekt *Antoni Jarkowski* był tą *Scyllą i Charybdą*, którą ochocza młodzież przebywać musiała, skoro się zapragnęła zabawić. Późniejsi Prefekci *Bokszczanin i Wyżewski* od ścisłości raz wprowadzonéj nie odstępowali. I gdzież były i jakie były te zabawy? Jeśli kassyna, to pod okiem czujnéj władzy, pod wpływem poważnych Professorów, uczciwych Dozorców: jeśli zaś na prywatne wieczory młodzież uczęszczała, liczba jéj zwykle bywała szczupłą, bo prawie zawsze przez władzę szkolną zamierzona. Taniec jedyną młodzieży był zabawą, kart żaden dotknąć się niepoważył — ścisła przyzwoitość była zawsze i wszędzie zachowaną; szykowność, dbałość o siebie, układność, słowem całkowita powierzchowna ogłada rozwijać się koniecznie musiały; a wzory starszych ze znaczenia, powagi i rozumu znanych, odbijać się koniecznie na młodocianych sercach i ich uwadze musiały. Tym

bowiem urokiem młodzież zawsze żyje, o przyszłości marzy, ją buduje i ubarwia. Czy więc znalazła się młodzież w salonach Xiążąt Czetwertyńskich, Jabłonowskich, Lubomirskich, Radziwiłłów, Sapiehów; czy w salonach znakomitych rodzin Czackich, Ożarowskich, Swiejkowskich, Karwickich, Giżyckich, Malinowskich, Orłowskich, Rzyszczewskich i wielu innych; czy na pokojach znanego Szefa Józefa Drzewieckiego tego Barda Legionistów, tego typu Stanisławowskich czasów grzeczności; czy na pokojach poważnych i czysto-staropolskich matron Podkomorzyny Skibickiéj i Podkomorzyny Gadomskiéj; zewsząd unosiła wspomnienia, które ani myśli ani serca nie znarowią.

Jeszcze Czacki silniejszą osaczył młodzież siecią, kiedy rozwinąwszy Kommissyę Edukacyjną w Krzemieńcu, dał tejże młodzieży praktyczne przykłady poświęceń się usługom publicznym. Z upodobaniem i jakimś zachwytem, co młody tylko wiek czuje, wpatrywała się młodzież w powagę, szlachetność, doświadczony rozum, w wspaniałą uprzejmość, w moralność, naukowe usposobienia, nieposzlakowane familijne cnoty, w dowcip, w obszerne wiadomości, w wielką pracę czcigodnych członków tę Kommissią składających Michała Sobańskiego, Wacława Borejki, Filipa Olizara, Xięcia Dymitra Czetwertyńskiego, Xięcia Maxymiliana Jabłonowskiego, Felixa Czackiego, Romualda Steckiego, Dyonizego Bielskiego, Witalisa Izbickiego,

Franciszka Rudzkiego, Ludwika Raciborowskiego Szymona Konapackiego. A żelazną i sumienną wytrwałość Borkowskiego i Ignacego Kozaczyńskiego za wzór ścisłości zawsze mieć mogła. W taką prasę moralną wzięta zewsząd młodzież, spaczyć się tak łatwo nie mogła i, aby sprostać potrzebie wyższego od razu i rozumniejszego towarzystwa, uczyć się, sposobić się, pracować, doskonalić się musiała, a na samym *Slancowskim i Olszańskim* przestawać nie mogłą Już nawet poważni Członkowie Komissyi Edukacyjnéj niewahali się zapraszać do swego grona wychowańców téj szkoły. Jakož Hrabia Karol Mniszech, Jan Stempkowski, Celestyn Zakaszewski, mieli w téj znakomitéj Jurisdykcyi krzesła z głosem doradczym.

Czacki nie miał czasu rozwinąć co sobie założył. Miał to być z czasem Uniwersytet, bo od razu ani ludzi ani funduszów niedostawało. Taką dzwignąć budowę, wiele trzeba było przygotowań. Trzeba mu wreszcie było pierwéj z uprzedniéj ospałości wszystkich ocucić, potrzebę nauk wskazać, wielkość ich przedstawić, do popularnego użytku co najprędzéj je doprowadzić. Trzy były tak zwane *kursa nauk* (oprócz czterech początkowych klass przygotowawczych) a w każdym z nich dwuletne wykłady obejmowały wiele przedmiotów, jakie w uniwersytetach Fakultety *Fizyczno-matematyczny*, *Prawny i Literacki* w sobie mieszczą. Obszerność wykładów była taka, jak w Uniwersytecie Wileńskim (1).

Szkoła krzemieniecka dla wiadomości o po-

stępach umysłu ludzkiego, każdorocznie posyłała uniwersytetom krajowym i zagranicznym swoje drukowane *Praelectiones* i nawzajem je od tychże otrzymywała, przez cały czas swojego trwania. Katalogi roślin co rok drukiem ogłaszane i rośliny hodowane w ogrodzie botanicznym krzemienieckim tamże rozsyłała, i w zamianę od tych edukacyjnych pierwszego rzędu zakładów takowe otrzymywała.

Natłok objektów kursowych był tak wielki, iż wierzaj mi Panie Józefie, że młodociane siły ciała i umysłu zaledwie olbrzymiéj pracy podołać mogły. Szacunek i miłość ku *Czackiemu*, nadzieja, jakiéj on w szlachetnych zarysach dostarczał, uczciwa emulacya, do któréj tak zachęcać umiał, walne były podpory dla upadającéj nieraz w wysileniach młodzi.

Każdoroczny obchód publicznych examenów, zamknięcia kursów naukowych i rozdawania nagród był wielką epoką dla rodziców, dla familii, Nauczycielów, Dozorców i młodzieży. Serca pilnéj i zdatnéj młodzi, pełne były nadziei, miłości własnéj i pociechy; a brzemienna żalem opieszała lub mniéj zdatna, rzewnemi łzy czas ubiegły zmywała. Lecz i tych z ogólnéj osieroconych wesołości, niezostawił wspólny opiekun bez pociechy: pokrzepiał ich po ojcowsku mówiąc: „*Podołacie moje dziatki na rok przyszły wszystkiemu, ja wam oddam publiczne świadectwo waszych postępów w naukach, do mego serca publicznie was przycisnę*"— A tak i ro-

dzice przebaczali i młodzież ochoczo do mety swego szczęścia zdążała. Po examenach całorocznych do świątyni Boskiéj na obchód publiczny się zgromadzano. Z jednéj strony ozdabiał ją tron MONARCHY, z drugiéj strony Pasterza Dyecezyi. Duchem głębokiéj wiary, pobożności i pokory, lud cały w niepojętéj cichości korne czoła ku ziemi nachylał. A gdy po odbytéj Celebrze przez wiecznéj czci i pamięci godnych Pasterzy JW. Biskupa *Cieciszowskiego* lub JW. Biskupa *Podhorodeńskiego*, zaniesiono modły do Pana Zastępów; gdy już kaznodzieja, złotousty *Prokop* słowa ś. Ewangelii w serca wszystkich przelał, w ówczas *Czacki* przywoływał przed się młodzież do nagród w medalach i listach pochwalnych wybraną. Potoczystą, pełną serca i rozumu mową objął wszystkie okoliczności, jakie bieg czasu i stosowność obchodu nastręczały. Rozdawał nagrody z miłym zawsze swych uczuć upominkiem.

W tejże każdoroczném epoce, ważniejszy jeszcze obrzęd miał Czacki do spełnienia. Było to *wyzwolenie* szkolnéj młodzieży na przybylców światowych; było to że tak rzekę *passowanie* jéj na sługi publicznego dobra. Młodzież co kursa krzemienieckie pokończyła; młodzież nie wiekiem ale pracą, uczuciem swéj wewnętrznéj wartości i świętością aktu publicznego poważna, na środek występowała świątyni. Pamiętam, jak jednego roku témi do nich *Czacki* przemówił słowy — „*Ciężką pracą i mozołem ukończyliście*

w téj szkole nauki. Jest to tylko wstęp do wielkiéj xięgi rozumu ludzkiego. Jesteście dopiero w przedsieniu świątyni nauk. Pracą i wytrwałością zdążycie i do niéj. Kochana młodzi! z dniem dzisiejszym na swiat wychodzicie. Spokojne nasze mury na chaos światowy, naszą nad wami opiekę na uległość wyłącznym i ogólnym władzom zamieniacie. Przyrzeknijcie przed tym Ołtarzem Boga, przed Namiestnikiem Jego, mnie waszemu opiekunowi dajcie słowo, że pełni bojaźni Boskiéj i miłości ludzkiéj, MONARSZE i krajowi wiernie i poczciwie służyć będziecie. Niechaj będę miał tę pociechę, abym każdemu z was mógł śmiało powiedzieć; prawdziwyś uczeń Krzemieńca, jesteś moim wychowańcem!" Przycisnął do swych piersi Starosta Czacki, pobłogosławił Pasterz, Nauczyciele ucałowali, obywatele jako nowego przybylca powitali, spółuczniowie tłumem otoczyli, z żalem i zazdrością pożegnali. Były to prawdziwe *obłóczyny światowe.*

Po śmierci Czackiego też same obrzędy z pewnémi odmianami miały miejsce. Już nie w Kościele, ale w pięknéj sali bibliotecznéj, lub fizycznéj zgromadzali się wszyscy. Tam popiersie założyciela szkoły, niemym świadkiem czynności było. Brakło też ogólnéj uciechy, bo w zimnym marmurze nikt uśmiechu na ustach, nikt w oku łzy radości nie dojrzał.

Pytam się teraz Szanownego Pana, czy młodzież ze szkół krzemienieckich, mogła być

opieszałą w zawodzie, jaki sobie potem obrała? czy oskarżana przez terazniejszych Pisarzy o zarozumiałość, mogła nie kształcić się ciągle w rozumie? Czy z uczciwéj drogi wolno jéj było zboczyć, kiedy ją do ciągłéj naprowadzano nauki; kiedy się ciągle przy szlachetnych formowała wzorach; kiedy ją na całe życie z honorem i cnotą silnemi skojarzono węzły? Wzrastała, uczyła się, kształciła ta młodzież już za życia *Czackiego*, już po śmierci Jego, pod cudownym wpływem wielkiéj i cnotliwéj Jego duszy, pod szczególną łaską i opieką Boską; musiała więc być dobrą i szlachetną.

Opowiem też kochanemu Panu Józefowi, co się ze mną działo, jako z uczniem krzemienieckim. Kiedy skończyłem Uniwersytet Wileński i biretem doktorskim zaszczycony już byłem; młody wiekiem, młody silną wiarą w nadzieję, w przyszłość, chciałem, jako uczeń funduszowy, w dalekie zabieżyć strony, czemeś się w powołaniu mojém odznaczyć, coś dla nauk i ludzkości odkryć, czemeś się wsławić... zwyczajnie, jak młodzian w dwudziesto trzecim roku życia. Ojcowską dla mnie przychylność *Franka*, jego pochlebne dla mnie chęci na bok złożyłem; rwałem się daleko za góry, za morza, sam nie wiedziałem czego, zwyczajnie jak młody z młodego wieku marzeniami. Kogoż czas, doświadczenie nieochłodzą? ale otoż współ koledzy krzemienieckiéj szkoły (*Bernartowicze*, *Fryczyński*, *Hilary Łukaszewski*, *Jozef Mikulski*, *Maryan Piasecki:*)

składają na prędce, co kto miał, co własną pracą lub oszczędnością zarobił; przesyłają Ministrowi Oświecenia pieniądze, jako zwrót kosztów przez Rząd łożonych, a oddając w ręce moje *uwolnienie mnie od służby rządowéj*, zażądali powrotu śród swoich, do Krzemieńca— Rzuciłem się w przyjacielskie objęcia. Dobrze zawołałem, macie mnie, służyć będę pracowicie i poczciwie Krzemieńcowi. Na cienie *Czackiego* przyrżekam! — Wszystkie komisa do Krzemieńca przyjmowałem. I jakież to były komisa? „*Pozdrów odemnie te drogie nasze mury szkolne*" — Tak Neapolitańczyk, gdziekolwiek by się znajdował, przez jadących w jego ojczyste strony, zawsze jedno śle pozdrowienie, *salutate mi il sole.* Wróciłem do Krzemieńca. Bogu i ludziom to osądzić, czylim przez dziesięcio-letni mój tam pobyt, podołał przy rzeczeniu. To pewna, że okazywana mi przyjaźń i wdzięczność, wyższe były nad moje zasługi. Z tamtąd też uniosłem z sobą najwdzięczniejszą pamięć wszystkiego, pamięć, która mi jak Bóstwo opiekuńcze starczyła na pociechę w dotkliwych przygodach, w ciężkich kolejach życia mojego. Ale i wówczas serca Krzemienieckich przyjaciół, że wymienię Maryana Piaseckiego i Ludwika Kosielskiego, z pomocą ku mnie spieszyły. (2)

Co wymówiłem o sobie, jest próbą dobrych czynów i tego niezwyczajnego przywiązania uczniów do swojéj szkoły. Widzieliśmy i doświadczali, z jakim pośpiechem, kto co mógł, składał

na ufundowanie szpitalu dla chorych biednych uczniów, z jakiem świętém przyrzeczeniem każdy wychodzący ze szkół chciał wdzięczną swą pamięć większym na tenże cel datkiem utrwalić. Gdzie się moralność tak wcześnie i tak skutecznie dla społeczeństwa rozwija, gdzie cnotliwe sprawy w potrzebę życia weszły, tam ziarno religii nie na czczy grunt rzucono. Może cię i znudzę kochany Panie Józefie, ale muszę jeszcze wrócić do zarzutów edukacyi krzemienieckiéj robionych, bo te są mi bardzo na sercu.

Wiemy, że teorya uczy, ale trzeba doświadczenia aby się przekonać. Wielu tak się zdawało, a wielu przez naśladownictwo tylko powtarza, że *zabawy*, *kassyna*, *wieczory* w Krzemieńcu młodzież od nauk odrywały, miłostkami, fanfaronadą głowę zaprzątywały. Bo teorycznie biorąc, zabawy naukom przeszkadzać muszą, surowe zaś z młodzieżą postępowanie w karbach ją należytych utrzyma. Nawyknienia wszystkiemu, samym nawet przesądom sankcyą nadają. Czyliż pobierający edukacyą u Jezuitow nienarzekali na Komissyą edukacyjną, że oddała świeckim i XX. Pijarom ster nauk i wychowanie młodzieży? — czyliż przy najlepszych o dobro publiczne chęciach, nie widzieli tam swawoli i rospusty, gdzie jéj rzeczywiście nie było? Cóż dziwnego, że znowu późniejsi, nawykli do scisłości pijarskiego wychowania w nowém przez *Czackiego* zaprowadzeniu dostrzegali ku złemu ponętę? Weźmy naprzykład domowe stosunki familijne z dwóch

epok, a też same nastręczą się uwagi. Znałem ojca co surowo swych synów wychowywał: wszystko szło za jego wolą i rozkazem, nawet pieszczoty i wesołość. Szczęśliwie przebyli synowie młodość i błogosławią dobroczynne oko, które nad niemi czuwało, i tę rękę, co ich za swawolę karała. Bóg im dał dzieci, te inaczéj wychowują. Nie raz też przyszło nam zauważać nieukontentowanie dziada, że wnuki, gdy malcami byli, ojcom na kolanach siadali, za szyję obejmowali, do pieszczot śmiało się domawiali. Nieraz kochany dziadunio karcił z cicha i delikatnie, (jak dziadowie zwykli wnuki swoje karcić) że za nadto hałasu robią w pokoju, że ojcu się naprzykrzają i t d. — Młodość wszakże synowskich dzieci szczęśliwie Bogu dzięki przechodzi, i w Nim nadzieję pokładają, że błogosławić będą staraniom ojców swoich, chociaż się ośmielili powagę ojcowską połączyć z prowadzeniem, jakie przyjacielskie zaufanie tworzy, a jednak do zbytniéj poufałości i wzajemnego lekceważenia się nieprowadzi. Postęp czasu tę zmianę w publiczną edukacyę wprowadził. Wszyscy do coraz większéj dążyli towarzyskości, a czynna dusza *Czackiego* tę dążność jeszcze podniecała.

W tych dniach czytałem *Pamiętniki domowe PP. Borejki i Micowskiego* wydane przez *M. Grabowskiego*. Ten czcigodny weteran naturalnym rzeczy porządkiem chwaląc scisłość *X. Szybińskiego* w międrzyrzyckiej szkole, krzemienieckiéj zbytną wolność zarzuca, o romanse i próżniactwo młodzież oskarża. Wszakże taki zarzut

dalekim jest jeszcze od surowéj a nie zasłużonéj nagany, jaką w tych słowach „*wychowanie antireligijne, rozpustno-liberalne* (!??) P. Miecowski oddaje; chociaż bowiem w pewnych porach roku młodzież bawiła się więcej może, niżli wiek i przeznaczenie uczących się pozwalały, nigdy przecież w niczem przeciw moralności niewykroczyła, brudną awanturą siebie i szkołę przez całe dwudziesto ośmio letnie istnienie niesplamiła. Bawiła się młodzież, ale przytém dobrze się uczyła, bo dla dobrze uczącej się łatwiejszy był wstęp wszędzie, uprzejmiéj i z pewném uważeniem przyjmowana była. Te drobne chwile roztargnienia, jak łatwo do myśli przylegały, tak prędko ze szczętem z niej nikły, a przyzwoitość towarzyska, wzory ze starszych, kształciły całą fizyonomię moralną młodzieży.

P. Kościesza także prawi o zabawach w Krzemieńcu jakby o ważnéj w edukacyi przeszkodzie: w obawie wszakże, czyli nie za nadto je naganiał, zapytuje o zdanie swego korrespondenta, obeznanego jak mówi z miejscowością i stosunkami w Krzemieńcu, a ten go nietylko w słuszności nagany ubezpiecza, lecz jeszcze i żale samego jakoby *Czackiego* ku zamieszkałym dla edukacyi familiom, na wsparcie téj opinii przywodzi. Ani myślę zaprzeczać autentyczności korrespondenta, przytoczę tylko gawędkę *Czackiego*, jaką w młodych mych latach zasłyszałem. Przepisywałem coś w gabinecie *Czackiego* na jego rozkaz; wiele różnych osób wchodziło i wychodzi-

ło: byli tam Profesorowie, był tam *Czech* Dyrektor i kilku Obywateli. *Czacki* swoim zwyczajem chodził ciągle po pokoju, tam dyktował, tam rozkazy dawał; tego pytał, temu odpowiadał, i w ciągu tych umysłowych wyścigów, w których nigdy niewypoczywał, donośną i przeciągłą deklamacją począł o Wilnie mówić — „*I znowum się ze Sniadeckim pokłócił. On mnie rozumieć niechce. Ja mu dowodzę potrzeby jak najprędszego kształcenia młodzieży do posług obywatelskich; on krzyczy, to napróżno, niech starzy służą, a młodzi niech się uczą. Ja chcę połączyć wychowanie domowe z publiczném; on krzyczy: bawicie się a nie uczycie. Ja się domagam powiększenia rozmiarów naszéj szkoły, rozwinięcia w niéj fakultetów uniwersyteckich, nadania przywilejów zachęcających młodzież, — on krzyczy, to niepotrzebne, jest na to Wilno! — Rozum wielki, poczciwe serce, ale upor niepojęty! uchodzić mi go trudno — Przyjdzie czas. Wy tymczasem zgromadzajcie się tutaj. Czemu was więcej nie zamieszkuje Krzemieńca? Ktoż lepiéj nad Rodziców dzieci nasze w religii i obyczajach ugruntować potrafi? My wam w edukacyi pomożemy*" — Nie tak więc bardzo narzekał *Czacki* na mieszkających, kiedy ich zawsze więcéj mieć pragnął. Gdyby postrzegł wynikającą ztąd zdrożność, nieprzyzwoitość lub zwichnienie swych celów, łatwoby mu było stosownie się odezwać, poradzić, rozkazać nawet, a spełnionaby była jego rada i wola. *Czacki* był samodzielną wy-

rocznią — Jakoż, jeśli na pierwszy rzut oka zamieszkanie wielu familij a szczególniéj matek, wydawać się mogło komu nieprzyjaźnem dla ścisléj edukacyi, to po bliższem rozpatrzeniu się pewneby nawet korzyści dały się łatwo wyprowadzić.— W mieście tak małem, jak krzemieniec, zażyłość osób mieszkających stawała się prawie przyjacielską. Wszystko wszystkich obchodziło, cieszyło lub dotykało. Najmniejsze uchylienie młodzika już było wszędzie wiadomém, bo tam stosunki familijne, tam sąsiedzkie, tam przyjacielskie z jego rodzicami lub rodziną robiły go nie obojętną cząstką całéj kolonii obywatelskiéj w Krzemieńcu. Choroba którego z uczniów już obudzała współczucie połowy prawie miasta. Karnawałowe zabawy do uprzyjemnienia i umocowania tych stosunków wielce się przyczyniały. Nauki zaś swoim porządnym szły trybem; bo czyliż nieodznaczali się w naukach synowie mieszkających Rodzin, jako to Swiejkowskich, Ożarowskich, Orłowskich, Szczeniowskich, Skibickich, Bratkowskich, Pruszyńskich, Malinowskich, Grabianków, Gołyńskich, Rzyszczewskich, Zalewskich, Lepkowskich, i tyle innéj młodzieży, która i dziś swoją w społeczeństwie użytecznością świadczy, iż czasu niezmarnowała, a serce co brudami się brzydzi, a szlachetność ocenia i przyswaja, na świat przyniosła? Gdyby więc téj młodzieży ostać się przyszło przy samych tylko zaletach serca i cieszyć się plonem nauki krzemienieckiej, którą Bejło-

teterowska fantazya, zle ukutym wyrazem *serdeczną nauką* nazywa, jeszczeby społeczność wiele korzyści odniosła; zresztą najzdolniejszy nawet z krzemieńczanów wolałby pisać o *Pielgrzymie białym* (przedmiocie wcale niewinnym, aczkolwiek przez Bejłę w przystępie tylko satyrycznéj weny umarzonym) niż składać tomy, gdzie rozum i rozsądek coś pożywniejszego i sumienniejszego wyszukaćby rade, a serdeczności śladu dojrzeć niepodobna.

A gdy chcemy wiedzieć o duchu religijnym o poszanowaniu dla kapłanów, rzućmy sądy świeckich osób, które mogą być stronne: i zapytajmy tych, co są z powołania sędziami sumienia ludzkiego, co tę najskrytszą stronę ułomnego człowieka najlepiéj przejrzeć mogą. Po wiele razy Kumawiał mi i każdemu to powtórzy X. Prałat *Kulikowski*, były Profesor Religii w Krzemieńcu, a dziś Rektor Seminaryum Żytomirskiego, ów kapłan skąpy w pochwały, bo ścisły i sprawiedliwy, iż młodzież krzemieniecka wzorem dla wszystkich być mogła, tak była bogobojną, tak moralną; a Xiądz *Prokop* Kapucyn, były tamże kaznodzieja i Profesor Religii z całą sumiennością jemu właściwą pochwałami i błogosławieństwy tę młodzież obsypywał.

Jeśliś Panie Józefie niepoznał czcigodnego Kapłana *Prokopa*, żałuj. Wielka zostanie szczerba w twych rozlicznych rozumu i serca z ludźmi stosunkach. Jesliś go znał, żałować go równo z nami musisz; i jak my każde o nim wspo-

mnienie westchnieniem oddasz, łzą opłacisz — Już on od kilku miesięcy w Bogu odpoczywa! Żal ogólny jakby czarnym kirem obciągnął krzemieniec, całą okolicę i tych co go znali, co choć raz jeden z ambony mówiącego zasłyszeli. Inaczéj być nie mogło; bo cnotliwy i bogobojny człowiek z pomiędzy nas ubył, a kościoł nasz żałuje w nim stratę jednego z najgorliwszych i najzdatniejszych opowiadaczy słowa Bożego. Szczególny posiadał On dar kaznodziejskiéj wymowy. Nie szumne słowa, nie myśli napuszone nie wykwintne krasomowstwo zajmowały słuchaczów; ale Ewāngeliczna prostota, potoczystość słów i myśli, doskonałe przejęcie się okolicznościami, w jakich mawiał i do kogo mawiał, zachwycały wszystkich. Każdy dzień świąteczny tłumnie zgromadzał do kościoła lycealnego ludzi wszelkich stanów, bo pewni byli że mowiącego *X. Prokopa* posłyszą. I zaledwie słowa Ewangelii S-ej przeczyta, już lawa narodu ku ambonie płynie, jedno z nią ciało nieruchome stanowi; rzekłbyś, że co tylko przed chwilą żyło, to skamieniało, zamarło, taka cisza w całéj świątyni Boskiej była. Każda myśl jego wyraziście oddana, głosem nader miłym wypowiedziana, niczyjéj nie uszła uwagi a tej rozwlekłością nigdy nie zmęczył. Nie było ucznia, któryby co do słowa nie zapamiętał kazania, bo je rozumem pojął i w sercu silnie umieścił. Taki kaznodzieja missyą swoją święcie spełnił. X. Prokop przez zwykłą sobie skromność, dalekim się od tego wielkiego ce-

lu wyznawał; głos wewnętrznego przekonania, głos sumienia pewnie go zaspokajał.

Rząd zwinął Liceum krzemienieckie; musiały być do tego powody. Czyliż stąd nie dogodny dla *Bejły* wniosek, że *Czacki* nie wiedzieć co założył? że ten zakład do błędów *Czackiego* należy? że szkoła krzemieniecka we wszystkich swoich elementach i cząstkach miała wady, a ogół i Rząd oczewistą z tego szkodę? —

Ach, dosyć już, dosyć o Krzemieńcu i o *Czackim!* powiesz to i sam kochany P. Józefie i ci co ten list czytać zechcą.

Aleś mnie Szanowny Panie sam nieraz do tego zachęcał, sameś więc na siebie tę plagę nudnego pisma ściągnął. Wieleżby się to znalazło rzeczy i spraw nie małéj wagi do opisania, gdyby mi czas pozwalał a zdatność sprzyjała. Są to tylko wyrywki ze wspomnień, ktore, jak w kalejdoskopie, coraz się w myślach i wyobraźni mojéj zmieniają. Miło mi je przelać na papier, zwłaszcza że to w liście do Pana, co tak czujesz i rozumiesz serc tkliwych wzruszenia, co tak umiesz spajać z sobą rozmaite koleje życia człowieczego, tak swój naród i całą ludzkość miłujesz.

Są, którzy mnogie i ważne z tej epoki zgromadzają materyały. Gustaw Olizar, Erazm Michałowski, Eustachy Iwanowski, Jan Sieńkiewicz, Jan Sowiński, Adam Słowikowski, nie małe mają ich zasoby. A chociaż do tytułu *wielkich ludzi,* jaki *Tetera* przez urągowisko im na-

rzuca, nieroszczą oni prawa bynajmniéj, użyteczną jednak, piękną i chwalebną pracą kiedyś nas obdarzą. Bogdajby jak najprędzéj! Może Athenaeum będzie tą skarbnicą rzeczy ojczystych? i tak być powinno. Jest to nasze dziecie, pod naszém wychowane niebem, żyje ono wprawdzie silném życiem wydawcy, wszakże spuściznę narodową, jaką kto nadarzy, chętnie czuły opiekun przyjmuje, i na pożytek pupilla swego obraca. Ani przeto wątpić należy, że wyżej wspomnieni, a może i drudzy jeszcze Literaci, uzbierane szczegóły o życiu, pracach, podróżach korespondencyach, tudzież licznych stosunkach *Tadeusza Czackiego* drukiem ogłosić niezaniedbają. Wieleż tam byłoby ciekawych kart z samego prywatnego życia tego wielkiego męża wypisanych! Pożyteczniéj by może one zajęły i w ducha publicznego się wcieliły, niż te ciągłe i przeciągłe opisy dworu i życia *Xięcia Panie Kochanku.* Z przyjemnością czytamy o tym *Wielkim Panu*, zwłaszcza że jędrna pamięć *Soplicy*, pióro jego wyrobione, tyle i tak dobitnych, czystych i całkowitych dostarcza obrazów. Ale, powiedzmy prawdę, kto wart więcéj wspomnienia, więcéj być, że tak rzekę, bohaterem jakiéjś powieści obyczajowej? Ten-li, co stając w obronie tchnących barbaryzmem zwyczajów, sam zaniedbanéj edukacyi, drugim do niéj przystępu nie ułatwia, aczkolwiek milionowe dochody starczyłyby i na regimenta i na szkoły?, co trwoniąc olbrzymią fortunę na dogodzenie prywatnéj swojej dumie w Al-

beńczykach tylko i w upartém utrzymywaniu starych obyczajów i przesądów cel swego życia znajduje? — Czy ten, co ideę moralnego dobra czynném naukowém życiem rozwinąwszy w sobie pragnął ją w serca i umysły współziomków swoich wszczepić? co mienie swoje bez porównania mniejsze na moralny użytek ogółu przeznaczył, co w pracy, trzezwości i nauce, poprawę przyszłego pokolenia uważał? Znalazłoby się tu obszerne tło do powieściowego na wzór Soplicy dzieła, któreby także dwa sprzeczne usposobienia przedstawić w sobie mogło, to jest z jednéj strony *zastarzałe zwyczaje, staropolską prostotę, rubaszność i gościnność*, z drugiéj wydobywającą się na gwałt *cywilizacyę*, a z nią *wzory ukształconych towarzystw modnego świata.*

Dwór Czackiego *w Porycku* i *Brusiłowie* zawsze magnacki, zawsze pełny; stosunki jego prywatne; ta jego originalna dystrakcya, więcéj zajmująca, niż przesadzone myśliwskie w Nieświeżu bajeczki; do wielu obrazków już ciekawych, już zabawnych posłużyćby mogły. Tam był znany nam wszystkim narodowy antykwaryusz uczony Bibliotekarz *Gołębiowski*; tam często przesiadywał Kronikarz Polski, poważny, a może trochę nadęty, Szambelan *Radzimiński*; tam byli prawie domowymi szanowni, pełni rozumu i poetycznych usposobień, *Generał Kropiński*, *Aloizy Feliński*, *Michał Wyszkowski*, i znany ze swéj jowialności nikogo nieobrażającéj, kochany od wszystkich *Hrabia Ledochowski.* Do tego

towarzystwa bardzo często należeli: krewny Czackiego, kochany od niego, bo zespolił w sobie cnotę, rozum i miłość dobra publicznego, *Hrabia Jan Tarnowski*; pełen dowcipu i światowéj grzeczności *Szef Józef Drzewicki*. Tam często widzieć było można lubionego ze swéj prostoty, poczciwości, zamiłowania w gawędach o narodowych polskich przeszłych czasach, *Waxmana*; prawego starego Polonusa, w złotolitym pasie, z czupryną podstrzyżoną *Piaseckiego*. Alboż niezabawiłaby Czytelnika jakaś wzmianka o *Jaxie Marcinkowskim*, tym gorliwym słudze Feba, znanym już z własnych swoich rymów, już z panegiryków, to śmiesznych, to dowcipnych wierszem dla niego pisanych? Możeby i kozak Czackiego, ów nieodstępny *Moroz*, który lubo jak cień za nim gonił, często go jednak z oczu gubił, albo z latarenką w ręku naprzód pędził i wspólnie ze swym Panem na stancye studenckie znienacka napadał, właściwe sobie znalazł miejsce w opisie nocnych wycieczek Czackiego?

Wieleż to młodych ludzi trzymało się dworu Czackiego, w jego Bibliotece brało naukowe ukształcenie, jego funduszami do rozmaitych sposobiło się urzędów? Zawsze i wszędzie otoczony był Czacki podobną młodzieżą, a wyznajmy, że ani jak Bachus na beczce siadywał, ani rąbać się za siebie doradzał, ani też folwarkami na wszystkie strony rozrzucał.

Gdyby Kołłątaj skreślił życie *Tadeusza Czackiego*, pewniebyśmy się niedoczytali wyrazów

swawola, *rozpusta* i t p; które tak sterczą lubo w krótkiéj tylko wzmiance przez niego o *Xięciu Karolu Radziwille*. Ale przytém był ten Xiąże człowiekiem gruntownéj poczciwości i wielkiego do kraju przywiązania, i gdyby szedł za postępem cywilizacyi, gdyby jéj potrzebę czuł w sobie, gdyby zamiast podniecania w nim ducha partyi, kierowano go więcéj ku użyteczności dla kraju i narodu, mógłby potęgą swéj fortuny i wpływem na massę całéj prowincyi wiele dokonać rzeczy, któreby do potomnéj a wdzięcznéj pamięci rzeczywistszego nabyły prawa, niż *np.* Ulica w Paryżu znana pod nazwiskiem *passage de Radzivill*, albo *Gwardya Paliowych przyjaciół*. Bo wieleż to rzeczy i spraw narodowych hojnéj czekały ręki, czynnego wyglądały umysłu? Brak kommunikacyi wewnętrznéj po kraju, szczupłość instytucyj wojenno-naukowych, martwe rękodzieła, brak protekcyi możnych Panów dla młodzi chętnéj nauk, potrzeba reglacyi włościan, monopoliczny prawie handel w ręku żydów, toż obroty kapitałów i przedsiębierstwa w ręku cudzoziemców, domagały się współzawodnictwa z gorliwością obywatelską *Xięcia Michała Ogińskiego, Xięcia Adama Czartoryskiego, Xięcia Józefa Czartoryskiego, Hrabiego Prota Potockiego*. Niemało dostarczyłyby materyałów dla opisującego życie Tadeusza Czackiego, jego familijne, przyjacielskie i obywatelskie stosunki jako to: ze czci godnymi: Podczaszym Koronnym *Czackim*, Bratem jego starszym, z Podczaszym

Litewskim *Filipem Olizarem*, z owym wielkim Panem, Protektorem nauk i uczonych, Generałem Ziem Podolskich *Xięciem Adamem Czartoryskim* i Jego Synami, z poważnym rodem i dostojenstwy Marszałkiem Koronnym *Mniszchem*, ze znajomym w Historyi, mężem nauką znakomitym Podkanclerzem koronnym Xiędzem *Kołłątajem*, którego już zbolałego na ciele, znękanego na umyśle, ogołoconego z funduszów, osadził Czacki dla spokojnego przytułku w wioseczce Stołpcu o milę od Krzemieńca. I czyż potrafię tu wypisać te wielkie stosunki Czackiego z Dygnitarzami Korony i Litwy z epoki krajowéj, ledwie co w ówczas zeszłéj i z nowo powstałéj pod panowaniem *CESARZA ALEKSANDRA I?* tę jego zażyłość z całą prawie szlachtą, ze wszystkiemi kraju naszego, a może i całéj Europy ludźmi sławnymi cnotą, poświęceniem się i nauką? Nie takiego potrzeba pióra, nie takich wiadomości, na jakie mógłbym się zdobyć, aby epokę Czackiego porządnie skreślić i wykończyć. Mam wszakże otuchę, że znajdą się i talenta i usposobienia, co jeszcze czczemi niezużyły się pracami, zazdrością nieznarowiły, widokami osobistemi niezmarniały. Wracając do mego przedmiotu tyle tylko powiem, co potomna wdzięczność już przyznaje, że do największych zasług Czackiego policzyć należy zaprowadzenie oświaty w naszych prowincyach. Krzemieniec uważać należy jaką summę oświaty, jako zbiór starań i zabiegów Czackiego rozrzuconych po tych

trzech prowincyach; jako ognisko, z którego późniéj miały się rozbiegać promienistą siłą nauki, ich użyteczność i publiczne chęci. Co się więc mówi i rozumie o Krzemieńcu, to się rozciąga do wszystkich cząstek zakładów naukowych w tych gubernijach, którym Czacki w oświeceniu przewodził, gdzie oświecenie ożywiał, rozkrzewiał. Krzemieniec był tylko koncentracyą, przedstawicielem oświaty tych prowincyi, jak Wilno w Litwie. Cóż dziwnego, że tę szkołę, jako ognisko życia, chciał Czacki we wszystkie silne pierwiastki opatrzyć? cóż dziwnego, że Czacki miłując wszystką młodzież po szkołach rozsypaną, tulił bardziéj do siebie krzemieniecką, jak gdyby serce do serca przyciskał? kochał też ją uczuciem ojca, który wszystko co miał dla dzieci swych położył, mienie swoje i siebie samego; kochał miłością matki, co się pieści uśmiechem, wesołością, wzrostem lubego dziecka, co szczęściem jego żyje, a czuje że nieszczęścia przeżyćby niepotrafiła. Musiał kochać Czacki tę młodzież, kiedy przed chwilą zgonu swego usilnie zapragnął widzieć choć kilku uczniów z Krzemieńca. Doktor *Jan Lernet*, w którego domu w Dubnie Czacki obległ, mąż pełen rozumu, wysokich i szlachetnych uczuć, któremu funduszowi jego uczniowie potomną na potomki jego wdzięczność i błogosławieństwo jako dobroczyńcy swemu zachowają, a cała społeczność, jako tradycyjne wielkie o nim wspomnienie przez długie utrzyma czasy, Lernet le-

karz duszy i ciała Czackiego, chętnie na to jego żądanie zezwolił, a nawet o pośpiech przybycia uczniów nalegał, bo choroba szybkim szła biegem, a we wstrząśnieniu moralném pragnął szczęśliwego jej przesilenia. Na odgłos niebespieczeństwa życia ojca i opiekuna stanęły dzieci u łoża Czackiego. Niemym żalem ścięły się wszystkich serca. Czacki już zimną dłonią uścisnął każdego, pobłogosławił, serce swoje kazał w Krzemieńcu złożyć i z pogodną, jak jego sumienie twarzą duszę Bogu oddał.

Przyznasz sam Szanowny Panie Józefie, że szczęśliwy ten, co mógł i umiał z takim zapałem młodzież kochać, a wielekroć szczęśliwsza młodzież, co na takie zasłużyła przywiązanie! Wiele pięknych mów i kazań pogrzebowych było, bo każde prawie wspomnienie o Czackim musiało być wielkie. Pamiętam, iż szczególniéj rozczuliła przytomnych mowa rodzonego jego brata starszego, gdy temi odezwał się słowy: „O gdyby można, z chęciąbym cię bracie kochany na tym katafalku zastąpił! Bo gdyby tak się stało, płakałaby po mnie żona i dzieci moje, zapłakaliby przyjaciele, westchnęli sąsiedzi, pożałowali sludzy i włościanie moi; a po tobie bracie kochany cały kraj płacze!”

Tak wielką stratą narod dotknięty starał się, by zewnątrzną jakąś oznaką hołd cieniom zasłużonego męża oddając ulżyć swoim cierpieniom. Wielki MONARCHA, jak ojciec ludów swoich, uczuł żal dzieci i czcią publiczną oka-

żać go dozwolił. Odtąd współubiegania się obywatelów, władzy naukowéj i uczonych towarzystw występywały corocznie jakby świetne trofea cnotą i poświęceniem się zdobyte. Komuż niewiadomo, jak znaczne summy, z długów skarbowych po wojnie z Francuzami, weszły od obywatelów Wołynia na korzyść sukcessorów Tadeusza Czackiego? ktoż z owczesnych niezapamięta, jak upoważnieni od Tronu Marszałek Guberski Wołyński i wszyscy Marszałkowie Powiatowi wielkim czci obrzędem składali na ołtarzu Boga w świątyni licealnéj serce Czackiego w urnie zamknięte? ktoż odtąd niewidział, jak przy corocznym żałobnym dla pamięci Czackiego obchodzie, czarną suknią wszyscy się oblekali, smutkiem i westchnieniem tęskne uczucia wyrażali? Tak żal był głęboki, tak wyrazisty, iż w dwudziestéj już rocznicy rzekłbyś, że oto w téj chwili grom śmierci uderzył i co było najdroższego sercom wszystkich wydarł. Ten wielki coroczny obrzęd był iż tak rzekę *duchowną stypą*, na którą co kto miał, ze czci, wdzięczności i żalu, składał w darze popiołom wielkiego męża. Odbijały się corocznie o sklepienia czarnym kirem wysłanéj świątyni Boskiéj wymowne wspomnienia o cnocie i zasłudze Czackiego, przez rozmaitych Dyrektorów szkoły, Wizytatorów i Dygnitarzy krajowych (3). Przy każdem zdarzeniu uczniowie Krzemieńca, później już obywatele i urzędnicy, występowali publicznie, by uczcić wdzięczną pamięć

swojego Dobroczyńcy (4). Towarzystwo przyjacioł nauk w Warszawie łzami wielkiego żalu zrosiło wspomnienie o najgorliwszym i najpracowitszym swym członku, a pragnąc by wszystkie chwile tak wielkiego życia ściśle były wypisane, ważne to dla ludzkości dzieło X. Aloizemu Osińskiemu, owczasowemu Profesorowi literatury polskiéj w Krzemieńcu, czynnemu swemu członkowi wykonać poleciło. Życie to pracowicie ułożone, lubo zimnym kolorytem oddane, zawsze będzie wielką xięgą dla chcących pojąć rozum i cnoty Czackiego, dla pracujących nad nowym życia jego obrazem, a będąc pamiętnikiem wielkich zasług Jego w narodzie, przechowa razem wspomnienia szkodliwych i dumnych dążeń współczesnych nieprzyjacioł Czackiego.

Czas wszakże choć o rzeczach tak miłych i drogich sercu, jak Czacki i Krzemieniec, przestać ci prawić, kiedy jeszcze o innych szczegółach Teterowskiego pamfletu pomówić wypada.

Ten P. Tetera, niewyczerpany w swych konceptach, obraca się ostrym mieczem ku nam obu, tnie *Kraszewskiego*, rąbie *Kaczkowskiego!* przynajmniéj tak mu się zdaje. Szczęśliwa imaginacya! Gdyby sam Bejła pisał o *Kraszewskim*, tak by zapewne wyraził się o nim, jak i dawniéj. Bo któż zdanie nagle odmienić może? chyba ten, co żadnego niema. Ale coż to Bejłę ma obchodzić co Tetera prawi? Wszak brat za brata nieodpowiada. Publiczność inne ma przekonanie o twoich zasługach. Wyliczać je i oceniać nie tu miejsce.

Niechże jeszcze z kolei powie przed tobą zacny P. Józefie otwarcie ów porąbany Kaczkowski, czy go co boli? Powołanie moje opisało mi szczupły zakres czynności. Oddałem się cierpieniom fizycznym ludzi. Gmach pracy wyłącznego poświęcenia się wymaga. W każdém innym powołaniu ulżyć sobie można, tu trzeba ciągle uczyć się; mnożące się coraz stosy prac wartować, zrozumieć, w umyśle przetrawić, pamięcią obwarować; bo w każdéj chwili zdawać trzeba rachunek przed ludzkością i sumieniem. Gdzież tu znaleść czas do obszerniejszych i szczytniejszych literackich zatrudnień? Trzeba na cichéj i skromnéj przestać życia wędrówce, powtarzając maxymę poczciwego obywatela: *a jako kto może, ku dobru wspólnemu niechaj dopomoże!* Dwa tuziny latek kroczę po mojej ścieżce; wiele tam jeszcze nadbiegnie jednostek? Bogu wiadomo, to jednak pewna, że po drugiéj nie pójdę drodze. A tak, jeślim dawniéj czy nie mógł, czy nie umiał koła méj wiedzy rozszerzyć i z ciasnych w obszerne i strojne umieścić się ramy, to teraz tém bardziéj dokazać tego nie potrafię. Maleńki, to prawda, plon przyniosłem do spichrza ojczystéj literatury — i wspominać o nim nie warto. Ale i ten plon sumiennych, czy też łaskawych miał na siebie sędziów.

Co do moich wierszy; to rzecz szczególna że Pan Tetera opisuje, jakie były wiersze moje w Wilnie za czasów studenckich pisane i drukowane, kiedym temi fraszkami prassy drukarskiéj

nigdy niezajmował. A potém i któż z nas w życiu swojem choć parę niesklecił wierszy? Znakomity jeden pisarz wyrymował *Szaranczaidę ;* śpiewał *Ody do Jaxy Marcinkowskiego;* jakieś obrzydliwe tema rozrobił na dźwięcznorymne warianty; sowicie też poetycką swą muzą hołdował miłostkom; a nikt o tém nie wspomina. Ale czyż się godzi, aby takie arcydzieła miały pójść w zapomnienie? bojąc się aby Biografia Pisarza na tém nie cierpiała, przypominam Panu o tych literackich płodach a Pan drugim opowiedź; a tak tradycyą umocniony zostanie cały dla Potomności.

Co do mnie, wdzięczny jestem P. Teterze za pochwałę studenckich moich wierszy. Ale to dawne rzeczy. Cóż by to było, gdyby się był dowiedział, że w późniejszych już czasach w Krzemieńcu wypadało mi nieraz, to grając w *Sekretarza* odpisać wierszem, to w *grze fantowéj* wygadać się za karę wierszem, to znowu w korespondecyach z chorymi na wierszę wierszem odpowiadać? Pewnie P. *Tetera*, co w niepojętéj swojéj wspaniałości wszystkich i wszystko *wielkością* znaczy, włożyłby za to na me skronie wieniec *Danta*, *Tassa* albo *Owidiusza.* Gdybym go znał, posłałbym mu próbkę genialnych z Parnasu mojego utworów; naprzykład oto, gdy się jeden z mych chorych na romatyzm w nogach cierpiący, domawiał wierszem o pożywniejszą dietę, o pozwolenie ubrania się i wyjścia na wolne powietrze; jam mu tak po Bakosku odpisał.

Mości Hrabio
Niech nie wabią,
Ni kotlety,
Ni pasztety,
Ni pirogi,
Bo to wrogi
Na Nogi!
Dosyć z waści
Troche maści,
Garnek ziół.
Będzie wół
I kura
I fura
Jaj.
Tylko dbaj,
By z nami
Doktorami
W zgodzie żyć.
I być
Jak należy
Wtéj odzieży
I wtéj chacie.
Za to macie
Na stół klejek,
Troche ciasta
W rękę kijek
Ot i basta!

Żart na stronę, ale wyznam ci szczerze Panie Józefie, iż żałuję bardzo, gdy mi przyszła ochota te dawne wznawiać baje, że nic nie pamiętam prawdziwie dowcipnych wierszem korespondencyj: Xawerego Godebskiego, Korzenio-

wskiego, Olizarów, Konopackiego, Rudzkiego i kilku jeszcze innych przyjaciół moich. Znalazłyby one miejsce nie w jednym *Album* nie w jednym *Pamiętniku*. Czas zatarł je w pamięci mojéj, tenże czas i okoliczności rozwiały Bóg wie gdzie te drogie dla mnie szpargaliki. Boleśnie to wyznać; wyrecytuję całą komedyę *Powrót posła*, wszystkie prawie *Satyry Krasickiego*; wszystkie *przykłady* w Kopczyńskim i wiele innych ćwiczeń młodéj pamięci dziś jeszcze opowiem; a to co niedawno, jako rzecz miłą sercu, po wiele razy odczytywałem, zatraciłem z pamięci i tylko wspomnienie o niém pozostało. Ach, ta pamięć ludzka, to prawdziwa stara kokietka. Łudzi swego towarzysza jednolatka wspomnieniami młodości, każdą swawolę, wszystkie urojenia tych błogich czasów, tak odświeża, tak oddaje, jakby te wczoraj lub dziś jeszcze na scenie były; a w sfałdowane swe wdzięki wpatrzyć się nie daje, bo tam sztuką i pracą swieżość i czerstwość podrobiona.

O dalszych *Tetery* konceptach mnie tyczących, mówić ci nie będę. Te zdałyby się przy cygarku, przy fajeczce, bo tak właśnie jak one chwilowym błyszczą żarem, czczym dymkiem ulatują i wiotkim rozpraszają się popiołem.

Tak więc Szanowny P. Józefie, łatwy z tego wszystkiego wyciągniesz wniosek, że jakimeś cudem dla P. Tetery niepojętym, na ból się nieskarżę.

Dla czego zaś przytacza *Tetera* ów mój pe-

riod „*Jak w processie fizycznego życia, nic się*
„*z materyi nie traci, wszystko w ogólną wcho-*
„*dzi massę, z niéj się znowu rozradza, śmierć*
„*życiu usługuje, życie w śmierci się objawia:*
„*tak też siły życia moralnego zgasłego indivi-*
„*dualnie z życiem lepianki cielesnéj, wchodzą*
„*znowu w życie ogólnéj moralności. Zgon lu-*
„*dzi cnotą, rozumem, geniuszem, prawdziwie*
„*wielkiemi czyny wsławionych, roznosi żal na*
„*cały ogół; bo jest stratą nie w familii, nie miéj-*
„*scową, ale dla całéj ludzkości. Żal ten wszak-*
„*że obleka się uroczystą, tkliwą posępnością.*
„*Jest jakieś wielkie przeczucie, że promienie*
„*życia moralnego zgasłego, w całość moralną*
„*wstąpiły, jéj massę silniejszym rostliły ogniem*"
dla czego potém swoim kończy wnioskiem „*a*
„*więc pomimo zawad ciała, swobodnie w wiel-*
„*kiéj Xiędze przyszłości wytłoczy P. Kaczko-*
„*wski kartę życia moralnego, którą niegodzi-*
„*wy Bejła usiłował rozedrzeć*"?— zupełnie nie-rozumiem, niepojmuję.

A jeszcze bardziéj tego nierozbiorę banialuka, kiedy ni ztąd ni z owąd przerobiwszy me wyrazy na swój jak mówią kopyt, pisze: „*że-by pokochać naukę krzemieniecką potrzeba na to serca* (*), znowu swym dowcipkiem wnio-

(*) W liście *Kwestarze Somnambula* zredagowanym przez P. Kaczkowskiego stoi tak: *Trzeba serca aby zrozumieć serce i myśl Czackiego, aby pokochać jego młodzież.*" Jest to z szeregu zdań objawionych

skuje: „*Czyli co na jedno wychodzi*, *ta nauka nie była mądrą ale serdeczną.*

— Coś podobno takie rozumowania wyjdą na ową starą dykteryjkę:

Wlazł na gruszkę
Rwał pietruszkę,
Ach jak słodka cebula!

Ale jeśliby mnie kto zagadł, abym krótko i węzłowato dał me zdanie, *o Sobowtórze Bejły wielkim krytyku Teterze*, odpowiedziałbym, iż pewien uczony Francuz krytykę samoluba temi oddał słowy: „*pour ne pas me tromper je trouve tout mauvais.*"—

Wypadałoby coś jescze wspomnieć o *dopisku* w liście *Tetery*. Coś to musi być w jego rozumieniu ważnego, kiedy chciał dopiskiem na sposób Autora *Listopada* zainteresować szczególniéj czytającego. —

— Ale i ja mam znaczną dozę narodowych narowów, *opieszałość* i brak wytrwałości. Jużem się zmęczył pisaniem, już i myśl i pióro gną się do wytchnienia, chociaż po tak lichéj pracy. Wyburuj mnie za to P. Józefie po Pre-

---

we śnie przez Kwestarza ostatnie i dziwi nas mocno, że P. Tetera mógł do niego, chociaż w odmiennym zupełnie kształcie, pewną przyłożyć wiarę, że nawet użył go za korollarium swojéj tygodnikowéj tirady, kiedy wszystkie poprzedzające zdania musiały mu się wydać i wydały się niezawodnie bredanią bez żadnego sensu!

(Wydawca).

fektowsku, masz wszelkie do tego prawo. Ty jesteś arcy-mistrzem w téj ciężkiéj pisania sprawie; tyś u nas Fenix, my też uwielbiamy cię i podziwiamy całém sercem, ale naśladować ciebie tak nam trudno, tak nam nudno, że się litować nad nami potrzeba.

Tymczasem, kiedy się zaczęło mówić o *dopisku*, skończyć wypada (*).

— A naprzód proszę cię P. Józefie przyszlij mi ze swéj Biblioteki *P. Castelnau*, owego to oryginała, którego mam być tak wierną kopią,

---

(*) Ten dopisek widocznie ambarasujący P. Kaczkowskiego warto tutaj mieć przed oczyma. Oto on. „*Złośliwi ludzie coś przebąkują, że podróż do Krymu* „*jest to tylko wyciąg z dzieła P. Markiza Gabriela* „*Castelnau* (*E s s a i sur la nouvelle Russie*). *Ale to* „*jest istotna potwarz. P. Kaczkowski ciągle się z nim* „*spotyka, lecz go nie rabuje. A jużci trzebaby nie-* „*mieć litości, żeby rabować tak ubogiego Autora, ja-* „*kim był Castelnau.*" Uważcie; że w tym dopisku co innego złośliwi ludzie, a co innego P. Tetera. Tamci w najnikczemniejszy sposób po kątach tylko przebąkują o plagiatach P. Kaczkowskiego, ten szlachetnie z powagą prawdziwie obywatelską zadaje fałsz takiéj opinii drogą publicznego pisma. I cóż na to P. Kaczkowski? czy wybrnie jakkolwiek z infamii literackiego łupieztwa? czy w kłopocie swoim nie zapomni wynurzyć należnej obrońcy swemu P. Teterze wdzięczności? czy skończy wreszcie, do czego zabiera się jakby po wyjściu z gorącéj łaźni? To rzecz ciekawa. Czytajcie.

(Wydawca).

bo przyznam się ci szczerze, żem mu nigdy w oczy niezajrzał. Zkądby jednak nasz literat P. *Tetera* takie podobieństwo między nami upatrzył? Przez brak czasu musiał on od niechcenia przerzucić kartki dzieła P. *Castelnau*, a zaledwie porozcinał karteczki *Dziennika podróży do Krymu*. Alboż to niedosyć dla tak znakomitego krytyka dzieł Kraszewskiego? Zajrzał pewnie w obu dziełkach też same nazwiska, jednemi literami, jednemiż frazesy oddane o wspaniałym Chanie Hadzi-Dewlet, o synu jego tyranie Mengli Geraju, o Dewlet-Selim-Geraju i t. d. a tu i owdzie wpadły mu w oko miasta Tatarskie; *Bakczysaraj*, *Guzlew* i t. d. osiadłość Karaimow *Czufutkale*, Góra *Czetyrdach*, wioski *Ałuszta*, *Alupka* i t. d. oczewisty więc wniosek i rzecz jawna jak na dłoni, że Kaczkowski jako Polak skopiował Francuza *Castelnau* co do słowa; a że Francuz coś lichego pisać musiał o Krymie, lichy więc oryginał lichszą jeszcze wydał kopią. Otoż to recenzya i logiczna i filozoficzna i medyczna. Bo na cóż zdało się długo myśleć, z uwagą i rozumem się pasować? to czas zabiera, to zdrowiu szkodzi. Lepiéj krótko a zamaszysto wyrzec. „Czy czytałem, czy nie mniejsza o to, dosyć że musi być źle napisane; w recenzyach można się oddać samemu przeczuciu.” Zawsze jednak proszę P. Józefa o dzieło P. Castelnau. Ciekawy jestem czy także ślęczał nad obeznaniem się statystyczno-lekarskiém miasta Odessy? Czy chciał obeznać się i zgłębić działa-

nie i skutki kąpieli morskich i błot krymskich? czy poświęcił coś w swéj podróży na herboryzacyą na południowym brzegu i na stepach krymskich? czy choć parę set exemplarzy roślin złożył gdzie na pamiątkę, iż czasu niestrwonił? O gdybym i dzisiaj w P. Castelnau wyczytał odpowiedne chęciom moim kwestye i rozwiązania, żalby mi było mocno żem go w czasie méj podróży pominął. Możebym wiele sobie w ówczas ulżył, coś lepszego uwagą i piórem wyrobił, a co największa, czémeś korzystniéj ludzkości usłużył. I to było celem méj podróży, i to zajęło większą połowę kartek mego *Dziennika.* Słaba praca. Nie każdemu też być orłem.

Wszakże mógłby śmiało powiedzieć P. *Tetera*, że zrabowałem *Czackiego* o Tatarach i Karaimach; *Daniłowicza* o Cyganach; *Siestrzeńcewicza* o Krymie, mógłby jeszcze wytknąć rabunek na kilku Francuzach (prócz Castelnau) na kilku Niemcach; bo niedoszedłem jeszcze do téj Literackiéj zarozumiałości, abym cudze za swoje podawał, do téj pisarskiéj śmiałości, abym fakta historyczne przerabiał, chronologią fałszował.

Alem się za długo i naprózno o tym rabunku, o tym napastliwym dopisku rozgadał. Wszak to nie Teterowski koncept, kiedy wyraźnie *Tetera* pisze „*złośliwi ludzie przebąkują że podróż do Krymu jest to wyciąg z dzieła P. Markiza Castelnau* i t. d. przepraszam przeto P. *Teterę*, a złośliwym ludziom lepiéj dać pokoj. Bo czegoż to oni niewymyślą, czego złe

języki niewygadają? Mówią tu i u nas od dawna o jakicheś kontrabandach literackich. Usta ustom to podają i jak to zwykle bywa, każdą nowinkę w coraz monstrualniejsze ubierają formy. Opowiem kochanemu Panu, czego słuchaczem być nadarzyło się mi niedawno. Byłem u pewnego chorego, a że to był człowiek dobry, gościnny, towarzyski i rozumu miał w miarę, mnóstwo też go odwiedzało sąsiadów, krewnych i tak zwanych przyjaciół. Usiadłem przy łóżku chorego, a skoro się examen choroby rospoczał, wszyscy przytomni do drugiego wyszli pokoju. My tu cichą rozmową, wady ciała na wszystkie obracamy strony, w siebie jak w tęczę się wpatrujemy; a tuż obok nas gwarliwe głosy nicują wady moralne, to sąsiadów, to kuzynów, to panienek, to żonek etc. cnotom nawet nieprzebaczając. Zwyczajny tryb dowcipkujących. Jakie takie słowa do naszych uszu mimowolnie zalatywały. Pół godziny przeszło czasu, myśmy skończyli, a tam w samym ogniu była rosprawa. Zabieram się do wyjścia. Chory mnie zatrzymuje. Poczekaj troche, coś tam nie od rzeczy mówią, posłuchajmy. Siadam.

At mówcie sobie, co chcecie, (odezwał się krzykliwym głosem wytrawnego jarmarkowicza) ten *Listopad* to nie lichota, to jakiś chwat, kuty jakto mówią na cztéry nogi! (to P. *Machnowiecki*, dobry chłopak, nie zła głowa, troche szałaput: tak mi szepnął mój chory) wali tęgo, po staropolsku, jak z bicza, jak gdyby za tamtych fur-

manował czasów. Niech go też licho weźmie, jak nam Litewki opisał, bo to i ładne i skromne, a jednak nie bez nadziei dla takich jak my zuchów! za taką wiadomość, tego P. Starostę ukoronowanoby w naszém exbałagolskiem państwie.

Ej, tobie zawsze puste rzeczy w głowie (przerwał mu jakiś głos estetyczno - wyrazisty) Jest tam wiele pięknych obrazów, pięknych rzeczy, a szczególniéj w *dopiskach* (to P. Orsza, co rymuje i drukuje, wielki z niego pyszałek; podpowiedział mi mój chory) Autor powinien być pewnym siebie, inaczéj niewarto pisać. Gdy choć raz uszczęśliwi drukarnią swoją pracą, powinien z góry rzucić klątwę na krytyków. Po co te dokuczliwe muchy mają przerywać sen spokojny spoczywającemu na laurach swego rozumu. Ani chwalić, ani ganić niepotrzeba. Czytać i szanować Autora. A jeśli kto chce o jego dziełach mówić, niech się wprzód stara osobiście z Autorem poznać, jego względy zyskać, z jego światła jakiś promyk zachwycić. Najsprawiedliwiéj przeto Autor *Listopada* podał do wiadomości publicznéj w dopisku: „*Tych tylko zdanie przyjmuję, których znam osobiście. Nic mnie tak nie oburza, jak pochwały głupich* etc.

A już też daj pokój (odezwał się inny tonem przeciągłym) chwalisz *dopiski*, a to prawdziwe szykany. Co w nich za sens? Jaka znajomość rzeczy ojczystych? Co za Heraldyka? a nareszcie co za brudny paszkwil! (to P. Hrabia

Galicyjski, mówi mi mój chory) czyż można, aby polskich Hrabiów odsyłać po dyplomata do króla cygańskiego? Wszak mamy kilka własnych hrabiowskich familij, sejmami przyznanych, wielu prócz tego Cesarze niemieccy i austryaccy tą godnością zaszczycili, a przecież to nie cygańscy królowie? Ta szalona ochota, by własnym dokuczać ziomkom, coraz bardziéj między nami się szerzy. Zle to Panowie moi! nie powiem o sobie, ale jakże to przyjmą hrabiowskie familje Ossolińskich, Tarnowskich, Rzewuskich, Platerów, Tyszkiewiczów, Komorowskich i tyle innych tak u nas jak w Galicyi?

Ale to rzecz szczególna, co wam powiem, odezwał się ktoś żwawo. Wielu utrzymują, że młody Soplica zaspakaja swe expensa literackie teką swego ojca i stryja. Mieli oni dużo papieru o sprawach i rzeczach narodowych zapisać. Ale jakoś ani słychać o tém aby się jeszcze starzy ojczystéj zasłużyli Literaturze. I otwarcie mówiąc (to P. Hajsyński, zacny Marszałek: szepnął mi chory) ma to na sobie jakąś cechę prawdy. Bo tylko rozczytajcie się dobrze, a w wielu miejscach widoczny odskok stylu i myśli znajdziecie.

Po co tu długo prawić, ktoś poważnym odzywa się głosem: Aspanowie byliście młokosami, jeszczeście grammatyki pod pachą nosili, kiedyśmy znali i bywali u starego P. Soplicy. Był to personat nie-pospolity. Szlachta go miłowała i adorowała. On też ją akceptował do serca, (to ów

Polonus, P. Miecznik) nie raz nie dwa opowiadał nam, jakby z książki, o rzeczach i sprawach, co dawniéj się działy. Słuszna statura, piękne rysy oblicza, płynna deklamacya, zachwycały nas młodych, i z otwartémi gębami, powiem aspanóm, słuchaliśmy go. Bo i warto było dać ucha i uwagi, azali czego nieskorzystamy? Tam to nam czytywał swym pańskim głosem *o Xięciu Panie Kochanku, o Rysiu i innych Nieświżkich personach.* W ówczas bowiem bawiło przy starym Soplicy kilku z dworzan niegdyś owego sławnego Xięcia Panie Kochanku; a co od nich zasłyszał, co mu opowiadał w Podhorcach jeśli się niemylę P. Rzewuski Półkownik fusilierów tego Xięcia, to on piórem i swą myślą ogłaskał, w nadobną ubrał mowę. Pamiętam jak dziś, że nam czytał o *Honorze*, różne przy tém wyjątki i exempla z dawnych Rzymskich i Greckich czasów, jak gdyby jaki akademik krakowski togą odziany. A jak sobie dawne zrekapituluję czasy i to co czytam teraz w Tygodniku i te *Pamiętniki* młodego *Soplicy* i te znowu *Starego Szlachcica,* to coś w wielu miejscach, jakby słowo w słowo stary P. Soplica. Rzekłszy wszakże prawdę, są tam takie dykcye, które jakby staremu nieboszczykowi na złość były dodane. I powiem aspanom, iż jak znałem dobrze nieboszczyka, tak pewien jestem, że gdyby wstał z grobu, odezwałby się z senatorską jak to mowią powagą do swego Pana Synka. „Odziedziczyłeś w spadku po mnie majątek. Papiery moje *de facto*, ja-

ko ruchomość należą do ciebie. Że użytkujesz z méj pracy, to dobrze, i tego sobie winszuję. Ale że wiążąc moje rzeczy swoim konceptem choć udatnym i przytomnym, takie wtrąciłeś ogniwa, których ja się i na tym świecie wyprę, to cię za to po ojcowsku strofuję. Bo naprzykład, jeślibym nawet we krwi mojéj czuł chlubne nurty krwi królewskiéj, to jeszcze nieodważyłbym się powiedzieć tego coś w *dopiskach* Listopadowych o braciach szlachcie choć Dorobkowiczach; o Hrabiach Cygańskich i innych jeszcze rzeczach popisał—i za prawdę powiadam, iż takie dykcye, bratu szlachcicowi nie przystoją. Czyż to waść Jarosz Bejła, któremu nie zawsze wład poszły myśli i zdania?"

Zaśmieli się w głos wszyscy na takie *dictum acerbum*. Ale pozwólcie powiedzieć sobie przerwał *P. Orsza*. Czy podobna, aby tak było, jak szanowny Miecznik utrzymuje? Przepraszam Pana mego i staję w obronie młodego Soplicy. Ma on taki zapas wiadomości, taką biegłość w myślach, że mu te długo same z siebie bez cudzéj pomocy starczyć będą. Ja nawet rozumiem że z kolei wezmie się on do wieszczéj lutni, do rymotworstwa; a w ówczas ani chybi wyda coś pod wszelkim względem wspanialszego nad ów tyle przed laty sławiony niby to historyczny romans: *Ostatni zajazd na Litwie*. Już też i teraz więcéj nas uczą w *Listopadzie* kontrowersye duchowne *X. Prospera z X. Kleofasem*, którego tak zgrabnie Bernachem nazywa, niżli owe

nudne *X. Robaka* gawędy. Te kontrowersye przynajmniéj wykazują z kazusów teologicznych, iż nie wszystko jest *credibile*, nie wszystko *possibile.* Alboż to rzecz mała dla moralności? Jak podobnież nie małéj jest wagi dla sumienia ów *dopisek* o Religii *Generała Kunickiego* i przodków naszych. Człek przynajmniéj w skrupułach swoich poważną, bo autorską znajduje otuchę: że jeżeli się nabożeństwem zmęczy albo kazaniem unudzi, to tem bardziéj utwierdza się w Religii, bo taka była ojców naszych religiia; że rozmyślania religijne, rozczytywania się w dowodach nauczających, przekonywających, są rzeczą zbyteczną, bo *wiara* tego niepotrzebuje. A przyznam się, żem do téj pory innego był przekonania.

„A dla Boga! I waszmość z dobréj woli takie sensa tolerować możesz? — odezwałby się znowu mój stary P. Soplica, do swego P. Syna „Stokroćby lepiéj było, gdybyś wyrzuciwszy z głowy te fatałaszki, swego ojczystego trzymał się rozumu, którym cię za łaską Boską moja troskliwość obdarzyła" — Jakkolwiek mówiłem i mówić będę, rzecze P. Hajsyński, że dwóch widzę przy jednéj xiążce autorów, wszakże gotów jestem przyznać zawsze; że jak w *Pamiątkach* Soplicy tak i w *Listopadzie* jędrność myśli jest wielka, zwroty cudne, styl jasny, porządny, grammatyczność lubo nie zawsze ścisła, przecież dosyć zaspakajająca.

A proszę Pana! zawołał *P. Orsza*, właśnie

przeciwnie się dzieje; bo autor Listopada wcale niechce chluby scholastycznego Grammatyka. I co za szczęśliwą powziął on myśl, którą na prędce tylko w *dopisku* wyraził, że nie warto pętać się grammatycznemi prawidłami, albowiem nasza mowa kształcić się może na obcych wzorach! Ja go też z gruntu rozumiem. Niech ludzie piszą jak chcą; pióra, jak i myśl, powinny być swobodne. Po co otaczać się strażą grammatykalną, która co peryod trąbi tobie w uszy, jak czujny szyldwach, kto idzie? nie można. Przeszedł czas alwarom; a owi Kopczyńscy, Felińscy, Szwejkowscy, owe nudne Towarzystwo Przyjaciół Nauk, to stare dzieje! Przedawnienie okryło płaszczem swoim tych ultrapurystów. Co się zaś tycze rabunku teki Soplicowskiéj i owéj podwójnéj twarzy autorskiéj, jak to Panowie utrzymują, nic łatwiéjszego, jak wywrócić ten zarzut samym faktem. Bo powiedzcie sami, czyżby P. Tetera, który tak snadnie najskrytsze rzeczy przenika, któremu nawet nie są obce myłki w druku dzieł *Staszyca* popełnione, czyż on nie odgrzebałby takiéj uzurpacyi literackiéj, gdyby ona rzeczywiście miała miejsce? Nie zaprzeczycie także, że ów *Tetera* znakomitym musi być Literatem, głębokim krytykiem, wielkim znawcą ludzi. Kraszewskiego dzieła zna na palcach, kwintessencyą we dwóch słowach z nich wyciąga; Bejłę wskroś przez skórę poznał, jego błędy wykrył; a Krzemieniec? niema gadania, jednym szmermelem ztarł na miazgę!

A Pan milczysz P. Lubarski? czy się gniewasz? czyś zakochany? Zamyślałeś się, jak gdybyś był sam z sobą na pustyni? odezwało się kilka głosów razem.

Słuchałem pilnie Panów rozmowy, a w myśli zbierałem Bejłę, Soplicę, Starego Szlachcica i Listopada. Pretensyi do rozumu niemam, chociaż niby to rozum drugich wykształcać, ciężkie przeznaczenie mi kazało (to, rzecze mi chory, nauczyciel domowy, skromny młodzieniec, jak mól w książkach się grzebie). Wolę też być plombowanym przez dopisek listopadowy głupcem, niż zamilczeć pochwałę, jaka się należy dziełom istotnéj wartości. Któż się stylem zeszłego wieku nie zachwyci w *Soplicy* i *Listopadzie*? Umieć się postawić i w czasie i w miejscu, odpowiedném akcyi, na to potrzeba ledwie że nie geniuszu. Nie powiem wszakże, iż ów Soplica dziwném jest u nas zjawiskiem, świetnym meteorem, jak to estetycy nasi już zawyrokowali: bo czyliż *Chodźko* w opowiadaniu dawnych ojczystych rzeczy, niżéj od niego stoi? Nie powiem także, aby z kilkunastu rozdziałów Listopada, już hołd genialności autora, jako pisarzowi historycznego romansu, oddawać godziło się. Jeszcze daleko jesteśmy od końca trzy tomowego dzieła. Niektóre szczegółowe obrazki są wcale mistrzowskie. Wiele scen dziwnie pięknych i zajmujących, ale też wyznam z cicha, są tam i takie, co mię i znudziły i zgorszyły, jak *n. p. Szermy duchowne* i jeszcze inne, co zdaje się dla kilku tylko konce-

ptów stworzone zostały. Bądźmy cierpliwi do końca. Takie dzieło wielu warunkom odpowiedzieć powinno. Talent autora zapowiada wielką akkwizycyą dla ojczystéj literatury. Nie pojmuję jednak, dla czego autor tak obficie nas obdarza *dopiskami*, które ani wdzięku, ani wartości dziełu nie dodają. Są one jak *szkarpy* przy kształtnéj budowie. Może ostrożny i przezorny budowniczy porobił je, ażeby się gdzie mur nierozczepił, ściana nie pochyliła, bo któż zaręczy, że wszędzie grunt trwały, że wszędzie pewny fundament? Wolał budowniczy piękności ująć, ale za to przechodzień zatrzymać się koniecznie musi, tak te *szkarpy*, obok scian gładkich, gzymsów eleganckich, kolumn gustownego stylu, oryginalnie wyglądają! Ale i te *szkarpy* na wątpliwym wspierać się mogą gruncie. Nie wspomnę o wielu *dopiskach*, bo byłoby to wasze Panowie powtarzać zdanie. Jeden szczególniéj silnie mnie za-elektryzował. Jak można było dzielić pisarzy naszych na *purystow* i *impurystow* czyli *czystych* i *nieczystych*? Ten podział strachem przejmuje. *Mowa* i *pisownia* są drogie ojcowizny, które kalane być nie powinny. Cudzoziemszczyzna nie wcieli się do nas i nie powinna. Byłaby ona zawsze pasożytnym tworem; z czasem zużyć by mogła konary ojczystego krzewu. Na jakich że wzorach kształcili się nasi teraźniejsi autorowie, jeśli nie na czysto polskich pisarzach — *Krasickim*, *Trembeckim*, *Naruszewiczu*, *Kropińskim*, *Czackim*, *Felińskim*, *Osińskich*,

Potockich, *Sniadeckich* i wielu innych jeszcze? Naszéj też młodzieży i naszym potomkom niezabraknie pięknych w nowszéj literaturze wzorów: z rozkoszą oni rozczytywać się będą w płodach dzisiejszych pisarzy, ucząc się z pożytkiem swobody stylu, czystéj mowy w *Chodżce*, *Kraszewskim*, *Konopackim*, *Sienkiewiczach;* wdzięcznego a pełnego apostolskiéj powagi krasomowstwa w *X. Chwalibogu*, *Trynkowskim*, *Krasińskim*, *Ważyńskim;* gładkich okresów a nie nadętych wyrażeń w *Grabowskim*, *Chołoniewskim;* zręcznych i pięknych obrotów myśli w *Jankowskim*, *Rzewuskim;* treściwości i mocy w *Mickiewiczu*, *Wiszniewskim ;* miłych barw przedmiotowéj poezyi i udatnéj obrazowości egotycznych natchnień w *Ładzie Zabłockim*, *Strzelnickim*, *Janiszewskim*, i t d. Długi byłby szereg naszego czasu Pisarzów, u których stary nasz język w rodzinnéj mocy swojej bez wpływu obcych dyalektów, jak westalski przechowuje się ogień. Po cóż więc.......

— Hola, hola P. Lubarski, zalejecie nas potokiem wzdętych morałów. Jeszcze chwila a gotów byłeś wyrecytować nam: „gdy się sparzysz od ognia, gdy biegając upadniesz, lub robiąc co nożem okaleczysz się i t d. Gotoweś nareszcie powiedzieć, że *Bejła* to tuzinkowy pisarz, że młody *Soplica* to partacz, że *Tetera* to nie Literat, nie krytyk, nie Bibliograf.

— Przepraszam P. Orszę, niemiałem wcale zamiaru moralnéj dawać nauki. Wszakże tego je-

stem zdania, że gdybyśmy sobie często powtarzali tę lekcyą z 1-ej klassy „*gdy się sparzysz od ognia* i t d., ostrożniejsi bylibyśmy i dla siebie i dla drugich. A co do autorów, o których Pan wspomniałeś, to mojém zdaniem Pan młody Soplica tak ojczystéj zasłużył się Literaturze, iż moja nędzna pochwała byłaby tu zbyteczną, a nagana czczą fanfaronadą. Nie wchodźmy czy te płody są ojca lub syna? Najpewniéj, że oba ojczystą wzbogacili niwę. I to wielka zasługa, że syn nie zmarnował takiéj po ojcu spuścizny. Do nas należy wdzięczność okazać, a oni ten dar publiczny, na odpowiedne między sobą schedy niechaj dzielą. O *Bejle* tyle rozprawiano, jak o żadnym za dni naszych autorze. I moje zdania z innémi się pomieszały. Nikt mu nie zaprzeczy bogactwa w myślach i słowach. Ależ znowu ta nieszczęśliwa łatwość wysławiania się gmatwa nie raz pierwiastkowe założenie. Na jednéj *np.* karcie powstajemy wraz z autorem przeciw pojedynkóm; nabywamy przekonania o niesprawiedliwéj walce honoru z życiem; na drugiéj zaś pragniemy zabójczego ciosu i narzekamy dla czego się krew nie leje? Tam wyczytaliśmy że *Sokrates* stał się godnym kary śmierci, bo ojczyzna przezeń zagrożona była niepokojem; wkrótce atoli mniéj surowi, oskarżycieli Sokratesa potępiamy, i nawet w szczerém ku niemu współczuciu ratować go chciwi jesteśmy. Wiele jest miejsc podobnych, zawsze jednak arcy pięknie oddanych. O *Teterze* nie warto jeszcze

mówić, bo go nie znamy. Licha próbka w Tygodniku wcale go nie zaleca. Nie *Biblograf*, bo widocznie tych dzieł nie czytał, z jakich niby to sprawę zdaje i je wypisuje. Nie *krytyk*, a tylko *facecyonat*, to ogromna różnica. Wielkim jest zwolennikiem rachunkowości, gdyż obliczyć nie zaniedbał sześćdziesięciu pięciu mężow krzemienieckich; co trochę wymagało czasu. Może taka scisłość w krytyce potrzebna, kiedy czytaliśmy recenzyą obliczającą 137 razy opuszczone *się*, *w. Witoldowych Bojach* Kraszewskiego (*).

(*) Pan Kaczkowski pisząc ten list zostawał snadź w przekonaniu, jak i każdy z nas, że wspomniona tutaj recenzya *Witoldowych bojow*, pochodzi z téj saméj pracowni, co i inne Tygodnikowe przeciw Kraszewskiego artykuły. Recenzya ta okazała się istotnie nader dogodną dla *koteryi tygodnikowéj* i, jako taka, użytą została przez nią prawdziwie po *Kuchmistrzowsku*. Ale potrzebaż było zachwycić się tą z nieba spadłą manną tak dalece, że nikomu z téj szanownéj koteryi niepowstał w głowie wzgląd na prawo własności? że za nic poczytano przyjacielskie porozumienie się i wszelki układ z Autorem? — Ta nierostropność zepsuła całą machinę! Wiadomo teraz, że prawdziwym autorem w mowie będącéj recenzyi jest P. *Jan Czeczot*. Człowiek mający w pogardzie wszelkie sekciarstwo, jakkolwiek niedostatni, musiał wyłożyć koszt na osobne wydanie swego krytycznego pisma, kiedy podobało się komuś, pomimo urzędu wzbudzającego ufność, postąpić z tém pismem najniegodziwiéj, mianowicie, powyrzucać zeń, co stanowiło istotę krytyki, a pododawać cz cze kon-

Duch to czasu podkłada wszędzie rachunek matematyczny i jego rządzi się formą. Wszak nasi autorowie, zdolności, myśli, chęci, postępki, nawet samych ludzi na *dodatnych* i *odjemnych* dzielą. Z czasem mogą się uprzykrzyć te wyrazy a wyjdą na scenę ludzie *elektryczni* i *ciepl ikowi* z takiemiż zdolnościami. Nie głęboki z *Tetery Literat*, kiedy mowiąc o *Bejle* niebył w stanie wypisać, co ten autor wziął z *Bonalda*, z de *Maistra*, co z *l'Université Catolique*, z X. *Lamennais* i t. d. Może zapomniał, a może i niewiedział. Czemuż czystego stylu, jędrności w mowie nie pochwalił? Azaliż to nie wielka w Literatürze zasługa?

— Basta! klasnąwszy w dłonie odezwie się P. *Machnowiecki*. Mówcie co chcecie, ale to już nadto. Na każdéj hecy literackiéj, zawsze *Bejłę* na lince przepuszczacie. Jakiem poczciw, są tam łepskie rzeczy. Zapolował obławą na Bałagułow i wypłoszył ich do nogi. Ja sam byłem w tém Państwie Dygnitarzem, i mnie się harapem dostało, to i dobrze; dziś prawdę mówiąc, mam więcéj czasu dla kiążki, dla domu i przyjaciół. Niech by tak zawsze P. Bejła z powagą

---

cepta i sarkazmy, o jakich ani się śniło Autorowi. Mamy przed sobą broszurkę P. Czeczota i sądzimy, że każdy z czytelników *Gwiazdy* podzieli nasze oburzenie postosowawszy ją z tą arlekinadą, która ma miejsce w ostatnim 100 Nrze Tygod. Peters. z r. 1845.

(Wydawca).

wprawnego jezdzca na dzielnym występował rumaku, chętniebyśmy przed nim uchylali czapki i z drogi z uszanowaniem ustępowali. Ale kiedy dzikiego tabuńczyka dosiędzie i tręzelką go nie ujmie i w step popędzi — o, bywaj zdrów! już tam i ziemię poporze i brudnym kurzem wszystko zasypie. Nie pamiętam szczegołów dzieła. O *Pojedynkach*, o *Sokratesie* jak gdybym nie czytał. Jest tam coś *o przeszłości, terazniejszości* i *przyszłości;* takie *salto mortale*, prawdę mówiąc, niebardzo mu się udało. Jabym mu z naszym dudarzem Tymkiem tak zaśpiewał:

Szcze czas, ni pył, ne ster z mohył
Wełykich dił!

A jeśliby kto chciał koniecznie po dzikim stepie bez wieści gonić, tak bym mu przy drumkaniu kozaczéj bałabajki zanucił:

Hulaj kozacze po szerokim poli,
Jak nahulajeszsia tyszkom dowoli
Toj dorożeńku zatratysz!
Toj do domońku netrapysz!

Ja z moim chorym spojrzeliśmy na siebie, głowami potrzęsli i rozstali uścisnąwszy dłoń dłonią. Wyszedłem a rozmowy i śpiewki ochoczéj kompanii długo jeszcze głośném echem rozlegały się po ulicy.

Nucąc sobie drogą tylko co zasłyszane piosenki, pomyslałem: ot czego to złośliwi ludzie nie wymyślą, a złe języki nie wygadają!

Nie wierzę temu wszystkiemu kochany P. Józefie, chyba że w waszym literackim kodexie

wszystkie kontrabandy są wolne i godziwe. Alboż to autorskie myśli spotkać się z sobą, łeb w łeb uderzyć się i guza na pamiątkę złapać nie mogą? Mnie się zdaje, im więcéj kto ma pamięci, tém więcéj takich guzow odbierze i z czasem, jak sękowaty kij, jak koń kontrabandowemi jukami najeżony, chodzić będzie. To nie jego wina. Liczba ścisle originalnych myśli nie wielka. Na jednym wątku, w różny deseń kłębek uwijać można. Gdyby chciano poddać pod ostry skalpel analizy będące dzisiaj w obiegu myśli i zdania różnorodne, możeby ich summę do najszczuplejszéj liczby kardynalnych pewnikow zredukowano. Za pogańskich już czasów byli mędrcy, których filozofia tchnęła czystą prawdą o istności Boskiéj, o nieśmiertelności duszy; bo Bóg potęgą i łaską swoją oświecał zawsze pragnących się oświecić: a co owi mędrcy powiedzieli, to wieki przepisują ciągle.

Nie moja rzecz o filozofii prawić, ani też odważam się wchodzić do téj świątyni; lubo dzisiaj każdy z profanow wciska się do niéj, jak do maskaradowéj sali — ten, aby konceptem nowym zabawić, ów, aby nie zrozumiałym zaintrygować frazesem, tamten znowu, by śmiałą hypotezą ściągnąć na siebie oczy Powszechności. Czcza to robota! Jutrzenka zdrowego sądu rozprasza światłem swojem mary kłamliwe i każdy z tych pedantów wraca dniem do domu mizerniejszy na ciele, słabszy na umyśle, bo czas swój bez posiłku i nie wiedzieć po jakiemu zmarnował.

Ja wolę zwyczajnym trybem o prostych dotykalnych rozprawiać rzeczach. Mniemam nawet, że na téj drodze niebrakłoby zasiłku dla talentu i geniuszu. Cóż z tego, że obok mnie toczyła się rozmowa, mająca w sobie cały urok drammatycznéj akcyi? Gdybyś ty był P. Józefie na mojém miejscu, rzuciłbyś pędzlem biegłego artysty stosowny światłocień na ten towarzyski obrazek i wyszłyby z pod twojéj ręki gruppy wyrazistych form pełne czynnego i biernego życia, słowem, miałbyś czém i zabawić i nauczyć Publiczność. A ze mnie co za korzyść? Jak prosta machina stenograficzna oddałem tylko jota w jotę nie szykowną gadaninę i na tém koniec. Komu braknie tworczości, kto myśli i słowa ważyć musi na szali poziomego empirycznego sądu, niechby rzucił na zawsze pióro autorskie, bo każde jego pismo nudy tylko i niesmak rodzić może. Mnie też przystało prostym być kopiistą. Tak nędznéj robocie nieodmawiaj przyjacielskiego względu. Przebaczysz także, że ci nie mało czasu zabrałem. Unudziłeś się, to prawda, ale tą razą przynajmniéj nie posądzisz mnie o lenistwo. Najwięcéj mi chodziło o to, aby ta moja do pisania ochota wzięta była na rachunek przyjaźni i szacunku, jakie mam dla kochanego P. Józefa.

Karol Kaczkowski.

Berdyczów.

D. 12 *Lutego* 1846.

PRZYPISY.

1) Oto jest dokładny program nauk dawanych w Krzemieńcu.

We czterech jednorocznych klassach wykładane były:

Nauka Religii uczniom Rzymsko-katolickiego wyznania. (X. Bazyli Sobkiewicz, Kanonik Katedralny Łucki. X. Prokop Krzywicki, Kaznodzieja szkolny, zakonu Kapucynów Kapłan. X. Jan Kulikowski, Kanonik Katedralny Łucki, teraz Prałat i Rektor Duchownego Katolickiego Żytomirskiego Seminaryum).

Nauka Religii uczniom Greko-Rossyjskiego wyznania. (X. Ciechocki, X. Rafalski, teraz Metropolita Sankt-Petersburski i Nowogrodzki).

Język Łaciński. (Franciszek Olędzki, Józef Mikulski, Alexander Bartoszewicz).

Język Słowiański i Rossyjski. (Michał Bułowski, Antoni Strzelecki).

Język Polski. (Franciszek Olędzki, Józef Mikulski, Alexander Bartoszewicz).

Język Niemiecki. (Antoni Malawski, Cyrylli Błoński, Jakób Serwatowski, Józef Michalski).

Język Francuzki. (Paweł Jarkowski, Karol Lefort).

Nauka moralna. (Paweł Jarkowski, Karol Lefort, Jakób Serwatowski).

Geografia nowożytna. (Antoni Malawski, Cyryll Błoński, Karol Lefort, Józef Michalski).

Historya starożytna. (Cyryll Błoński, Jakób Serwatowski, Józef Michalski).

Arytmetyka. (Antoni Strzelecki, Wojciech Zborzewski).

Geometrya Euklidesa. (Wojciech Jarkowski, Grzegorz Hreczyna, Wojciech Zborzewski).

Cztery te klassy jednoletnie składały niejako szkołę przygotowawczą do trzech dwuletnych kursów stanowiących wyższe trzy oddziały umiętności, nauk i sztuk pięknych, odpowiadały zaś etatowym Gymnazyom.

W kursie pierwszym, drugim i trzecim Oddział Umiejętności fizyczno-matematycznych: —

1. Geometrya teoryczna. (Wojciech Jarkowski, Grzegorz A. Hreczyna).
2. Trygonometrya płaska. (Wojciech Jarkowski, Grzegorz A. Hreczyna).
3. Geometrya praktyczna. (Wojciech Jarkowski, Grzegorz A. Hreczyna).
4. Geometrya praktyczna dla uczniów szkoły skarbowych geometrów. (Wojciech Jarkowski, Andrzéj Szemega, Alexander Sawicki).
5. Topografia dla tychże. (Wojciech Jarkowski, Andrzéj Szemega, Alexander Sawicki).
6. Algebra. (Mikołaj Czarnocki, Stefan Wyżewski, Grzegorz A. Hreczyna).
7. Wyższa Matematyka. (Józef Czech, Michał Sciborski, Stefan Wyżewski).
8. Trygonometrya Kulista. (Karol Jentz).
9. Geografia fizyczno-matematyczna. (Karol Jentz).
10. Geometrya wykreślna. (Franciszek Miechowicz).
11. Mechanika teoryczno-praktyczna. (Franciszek Zaliwski, Franciszek Miechowicz).
12. Architektura. (Franciszek Miechowicz).
13. Balistyka. (Franciszek Miechowicz).
14. Fizyka experymentalna. (Mikołaj Witwicki, Jan Łuczyński, Karol Jentz, Ignacy Abłamowicz).
15. Chemia. (Franciszek Scheidt, Tadeusz Szostakowski, Stefan Zienowicz).
16. Mineralogia. (Franciszek Scheidt, Tadeusz Szostakowski, Stefan Zienowicz).
17. Technologia. (Stefan Zienowicz).
18. Zoologia. (Wilibald Besser, Antoni Andrzejowski).
19. Botanika. (Wilibald Besser, Antoni Andrzejowski).
20. Ogrodnictwo. (Karol Witzel).
21. Agronomia teoryczno-praktyczna. (Michał Kajetan Fryczyński).
22. Hygiena. (Karol Kaczkowski).
23. Wakcyna. (Wojciech Majewski).
24. Meteorologia. (Jan Łuczyński, Karol Jentz, Ignacy Abłamowicz).

Oddział umiejętności moralno-politycznych w kursie pierwszym, drugim i trzecim.

1. Prawo natury. (Antoni Jarkowski, Michał Choński).
2. Prawo Narodów. (Antoni Jarkowski, Michał Choński).
3. Ekonomia Polityczna. (Antoni Jarkowski, Michał Choński).
5. Statystyka powszechna. (Michał Choński).
5. Prawo Polsko-Litewskie. (Ignacy Ołdakowski, Józef Jaroszewicz, Alexander Mickiewicz).
7. Prawo graniczne Polsko-Litewskie. (Wojciech Jarkowski).
8. Prawo graniczne Rossyjskie.. (Alexander Sawicki).
9. Prawo Rzymskie. (Ignacy Ołdakowski, Józef Jaroszewicz, Alexander Mickiewicz).
10. Encyklopedya Prawa. (Alexander Mickiewicz).
11. Historya każdéj z tych Umiejętności i Literatura.

Oddział Literatury i nauk pięknych w kursie pierwszym, drugim i trzecim.

1. Język i Literatura Grecka. (Michał Jurkowski).
2. Encyklopedya filologiczna. (Tenże).
3. Starożytności Greckie. (Tenże).
4. Język i Literatura Rzymska. (Euzebiusz Słowacki, Aloizy Osiński, Maxymilian Jakubowski).
5. Oddzielnie : (Teodozy Sierociński).
6. Język i Literatura Słowiańska. (Jan Alexandrowski).
7. Język i Literatura Rossyjska. (Tenże).
8. Język i Literatura Polska. (Euzebiusz Słowacki, Aloizy Osiński, Aloizy Feliński, Józef Korzeniowski).
9. Język i Literatura Angielska. (Jerzy Forster, William Rose, Józef Mikulski).
10. Język i Literatura Francuzka. (Karol Gerlache, Antoni Planson). Oddzielnie : Teodozy Sierociński.
    A). Historya każdéj Literatury.
12. Geografia starożytna. (Joachim Lelewel, Karol Mirowski, Józef Uldyński).
13. Chronologia. (Józef Uldyński).
14. Historya powszechna. (Karol Mirowski, Józef Uldyński).
15. Historya Polska. (Józef Uldyński).

16. Historya Rossyjska. (Jan Alexandrowski).
17. Grammatyka powszechna. (Michał Sciborski, Paweł Jarkowski).
18. Bibliografia. (Paweł Jarkowski).
19. Psychologia. (Michał Wiszniewski).
20. Logika. (Mikołaj Czarnocki, Michał Wiszniewski).
B). Historya każdéj nauki.

Oddział sztuk pięknych.

1. Rysunek i Malarstwo. (Józef Pitschmann. W oddziale drugim: Jan Królikowski, Antoni Andrzejowski, Bonawentura Klembowski, Filip Pawłowski, Xawery Kaniewski).
2. Kaligrafia. (Puchalski).
3. Muzyka. (Lenzi; Rolle, Waniauczek, Beyer).
4. Tańce. (Graumann, Szlancowski).
5. Fechtunki. (Roussel).
6. Konna jazda. (Audibert, Olszański).
7. Pływanie. (Domkowicz).

2). (Od Wydawcy). Szanowny nasz Korrespondent *z miasteczka nad Teterowem*, słusznie, jak i wszyscy znający z bliska P. Kaczkowskiego, oburzony paskwilicznym listem Petroniusza Tetery, niezwłocznie po ukazaniu się tego listu w kolumnach Tygodnika, skreślił w obronie P. Kaczkowskiego artykuł i posłał go do zalecającego się zwykle *zamiłowaniem prawdy i ścisłą bezstronnością* P. Przecławskiego; ale o tym artykule, jak i o wielu innych nam wiadomych powszechnego interessu pismach; żadnéj nie było wzmianki w Tygodniku. Dla czegoż ? ? ? Niewdajemy się w dociekanie istotnéj takiego postępowania przyczyny, która może być absolutem za głęboko ukrytym, lecz składając szczére dzięki wspomnionemu naszemu korrespondentowi za udzielenie nam w tak szlachetnym celu napisanego artykułu, chętnie dajemy tutaj z niego, jako stosowny do textu excerpt, biograficzny rys P. Karola Kaczkowskiego. Oto on. „Gdyby Pan Tetera sumiennym był człowiekiem, to w najgorętszém nawet usposobieniu do drwinek i facecyj byłby się zastanowił, azali P. Kaczkowski jest jednym z tych ludzi, których godzi się dotykać podobnego rodzaju bronią? — I starałby się poznać

process jego życia, jego biografię, w czém żadnéj niemiałby trudności; bo ten człowiek pomiędzy nami wzrósł, pomiędzy nami wychował się, a poczciwie żyjąc i służąc ludziom nabytemi wielką pracą wiadomościami, pomiędzy nami okrył się śrzonem sędziwego wieku. Znają go nasze prowincye, równie jak Litwa, Warszawa, Prusy, Galicya, i jeżeli Pan Tetera niechciał, czy niemógł w swoich Sutorowiczach dowiedzieć się, kto to jest Kaczkowski? to ja mu to w krótkości opowiem. Był on naprzód uczniem Lyceum krzemienieckiego, gdzie pilném przykładaniem się do nauk i wzorową obyczajnością pozyskał przyjaźń swoich Nauczycieli i miłość samego Czackiego. Skoro zaś ukończył nauki w tém Lyceum, wnet dogadzając chęci wyższego siebie ukształcenia, podał się jako ubogi na koszt skarbowy do Uniwersytetu Wileńskiego. Tam dopiero powołanie swoje odgadł i poświęcił się już wyłącznie nauce lekarskiéj. Zawsze najprzykładniejszy z uczniów, zawsze pilny i zamiłowany w pracy, zjednał sobie i tam serca wszystkich Professorów dotyla, że go kochankiem, pieszczotą swoją nazywali. Już w owym czasie musiał on odznaczać się pięknémi skłonnościami duszy i szlachetnością uczuć, kiedy uwielbiona nasza autorka Tańska tak chlubnie o nim wspomniała w powieści swojej: *Zielony woreczek*, a Professorowie radzi go byli utrzymać przy Uniwersytecie. Po ukończeniu nauk i otrzymaniu stopnia Doktora potrzeba mu było iść wysługiwać się Rządowi za koszta podjęte, gotował się właśnie ochoczo, z zapałem pięknéj jego duszy właściwym, do nowego w służbie Rządowéj przeznaczenia, kiedy koledzy krzemienieccy, którzy znali licealną jego młodość, którzy słyszeli o jego pracach w Uniwersytecie, albo sami tam patrzyli na jego postępy w naukach, z własnego natchnienia zrobili składkę i zaspokili koszta przez Rząd na niego wyłożone. Powrócił więc Kaczkowski, jako dłużnik przyjaźni, do Krzemieńca, gdzie godnie wywiązywał się z obowiązków swego stanu przez lat dziesięć. Następnie kiedy zabrakło w Uniwersytecie Warszawskim Professora praktycznéj Medycyny, zaproszony był na tę znakomitą posadę sławny z nauki i filantropii Józef Frank, który tyle się zasłużył Państwu Rossyjskiemu usposobieniem dobrych Lekarzy. Czcigo-

dny ten mąż niemogąc starganych sił swoich obciążać nową pracą czuł się w obowiązku wskazać godnego siebie zastępcę, tym był ulubiony uczeń jego Karol Kaczkowski, z którym nieprzerwaną utrzymywał korrespondencyę. Zaproszono więc urzędowie Kaczkowskiego, do czego dołączone były prywatne nader pochlebne nalegania Ministra Oświecenia i samego Franka z żądaniem, by najkorzystniejsze dla siebie warunki ułożył. Ale nieszło mu bynajmniéj o pieniądze, które były rzeczą zawsze od jego woli zależną, wymawiał się od tego nowego zaszczytu; bo mu żal było przyjaznych stosunków, bo serca ludzkie za najdroższy swój skarb uważał. Przyjaciele wdzięczni za prace i poświęcenia się Kaczkowskiego znaleźli porę okazania mu bezinteressownych swych życzeń usilnie prosząc go, aby na obszerniejszą sferę przeniosł swoje talenta. Niełatwo go było nakłonić, niechciał cichego a wdzięcznego Krzemieńca na zgiełk i świetną wystawę stolicy, a doświadczonych przyjaciół na nowe mieniać znajomości; skromny w sobie nieubiegał się za zaszczytami, do których wszędzie miał pole otwarte. Dzień jego wyjazdu do Warszawy był dniem uroczystéj żałoby dla mieszkańców, młodzi szkolnéj i całéj okolicy Krzemieńca, wszyscy też wyprzedzali się w sposobach uczczenia go wyrazem powziętych ku niemu uczuć. Na świetnym wieczorze danym dla niego czytane były pożegnalne mowy przez Józefa Korzeniowskiego, Xawerego Godebskiego, Hilarego Zalewskiego, Jana Stępkowskiego i Bratkowskiego; przyczém składano mu kosztowne upominki ze stosownymi napisy. Powie może P. Tetera, że to była młodzież chciwa popisania się przy lada okazyi ze swojém krasomowstwem? pisano więcej, niż było warto? — Każdy przecież widzi w gronie tej młodzieży imiona zaszczytnie znane w literaturze, imiona osób, które ceniąc najszacowniejszy z darów Bożych talent myśli, nigdy go (nie mówię na krzywdę bliźniego, na spotwarzenie cudzej sławy), na najniewinniejsze nawet, a czcze, bez moralnego celu dowcipkowanie nieużywały i nieużywają. Niedługo zostawał Kaczkowski na nowéj posadzie; okoliczności zrządziły, że późniéj ciężkie przebywać musiał koleje, wszędzie atoli otaczały go sza-

cunek i przyjaźń, wszędzie od osób, z któremi żył, najczulszéj doznawał życzliwości, a w wysokich Urzędnikach i Dygnitarzach Państwa, chętnych miał zawsze, gdy tego potrzeba było, protektorów. Dzisiaj zamieszkał on w Berdyczowie, zawsze ten sam, jaki był w młodości, oddany całą duszą świętemu swemu powołaniu wspierania cierpiących współbliźnich i cieszy się w zupełności owocem cnotliwych swoich trudów, bo najzaszczytniejsza opinia, szczére poszanowanie ludzi jego stanu, modły i błogosławieństwo ubogiego ludu, słowem miłość powszechna wszystkim jego krokom towarzyszy." Najmocniéj przepraszamy czcigodnego P. Kaczkowskiego za utajenie przed nim tego artykułu. Wiemy, przekonani jesteśmy, że przez zwykłą sobie skromność nigdyby niezezwolił na ogłoszenie go drukiem; ale my, wziąwszy raz za zasadę: *wyświecać wkradające się w piśmiennictwo nasze nadużycia moralne i umysłowe*, niemogliśmy takiego argumentu *ad rem* zostawić na stronie. Zresztą niech raczéj na nas spada odpowiedzialność z winy nader gorliwego trzymania się głównéj naszéj zasady, niż gdyby kiedy miało nam wyrzucać sumienie, że mając podaną sobie broń do odparcia jawnego jakiego fałszu, przez jakikolwiek skrupuł użyć jéj zaniedbaliśmy.

3). W roku 1818 Xiąże Adam Czartoryski, ówczasowy Kurator Wydziału Wileńskiego, obecny temu obchodowi, pełną życia i serca miał mowę, w któréj, wynurzając ile ś. p. Czacki współziomkom swoim przyniosł usług i pożytku, ile Wołyń i inne Polski południowe prowincye winne są jemu, iż wśród nich powstał przybytek obywatelskiego światła, tak nareszcie wdzięczność swoją wyraża: „Znamieniem jest ludzi „wyższego rzędu, że dzieła ich nie są ograniczone „krótkim ich na téj ziemi pobytem; lecz że trwają „długo jeszcze po ich zejściu i przez następne dobro- „czynne skutki przechodząc od pokolenia do pokolenia, „niedozwalają, aby imie pierwszego sprawcy kiedykol- „wiek przepomniane było. Ta najwyższa ziemska na- „groda, któréj Czacki słusznie najżywiéj pożądał, stała się „już jego własnością. Któryż z Polaków nieoddaje mu czci, „uszanowania i wdzięczności? który z nas niejest mu o- „bowiązany, iż z jego przyczyny i z jego natchnienia

„ lepszym się ujrzał, poczuł się zdolniejszym do szla-
„ chetnych rozrzewnień i do szlachetnych czynów?
„ który Nauczyciel wspomniawszy o nim gorliwiéj się
„ niewziął do swoich obowiązków? który uczeń niepod-
„ woił uwagi i pracy, aby dalej postąpić w naukach
„ przez niego przepisanych? Tak jest: tu mianowicie
„ Czacki żyje i zawsze żyć będzie, tu jakby dotąd
„ przytomnym był między nami, zagrzewa on do nauk
„ i prowadzi do cnoty." Daléj zaś w tejże saméj mo-
wie tak do krzemienieckiéj szkoły przemawia: „ Bodaj-
„ by ta szkoła zawsze się rozumiała pod kierunkiem i
„ naczelnictwem swego założyciela; bodajby zakwitła
„ we wszystkie zalety, których on jéj życzył, a duch
„ jego prawy i obywatelski, jako święty ogień tu sta-
„ rannie chroniony, przechodząc rok po roku do serc
„ naszéj młodzieży nieprzestawał nigdy być częścią po-
„ wszechnego ducha!" —

4). Antoni Kamieński, uczeń szkoły krzemieniec-
kiéj, przy wprowadzeniu na urząd Dyrektora Wołyń-
skiego Lyceum Aloizego Felińskiego, następną miał mo-
wę: „ Mówiąc do Ciebie w téj Boga świątyni, gdzie
„ mi przychodzą na myśl same smutne wspomnienia,
„ naszą dzisiejszą radość wstrzymać muszę na chwilę.
„ Daleki jestem od obawy, że to, co powiem, będzie
„ tylko słabym hołdem dla wielkich czynów drogiego
„ Męża, które już potomność na łono swoje przyjęła;
„ idę bowiem za natchnieniem serca, jestem tłumaczem
„ chęci współziomków krzemienieckiego powiatu, którzy
„ w tym dniu uczcić pragną pamięć zasług Czackiego;
„ a nakoniec zniewalają mnie do tego wdzięczność
„ ucznia niegdyś téj szkoły i święte dla jej założycie-
„ la obowiązki, do którego grobowca najodleglejsze po-
„ kolenia ze czcią głęboką zbliżać się będą i tam łzę
„ najczulszą uronią." i t. d.

Eligi Piotrowski, uczeń tejże szkoły, późniéj Pre-
zes Sądu Głównego Cywilnego na Wołyniu, przy je-
dnym z corocznych żałobnych obchodów, w pięknéj
mowie wynurzył uczucia rodaków i swą wdzięczność.
W téj chwili niemam tej mowy pod ręką. —

PODOLANKA.

Nikt dziecka niekołysze, została pusta chatka.
Ojciec poszedł w komysze, w ogrodzie kopie matka,
A było jedno chłopie, poszło moczyć konopie,
Dwie siostrzyczki też bliźnie robią gdzieś na pańszczyznie.
Tak rozeszli się ludzie, a stary pies śpi w budzie.
Patrzy dziecko z kołyski, tańcują garki, miski;
Kociuba na łopacie jeździ sobie po chacie;
Ożog wyciągnął szyję, z konewki wodę pije;
Z obrazów lecą wianki, pisanki i kraszanki;
Na stoliku chleb skacze, z pieca lazą kołacze;
Wyrasta ciasto z dzieży coraz wyżéj i wyżéj,
Leje się po przypiecku . . — Wesoło, dobrze dziecku.
Smieje się, bije w pięty i przerabia rączęty.

Szary wieczór zapada. Z ogrodu matka wraca,
W piecu ogień rozkłada, — żiżi, żiżi; a caca —
I siada na przypiecku i piersi daje dziecku.
Skrzy się ogień do koła, warczy Kurta z pod stoła.
Przychodzi dziadek siwy, w ręku kostur ma krzywy,
Z boku torbę, a lira z poza pleców wyziera.
Patrzy dziecko ciekawie: dziad usiada na ławie,
Pomrukiwa piosenką, skrzypią kołki pod ręką,
Aż wierzch z liry odrzuci, kręci korbą i nuci.
Słucha dziecko piosenki; matka przędzie len cienki;

Leci z pieśnią wrzeciono, bucha ogień czerwono,
Iskrami czeluść pryska, z garków ukrop wytryska;
Brzęczy lira, dziad śpiéwa, dziecko nóżką w takt kiwa

Baj baju o Dunaju, o świętym Mikołaju.
Dziad wyciąga piosenkę, a już dziecko maleńkie
Snem się maże i łzami. Matka go całunkami
Uspokaja w kolebce, wciąż kołysze a szepce.
Snują się dziecku mary; to lira, to dziad stary;
Powtarza się dzień cały to czerwony, to biały.
Wróżka stoi nad głową i na główkę puchową
To pokadzi róż wonią, to posypie mak dłonią.
Drzémie matka schylona nad kołyską, ramiona
Roztacza nad dziecięciem, jako ptak nad pisklęciem.
Z niebieskiemi oczyma Anioł przy nich straż trzyma;
Rószczką żegna ich złotą i namaszcza prostotą.

Felix Wicherski.



O

DZIEŁACH EUGENIUSZA SUE

Z POWODU

Artykułu o *Żydzie tułaczu* umieszczonego w 1-m zeszycie Athenaeum z r. 1846.

Amicus Plato, amicus Aristoteles,
sed magis amica veritas.

Z prawdziwą przykrością przychodzi mi się rozróżnić w zdaniu z pisarzem, którego poważam i kocham, a rozróżnić się muszę, kiedy to zdanie dotycze się przedmiotu tak wielkiej wagi, jakiéj są dzieła Eugeniusza Sue. P. Kraszewski przyznaje temu Autorowi, że traktuje myśli socyalne i humanitarne: że je wykłada na drodze postępu ze stanowiska filozofijnego, nieodmawia mu wielkiego, potężnego talentu; głębokiego uczucia, prawdziwości niekiedy stylu, niekiedy poezyi i idealności; nakoniec niepospolitéj łatwości tworzenia; przyznając zaś to wszystko, co wyłącznem jest znamieniem płodów geniuszu, nieprzyznaje mu bynajmniéj tego świetnego tytułu. — Dla czego? bo dzieło jego, pod przybraną maską znienawidzonego jezuityzmu

jest wyraźną reakcyą przeciw duchowieństwu, katolicyzmowi, a nawet wierze wszelkiéj; którą jakoby eliminuje i za bezpotrzebną uważa. Z tego wszystkiego wnosi ostatecznie P. Kr., że romans *Żyd tułacz* ma dążność antireligijną, że takowa nigdy niemoże być przebaczoną autorowi, że wreszcie xiążka takiego ducha dla nikogo zdrowym być pokarmem niemoże, a jej autor w żaden sposób niemoże się nazwać *wielkim pisarzem*, ani nawet *uczciwym człowiekiem* (!!!). To było założeniem P. Kr.; tego jedynie, jak sam oświadcza, dowieść się starał; co do innych zaś warunków artystycznego utworu ograniczył się nader lekkiém i najmniéj nieuzasadnioném zdaniem, lubo sam przyznał, że w *Żydzie* kilka jest strón, które osobno widziane, rozważane i sądzone być potrzebują. Pod względem układu dzieło P. Sue ma być najniedorzeczniejszą w świecie machiną, w któréj tysiące rzeczy czepiają się na nitkach, a bohaterki i inne działające osoby dramatu wyglądają jak wertepowe lalki z wosku. Mimo to jednak *Żyd* jako powieść i romans, zajmuje, jątrzy ciekawość, *rozpala*; kobiecięta i młokosy (*sic*) dyszą niespokojni wlokąc się za PP. d'Aigrini i Rodin, lubo ci panowie są tylko *personaże najniesforniejszego fatrasu* (!!!). Żal, że P. Kraszewski zrobiwszy tak ważne zarzuty, niezgadzające się bynajmniéj z uprzednio przyznanémi zaletami, przepuszcza je bez dowodów jakby najjaśniejsze axiomata i idzie daléj a daléj pośród zdumienia czytelników, którzy jeszcze ochłonąć niemogli od czarodziejskiego wpływu genialnéj kreacyi. Jedyną rzeczą, którą argumentalnie niby rozstrzyga, a w istocie stara się tylko wmówić w swoich czytelników Autor artykułu, jest kwestya o Jezuitach. Mówi on, że Jezuici są tu tylko pokrywką, płaszczykiem; czczym pretextem;

że nie o nich tu wcale chodzi, bo we Francyi, pomimo groźnych artykułów w *Constitutionel i Siécle*, pomimo Donkichotowskich odezw P. Tiers'a, Jezuici zowią się pospolicie *Croque mitaine*, to jest strachem na dzieci, strachem bajecznym, którego się nikt oprócz wróbli nieboi. Dowodzi wreszcie, że Jezuici w najświetniejsze nawet czasy swoje, w wieku XVII, niebyli z całą swą siłą tak straszni, jakimi ich maluje dzisiaj Autor *Żyda tułacza*. Gdyby i tak było, to ten fakt nic więcéj niedowodzi, prócz niedołęztwa i ślepoty ludu, który wtedy dopiero zwykł brać się do badania przyczyn zgubnego wpływu, kiedy ten wpływ odznaczył się już w dziejach jego okropną katastrofą; a potém, dotychczasowe napady na Jezuitów ztąd jedynie pochodziły, że oni chcieli owładnąć kształceniem młodzieży, mieniem i sumieniem familji:— trzeba bowiem przyznać im pewien takt w postępowaniu, obrali oni zbyt szczupłą na pozór cząstkę, bagatelę, *trzy tylko rzeczy*, ale te trzy rzeczy mogły im z czasem poddać narody i świat cały. Że napady PP. *Michelet* i *Quinet* nie były bynajmniéj płonne, każdy to uzna odczytawszy ich dzieło (*Les Jesuites* 1. *vol. in* 18 *Paris* 1843); w tém dziele zawiera się następne miejsce. „Chociaż Jezuici zu-„pełnie, do szczętu zniesieni zostali w r. 1830, jed-„nakże, czego nikt nawet spodziewać się nie mógł, pow-„stali oni na nowo w 1843, i nietylko, że powstali, ale „podczas, kiedy pytano, azali są jeszcze Jezuici, oni już „odjęli nam bez trudności 30 do 40,000 xięży, przyprawili „ich o utratę gruntów i sam Pan Bóg wie, do czego ich „daléj doprowadzą. Czy są Jezuici? pyta jaki taki, wten-„czas, kiedy już oni przez swojego spowiednika rozrządzają „wolą jego żony, jego własnym domem; stołem, ogni-„skiem, a nawet — łożem, jutro będą już mieli wła-

„ sne jego dziecko. Wszystko to się dokonało w naj-
„ większéj tajemnicy, prawie w mgnieniu oka. Jezuici
„ blizcy już są tego, że będą mieli w domach swoich je-
„ zuitek (*de leurs dames*), córki z familij największego
„ wpływu w kraju; — rezultat ogromny, potrzeba było
„ tylko: umieć czekać. Te dziewczęta w lat kilka sta-
„ łyby się żonami; matkami. Kto posiadł kobiety, może
„ być pewnym, że w końcu posiędzie i męzczyzn. Je-
„ dno pokolenie i te kobiety miałyby już synów. Ale
„ Jezuitom zabrakło cierpliwości: pewne effekta wywar-
„ te z ambony, niejakie powodzenia w salonach, otu-
„ maniły ich tak dalece, że porzucili roztropne postę-
„ powanie, co dało im takie sukcessa. Zręczni pod-
„ kopnicy (*mineurs*) działający z taką szybkością pod
„ ziemią; chcieli również pracować pod otwartém nie-
„ bem.” Otoż jest właśnie, co wykryło ich byt i sta-
ło się powodem PP. *Michelet i Quinet* do energiczne-
go przeciw nim wystąpienia, do kłótni z uniwersyte-
tem, tudzież do wielu pamfletów rzuconych przez sa-
mych Jezuitów, którzy prócz tego oppozycyjny dzien-
nik założyli. Dziwna zaiste, że P. Kraszewski, czło-
wiek sumienny, miłujący prawdę, wziął na siebie obro-
nę Jezuitów i mówi, że historya ich jest w połowie
przesadzoną, że oskarzono ich o największe zbrodnie,
że tylko imaginacya wystraszonych ludów ukleciła z te-
go zakonu straszydło, rodzaj smoka krakusowego! A
chociaż nieprzeczy, że dowodzenia PP. Michelet, Qui-
net i Libri (*Lettres sur le Clergé*) gruntują się na
pewnych historycznych dokumentach i filozofijnych pew-
nikach, odwołuje się jednak do statutów zakonu, by
obalić jeden nic nieznaczący szczegół romansu, niepo-
mny na to, że te statuta zdolne są obudzić stokroć
większy wstręt, niż utwor genialnego Sue. Wszak sa-

ma tajemniczość tych ustaw, nakazana przez Aquawiwę, dowodzi głuchych knowań tego zakonu; wszakże, gdy pragska edycya tych instytucyj odkryła je powszechności, na ich to fundamencie parlament francuzki i władze sądownicze innych krajów skassowały ten zakon! Nie, Panie Kraszewski, nie nam-to bronić Jezuitów, nie w obliczu Ukrainy, przesiękłéj niewinną krwią ofiar piekielnego ich fanatyzmu i nie w Polsce nakoniec, gdzie oni pierwszą bez wątpienia i najdzielniejszą byli sprężyną moralnego upadku narodu! Napady na Jezuitów, napady silne, gwałtowne poczęły się od samego prawie ich nastania. Potępił był ich fakultet teologiczny paryzki; pisał przeciw ich moralności i polityce Pascal w swoich *Lettres provinciales*, powstawali przeciw nim Jansenisci i wszyscy myślący ludzie XVIII wieku, a na ich czele Wolter wyswiecił w swoich *Listach* fałszywość ich dokryny cytując całe wyciągi z ich kaznodziejów, missyonarzy i t. p.; wymownie też świadczy o ich przewrotności teokratyczny rząd zaprowadzony niegdyś w Paragwai. *Le juif errant* wiernym jest tłumaczem tego samego oburzenia, jakiém był przejęty Pascal pisząc swoje *Listy*, szczęściem, że *Żyd* w XIX w. niebędzie spalonym tak, jak były spalone ręką kata *Lettres provinciales*; dzisiaj nikt niezamknie ust prawdzie, zniszczenie *Port-Royal'u* niezniszczyło przeciwników Jezuitów; ostateczny, śmiertelny cios zadał im genialny Sue, najgorliwszy, jedyny prawdy i dobra publicznego Patron! U nas z powodu tegoż samego dzieła podniósł głos za Jezuitami X. Hołowiński (art. O fil. w stos. do cyw.); ale mój Boże, dla czegoż bronić sprawę piekła od dawna potępioną? dla czego chwalić zakon popełniający *ad majorem Dei gloriam* najszkaradniejsze występki, kiedy sam Papież Klemens XIV.

w swojéj kassacyjnéj bulli wymienił to wszystko, co im dzisiaj zarzuca Eugeniusz Sue? Teraz dopiero (i jakże w porę!) zebrało się wszystkim na miłość dla Jezuitów. Niektórzy prostoduszni ludzie (nie estetycy broń Boże, nawet nie autorowie!) tak się odzywają: „*Pan Eug. Sue pokoncepował sobie jakichś Rodenow, jakieś rude Panny, familię Rennepont, sukcessyę, jakiegoś żyda, któregobym nieprzyjął do siebie na arendarza i w téj bajce oczernił świątobliwy zakon Jezuitów; — a czyżto się godzi? a czyżto można wymyślać coś na kogoś bez żadnego fundamentu?! Chciałeś pisać o Jezuitach, pisz prawdę, pisz historyę, ale kłamać, ale wygadywać szkaradzieństwa na to szanowne, miłe Bogu Towarzystwo, to trzeba niemieć Boga w sercu, trzeba być łotrem in summo gradu* i t. d.” Czy Eug. Sue ma lub niema Boga w sercu i czy jest łotrem albo nie? tego nierozstrzygamy, ale tym Panom potrzebującym historyi zakonu chętnie odpowiadamy, że mogą ich znaleźć dostateczną ilość najobszerniejszych i najprawdziwszych, upewniając z góry, że w każdéj z nich OO. Jezuici występują z témże samém obliczem, co i u Autora *Żyda* (*). Zresztą co do samego tego

---

(*) Chcący się o tém przekonać niech czytają następne dzieła: *Linguet*: Histoire impartiale des Jésuites. *De Selvy*: Les Jésuites tels qu'ils ont été dans l'ordre politique, réligieux etc. 1815 1 v. in 8-vo. *Lesquine*: Résumé de l'histoire des Jésuites. *P. Ph. Wolff*: Allgemeine Geschichte der Jesuiten. *Boucher*: Histoire drammatique et pittoresque des Jésuites. Paris 1845. 2 v. gr. 8-vo. *J. Michelet et Edg. Quinet*: Les Jésuites. Paris 1844. *Genin*: Des Jésuites et de l'Université. *Desamy*: Du Jésuitisme vaincu par le socialisme. Paris, 1845. *J. Michelet*: Du prêtre, de la femme, de la famille, Bruxelles 1845 1 v. 18.
(Przyp. Aut.)

dzieła, zupełnie dla nas obojętną jest rzeczą faktyczność wyprowadzonych na scenę osób; nam wszystko jedno, czy oni oszukali Piotra czy Pawła; główna tutaj, czy samo oszukaństwo możebném jest w duchu zakonu? To właśnie pryncypalnie zajmowało Autora *Żyda tułacza.* Wziąwszy przed siebie *Ustawy zakonu*, według których sprawowali się Jezuici, okazuje nam w żywym obrazie, do czego one bezpośrednio prowadziły. Pod tym względem romans Eug. Sue jest dziełem historycznéj prawie ścisłości; wszędzie też w ważniejszych miejscach znajdziesz zacytowane ustawy zakonu, przepisy wielkiej wziętości ojców, manuały spowiedników, oraz powszechnéj głosności fakta. Dla tego właśnie sumienny Autor w konkluzyi swego dzieła oświadczył: „Nous avons supposé des membres de la compagnie de „Jésus, inspirés par les détéstables principes de leurs „*théologiciens classiques*, et agissant selon l'ésprit et la „lettre de ces abominables livres, leur catechisme, leur ru„diment, nous avons enfin mis en action, en mouvement, „en relief, en chair et en os, ces détéstables doctrines, „rien de plus rien de moins." A jeżeli komu potrzeba historycznych faktów, to te są jesze okropniejsze. Wiadomo z historyi, że gdy postępowania angielskiego króla Jakóba I. nieodpowiadały oczekiwaniom Papiezkim, to Jezuici zrobili plan wysadzenia go prochem wraz z całym parlamentem (1605), do czego namówili zbirów podobnych do tych, co spalili fabrykę P. Hardy. Historya daje świadectwo o zdradliwych knowaniach Jezuitów ku podbiciu Japonii, kraju, w którym największéj doznali gościnności, i że ta piekielna ich niewdzięczność spowodowała wytępienie przez samychże Japończyków nowonawróconych Chrześcian, oraz zamknięcie portów kraju dla okrętów wszystkich europejczyków, wyjąwszy

Hollendrów, którzy ten zamach odkryli. Całemu też światu wiadome sposoby opowiadania Ewangelii na wschodzie przez Jezuickich missyonarzy. Oni dla tém snadniejszego zaszczepienia chrystyanizmu w Indyach, Syamie, Japonii i Chinach usiłowali naciągać go do religii kraju i tłumaczyli tajemnice wiary odkupienia tajemnicami wiary buddyjskiéj, albo bramińskiéj; a ponieważ na wschodzie śmierć krzyżowa uważana jest za najhaniebniejszą, to i nieśmieli Jezuici opowiadać Boga ukrzyżowanego. Krzyżowa śmierć Zbawiciela była utajoną na wschodzie, a po kościołach krzyż miał miejsce gdzieś w kryjówkach, po za ozdobami; tak więc duchowieństwa mianujące się Towarzystwém Chrystusowém wstydziło się, zaparło swojego Mistrza ukrzyżowanego! w tych ogołoconych z krzyża świątyniach mieli swoje ołtarze i posągi Budda, Konfucyusz, tam były wyobrażenia planet, którym również cześć bozką oddawano. Papieże oburzeni ciskali ze swéj stolicy grom po gromie, aby zniszczyć to bałwochwalstwo, w końcu zaś; kiedy ani listy pastérskie ani bulle nie niesprawiły, wysłany został w osobie Papieża do Makao Kardynał Karol Tomasz Maillard de Tournon z wyraźném poleceniem wzbronienia na miejscu Chińskich obrzędów, czci Konfucyusza, planet i t. d. ale coż? na zaniesioną do rządu skargę przez Jezuitów, Namiestnika Papieża wtrącono do więzienia w Makao, gdzie on po trzechletniéj niewoli w r. 1710 życia dokonał (*). Wszak niesą to ża-

(*) Ten sam Kardynał de Tournon powiedział o Jezuitach: „Quand les démons seraient sortis de l'en-„fer pour venir à Pekin, ils n'auraient rien fait de „pis contre la réligion et le Saint-Siège, que ce qu'ont „fait les Jesuites."—

dne tajemnice, znajdziesz te fakta w każdéj lepszéj historyi Kościoła, a zawiązek pomienionego sposobu missyi w przepisach O. Laeneza, następcy Ignacego, który nakazuje uczyć teologii *zastosowanéj do ducha czasu*, więc zapewne i do miejsca. O. Norbert kapucyn w swoich *Mémoires historiques* (T. V. ed. in 4-to) mówi, że missyonarze *Societatis Jesu* tyle popełnili przestępstw w Kochinchinie i Tonkinie, iż Wikaryusze Apostolscy popięćkroć kazali im w imieniu Papieża opuścić obie te missye. Przez Brewe Innocentego XI i Klemensa XIII potępione zostały bałwochwalcze praktyki jezuickich missyonarzy w tych krajach; a Innocenty XIII. w roku 1723 wyraźnie uznał Jezuitów za zakon, który stał się szpiegiem, siepaczem, katem innych missyonarzy, prałatów- i wikaryuszów stolicy apostolskiéj na wschodzie. Zarzucają też *pobożnym* synom Lojoli zamach na życie Henryków III. i IV, oraz Wilhelma Xięcia Oranii i Ludwika XV. Słowem, mając przed oczyma to wszystko, co dzieje o Jezuitach podają, przyznać potrzeba, że słusznie powiedział o nich w *Żydzie* Faringhea dusiciel, „*Oh cette société*! *Bohwanie n'est rien auprès d'elle*!" Sprawa Jezuitów oddawna potępiona! Oddawna oceniony już został *niemoralny* ich system *moralności*, którego jako machiny do osiągnienia władzy i zabezpieczenia wszystkich dla siebie korzyści używali. Konfessyonał Jezuicki, żadnéj niemający styczności z bozkimi przymiotami Chrystusa, nosił na sobie wszystkie znamiona oblicza Judasza; pod zarządem tych mnichów stał się on przybytkiem obłudy, przewrotności i wszelkich występków, bo owocem spowiedzi było samo zepsucie, same szkarady wyuzdanych namiętności. I takimto ludziom powierzone było niegdyś wychowanie młodzieży, ba i w nasze czasy, kilka lat temu, we Francyi partya ich

toczyła spór z uniwersytetem w celu utrzymania wpływu duchowieństwa na publiczne wychowanie!.. Artykuł P. Kraszewskiego, usiłujący w imię religii wzbudzić wstręt ku dziełu Eug. Sue, skuteczniéj wpłynąłby na umysły czytelników Athenaeum, gdyby sprawa katolicyzmu niebyła tak ściśle połączoną ze sprawą nienawistnego towarzystwa: nie, wiara Chrystusa nic wspólnego mieć niemogła z chytrością, przeniewierstwem i egoizmem, które widne były we wszystkich postępkach Jezuitów! P. Kr. przypisuje zakonowi utrzymanie katolicyzmu?? *per Deum omnipotentem*! a możnaż w podobne ręce powierzać sprawę tak wielkiéj wagi, — sprawę zwłaszcza, nad którą sam Chrystus przyobiecał czuwać do skończenia świata? Autor artykułu niepojmuje, dla czego Sue raz najdobrańszemi słowy chwali katolicyzm i naukę Chrystusa, drugi raz pisze jak gdydy się znęcał nad niemi? — Nie! znęca się on nie nad duchem wiary Chrystusowéj wiejącéj czystą abnegacyą i miłością ludzkości, lecz nad témi maskami poczwarnémi, które ukrywać starają się bozkie oblicze Zbawiciela! on je całym entuzyazmem nienawiści prześladuje, bo niechce znać téj podwójnéj nauki synów Lojoli, gdzie twarz szatana czepia się postaci Cherubinów, a *pia fraus* zbrodniami piekła zabezpiecza dobro cnoty, zbawienie! Fanatyzm niejest wiarą równie, jak nienawiść ku Jezuitom i ich przewrótności niejest natrząsaniem się z cnoty i przykazań bozkich — przykazań, brzmiących nieziemskim głosem w piersi każdego chrześcianina, które też sam Chrystus dał braciom swoim, by ich uczynić synami bozkimi. Nie! Sue pojął głęboko swoje zadanie, namiętnie, wziął je do serca, i to jest właśnie żródlisko, z którego się wylały utwory jego namaszczone wysoką myślą filantropii, miłością cnoty,

prawdy i dobra całéj ludzkości. Wbrew przeto zdaniu P. Kr. nazywamy Eug. Sue genialnym pisarzem ucywilizowanego świata i bynajmniéj niemyślimy mu odmawiać przymiotu *uczciwego człowieka*! P. Kr. mówi, że *Mystéres de Paris* żadnego w praktyce niemiały znaczenia, obwinia autora o marzycielstwo, utopię i t. p. — Przecież wiemy, że zaledwo to dzieło wyszło, a już starano się przywieść do skutku wskazane w niém środki pomocy biednym. Już ukazał się był dzienniczek, *La ruche populaire* pod redakcyą rzemieślników, jako organ, przez który ta klassa ludu objawiała swoje umysłowe potrzeby, swoje położenie, oraz przedmioty z bliska ją obchodzące co do organizacyi pracy, ograniczenia współ-zawodnictwa, taryfy płacy i t. d. w tém pismie nakoniec czynione były każdomiesięcznie wezwania o wsparcie najbiedniejszych z téj klassy do klassy wyższéj, któréj przedstawicielem był w *Tajemnicach Paryża* Xiąże Rodolf. W liście Eug. Sue do Wydawcy Dziennika *des Débats* umieszczonym na końcu dzieła czytamy, że w Bordeaux i Lyonie wiele bogatych a miłosiernych osób starało się uskutecznić projekt banku bezprocentowéj pożyczki dla rzemieślników bez zatrudnienia zostających. Być może, wszystkie te myśli zbawienne bez skutku pozostały; lecz jeśli dziennik wyrobników ogłaszając o nader smutnym stanie téj klassy ludu zaradził gwałtownym potrzebom choć jednéj familii, ocalił życie choć jednéj osoby, to bez wątpienia zasługa z tąd przynależna autorowi *Tajemnic Paryża* więcéj mu przynosi chwały, niż wszystkie razem zebrane panegiryki. I takiego-to człowieka odważają się posądzać o złe intencye, a nawet *nieuczciwym* nazywają!!?. Eugeniusz Sue jest przedewszystkiem synem swego wieku z sercem ogrzaném silną miłością ludz-

kości; ta miłość wiedzie go do filozofijnych badań i głębokich zaciekań się, których rezultaty wystawia on już ostatecznie, jako artysta-poeta. Z tąd wpływ jego nierównie jest dzielniejszym od środków zostających w mocy socyalistów i filozofów. I dzięki czasom, że doszły do tych kwestji, dzięki geniuszowi, który pojąwszy te kwestye namiętną duszą, tak żywo je przedstawia w akcji! Niezaprzeczamy, że wiek XIX rozsnuwa dalej pasmo racyonalnej myśli, że Eug. Sue, jako dziecko wieku, traktuje wszystkie zagajone kwestye rozumowie, że w idei chrystyanizmu niejest on ściśle prawowiernym: — ale czyż może to służyć za pretext do ubliżenia jego zasłudze? Tą, czy inną postępuje on drogą, zawsze zadanie jego wzniosłe, zawsze prawda znajduje w nim czciciela, a ludzkość i cnota najpierwsze w sercu i myślach jego trzymają miejsce. Katolik niezgadzając się z jakiemś jego zdaniem, może litować się, ubolewać nad stanem jego ducha, nigdy jednak gorliwość religijna niepowinna prowadzić do zaprzeczenia prawdzie, skoro ta inną została ujętą drogą. Czemżeby były wszystkie spory tego rodzaju, gdyby ich rezultatem miało być poniżenie prawdy? Wyłonienie się prawdy jakieby nie było, zawsze ono jest dziełem bóztwa, bieg idei i ciągłe jéj metamorfozy są jakby bezustanną działalnością bóztwa popychającą ludzkość do ruchu i życia w umysłowej sferze; jestto nieprzerwane tworzenie i kształcenie świata. Bo trzeba przyznać ostatecznie, że każda wielka, żywotna, poruszająca z bliska ludzkość obchodzące kwestye idea potrzebuje i musi uiścić się w świecie moralno-umysłowym organizacyą wszystkich jego części według własnego jéj planu. Temu porządkowi ulega i idea dobra istniejąca w towarzystwie politycznem wcielając się

w swego przedstawiciela. Otoż jest stanowisko, z którego należało zapatrywać się na Autora *Żyda tułacza*, inaczéj zaś, sądząc go z upodobanego punktu widzenia i mając ciągle na uwadze, że takato między nim a nami zachodzi różnica, nieprzyjdziemy z nim nigdy do zgody. Eugeniusza Sue należało było pojąć ze stanowiska wieku, a szczególnie w duchu epoki, na któréj obecnie ludzkość stanęła. Owoż, pojąć jaki moment w czasie, nieznaczy, pojąć ten tylko jeden punkt, znaczy owszem, pojąć cały ciąg dziejowéj myśli, każdy bowiem jéj okres jest oddzielnym elementem, konieczną cząstką wielkiego planu życia ludzkości: pojąć jeden punkt czasu, znaczy, pojąć go we własnym jego pierwiastku, znaczy, wyprowadzić wszelkie jego wypadki z głównéj zasady idei, jako niezbędny rezultat przeszłości w pewném zastosowaniu do rezultatów, jakie w przyszłości jeszcze z tego punktu wypaść mają.

Punkt naszéj epoki gorliwie zajmuje się rozwikłaniem stosunków społeczeńskich, i ta dążność myśli znalazła swego przedstawiciela w Eug. Sue. W inném miejscu powiedziałem, o ile dążność filozofijna wieku wpłynęła na belletrystykę (*), jak ta koloryzując się odcieniami myśli wyszła ze służebnictwa czczym gustom i stała się nowym organem postępu; otoż fakt ten

(*) W Artykule: *Co jest żywiołem dzisiejszéj literatury i jakie jéj właściwe cechy postępowe?* — Ten artykuł, zamiast w *Gwiazdzie*, do któréj był przeznaczony, ukazał się w *Roczniku literackim* P. Podbereskiego. Słyszałem o tém i niewiem prawdziwie, co mogło skłonić mojego poprzednika do pokrzywdzenia własnego nader szczupłego zbioru takiém ustępstwem? Czyż w Roczniku, pełnym przezumpcyi arystokrackiéj, miejsce dla Gryfa!?

(Wydawca).

jest koniecznym objawem potrzeby wieku, nie zaś przygodną robotą pewnéj jakiéj indywidualności. Gdyby kto zasiadł do pisania powieści, by udowodnić myśl jakąś z góry sobie założoną, ta powieść niewiele byłaby wartą, ale poeta, jak Sue, mimowolnie wyraża wielkie zadania wieku, te bowiem zadania stały się duchową jego własnością, on o nich myśli, o nich tylko na jawie i we śnie marzy, nie dziw przeto, że utwory jego są upoetyzowanémi scenami natchnionéj myśli. Wir czasu pochwycił belletrystykę w swoje objęcia, uniosł i postawił ją wysoko, na krańcach myśli i uczucia! Poeta niestaje się tu socyalistą, filozofem, bynajmniéj, zawsze on jest poetą i tylko poetą; stara się bowiem o piękność, o ujmujące kształty swego utworu; a lubo wszelka indywidualność jest na stronie poety, myśl wszakże jego do wieku, do ludzkości należą. Pod takim względem powinniśmy rozważać Eug. Sue w jego dziele dwojako: raz, jako członka i przedstawiciela ludzkości; drugi raz jako poetę *per excellentiam*. Dzieło jego może być przedmiotem dwóch krytyk, to jest i filozofijnéj i estetycznéj. P. Kraszewski w swoim rozbiorze niemiał na względzie żadnego z tych podziałow, naprzód dla tego; że niestanął na stanowisku Autora; powtóre, że co do wartości estetycznéj poprzestał na zdaniach angielskich i niemieckich krytyków. Warto wszakże ze wszech miar, aby kto u nas zajął się *serio* obszérnym rozbiorem *Żyda tułacza* pod tym dwojakim względem, bo obcy sąd zawsze dla nas będzie obcym.

Zastanowię się tutaj pokrótce nad niektóremi dziełami Eug. Sue. Nie bez słuszności utrzymuje P. Kr., że w dawniejszych powieściach tego Autora zwykle przebijała się myśl o złém ocenieniu cnoty na ziemi. W *Atar-Gull'u np.* największy zbrodzień dostaje premią prze-

znaczoną dla najcnotliwszego. Ten obraz tak silnie działa na wyobrażnię, że z jakimś strachem spozieramy w około siebie i mimowolnie wymykają się z ust pytania: gdzież nagroda cnoty? gdzie kara występku? — Ale przejąwszy się gruntownie myślą tego dzieła, w duszy naszéj gotową znajdziemy na te pytania odpowiedź:— nagrodą cnoty jest cnota sama, karą występku jest sam występek, a nieubłagnym mścicielem, odwieczną miarą zła i dobra, sumienie. Zło i dobro absolutne same w sobie przyczynę i następstwa zawierają. Dzieło *La Vigie de Koat-Ven* doskonałym jest historycznym obrazem cywilizacyi XVIII wieku, w którym, jakby w przezroczystym krysztale, prześwieca filozofijna myśl tego wieku rozpadła na dwa oddzielne kierunki, to jest, *racyonalną stoicką prawość*, w jéj passowaniu się z nazbyt często przeciwnymi jéj przepisami świata, i *zupełną niewiarę* rządzącą się jedynie owymi przepisami. Są to dwa główne pierwiastki naszéj natury, odwieczne wzajemne ich bojowanie, gdzie zewnętrznie przemaga materya, a duch sam w sobie czerpie siłę. Jestto okropna analiza człowieka, dokonana logicznie z najdziwniejszą ścisłością rozumowania. Autor rozważając paralelnie i stopniowo powodzenie zła i prześladowanie dobra; przychodzi w jednem miejscu do ostatecznego rezultatu; do punktu, w którym obą te kierunki stykają się swémi następstwami. Lejtenant okrętu wygnany z miasta, że niechciał zabić w pojedynku niedoświadczonego młodzieńca, a zbójca dobrowolnie to miasto opuszcza z powodu popełnionego w niém mordu! Wszakże wśród takiego zbiegu okoliczności niesprzyjających cnocie, sumienie wołać nieprzestaje: *czyń twoją powinność*! Mojém zdaniem taka dążność dzieł Eug. Sue jest cechą najwyższéj moralności. Niektórzy,

być może, uznają podobny stoicyzm za szaleństwo i samo dzieło do *Literatury szalonéj* zaliczą? zostawmy tych *niektórych*, jeżeli są, przy własnéj ich opinii, taki wyjątek niemoże mieć dzisiaj żadnego znaczenia. Dzieło Eug. Sue *Deleytar* obejmuje w sobie dwie socyalne komedye: *Sędzia i Prawodawca*, do których miała być jeszcze dodana trzecia pod tytułem *Kapłan*. „Sędzia, Prawodawca i Kapłan, mówi autor we wstę„pie do swego dzieła, przedstawiając prawo, sprawie„dliwość i bóztwo, są czynnikami trzech najstraszniej„szych socyalnych pierwiastków. Myślą tych szkiców, „tłumaczy się dalej, jest proste wyobrażenie różnicy, „jaka zachodzi między poezyą i idealnością tych trzech „wielkich missyj, a prozaicznością okropnie ludzkich „skłonności ich przedstawicieli”. Ta myśl wyraża się w pięknych i wzniosłych strofach umieszczonych w formie starożytnych chórów na początku każdego aktu. Była to chęć stworzenia czegoś na wzór politycznych komedyj Arystofana. Jakkolwiek chóry te w dzisiejszém dramatyczném dziele mogą się uważać za niestosowne, zawsze jednak wielką będzie miał wartość szczytnie wymowny w nich wykład tych *trzech idei*, które, pomimo najgorętszych usiłowań indywidualnych, dotąd niestety na ziemi zrealizować się niedały! Głównie tu powstaje autor, że te wielkie zadania ducha redukują się do poziomego znaczenia professyi, do rzemiosła dającego smaczny kęs chleba. Nic się tu nie zważa na skłonności serca, na moralność, naukę, na szczere, pobożne przejęcie się wielką missyą; zamiast tego są tu jedynie na celu wygody życia, stopnie społeczeńskiéj hierarchii, czyli jednėm słowem, pieniądze. Autor chciałby widzieć w ludziach piastujących te wysokie urzęda dotykalną różnicę od innych braci, znaczne podniesie-

nie natury ludzkiéj, zupełne oczyszczenie umysłu i serca z kału światowych namiętności. Widna tu piękna dusza poety marzącego o czystym ideale sprawiedliwości, cnoty, i religii; widny tu wstręt iasny do tych kształtów, w jakich się te idee zwykle ukazują na ziemi. On chciałby zniszczyć wszelką reakcyę hańbiącą świat i ludzi; — a takito kontrast ideału i realności posłużył mu do artystycznego przedstawienia owoców towarzyskiéj maskarady. Utrzymuje autor, że dla publicznego urzędnika być niepowinno prywatnego życia; że znamie kapłaństwa raz wyryte na jego duszy niepowinno zacierać się na najmniejszy przeciąg czasu, on chce, aby urzędnik był zawsze urzędnikiem. Czuł dobrze Sue, że żądał rzeczy niepodobnéj. Wcielenie idei w życie indywiduum aż do zagłuszenia w niém wszelkich uczuć ludzkich ani jest możebne, ani nawet stosowne. Tu potrzeba głównie tego, co cnotę stanowi, potrzeba sympatyi ku swemu powołaniu, zamiłowania publicznego dobra, ale uciec od świata, wyrzec się uczuć przyjaźni, miłości, najdroższych związków w życiu towarzyskiém dla tego, że one prowadzą do parcyalności, do rozbratu między prywatném a publiczném życiem; — to czysta exageracya! Należy też mieć i to na uwadze, że on (Sędzia) nie dla tego jest ścisle sumiennym i sprawiedliwym w swoich wyrokach, że innych przewyższa swymi przymiotami, lecz że w danéj chwili umie zapomnieć o swojéj i każdéj innéj indywidualności postawiwszy się na bezwzględnem stanowisku *prawa*; on wyrokuje w imieniu prawa, a nie we własném swojém, małe zaś zboczenia idące z niedoskonałości natury ludzkiéj niemogą mieć tutaj złego wpływu. Wszak prawie każdy z nas czuje istotę dobra i piękna, a mimo to upadamy często i upadamy głęboko; ta tylko tutaj różnica, że

im kto mocniéj czuje szczytność ideału, tém głębszym żalem w powszedniém życiu przejmuje się jego dusza, tém łzy jego obfitsze i tém większe w nim *wyrozumienie* dla winy bliźniego Sędzia przeto niepowinien przestawać być człowiekiem, niech tylko będzie prawym i cnotliwym, a *ludzkość* nowy doda wieniec do jego zasług, bo aby sądzić ludzi, potrzeba koniecznie być do nich podobnym, być człowiekiem duszą i ciałem. — Prawodawca rozwija rzecz swoją daleko lepiéj. Na początku chóru woła Sue w liryzmie uczucia: „Prawo„dawco! wysoki, majestatyczny tytule! może-li być „dostojniejszy urząd, kapłaństwo bardziéj bozkie nad „missyę *dawania praw ludziom*,— dawania praw wiel„kiemu narodowi nie potęgą materyalnych środków, „lecz autorytetem umysłu, wiedzy i cnoty! Jest-li co „wznioślejszego nad posłannictwo układania prawa, pra„wa! przed którym Król nawet, jako najpierwszy z je„go poddanych, korne uchyla czoło! Ale jakże muszą „być mądrzy, surowi i światli ci, którym tak wielki „poruczono obowiązek! Jakież oni roztaczać muszą świa„tło w około siebie i jaka znowu z tego ogniska spły„wać musi oświata na kraj cały! O, bo każdy prawo„dawca pojął gruntownie, jak rozległą jest jego mis„sya, jak dla dostojnego jéj spełnienia potrzeba myśl „swoję podnieść do najszczytniejszych teoryj administra„cyjnych, do najrozmaitszych indywidualności i nauk! „Pojął, że aby stanąć na wysokości téj bozkiéj missyi, „długo potrzeba rozważać dzieje rządów wszystkich naro„dów, oraz przyczyny ich upadku, albo wzniesienia; — bo „do prawodawcy należy decyzya formy rządu i admini„stracyjne rozwinięcie państwa. Pojął wreszcie, że nie„odzownym przymiotem jego missyi jest głęboka obser„wacya, poznanie cnót, przywar i wszelkich skłonności

„ ludzkich: — bo za pośrednictwem prawa które stanowi,
„ prawodawca tworzy, przetwarza i poprawia stan spo-
„ łeczności. I nie na tém koniec, potrzeba jeszcze,
„ aby najczystsze, najsurowsze, najgodniejsze szacunku
„ życie potężnie za autorytetem, za przeważnym gło-
„ sem prawodawcy przemówiło!" — Po tém tak szczytném przedstawieniu powinności prawodawcy, autor wprowadza nas do towarzystwa elekcyjnego Izby Deputowanych. Jakiegoż - to poniżenia, głupstwa i przewrotności jesteśmy tutaj świadkami! Cóżto za kontrast pomiędzy ideałem autora a samą rzeczywistością uderza nas w tym obrazie dramatu! Na członka Izby w tak wysokim założonéj celu obiera się ostatni z głupców, człowiek, który nietylko o nauce, lecz i o najbliższych ustawach krajowych żadnego niema pojęcia. Wzdychał on do dostojeństwa Deputowanego jedynie, aby mieć wpływ na projekt o żelaznéj drodze; którą wbrew potrzebie kraju chciałby przez swoją poprowadzić posiadłość. Człowiek z gruntowną nauką, człowiek należycie usposobiony do téj missyi narodowego ustawodawstwa, został odepchnięty, wyśmiany; dla tego, że się nieubiegał podle, niepłaszczył przed elektorami, a co większa, że nienależąc do żadnéj partyi nieoświadczył się z góry za którąkolwiek z nich, ani za stroną ministrów. Dla dobra Francyi niechciał on znać tego ducha stronnictwa, co częstokroć odrzuca prawdę dla jakichś ubocznych względów, i dla tego, lubo publicysta znakomity, autor dzieł wielkiéj wartości, ani jednéj kreski, ani jednego niemiał za sobą głosu. Tu jeszcze występują na scenę owe figle wyborowe, płaskie dowcipy podające na kandydata Tureckiego Sułtana i Malborougha, a co dziwniejsza, durny ten żart taką bierze przewagę, że Sułtan wszystkie prawie gło-

sy zyskuje; zmarły oddawna Malborough następną mniejszą nieco ich liczbę, a potem już ów zawołany głupiec i inni kandydaci. Od téj wady nie są wolne i nasze gubernialne wybory, najczęściéj wszakże dowcip wotujących poprzestaje tutaj na zaopatrzeniu się w figi, orzechy dziurawe lub miedne grosze. Niektórzy, może owe wzniosłe a pełne rzetelności i szlachetnego zapału myśli Eug. Sue wzięli za marzenie o niebieskich migdałach i przeczytawszy same dzieło zawołali: *voila un drôle d'homme, un revasseur, un songe-creux audelà de toute expression!* —? ale to uwaga nawiasowa, dajmy pokój raz na zawsze tym *niektórym*, mogą oni mieć oprócz moralnych potężne *racye* fizyczne do takich i tym podobnych wykrzykników, pod każdym więc względem my słabsi na rozprawę z nimi odważać się niepowinniśmy.

O *Matyldzie*, należącéj do innéj kategoryi dzieł Eug. Sue, mówić nie tu miejsce. Jestto obyczajowy tylko romans. Autor z właściwym sobie talentem zajrzawszy w głąb towarzyskiego życia, pojął krążenie wszystkich jego warunkow około jednego punktu *namiętności*, noszącéj na sobie wszystkie cechy uczucia; jakoż tajemnice ludzkiego serca, wady, dziwactwa i ułomności moralne człowieka, równie-jak wysokie jego przymioty oddane są tutaj po mistrzowsku. Panna *de Maran*, *Matylda*, *Gontran*, *Lugarto*, Urszula *Sécherin* są-to charaktery, którym nietylko prawdopodobieństwo, ale całą naturalność przyznać należy. Zaiste forma pamiętnika wiele ujmuje temu dziełu, wszakże gdzie tylko tok opowiadania zmienia się na samą akcyę, tam mamy przed oczyma doskonały, pełen interesu i życia dramat. Takim jest scena domku niedaleko Chantilly, dokąd Lugarto sprowadza Matyldę; takim rozdział IV tomu,

w którym Pani Sécherin odkrywa swój charakter przed p. de Lancry. Ale zostawmy to dzieło. Zamierzyłem tu pokrótce rozważyć te tylko utwory, które pod wpływem wyższéj żywotnéj myśli dokonane zostały, dla tego przechodzę do *Tajemnic Paryża.*

Pamiętniki Vidocq'a (*Les vrais mystères de Paris*) umieszczone w *Gazette des tribunaux* i innych Paryzkich dziennikach, a obejmujące tak ciekawe szczegóły o zbrodniarzach i całym rynsztoku ludności wielkiego miasta, nastręczyły wiele ważnych myśli we względzie polepszenia bytu prostego ludu, oraz reformy praw karnych, więzień poprawczych i innych nader wielkiéj wagi punktów socyalnéj nauki. Sue przedsięwziął obrobić ten przedmiot po swojemu, to jest przedstawić w żywym dramacie całą ciemną stronę stolicy, która wśród wrzawy przemysłu i czczéj fanfaronady świeci zewnątrz lustrem cywilizacyi. Cel był w najprostszém znaczeniu słowa socyalny, *ludzki*, a tytuł gotowy, bo treść dzieła była prawdziwą tajemniczą stroną Paryża. Objąć to dzieło razem w całości, jest rzeczą niepodobną; całość ta bowiem rozpada się na mnóstwo oddzielnych chociaż najmocniéj z sobą połączonych części; każdy epizod rozwija tu osobną myśl, ale wszystkie one koncentrując się w około osoby Rodolfa i jego własnéj historyi unoszą się na falach społecznego życia. Rodolf, Xiążę Niemieckiego Państwa *Gerolstein* (którego położenia szukać wypada na karcie Fryderyka Rychtera obok *Flaxenfingen*:), zawiedziony w najczystszych życzeniach serca, zrażony życiem, oddaje się jedynemu pozostałemu w nim uczuciu miłości bliźniego, obrawszy za główną przewodniczkę czynów swoich na téj drodze nieubłaganą sprawiedliwość. Jestto Opatrzność, a razem *fatum* tego małego świata, téj małéj ludzkości,

jakie przedstawiają nam *Tajemnice Paryża*; jestto elektryczny płyn rozlany w różnych sferach społecznego życia; punkt grawitacyi, do którego dążą wszystkie osoby drammatu. *La Chouette*, *Maître d'école*, *Jacques Ferrand*, *Cecily*, *Polidori*, i *tanti quanti* padają pod ciosem surowéj sprawiedliwości; *La Louve*, *Le Chourineur* za wodzą błogiéj myśli Rodolfa na prawą wracają drogę, familia *Fermont*, *Rigolette*, *Morel* jubiler i jego córka *Luiza* winni mu dobry swój byt i szczęście domowe; jedna tylko la *Goualeuse*, ten idealny kwiatek dziewicy, jak niewinny męczennik żywota; jak baranek gładzący wszystkie występki i zbrodnie tego małego świata, umiera pod wpływem konieczności! Była to może idea cnoty, idea mająca wartość sama w sobie, bez żadnéj myśli nagrody, zadowolona, gdy wypełniła swoją powinność, kiedy na chwilkę rozbudziła dobre i wzniosłe uczucie, kiedy łez kilka uroniła, łez, których jedna przeczysta kropelka największe mogłaby zmazać przewinienie. Byłato ulubiona kreacya autora i dla tego otoczył ją całym urokiem niewinności duszy czystéj, spokojnéj, ufającéj. Ileż tu wdzięku, ile urzekającéj słodyczy w rozmowie Rodolfa z Gualezą podczas, gdy ją odwoził na wieś do *wzorowéj fermy*! Przyznać potrzeba, że nigdzie nic podobnego niema. Ten dyalog tak wzrusza, tak się podoba, że go naczytać się niemożna, ja pomimo silnego interesu dzieła odczytałem go pięć razy z rzędu, a potém długo, jak modlitwę prawie, co rana powtarzałem! Gualeza cudowna!! I jak tu charakter podobny odważyć się zmieszać z czém, zbliżyć do czego? a jednak przypominam sobie, że jeden Dziennik Paryzki (*L'Illustration* 1843.) przyrównywał go — do czegoż myślicie? — oto do *Manon Lescaut* Prevost'a! niesłychane *absurdum*!!.... Wy-

znaję, że gdy się zastanawiam nad delikatnością téj wymarzonéj istoty, nad jéj tajemniczą w życiu koleją, nad kontrastami, jakie zachodzą przy jéj urodzeniu i śmierci, nad témi cudnemi moralnéj i fizycznéj natury ozdobami, gracyą, słodyczą i łagodnością, gdy mówię, rożważam Gualezę w ciszy samotnéj, zawsze mi przychodzi na myśl idea Chrześciańska *expiacyi* jednostki za ogół, czyli idea ofiary. Gualeza byłato *ofiara*! Wesoła, szczebiotliwa Rigoleta przedstawia typ czystości sumienia, porządku, pracy i wszystkich cnót wyrobnika, które go do szczęścia prowadzą. Do tego łączą się sceny wyższego świata, świata pięknego (*le beau monde*), który wszakże widziany z bliska, niejest bynajmniéj takim. Pozłota, przepych, jasne barwy, wesele, są tylko powierzchowne, wewnątrz zaś, o! wewnątrz same niecnoty, plugawstwo, łzy, rozpacze i wyrzuty sumienia. Występek tu jeszcze okropniejszy, upadek stokroć głębszy, bo nienaprawiony, bo dobrowolny i w najwyższym stopniu rozmyślny. Szczerym tego obrazem są Saint-Rémy i macocha pani d'Harville. Za to sama p. d'Harville, prawdziwy kwiat wyższego towarzystwa, inne obudza uczucie. Smutna ofiara nikczemnych spekulacyj, poślubiona nieznajomemu jedynie z widoków materyalnych, nieszczęśliwe jéj pożycie, jéj błąd z tego lekkomyślnego związku biorący początek, tragiczny koniec jej męża, wszystko to jest osobnym wielkiego effektu drammatem.— Doskonały, strasźliwie prawdziwy, oryginalny charakter Notaryusza *Ferranda*, jego miłość, wszystkie jéj następstwa, wreszcie śmierć spowodowana okropną chorobą, są *nec plus ultra* artystycznéj logiki.— Historya Morel'a i jego córki wyborném jest dziełem tragicznem: tu poczciwość w parze ze stoicką wytrwałością w pracy toczy bój

śmiertelny z towarzyskiemi prawami i złym wpływem niecnoty, która mając za swój organ podłego łakomcę (Notaryusza Ferrand'a), już, już gotowa była ogarnąć i pochłonąć głodem całą familję: ale dobry wpływ bierze przewagę i familja uratowaną została od zguby. Ten wstęp przypomina swoją akcyą fatalistyczne drammata starożytnych. Scisła sprawiedliwość, panująca nad całém dziełem tém więcéj nas zjednywa, że przy swojéj okropności zupełnie zadowalnia wstręt uczuty ku złym, występnym osobom. Oślepienie i wyzucie z sił fizycznych *Nauczyciela szkółki* zaspakaja w nas ten wrodzony instynkt zemsty, który niczém innem niejest, jak ciemną ideą sprawiedliwości w celu zabezpieczenia pokoju i dobra powszechnego, ideą działającą ślepo w jednostkach, a dochodzącą do samowiedzy w zwierzchności, która jest jasną i wyrozumowaną Ideą ogółu. Rodolf jest tu przedstawicielem téj moralnéj idei dobra, jako osnownéj myśli towarzystwa. Idea dobra ma trzy stopnie rozwoju, to jest, w familii, w społeczności cywilnéj i w państwie. Sue objął tutaj dwa tylko pierwsze stopnie: familję i społeczność. Ta idea uczuwa się naprzód i realizuje naturalnie w miłości, w rodzeństwie. Jednostka traci tu niejako swoją indywidualność, zlewa się z drugą i z nią dopiero stanowi całość, obie połowy pozbawiają się swojéj niezależności, jestto stan *małżeństwa.* Małżeńska jedność uosabia się w dzieciach. Ten pierwszy szczebel towarzyski dokładnie wyświecony został w *Tajemnicach Paryża*, w obrazie familii Morela. Miłość syna, męża i ojca ma tutaj swego przedstawiciela w samym jubilerze: on, głowa familii, w świątobliwéj pokorze zapomniał o sobie całkiem, zaparł się siebie, a żyje dla matki obłąkanej, żony choréj i dzieci zgłodniałych, pracuje we

dnie i w nocy, niszczy zdrowie, myśląc tylko o bycie i zdrowiu swojéj rodziny. Ale te różne affekta rodzinne poczciwego Morela wprowadzają się tutaj w kollizyę. Tak samo jak w dzień, pracuje on i myśli zarówno o wszystkich członkach rodziny w nocy; tymczasem zdarza się jednéj nocy, że stara, obłąkana matka żony jego w paroxyzmie podżeganego głodem szaleństwa chce porwać kamienie, które on poleruje. Tu miłość innych członków rodziny zagłusza w nim przywiązanie synowskie do téj oddawna już moralnie umarłéj kobiety, tu też obudza się w nim uczucie indywidualnéj godności, bo szalona może (jak to już raz zrobiła,) zarzucić jaki kamień, a wtedy i niezostałoby żadnéj nadziei wyżywienia familii i mógłby być posądzonym o kradzież. Morel więc dla odwrócenia okropnych następstw musi się uciec do ostatecznego środka, musi pogrozić matce — batogiem! Okropny to zaiste obraz; ale prawdziwy, odpowiedny wszystkim warunkom cnoty, a w żaden sposób niejest (jak osądził Kremer w Listach swoich z Krakowa T. 1. str. 171.) *niemoralny*. Morel zasługuje tutaj na największe politowanie, bo podniesieniem batoga stokroć więcéj zadał on cierpienia samemu sobie, niż matce obłąkanéj, która zaledwie tylko instynktową bojaźń uczuć była w stanie. Taki stan zezwierzęcenia matki okropnym być musiał dla syna, tym bardziéj, że jako skutek choroby niezależnéj od woli człowieka, miał wszelkie prawo do jego litości.— Powiedziałem, że w *Tajemnicach Paryża* Rodolf jest niejako uosobieniem idei dobra, jakoż, każda w tém dziele scena rysuje się na tle jego charakteru, on zawsze jest normą, według któréj dokonywa się każdy fakt moralny, on rozwiązuje ostatecznie wszystkie zadania dotyczące moralno obyczajowéj strony człowieka i

jest jakby chórem starożytnéj tragedyi, przez który obwieszcza się cała moralność akcyi: który stosownie do danych wypadków smutek, wesole, żal, rozpacz, miłość, pogardę, chwałę albo przekleństwo opiewa. Familia Morela posłużyła nam za stopień, na którym rozważyliśmy stosunki rodziny we względzie moralnego i artystycznego przedstawienia dobra; przejdźmy teraz na wyższy szczebel towarzyski, na szczebel, gdzie rodzina rozpadłszy się na kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt domów rozwija obszerniejsze stosunki oparte już nie na uczuciu przywiązania a na potrzebie ogólnéj spokojności pod formą towarzyskich czyli społecznych związków. Wspólność sił jest prostym wypadkiem wspólności celu. Każdy bowiem może osiągnąć cel swój szczególny nieinaczéj, jak za pośrednictwem innych osób, pracując też niby jedynie dla siebie pracujemy razem i dla drugich. Tu idea absolutnego dobra wznosi się wyżéj, a chociaż na pozór straciła ona swoję bezpośredność i niejest ciągle w samopoznaniu, większą jednak obejmuje sferę wiążąc w jedność całe massy ogniwami obowiązków obywatelskich. Podstawą towarzyskich czyli społecznych związków jest naprzód systemat *zaspokojenia potrzeb* zapomocą dwóch głównych kategoryj handlu i przemysłu, którego koniecznym warunkiem stan ludności, czyli organizacyi klass wstępujących we wzajemne z sobą stosunki i układy; ztąd wynika powtóre *Sądownictwo* czuwające nad sprawiedliwością i dotrzymaniem tych układów, potrzecie *Urząd policyjny* zabezpieczający prywatne dobro i czwarte *Systemat karny* na wszelkie uchybienia i przestępstwa. Ten drugi szczebel towarzyski rozpatruje autor *Tajemnic Paryża* najobszerniéj, w najrozmaitszych często nawet niezabezpieczonych prawem stosunkach. Mówi on tutaj o *nadużyciu ufności*, występku popełnia-

nym zawsze prawie przezornie, który karze się najwięcéj dwumiesięcznym aresztem wtenczas, kiedy mała jaka kradzież ostatnią nędzą spowodowana całéj srogości prawa ulega. Mówi o lichwiarstwie, bankructwie i innych towarzyskich nadużyciach. Dowodzi, jak proces cywilny niedostępnym jest dla biednéj klassy z powodu nader drogiéj opłaty koniecznych formalności. Wykazuje niedoskonałość procesu kryminalnego, gdzie niemasz największego skrupulatnego baczenia na principia winy i oskarżenia, które bywają całkiem fałszywe (Luiza i J. Ferrand.). Wystawia okropny systemat prześladowania za długi, systemat niekiedy swoim kosztem potrajający należną summę, któréj biedny wyrobnik nigdy opłacić niejest w stanie. Doradza zwracać wielką baczność na areszta za długi, azali one niepozbawią całéj familii środków do życia. Wyświeca także, co już najgruntowniéj był rozwinął w *Matyldzie*, jak płodnym jest w nieszczęsne skutki punkt kodexu cywilnego czyniący męża panem i rozporządzicielem żoninéj fortuny. Wreszcie co do klassy wyrobników przekłada, jako środki zabezpieczające: 1) Bank bezprocentowéj pożyczki. 2). Postanowienie adwokata dla ubogich. 3) Zmniejszenie niesłychanych procentów w zakładzie Mont de Piété, gdzie pod okiem rządu praktykuje się okropne lichwiarstwo i zdzierstwo najbiedniejszéj klassy ludu. 4) Opiekę ochraniającą moralność i spokojność dzieci, ktorych rodzice ulegli śmierci za występki, albo na ciężkie roboty skazani zostali. 5) Reformę kodexu karnego w punkcie nadużycia ufności. 6) Reformę szpitalów w celu zabezpieczenia moralności podupadłych osób płci żeńskiéj, gdzie te bywają traktowane z zupełnym cynizmem. Wszystkie te piękne, zbawienne, wielkiéj wagi myśli i projekta nazwał p. Kra-

szewski niepraktycznémi utopiami; wszakże dążność dzieła, pomimo sforsowanych sytuacyj i deklamacyj bez końca (sic), zdawała mu się i zdaje moralną? Niemogąc udowodnić p. Kr. matematycznie (co wymagałoby całego tomu) doskonałości rysunku obrazów autora *Tajemnic*, powiem tylko, że effekt, jaki to dzieło sprawia, entuzyazm podziwu, jakim przejmuje duszę czytelnika, niemoże być skutkiem kilkotomowéj deklamacyi i sforsowanych obrazów, nie! takie uczucie musi być koniecznie wypadkiem doskonałego przedstawienia wysokiéj idei. P. Kraszewski nazywa czytelników Eug. Sue kobieciętami i młokosami? — uczucia przecież, jakie ten autor z duszy wydobywa, potrzebują zupełnéj dojrzałości fizycznéj i umysłowéj: te cudnych kształtów obrazy, te wielkie kwestye i myśli czerpane zawsze ze świata rzeczywistego; które jednak dręczą jak zmora nocna, wcale nie są dla słabych duchów skreślone. Jeżeli dzieła Eug. Sue mają czytać same kobiecięta i młokosy, to niezawodnie te, któremi nas tak często ojczysta literatura obdarza, stać się powinny duchowym posiłkiem medytujących niemowląt. Zdarzyło mi się nawet widzieć karykaturę jednego krajowego Granville'a, gdzie dziecko u piersi, podczas antraktów uczt swoich godnych wstrzemięźliwości braminów i uczniów Pitagoresa, zabawiało się lekturą xiążki, na okładce któréj wielkiemi literami było wypisane imie jednego z naszych koryfeuszów, przy kołysce zaś stał słoiczek mający na sygnaturce napis: *od nudności*!

Przykro mi bardzo, że autor potężnego talentu, jakim jest p. Kraszewski, zamiast być tłumaczem wielkich zalet romanso-pisarza Francyi, umyślił owszem wystąpić w celu zmniejszenia tego podziwu, jaki dla niego ogół powziął. Nieprzypuszczam bynajmniéj, aby

to robił z widoków domowych, niby patryotycznych, by swoich współziomków skłonić do wyłącznego zajęcia się ojczystą literaturą, znana mi dostatecznie ścisła bezstronność sądu autora *Latarni Czarnoxięzkiéj*, który też, gdyby był opanowany wspomnionymi widokami, ma w samym sobie na zawołanie siłę powieściopisarskiego geniuszu, ale obwiniam go tutaj serio o niestosowny, nizki, fałszywy punkt widzenia, na którym sądzę (i miło mi zostawać w takiem przekonaniu) że się na chwilę tylko zatrzymał i że od jego cząstkowych, jednostronnych widoków podniesie się do bezwzględnego poglądu, do stanowiska, na które rzetelność i prawda słoneczne ciskają promienie. Pan Kr. jest może jedyny u nas pisarz zostający na drodze postępu, bo inni, tak zwani pierwszorzędni, tém tylko się dzisiaj zajmują, by mu ladajakimi ucinkami dokuczyć; albo jeszcze lepiéj, by własne swe literackie zasługi wykazać bezimiennie. Wróćmy raz jeszcze do ostatniego dzieła p. Sue: *Żyd tułacz*. Wielką machiną powieści w Żydzie (jak to zauważył już p. Kr.) jest legenda o *Ahasverusie*, sprężynami zaś *Jezuici*: o tych powiedzieliśmy już dosyć, powiedzmy jeszcze o saméj legendzie. I komuż ona nieznana? Ktoż ją nieczytał w prostéj powiastce *Schubart'a*, albo we wzniosłym poemacie *Mosen'a*? Kto niepodziwiał jéj piękności w zachwycającym wierszu *Beranger'a*, albo w filozofijno-historycznym dramacie *Edgara Quinet*? Wszyscy suszą sobie głowy nad wynalezieniem znaczenia legendy, starając się zawsze, by to znaczenie było wzniosłe a nowe, to też u każdego pisarza znaczenie to jest odmienne, mniéj lub więcéj przeciwne temu, jakie inny wynalazł badacz. Pan Kr. mówi: „Żyd tułacz, to my wszyscy! grosz „Ahasverusa, to chleb powszedni ludzkości; jego po-

„ dróże , to błędne umysłowe jéj przegony, — z jakiéj-
„ byś niespojrzał strony , zawsze to będzie ludzkość !
„ Pędzim niemogąc spocząć na chwilę, bośmy Chrystu-
„ sa przyjąć niechcieli i naukę jego zapoznali! " Pię-
knie , ani słowa , zdanie to jednak trochę jest parado-
xalném , bo to pewna , że ludzkość gorliwie przyjęła
Chrystusa i gorliwie Jego naukę pielęgnowała. W je-
den wiek po skonaniu Zbawiciela nauka ta liczyła tysią-
cami swoich wyznawców i tysiącami takich, co życiem
swojém zaświadczyli o prawdziwości idei téj nowéj cy-
wilizacyi. Jeden mój znajomy, zawołany biblista, od-
gadujący wszelkie symbola , taki nadał sens legendzie ;
Nikt jeszcze powiada nieodsłonił myśli tego mythu, jest
to proroctwo, podanie sięgające czasu Chrystusa, prze-
powiednia ścisłe połączona z losami Żydowskiego na-
rodu. Przeklęctwo wiecznego tułactwa nie nad nami ,
nie nad całą ludzkością a nad jednym narodem ciąży !
Wszyscy wygnańcy obiecanéj ziemi są tym tajemni-
czym wędrownikiem , który sam tylko jeden pozostał
nietkniętym ręką czasu, którego losy stanowią jakby ja-
ki wyjątek i niełączą się z losami innych narodów ;
wśród których żyje. Zastanawiając się dzisiaj nad fana-
tyzmem tego ludu godzi się wnosić, że ten *Ahasverus*
przy powtórném przyjściu Chrystusa zjawi się z tą smu-
tną twarzą odrzuconego plemienia , jaką miał w odle-
głych czasach i jaką ma obecnie !— Jestto tłumaczenie,
jak każde inne. Wolę już prostą legendę Beranżera , która
się kończy tym pełnym moralnej siły czworowierszem ;—

Vous, qui manquez de charité ,
Tremblez , mon supplice étrange,
Ce n'est pas la divinité
C'est l'humanité que Dieu venge!

Ciekawą jest rzeczą, jak Göthe traktował ten sam

przedmiot, co Schubart,, Edg. Quinet i Eug. Sue, albo raczéj dwaj pierwsi, bo ostatni użył legendy o Ahasverusie „ téj mystycznéj myśli średnich wieków, tylko jako przygrywka do swego dramatu dla nastrojenia duszy czytelnika na ton wzniosły, uroczysty. Autor *Fausta* jeszcze w 1774 r. zamierzył był ideę o Ahasverusie wziąść za treść do epopei. W XV xiędze swoich Pamiętników tak o tém mówi. „ Wtéj epoce wszystkie, jakie tylko mię zajmowały, myśli, a którym oddawałem się *con amore*, przybierały natychmiast kształty jakby poetycznéj krystallizacyi. Kiedy zajmowałem się w tym czasie opiniami Morawskich braci (Hernhuterów) przyszła mi myśl szczególna wziąść za osnowę epicznego poematu historyę o Żydzie wiecznym, historyę, która oddawna wypiętnowaną została w mojéj pamięci przez czytanie xiąg tradycyj gminu. Chciałem użyć téj legendy za nić do rozwikłania całego processu religii i przemian Kościoła. Ułożyłem bajkę poematu i oto jest myśl, którą jéj nadałem. Był ongi w Jeruzalem szewc na imię *Ahasverus*. Mój szewc z Drezna dał mi główne rysy fizyonomii téj figury. Nadałem mu dobry humor i krotofilność wyrobnika w rodzaju *Hans'a Sachs'a* podwyższając przytém charakter jego uczuciem, które go ku Chrystusowi skłaniało. Pracując w swoim sklepiku Ahasverus lubił rozmawiać z przechodzącymi, drwił z nich, przemawiał do każdego właściwą sobie mową na sposób Sokratesa. Sąsiedzi i inni ludzie gminu zatrzymywali się ochotnie by go posłuchać; nawiedzali go faryzeusze, sadduceusze, nawiedzał także Zbawiciel ze swymi uczniami. Szewc mimo to, że się zajmował sprawami tylko świata, uczuwał jednak w sobie skłonność ku Panu, a najlepszy sposób, w jaki okazywał przywiązanie swoje do téj wy-

sokiéj osoby, była chęć przyprowadzenia go do swego sposobu widzenia i działania. Nastawał na Chrystusa, by porzucił życie kontemplacyjne i zaprzestał błąkać się po drogach wśród próżniackiéj rzeszy, która lud odwodzi od pracy starając się go wyprowadzić na puszczę; przedstawiał mu, że lud zgromadzony blizki jest stać się tłumem buntowników. Pan przeciwnie starał się dać mu poznać przez parabole cel swój i wzniosłe swoje widoki, ale napróżno, słowa jego nierodziły żadnych owoców w tym grubym umyśle. Kiedy zawód Chrystusa coraz więcéj i więcéj wzniosły nadał mu powagę osoby znakomitéj a nawet publicznéj, szewc jeszcze bardziéj nalegał. Przedstawiał Jezusowi, że z tego mogą wyniknąć zamieszki i bunty, że w krótce zmuszonym będzie ogłosić się głową partyi, co jak sądził niebyło Jego zamiarem. Następnie stało się, co wszystkim wiadomo. Jezus został pojmany i skazany. Gniew Ahasverusa zwiększył się, gdy wszedł do niego Judasz, ów zdrajca swego Nauczyciela i Pana, któremu sam on w rozpaczy opowiedział to, co był uczynił i złe następstwa swego uczynku. Uczeń ten wbił sobie był w głowę, jak wielu stronników Chrystusa, że Chrystus skończy na ogłoszeniu się Zwierzchnikiem ludu. Judasz po swojemu chciał go nakłonić do ostatecznego czynu. W tym celu poduszczył Kapłanów do wzięcia dzielnych środków, od których oni dotąd statecznie się wstrzymywali. Uczniowie z swojéj strony uzbroili się i skutek byłby nie wątpliwy, gdyby Chrystus nieoddał się sam dobrowolnie i niezakazał im wszelkiego oporu. Ahasverus przyjął ex - ucznia Chrystusowego słowami, które zwiększyły jego rozpacz tak, że wyszedłszy od niego zaraz się obwiesił. Tymczasem Chrystus, prowadzony na śmierć, przechodzi koło skle-

pu szewca. Tuto właśnie odbywa się dobrze znajoma scena. Chrystus upada pod ciężarem krzyża, a Szymon Cyrenejczyk zmuszony jest do dźwigania jego. Ahasverus przybliża się z cierpką zapamiętałością pedagoga, który widząc człowieka z własnéj winy nieszczęśliwego, daleki od okazania litości, zwiększa jeszcze bardziéj jego niedolę niestosownémi wymówkami, wychodzi z domu, przypomina Chrystusowi wszystkie swe poprzednie rady i zamienia je na tyleż wyrzutów gwałtownych, do których sądzi się być upoważnionym przywiązaniem do delikwenta. Chrystus milczy, a w téj chwili bogobojna Weronika okrywa twarz Zbawcy ręcznikiem, wkrótce zaś kiedy podniosła ową zasłonę, twarz Chrystusa ukazała się Ahaswerusowi nie z pieczęcią obecnych cierpień ziemskich, ale całkiem odmienną jaśniejącą promieniami niebieskiéj chwały. Olśniony tym widokiem Ahasverus odwraca oczy i słyszy wymówione do siebie te oto słowa: „Będziesz się błąkał po ziemi, aż ujrzysz mię powtóre w tym samym blasku!” Gdy wyszedł z osłupienia lud już był odpłynął ku miejscu kaźni, ulice jeruzalemskie były puste i otóż Ahasverus ulegając wewnętrznemu popędowi rozpoczyna nieskończoną wędrówkę. Może, dodaje Göthe, będę miał powód inną razą do pomówienia o téj wędrówce i o zdarzeniu, którém kończyłem mój zaledwie co w myśli naszkicowany poemat. Napisałem był tylko wstęp i kilka fragmentów. Brakło mi czasu do poświęcenia się studyom potrzebnym, bez których niemogłem nadać téj figurze takiéj fizyonomii, jakąm był pojął myślą.” Z tego widzimy, że Göthe zatrzymał się na wędrówce Ahasverusa, tam właśnie, zkąd zaczął Eug. Sue.

Bez potrzeby nastaje p. Kr. na tłumaczenie sensu téj legendy: wszelkie jéj tłumaczenie będzie za-

wsze dowolne, ta bowiem legenda była bajeczną tradycyą średnich wieków, tradycyą nieprzechowującą zapewne żadnéj myśli dotyczącéj losów ludzkości. W średnie wieki Ahasverus był prawie historyczną osobą, żył nawet pomiędzy ludźmi; widziano go tu i ówdzie; biskup, niepamiętam jakiego francuzkiego miasta, miał z nim arcy budującą rozmowę, wreszcie zabłąkał się i znikł z przed oczu wszystkim, aż go Eug. Sue odszukał i ukazał w swoim romansie, gdzie, jak z pewnością sądzić można, wieki już przeżyje w białych rączkach czytelniczek. Powstaje p. Kr. na Eug. Sue za jego tłumaczenie średniowiecznego mythu o Żydzie wiecznym tułaczu, a sam podobnie postąpił z mythem o Herodyadzie i dał nam tłumaczenie, napisane wprawdzie stylem godnym samego p. Sue, ale zawsze tłumaczenie dowolne, niemające za sobą żadnéj rękojmii prawdy. Według mnie wszelkie w téj mierze spory są niewłaściwe, bo czyliż nie do poety należy tworzyć postacie i wcielać w nie wysokie idee? Myth o Ahasverusie, równie jak i o Herodyadzie niemiał fizyonomii, analiza trzech ostatnich wieków starła z nich wszelkie piętno moralnego znaczenia, do poety więc należało przywołać do życia te dwa trupy zamierzchłéj przeszłości, natchnąć je na nowo myślą i nadać nowe piętno nowéj fazy ludzkości. Zresztą „dla poety, mówi wielki myśliciel Göthe, niemasz historycznéj osoby, on chce oddać osobny swój świat moralny i dla tego robi honor niektórym dziejowym personażom przenosząc ich imiona do swoich kreacyj.” Gdyby ta myśl zdała się niedość trafną w zastosowaniu do historycznego romansu, to wzięta jako epigraf do mglistego (sic) prologu *Żyda*, musi mieć zupełną moc argumentu. Te dwa akkorda średnio wiecznych wierzeń cudnie przypadły do tych preludyów

nowożytnego Epos, gdzie fatalistyczna potęga Jezuitów, szatańską siecią oplotła świat i wolę kilkunastu indywiduów dążących do jednego celu, do sukcessyi, któréj zakładem był tajemniczy medal. Są to dwa przeciwne pierwiastki działające na siebie, eliminujące się nawzajem; raz Jezuici biorą górę, drugi raz pretendenci tajemniczego medalu przemagają: to passowanie się jest kollizyą działania, węzłem powieści. Mamyż uwierzyć p. Kr., że niewarto rozprawiać o węzle dramatu, o sposobie, w jaki są połączone z sobą sceny, fakta, charaktery? że dostateczną będzie rzeczą odwołać się w tym względzie do sądu wydanego w Anglii, w Niemczech i we Francyi? Nie, my utrzymujemy, że warto i ze wszech miar należałoby u nas, nam samym rozebrać ze stanowiska estetycznego tę wielką kreacyę wieku; a tak utrzymując zachowujemy sobie prawo rzucenia kilku myśli, kilku uwag wynikłych pod wpływem odebranych wrażeń, a więc niewiążących się z sobą systematyczną nicią. Wszak tym sposobem nie wykazujemy pretensyi do sądzenia utworu geniuszu? o, dalecy od tego jesteśmy, bo wiemy że *par parem judicat*!

Pan Kr. zawyrokował, że *Żyd* zajmuje naprzód koniem tylko i psem, bo córki Generała Simon są najmniéj znaczącemi i najnudniejszemi z heroin: potém panterą, dusicielem i t. d. Co do pierwszego zarzutu: zupełna zgoda, właśnie-ż cechą to jest geniuszu, że z przedmiotu najbardziej poziomego umie zrobić rzecz pełną interessu nieodstępując w niczém od rzetelności. Jest osobna powieść Eug. Sue (*Arabian Godolphin*), w któréj bohatérem koń. Powieść ta niewielka i czyta się za jednym przysiadem. Natchnienie geniuszu jest prawdziwym ogniem Prometeusza ożywiającym wszystko, nawet takie przedmioty, których zdaje się niemo-

głaby się jąć iskra życia. Co do bohaterek Róży i Blanki (stojących wszakże w głębi, na drugim planie), te dwoje dzieci cichego łagodnego charakteru, pełne rezygnacyi i wzajemnéj bliźnięcéj miłości, oddane są w oryginalnéj mocy, z najgłębszém pojęciem ludzkiéj natury. One tylko umiały się kochać i w tém spokojnem, koncentrującem w sobie całą działalność ducha, przywiązaniu pełno było życia: dla czegoż Recenzentowi popodobało się nazwać te żywe istoty woskowémi figurkami? Potrzebaż koniecznie szamotać się, biegać, bić, hałasować, aby okazać życie? czyż spokojny charakter, martwy jest, niemy, bezczynny? U nas zaiste wcale się nie udaje taki charakter, gdyby nawet jaki autor wziął się za coś podobnego, to zawszeby sobie niedowierzał, zawszeby mu się zdawało, że mało dał życia, mało wlał téj essencyi, co effekt rodzi. Nie jeden ślęczące nad pastiszem obziera się co chwila to na ten to na ów znany mu charakter, z czego wypada, że ukazuje się w literaturze nowy dziwoląg. Inaczej postępuje geniusz, on raz pojąwszy charakter rozwija go oryginalnie, śmiało, z zupełną ufnością. Owoż przyznać należy, że taki, jak Róży i Blanki charakter niebył jeszcze wystawiony w żadnéj literaturze, pojął go pierwszy Sue i z właściwym sobie talentem przedstawił w sztuce; bo też to jest autor, co zgłębił rozmaitość natury moralnéj; co pojął, że w niéj się kryją tysiące nieodtworzonych kształtów; co powiedział sobie biorąc się za pióro, że aż nadto już mamy kommunałów; co wreszcie nabrał przekonania, że rzeczywistość i reflexya dostarczyć mogą zawsze materyału, byleby nieustawać w chęci tworzenia! Ogólnie rzecz biorąc, najmniéj jest w powszechnéj literaturze charakterów kobiecych, któreby się odznaczały swoją *wydatnością*: — może to dla tego, że tłem ich jest uczu-

cie, władza niełatwo dająca się rozwikłać i upostaciować w pewien odrębny typus? Jeden Szekspir wydał cały szereg podobnych typów. *Ofelia*, *Miranda*, *Julietta*, *Desdemona*, *Imodżena*, są charaktery wrażające się swoją odrębnością w pamięć i wyobraźnię, charaktery, których niepodobna zmieszać z charakterami innych kreacyj. Taka wyrazistość właściwa jest szczególnie charakterom w dramatycznej akcyi, gdzie one rzec można w naturalnéj występują czystości niebrudząc się indywidualnością autora. Może charaktery kobiet George Sand'a i Eug. Sue następować powinny zaraz po charakterach Szekspira? Kobiece charaktery Walter Scotta postawiłbym po kreacych tych dwóch francuzkich pisarzy. Walter Scott niema kobiety tak wyrazistéj, jak jego *Olduk*, *Olchitry*, chyba stara *Elspeth* matka rybaka w téj saméj powieści (Antykwaryusz). *Lenetta* Rychtera przedstawia też najczystszy typ, któremu nic nigdzie podobnego znaleść niemożna. Nowym doskonałym typem natury sympatycznie zamiłowanéj we wszystkiem, co piękne i powabne, a najżywszy wstręt czującéj do tego, co szpetne, niekształtne, jest *Adrianna Cardoville*. Autor objaśnia nam ten chatakter następnie: ,,Zamiłowanie to niemiało bynajmniéj na celu przyjemności, jaka się daje uczuwać samym wzrokiem, owszem, zarówno jéj podobały się modulacya śpiewu, melodya instrumentów i rytm poezyi; przeciwnie zaś głos chrapliwy, dzikie przerażające tony, budziły w niéj najprzykrzejsze uczucie, jakby widok obrzydliwego jakiego przedmiotu. Lubiąc zapamiętale kwiaty nasycała się ich barwą i wonią tak, jak widokiem plastycznéj piękności . . . . Mamże, mówi daléj, wykryć jeszcze jedną jéj wadę? Adryanna była łakoma! umiała też lepiéj, niż ktokolwiek, ocenić świe-

żą jagodę, delikatny smak złocistego bażanta, albo wonny strumień wytrawnego wina, *Piękne* i *szpetne* zastępowały u niéj *dobre* i *złe*. Jéj uwielbienie dla piękności fizycznéj doprowadziło ją do uwielbienia piękności moralnéj; bo jeżeli wyraz złéj podłéj namiętności szpeci twarz najpiękniejszą, to przyznać potrzeba, że najszpetniejsza twaz upięknia się wyrazem szlachetnych wzniosłych uczuć.“ Z tych kilku rysów widzimy, że Adryanna de Cardoville była uosobieniem przymiotów artysty — uwielbienia dla gracyi, expressyi, kształtów plastycznych, czystych linij i idealnych konturów; była nie filozofem ubóstwiającym ideę bezwzględną, abstrakcyjną, a artystą, o tyle lubiącym wysokie pomysły, o ile one wcielić się i wyrazić dają linią, perspektywą, kolorytem, lub dzwiękiem bozkiéj melodyi. Kobieta-artysta goniąca za pięknością, ubóstwiająca, co jest piękne, a odrzucająca wzgardliwie wszelką poczwarność, poziomość — wszak to jest rzadkość, skarb nieoceniony! Jakoż charakter ten z najdelikatniejszymi jego odcieniami oddany tutaj przedziwnie w najdrobniejszych szczegółach widać takt prawdziwie artystowski. Adryanna Cardoville! bez wątpienia wzbudziła ona nie w jednéj z czytelniczek chęć naśladowania; to tylko bieda, że trzeba się rodzić z uczciem Adryanny — *artistae nascuntur*! — wszelkie manierowane uczucie ckliwość tylko i wstręt obudza. Mimo to wszakże niepodobna obronić się od myśli, że *uczucie* i *przeczucie piękna* byłoby największą ozdobą kobiety; kobieta bowiem w naturze przedstawia zmysłowie ideę piękna w całéj jéj obszerności. Kwiat i kobieta są wyrazami jednéj i tejże saméj myśli na dwóch różnych stopniach bytu, to jest, prostego organizmu i organizmu moralnego, duchowego. Cała różnica zachodzi w samopoznaniu: tam

piękność nie niewie o sobie, tutaj zaś jako idea ma pewne o sobie przeświadczenie, pojmuje doskonale to, co wyraża, wchodzi w najdrobniejsze modulacye i odcienie, obejmuje cały obręb, cały organizm swojéj piękności, przejmuje go na wylot. *George Sand* w powieści swojéj *André* uosobił instynktowe zamiłowanie piękna w kwiaciarce Genowefie, to też ona sama najpiękniejszym jest kwiatkiem swego magazynu. Miłość piękności nie wykraczała u niéj z granic najprostszego jéj objawu-kwiatów, *natury*; w swojéj *sztuce* kwiaciarki ona niemyślała o tworzeniu, ona tylko *naśladowała*; było to instynktowe przywiązanie, *sympatya*. Ta sympatya, ten podziw piękności jest już pierwszym stopniem reflexyi, jak to już był oznaczył Arystoteles widząc w podziwie cudom natury początek filozofii. Genowefa chciała zrazu poznać organizm tylko swoich kwiatów i w tym celu przerzucała stare botaniczne książki. „Elle ne songeait pas à approfondir d'autre science que celle à laquelle tous ses instants étaient forcement consacrés, mais elle avait surpris le sécret de l'universelle harmonie. Ce monde inanimé qu'autrefois elle regardait sans le voir, elle le comprenait désormais; elle le peuplait d'esprits invisibles; et son ame s'y elançait pour y embrasser sans cesse l'amour infini, qui plane sur la création.“ Genowefa i Adryanna są to dwa ostateczne punkta wzrastającéj arytmetycznéj progressyi — instynktowe zamiłowanie natury i wyrozumowane pojęcie piękna. Wybierajcie, którą chcecie: czy łzawą, nieobjętą tęsknotę do piękności przedzierającéj się przez grubą powłokę natury? czy też artystyczne pojęcie piękna we wszystkich jego manifestacyach? Tam tęskna Genowefa, tu wesoła Adryanna; dwa utwory dwóch genialnych pisarzy Sand'a i Sue'go. Tam piękny, uroczy charakter

panny de Cardoville autor jakby dla kontrastu obstawił charakterami jezuickimi, wykazującymi szatańską obłudę, ujemność i najokropniejszą podłość duszy. Macie tu *de cette trempe* ciotkę Adryanny Panią *de Saint-Dizier*, P. *d'Aigrini* i Doktora *Baleinier*. Charakter ostatniego jest arcydziełem złości i obłudy, połączonych z tą sofistyczną dyalektyką Jezuitów, która słodyczą pełną trucizny odurza, zabija.

Sceną gdzie rozwijają się dwa poprzednicze charaktery, jest rozdział: *Les ennemis d'Adrienne* i następujące. Charakter medyka Baleinier skreślony w przedziwnym rozdziale: *La visite*. Tu dyalektyka jezuicka, o której wspomniałem, szatańską swą siłą plącze, wikła umysłowe władze Adryanny; rozpacz, utracona nadzieja swobody, okropny widok obłudy w człowieku, któremu się powierzyła, tak działają na biedną dziewczynę, że sama już niewie, czy jest jeszcze przy swoich zmysłach, czy doprawdy wszystko się przewróciło w jej głowie? Charakter Baleinier jest tu potęgi charakteru Mefistofela, jak go oddał Göthe w swoim Fauscie. Adryanna też mogłaby w tém chwilowém obłąkaniu zanucić pieśń Margeryty:

Mein armer Kopf	(Główka się mała
Ist mir verrückt,	Mnie pomieszała;
Mein armer Sinn	Biedne me zmysły
Ist mir zerstückt!	W niej się rozprysły!)
	(tł. Gieczewicz).

Taż sama litość uczuwa się nad nią, co i nad biedną *Gretchen* uwikłaną w szatańskie sieci, litujemy się tém bardziéj, gdy widzimy doprowadzoną do tak okropnego stanu tę, którą podziwialiśmy w jéj życiu noszącém na sobie świeżość i barwę piękności. Widzimy tu upadek losu pięknéj natury pod przemocą zła,

fałszu i chytrości, jedném słowem, pod wpływem *jezuityzmu*. Wpływ ten doskonale oddany tutaj w charakterze żony Dagoberta, jeżeli charakterem nazwać można duchowość pozbawioną całkiem samodzielności i woli. Charakter jestto cecha duszy samodzielnie wyrobiona przez którą i w któréj wyraża się jéj osobowość, tymczasem dusza żony Dagoberta określa się samémi przeczącemi cechami: słaba, ograniczona, rządzi się całkiem wolą konfessyonału, a cnotę i występek pojmuje jedynie według objaśnień spowiednika. Znać charakter osoby, znaczy, wiedzieć teoryę jéj postępowania; otóż postępowanie Franciszki więcéj od woli *l'abbé Dubois*, niż od jéj własnéj zależało. Ciągła obawa grzechu nadawała oskarzający pozór najlepszym popędom serca: jeżeli dla pokrzepienia sił pracowitego syna odstąpiła mu swój kieliszek wina przykrywszy to wymówką, że sama czuła się niezdrową, to zaraz potém biegła do konfessyonału oskarżyć się o grzech *kłamstwa*. Skrupulatność ta prawdziwie babska rozciągała się i na obce sumienia, zawsze jednak daleką była od uznania, co rzeczywiście jest dobrém, a co złém. Pod pozorem grzechu, jaki zaciągała na sumienie utrzymując w domu swoim dwie dziewcząt nieznających zasad religii, oddała te dzieci Jezuitom mimo wiedzy męża, którego opiece były one poruczone. Doskonały jest rozdział: *L'influence d'un confesseur*, w którym dwa pierwiastki zupełnie sobie przeciwne, pierwiastki mocnéj woli Dagoberta i głupiéj słabości jego żony wchodzą z sobą w kollizyę. Dagobert upomina się u żony o powierzone jéj córki Generała Simon, ona przyrzekłszy Jezuitom tajemnicę niechce powiedzieć, gdzie się one znajdują. Tu prawość, poczciwość starego żołnierza i ojcowskie jego ku tym dzieciom przywiązanie mocno od-

bijają od tego głupiego pietyzmu żony; który występek wystawia w jéj oczach za czyn pełen cnoty i namaszczenia. Czytelnik tknięty rozpaczą dobrego żołnierza, ze zniknienia nader dlań drogich dzieci, pojmuje całą okropność machineryi zakonu, całe szkaradzieństwo wpływu działającego pod tak świętymi pozorami. Na każdą łzę starego swego męża zaklinającego, by mu wróciła Różę i Blankę, na każdą prawą myśl szlachetnego starca, Franciszka odpowiada tylko mruczeniem modlitw, których wysokiego znaczenia bynajmniéj niepojmowała. Darmo powtarza jéj, że te dwoje dzieci powierzyła mu umierająca ich matka; że ojciec ich Marszałek Simon dziś może przybyć do Paryża i upomnieć się o nie; stara dewotka wciąż jeno szepce pacierze twierdząc; że niemoże żadną miarą powiedzieć, gdzie są dzieci. Zdumiewam się prawdziwie, jak P. Kr. po przeczytaniu tego rozdziału mógł napisać swój artykuł *pro Jesuitas*. To fikcya, szczera fikcya! powie on. Fikcya, ani słowa, ale fikcya logiczna niewychodząca z obrębów możebności: wiadomo zaś, że u Jezuitów wszelką możebność (probabilitas) stawała się rzeczywistością, skoro tego interes zakonu wymagał. *Agrikola*, syn Dagoberta i Franciszki, wzór równie dobrego syna jak rzemieślnika, pracował na fabryce i sumiennie odnosił matce każdego dnia nie bez nadwerężenia zdrowia zarobione kilka franków, których wszakże ledwie połowa wydatkowaną była na potrzeby domu, a reszta, . . . może oszczędzała się na ciężkie, zbyt niestety częste czasy w życiu rzemieślniczem?— nie! szła ta krwawica na wota, świece i msze odprawiane za powodzenie Dagoberta. Synowi często ściskało się serce od żalu patrząc, jak ten ciężko zapracowany grosz obracał się na źle zrozumianą pobożność;

gdy tymczasem matka zarabiając igłą słabła coraz bardziéj na wzroku i niemiała potrzebnych na starość wygódek. Pytamy P. Kr., możnaż mieć za złe autorowi *Żyda tułacza*, że energicznie powstał na fałszywe pojęcie zewnętrznych oznak nabożeństwa? czyż godzi się przypuścić, aby od ludzi zaledwie mających jakiś grosz na chleb powszedni religia wymagała palenia świec, kurzenia ładanu i zakupowania modłów w tenczas, kiedy jedno westchnienie mizernego wyrobnika większą mu ulgę sprawić powinno i więcej waży u Boga, niż wszystkie zbyt drogo kupione modły? Piękna jest bez wątpienia parabola o groszu wdowim, ale to także pewna, że Bóg od biednych ludzi niewymaga ofiar przynoszących uszczerbek ich zdrowiu, a tém bardziéj nie przykazuje brać ostatniego grosza za modlitwę, do któréj biedak całą nadzieję przywiązuje. Wszak każdy zgodzi się z nami, że kapłan światły, przejęty świętością missyi swego stanu, nieprzyjmie w pocie czoła zapracowanego grosza dla odmówienia modlitw, owszem, da jeszcze od siebie biednemu pociechę i nauczy go, jak ma pojmować miłosierdzie Boże. O, bo też stan religijny u ludu smutny, bardzo smutny! sam P. Kr. w jedném dziełku swojém wystawił babę, która woła w zapamiętałym gniewie, „Na mszę dam, krzyżem leżeć będę, ażeby ciebie djabli wzięli!“ Do takiego to stopnia lud niepojmuje datku ofiary! Zdaje mu się, że ona to samo, co *sądowa sikorka*, zapomocą któréj w najniesprawiedliwszéj sprawie można otrzymać pożądany skutek.

Agrykola, tęgi chłopak. Chociaż pracuje codziennie w kuźni, to jednak nieprzeszkadza mu poetyzować. Układa sobie piosnki, mniéj zapewne piękne niż *Beranger'a* albo *Altaroche'a*, ale za to szczere, wesołe i przy-

jemne. Bo też i sam Agrykola takim jest, a w piosnkach jego wyrażają się własne jego, nie cudze, nie udane uczucia. On wesół nawet i wtenczas, kiedy po ciężkiéj pracy, wymachawszy się porządnie młotem zasiada wieczorem do przyrządzonéj przez matkę (w piątki i w soboty) chudej jakiejś polewki z ryby, albo do stokfisza z marchwią; to go nie smuci bynajmniéj, bo idąc przez miasto już coś przekąsił, a przytém ta postna strawa może mu posłużyć za *sujet* do nowéj piosenki, jak służy zawsze powodem do gestycznéj żartobliwéj rozmowy z dobrą jego przyjaciółką *La Mayeux*, która tak umie czułością spojrzeń swoich wynagradzać ten post mimowolny. Charakter *La Mayeux* również dobry i z expressyą oddany. Biedna dziewczyna pracować musi na życie, chociaż to życie żadnych niema powabów dla niéj, istoty ułomnéj, kaleki! Innym gryzetkom czynią życie przyjemném, nawet nader drogiém: serdeczne związki, miłostki, zabawy, przechadzka z kochankiem, miejsce w paradyzie małego teatrzyka *Funambule*; La Mayeux nieznała tych przejemności. Na przechadzce stawała się celem złośliwych i szyderskich ucinków, nawet była potrącaną, łżoną. Nieszczęśliwa! A jednakże La Mayeux miała jedną przyjemność; tak jest, jéj przyjemnie było usłużyć swojéj sąsiadce Franciszce i pogadać z jej synem. A ten Agrykola taki dobry, tak zawsze za nią obstaje, a przytém zwierza się jéj we wszystkiém, czyta jéj swoje poezye! dosyć. Agrykola jest dla niéj wszystkiém; *ona go kocha*. Piękny to szkic téj ułomnéj dziewczyny z tkliwą szlachetną duszą; ale czyż go kto właściwie ocenić zechce? Zarzuca P. Kr., że niemając czasu iść do spowiedzi miała go dosyć na prowadzenie dziennika. A jużci, odpowiadamy, łatwiejsza sprawa z samym sobą niż z Pa-

nem Bogiem. W powszedniém, pełném trosk i goryczy życiu biednego człowieka niezawsze można być usposobionym do uroczystego aktu, jakim jest spowiedź, a jeśli w jaką godzinę odpoczynku zapisze się myśl szczera, rzewna, prosto z duszy wzięta, jeżeli w chwilach zupełnéj ciszy idąc za popędem serca wylejemy na papier własne nasze myśli, uczucia, wrażenia; to tego za złe brać niemożna. Podobna xiążka zastępuje miejsce przyjaciela-powiernika, jest nawet w pewnym względzie głośną pierwszych wieków kościoła spowiedzią i zawsze, jako summa wypadków moralnego życia indywiduum, za dostateczny rachunek sumienia służyć może.

P. Kraszewski wnioskując, że autorowi *Żyda tułacza* nieidzie bynajmniéj o moralne podniesienie stanu umysłowego ludu, o podniesienie, któreby było największą dźwignią ku polepszeniu materyalnego bytu, i że się on niezastanawia nad hydném zepsuciem, dowodami którego zasypują gazety, zamyka to zdanie słowami: „krzyczy tylko i woła, obwiniając i zdając się więcéj myśleć o chlebie dla ciała niż o chlebie dla duszy.“ Widzimy z tego zdania, że P. Kr. poprzestawiał punkta rozumowania autora *Żyda* i z tego mogły wyniknąć absurda. Sue widzi z jednéj strony nędzę, z drugiéj niemoralność, i razem widzi, że te dwa punkta stanu pospólstwa mają się do siebie, jak przyczyna i skutek. Nędza wylęgła niemoralność. Praca biednego wyrobnika niewystarcza na utrzymanie jego życia, ima się więc niegodziwych środków, albo nawet życie sobie odejmuje. Wszak ta była myśl *Tajemnic Paryża*? Pojął Sue, że dwoma koniecznymi punktami moralności są *dobro* i *zło*, pojął on dobrze, że nie podobną jest rzeczą doprowadzić ludzkość do jednego tyl-

ko pierwiastku *dobra*, uczyniwszy *zło* idealną tylko możebnością. Tak jest, zgłębił Sue doskonale, że to są tylko dwie odwrotne strony moralności, że konieczne ich połączenie stanowi moralność, że pojęcie moralności zależy od zawartych w niéj dwóch kontrastów, bo bez *zła* niemożnaby było pojąć *dobra*. Owoż w pracowitém, spokojném rzemieślniczém życiu widzi on warunki rozwinięcia się dodatniéj strony moralności, a zaś w odjęciu materyalnych środków temu życiu, warunki wprost przeciwne. Moralne podniesienie stanu umysłowego ludu może dla tego uważa za niepotrzebne, że moralność nie podnosi się a tylko rozwija? z zepsucia mającego w sobie zaród śmierci niepodobna rozwinąć zdrowia, a jakże tu jeszcze chcieć taki stan podnieść do czegokolwiek? do takiego zepsucia czy prowadzą zewnętrzne przyczyny czy nie? — tego nierozstrzygam, zawsze jednak gorliwie starać się należy zapobiedz wkradnieniu się jego w żywotny organizm familji rzemieślniczych. Tak myślał genialny Sue rozpoczynając wielkie swe prace i tak wszyscy podobni jemu uczciwi ludzie myśleć powinni. Niepojmuję też i niewiem prawdziwie za co wziąść zdanie P. Kr., zdanie, myśl, zarzut (jeżeli to nie jest prosto łajanie), że Eug. Sue jedynie, aby żywo zająć swoich czytelników, muska wszystkie zagadnienia wieku—zagadnienia wielkie, obchodzące dziś głównie, nad których rozwiązaniem silą się *daleko potężniejsze umysły* i poplątanego kłębka ich rozplątać niemogą. A cóż to znowu za napaść? Czyliż dla tego, że wielu wielkich zadań wieku kłębek (jak wyraża się P. Kr.) jest splątany, należy w bezczynności pozostać? A któż weźmie na się rozwikłać zbawienną myśl ludzkości, jeżeli nie sama ludzkość? wszak ona, rozjaśniając i porządkując warun-

ki moralnego swego bytu reprezentującego się w *idei dobra* pod trzema stopniami jéj rozwoju: *familii*, *socyalności* i *państwa*, sama nad sobą pracuje, sama siebie prowadzi drogą postępu? Ze swego sposobu zapatrywania się na naukę socyalną wziął jeszcze P. Kr. assumpt do obwinienia Sue *o pochlebstwo tłuszczy i gminowi*; sam przecież zrobił wprzódy wniosek, że ten Sue myśli tylko *o powszednim chlebie* dla swoich klientów;— jeżeli tak, to nie wielkiż z niego znawca drogi do serc ludzkich, niestworzony on na pochlebcę, kiedy stara się tylko zabezpieczyć głodnéj tłuszczy ladajaką żywność.

Ze wszystkich osób przedstawionych w *Żydzie tułaczu* jeden *Dżalma* nieodpowiada idei, jaką zdaje się chciał oddać autor. Czémże jest Dżalma? — młodzieńcem dzikim z odwagą lwa, z sercem jagnięcia, niewinnym wprawdzie, czystym, pełnym zapału; ale czyż tego dosyć? to wszystko niestanowi jeszcze ideału mężczyzny, ideału *człowieka*, jakiego szukać była powinna Panna de Cardoville. Na człowieka w całém znaczeniu potrzeba czegoś więcéj, niż jagnięcéj niewinności, lwiego męztwa i pewnych moralnych przymiotów na uczuciu opartych, przymiotów, które swoją chaotyczną niewydatnością zbliżają charakter osoby do stanu wody mętnéj. Dżalma był człowiek nieukształcony, człowiek nieznający moralnie ani ludzi, ani świata, ani samego siebie, jednem słowem człowiek *ciemny*; takim on się okazuje wszędzie, wszędzie oszukany, wszędzie dowodzi owczéj głupoty; jestto najnędzniejsze narzędzie w ręku Faringhei, w ręku ojca Rodina i takiém byłby w ręku każdego, kto tylko chciałby go użyć. Jakież mieć może powinowactwo taki charakter z charakterem Adryanny, tém prawdziwém arcydziełem Su-

c'go, z charakterem, co wziąwszy za swą osnowę piękno w najdelikatniéjszém jego pojęciu, na wszystkie wokoło siebie przedmioty rzuca urocze promienie swego ideału i chciałby całą społeczność ludzką ubrać w szatę piękności? Cóż rozwija charakter Dżalmy? prawie nic, bo słabość i głupstwo. Indyjskiego Xięcia nic niecharakteryzuje, prócz pięknych łytek, nad któremi też autor szeroko się rozwodzi. I dziwną nam wydaje się myśl: stawić naprzeciw cywilizacyi prostotę Indyi! cywilizacya, jakaby ona niebyła, zawsze jest wyższa od patryarchalnéj prostoty; prostota, jako czystość moralna, nieoddzielnym jest attrybutem pojmującéj się cywilizacyi. Kochanek Adryanny niemiał potrzeby być Indyjskim Xięciem, dość dla niego było być tylko człowiekiem. I czém że jest ten drobny, dziecinny charakter obok potężnych rysów, jakie przedstawia indywidualność *Gabryela*, — indywidualność *prawdziwie ludzka*, niekoniecznie Xiędza tylko charakteryzować mogąca? Cała niestosowność ztąd wynikła, że autor zapragnął przedstawić w osobie Dżalmy jakiegoś indyjskiego Antynusa albo raczéj Dyonisosa, to jest, ideał *piękności zmysłowéj*—piękności, któréj ja nigdy pojąć nie będę w stanie. Piękność jest właśnie cechą ducha, cechą, którą on wrył się w materyę, spłynął na jéj powierzchnię i rozświetlił ją bozką gloryą. Na tym punkcie zupełnie się rozchodzimy z genialnym autorem *Żyda tułacza*. On zamierzywszy bez wątpienia skupić w Dżalmie pojęcia wschodu, uzmysłowił w nim nie samą tylko piękność, ale i miłość. A miłość zmysłowa cóż to za wyraz? Możeli ona być tém wzniosłém uczuciem, któremu poddaje się czysta poetycka dusza młodziana? tą świętą tęsknotą, która pociąga jedną duchową połowę do drugiéj? tym ogniem bozkim,

co wytryska z oczu niewinnéj dziewicy, bucha z jéj przeczystéj duszy, powlekając czoło uroczéj bladości światłem jak lampę ze wschodniego alabastru? możeli mówię ta miłość być ogniskiem najczystszych nieziemskich roskoszy, które są udziałem rodzaju ludzkiego, a przynajmniéj kwiatu tego rodzaju? Ona jest tylko żądzą wspólną całemu stworzeniu, a zaiste proste fizyologiczne wymaganie niemoże, niepowinno nosić świętego miana miłości! Wysoka, poczuta silnie i głęboko miłość, miłość dwojga czystych, czystych duchowie istot niemoże być rzeczą poziomą, sensualizmem; głównym organem miłości, duch; zmysły grają w niéj wielce podrzędną rolę. Z takiém pojęciem miłości, jakie nam daje twórca Dżalmy, dokądże to zajść by można i czegoż to wówczas niemusielibyśmy nazwać miłością? To pojęcie jest szczero-francuzkie, *à la Senancour*, za takie też, a nie za inne, uważać je zawsze będziemy.

Eug. Sue często rozwija myśl, że są wybrane indywidua, których dobréj natury nic zepsuć, wykrzywić nie jest w stanie: taką indywidualnością w *Żydzie* jest *Gabryel*. *Poczciwą duszą*, która zajęła się jego wychowaniem, był P. *Rodin*, owa sprężyna wszystkich *pobożnych* działań *towarzystwa Jezusowego*. Cel wychowania był: zrobić go prozelitą, narzędziem zakonu; ale nic niezdołało skazić téj anielskiéj duszy. Gabryel poślubił tylko myśl relegijno-moralną Kapłaństwa — być opiekunem, pocieszycielem, przyjacielem ludzkości. Missyonarz, poszedł opowiadać słowo Boże, cierpiał męczeństwo spokojnie, z rezygnacyą cnotliwego człowieka. Jestto ideał *duchownego*, utworzony przez Eug. Sue. Podobny obraz przedstawia w *Matyldzie* prawy charakter wiejskiego parocha Xiędza *Dampierre*. Z te-

go przekonywamy się, że zarzuty czynione Jezuitom nieodnoszą się do całego duchowieństwa, oraz że znaczenie i moralny wpływ tego stanu autor *Żyda tułacza* doskonale pojmuje. Powstaje on z największą mocą na to sofistyczne tłumaczenie występków, jakie jezuici pokładli w doręcznikach spowiednika (ob. *Compendium* dla seminarzystów wydane w Strasburgu 1843 p. t. *Découverte d'un bibliophile*), na tę szczególną metodę spowiadania, gdzie występują na scenę najobrzydliwsze rzeczy, gdzie, zamiast oczyszczenia winy i dusznéj pociechy, niewinna młoda kobieta odbywa kurs najwyższego stopnia demoralizacyi. A czyż w tym względzie oburzenie Eug. Sue niebyło słuszne? Wszak na co tylko powstaje ten autor, to natychmiast w przypiskach stwierdza faktami, odwołuje się do statutów zakonu, przywodzi specyalne dzieła. O téj jednak faktycznéj części *Żyda* P. Kr. całkiem przepomniał. Zżyma się P. Kr. na Gabryela, że pochował samobójcę na cmentarzu. Wszakże nie każde samobójstwo powinno ulegać surowości prawa, mianowicie takie, które bywa wypadkiem pewnéj wewnętrznéj choroby? W Anglii, gdzie klimat wyrobił właściwą temu krajowi chorobę *spleen* zwykle kończącą się samobójstwem, prawa niekarzą samobójcy, bo występek jego niemoże być brany za czyn woli. Ileż to u nas podobnych katastrof, przy najdotykalniejszych pozorach rozważnego czynu, wynika prosto z hypochondryi, melancholii! Czyż się godzi te nieszczęsne ofiary fatalnéj choroby wyrzucać jak psów na rozdroża? Tam, gdzie to pytanie do woli duchowieństwa zostawiono, pięknym czynem miłosierdzia kapłana jest przyjęcie zwłok samobójcy na poświęcone miejsce, nie dla niego, bo umarłemu, jak Dyogenesowi, wszystko jedno, gdzie go pochowają, lecz

dla tych, z którymi on za życia w ścisłym krwi związku zostawał i którzy radziby po śmierci swojej spoczywać z nim nierozdzielnie. O Eug: Sue mówi P. Kr. „nie wiemy, czy katolik, czy chrześcijanin, czy socyalista, furyerysta, sęsimonista, czy messyanista?" — Jest tém wszystkiém, odpowiadamy, we wszystkich formach są myśli pełne prawdy, a autor *Tajemnic Paryża* i *Żyda tułacza* idzie za prawdą, w jakimby ona nieobjawiła się kształcie. Alboż P. Kr. tego jest zdania, że człowiek powinien zasklepić się w jednéj idei, jak ślimak w skorupie, i już za nią niewystąpić krokiem? Do czegożby taka jednostronność doprowadzić mogła? Prawdziwie, P. Kr. uwziąwszy się, wszystkie zasługi Eug. Sue policzyć mu za grzechy, chciał nawet jego pełne humanizmu serce naznaczyć pieczęcią niepoczciwości. Pyta P. Kr., kto dojdzie zasady Eug. Sue? i następnie twierdzi, że on sam niewie, z kąd wyszedł i dokąd idzie? Wyszedł on z serca przejętego miłością ludzkości i stara się o urzeczywistnienie *idei dobra*. To jest cel główny autora, to idea matka, to substrat jego pomysłów. Jeżeli się tego wszystkiego niedopatrzył P. Kr., nie wina to P. Sue, lecz własna jego, jako owoc uprzedzenia, albo zbytniéj gorliwości. Ledwie przyznaje P. Kr. autorowi *Żyda*, że charaktery, sytuacye i pojedyncze sceny są *powiększej części* zarysowane z talentem. Przyznaje staranne utrzymanie charakteru Rodina, *tylko*, ze skutkiem zbytecznéj i niesłychanéj przebiegłości staje się nieostrożnym do śmieszności (?). Zapewna, gdyby Rodin występował u nas w jakiéj *originalnéj* powieści, charakter jego byłby nieugjęty i pełen prescyencyi, jak charakter jakiego bóztwa, ale Rodin Eug. Sue musiał być na pół człowiekiem, na pół szatanem, musiał być *jezuitą*, któ-

ry jak pająk wikłał się sam w swoje sidła. Zarzuca P. Kr. dziełu brak jedności? Jednością *Żyda tułacza* są Jezuici i jedność tę symbolicznie wyraża w globusie P. d'Aigrini: — ta sieć, co cały świat sobą okryła, trzyma akcyę dramatu. Śmieszna też rzecz, kiedy *u nas* biorą się rozprawiać o machinie romansu, u nas, gdzie machinerya powieściopisarska powstała razem z machineryą wodnego młyna i już na krok od raz przyjętej rutyny nieodstępuje. Machina dwóch ostatnich romansów Eug. Sue zadziwia swoją prostotą i łatwością; a pomimo to zdaje się, że ta forma całą dramę życia ludzkości umieściłaby w sobie mogła! U nas, gdzie Autor napisawszy jeden rozdział, myśli, jakby do niego przykleić drugi, dziwić się zaiste należy, jak francuzki pisarz widocznie menażuje środki swoje, aby skrócić dzieło. Ramy powieści *Żyd tułacz* tak są obszerne, że zdołałyby w sobie objąć świat i ludzkość całą!

Głównym celem artykułu P. Kr. było przeciwdziałanie francuzkiéj literaturze; bo sam on powiada, że zapał, z jakim rzucono się do czytania *Żyda* zdaje się być podwojony kilkoletniém zobojętnieniem Publiki nienawróconéj ku literaturze krajowéj; z tego więc względu artykuł ten powinien się uważać, jako *pia fraus* i pod takim tylko tytułem na przebaczenie zasługuje.

Albert Gryf.

Mostyszcze,

d. 15 Marca 1846.

NOTABENE.

Ten Artykuł P. Gryfa umieszczony tu został *na wyraźne żądanie* P. Kraszewskiego. Przeznaczony on był wprawdzie przezemnie do tego Numeru *Gwiazdy*, wszakże (pokornie się spowiadam) ujęty rychłą i nader zaspokajającą na moje edytorskie wezwanie odpowiedzią P. Kr., nieomieszkałem mu przełożyć, jako zostającego w mojéj mocy środka wdzięczności, że ten artykuł znacznie zmodyfikowanym a nawet zupełnie cofnionym być może, gdyby sobie tego życzył! I cóż? Zacny ten promotor światła nietylko że nieskorzystał z mojéj słabości, lecz jeszcze ofuknął się na mnie témi oto słowy: „Nieznasz mnie, jeśli myśleć możesz, że te„gobym wymagał, że otobym prosił. Sam uznaj, czy „z pewną godnością, czy poważnie a sumiennie pisany, „czy nie wprost szyderski a nie niedowodzący, jakto „ucinki Bejłowskie bywają, — *a jeśli ostry mimo „powagi, sumienny jest a surowy, niech stokroć będzie „przeciwko mnie, ja sam proszę Pana — drukuj.*" Oby taka wyrozumiałość upowszechnić się u nas mogła! Oby ci zwłaszcza, co każdym prawie pociągiem pióra na ostrą krytykę zasługują, wziąść zechcieli do serca ten wymowny przykład zaparcia się indywidualnego, przykład prawdziwie chrześciańskiéj abnegacji w interesie dobra ogółu!

(*Wydawca*)

REMINISCENCYE

W DZIEŃ URODZIN.

Oddane na pamiątkę Józefowi Bułhakowi.

1.

Schroniony w pączka jedwabne powicia,
Jako niemowlę w matki swéj uścisku,
W słodkich pieszczotach dziecinnego życia
Nabiera kwiatek zapachu i błysku.
Lecz ledwie miłym przyleciawszy gońcem
Pieśń zmartwychwstania zanuci skowronek,
Już kwiatek rwie się z rodzinnych obsłonek
Odetchnąć wiosną, nacieszyć się słońcem.

W rodzinnym domu, na życzliwych ręku,
Pod czułą ojca i matki opieką,
Jak jasny strumień dni młodziana cieką
Pełne pokoju, słodyczy i wdzięku.
Lecz z każdém życia dziecinnego latem
Ciekawe żądze przynosi wiek młody,
Wyjrzeć za krańce rodzinnéj zagrody,
Zobaczyć ludzi, ucieszyć się światem.

O, niespiesz kwiatku! krewkość twa dziecięca
Niech lśnić nieżąda wśród wiosennéj niwy; —
Zdradna ta roskosz, która cię przynęca,

Krótkie to życie, któregoś tak chciwy.
Chcesz żyć wśród słońca promienistych fali,
Chcesz pełną piersią pić wiosenne tchnienią;
Ale to słońce listki twe opali,
Ale ta wiosna w jesień się zamienia.

Niespiesz młodzieńcze! w omamieniu błogiem
W burzliwe świata rzucać się wypadki;
Tam znajdziesz nowość za rodzinnym progiem,
Nieznajdziesz ojca drugiego i matki.
Miłe ci teraz domowe zacisze,
Gdzie samo szczęście igra w twej pamięci;
Gdzie sen twój ojca troskliwość kołysze,
Serca życzliwych zgadują twe chęci.

Niespiesz się, niespiesz nowe liczyć lata!
Niech się obecny stan długo przewleka; —
Tam po za krańcem rodzinnego świata
Świat wiecznéj burzy i trudów cię czeka.
Spokojnie dysze niewinna pierś dziecka,
Póki jéj świata niewzburzą podniety; —
Tam czyha przyjaźń mężczyzny zdradziecka;
Tam grozi miłość obłudnéj kobiety.

Ach! biada temu, kogo los zawzięcie
Zmusi porzucić dóm ojczysty z płaczem,
Pieszczoty matki i ojca objęcie,
By wiecznym zostać wśród cudzych tułaczem.
A kogo żądza i nowość omami,
Że za próg cichy gwałtem się wykrada, —
O biada jemu, stokroć jemu biada!..
Nieraz gorzkiemi zapłacze on łzami

I myśl cofając od wspomnień zwietrzałych,
By miłą pamięć dzieciństwa ocucić,

Nieraz zapragnie z kresu lat dojrzałych
Dzieckiem pod strzechę rodzinną powrócić.
Lecz pożno starzec dziecięciu zazdrości!
Mija sen życia, złudzenie się chowa;
Za nim żal prędko przeżytéj młodości,
Przed nim grób świeży i pościel dębowa.

I ten grób wkrótce dziki chwast powlecze,
Prędko tę pościel zgryzie robak podły;
Lecz prędzéj jeszcze wyschną łzy człowiecze,
Zmilkną wspomnienia i kupione modły.
Krótko człek żyje, jeszcze krócéj kocha;
Krótko mu spokój śmierć cudza zamąca;
I tę mogiłę, na któréj dziś szlocha;
Jutro omija lub nogą potrąca.

Co łzy? co uśmiech? — dań wspólnéj potrzebie;
Podległa zimnych zwyczajów rachubie.
Piosnka za stołem, życzenia przy ślubie,
Taniec na balu i łzy na pogrzebie; —
Wszystko to jedno!

2.

Pamiętam, przed laty,
Dawno, gdy jaśniał wiek dzieciństwa złoty;
Gdy pierś trucizną nie przesiękła jeszcze;
Gdy nad chęć sławy, nad kobiet pieszczoty
I nad przyjaciół uśmiechy złowieszcze
Droższe mi były pól rodzinnych kwiaty;
Gdy nieraz, chęci zjawiając dziecięce,
W jasną xiężyca zapatrzony postać,
Drobne do niego wyciągałem ręce,
By z nieba cacko pozłacane dostać: —
Raz w letni wieczór, wesoły, szczęśliwy,

Goniąc motylka utrudzonym biegiem,
Dostrzegłem nagle, że na końcu niwy
Błękitne niebo zrosło się z jéj brzegiem.

O jakże błogie uniesienia chwile
W życiu dziecięcia! jak silna ta władza
Co w nas przestygłe popędy odradza!
Już tyle wrażeń, już lat przeszło tyle,
A mnie się jeszcze owe mgnienie marzy: —
A mnie się zdaje, że to było wczora!
Ja ciągle czuję ten rumieniec w twarzy,
Którym mi wtedy zapłonęło lice;
Jeszcze ta żądza pali mi zrzenice,
Z jaką wzrok dziecka cel swych życzeń sięga!
Jam i dziś gotów, jak tego wieczora,
Biegnąć i biegnąć na kraj widnokręga
Z roskoszną myślą, że niebo zachwycę.

Jak niebo z ziemią ożenione w dali,
Błyszczą obłudnie złote fraszki świata.
Człowiek z radością przeskakuje lata,
Już żądza szczęścia młode serce pali,
Zdrowie i siły w ofiarę jéj niesie,
Pracą sen płoszy z utrudzonych powiek, —
W tém urok znika, i widzi się człowiek
Przy kresie życia, nie przy życzeń kresie.

3.

Kiedy niebo brzemienne groźnych chmur nawałą
Piękną ojczyznę ludzi potopem zalało,
Uszczknioną na mogile umarłego świata
Gołąb przyniósł gałązkę na szczyt Ararata; —
Był on radośnym ziemi zmartwychwstania posłem.
Z burzy, z potopu życia ja nic nieuniosłem!

Trzy miałem skarby, które z dziecięcego roku
Strzegłem aż na dnie serca, jak zrzenicę w oku: —
Trzy miałem skarby — wiarę, miłość i nadzieję. —
Poszedłem w świat, na drodze napadli złodzieje,
Wyjęli z piersi serce, z serca skarby moje
I potém puste serce w piersi mi wtłoczyli!

. . . .

Wiara! nadzieja! miłość!.. niegdyś na te słowa,
Jak za westchnieniem wiatru harfa eolowa
Dźwięczała moja dusza tajemniczém echem!
Teraz te martwe zgłoski powtarzam z uśmiechem. —
Wydarto mi je z serca i od tego mgnienia
Zostały dla mnie dźwiękiem pustym bez znaczenia!
Wierzyłem: — czołem w prochu świątyni powisły
Nieraz ledwiem błagalne mógł wyszlochać jęki!
Kochałem: — za jedną łzę, za ściśnienie ręki
Przedałem rozum, pamięć, obłąkałem zmysły!
Miałem nadzieję: — za nią często myśl skrzydlata,
Jak gołąbek korabia, z burzliwéj powodzi
Latała po nad niwy ojczystego świata, —
Lecz te niwy bez kwiatów — zerwane serc związki,
I gołąb zamiast wieszczéj zielonéj gałązki
Przyniósł suchy krzak ciernia do rozbitéj łodzi!

Naprzód los mię oszukał, potém — precz z wspomnieniem! —
Potém, cel pośmiewiska i pociechy gminów,
Jak Samson na bezbożnych ucztach Filistynów
Dźwigałem kamień młyński dziecięcém ramieniem.
Teraz los, ludzie, ona — niechaj nikt na świecie
Do rozbitego serca praw sobie nierości: —
Wzgardę, szyderstwo, żądzę, wszystko w niém znajdziecie,
Niema w niém tylko wiary, nadziei, miłości!

A choć me wargi szepcą i teraz pacierze,
Choć jeszcze lubię rozkosz kobiecego łona,
Jak łakocie na uczcie, jak sok winogrona;
Lecz serce już nieboli: lekko mu i błogo,
Bo zmartwiałem na wszystko, bo już w nic niewierzę,
I nic się niespodziewam, niekocham nikogo.

W takich kolejach już się radość nieśni;
Uśmiech choć błyśnie wraz się z lica chowa;
Usta odwykły od weselnéj pieśni
I myśl się plącze po wspomnień dziedzinie
Jak marny pająk w wątłéj pajęczynie,
Którą na krzyżu grobowca osnowa.

4.

Kochanku szczęścia i pieszczot kochanku!
Wybacz piosence, powabów w niéj mało
I zamiast kwiatka do wspólnego wianku
Zaplotłem ciernia gałązkę zdziczałą.
Gdy życie pełne żółci i goryczy
Wtedy i myśli jadem ich zatrute;
Lecz choć na smutną zaśpiewałem nutę,
Wierz mi, że serce najlepiéj ci życzy.

LEON JANISZEWSKI.

Dobosna 1838 r.

OZYMUND.

Pustynia na wszystkie rozciąga się strony;
Ż nieb leje się ocean blasków,
Ni duszy w około. Sam jeden, znużony;
Brnie jakiś wędrowiec wśród piasków.

A szatan pustyni, gdy usta znój pali,
Wciąż łudzi go jezior widokiem,
To cienie olbrzymie przesunie po fali,
To jasnym je zamgli obłokiem.

Wtém jakieś dwie nogi ciosane z kamienia
Przed oko zdumione wybiegły;
A tułow i głowa i szczątek ramienia
Wokoło nich ziemię zaległy:

Wpatruje się w głowę, — oblicze jéj harde
Oddycha potęgą tajemną,
A usta się zdają wyrażać pogardę,
A oko szyderstwa myśl ciemną.

Na boku podstawy głoskami złotemi
Następny był napis wyryty:
„Jam Ozymund wielki, król królów na ziemi,
Ma sława przeżyje granity.

„Com zrobił, zapytaj dokolnych mieszkańców!"
Wędrowiec okręcił swą głowę;
Lecz przed nim i za nim pustynia bez krańców;
A na niej milczenie grobowe.

I tylko wśrod zwalisk nieznanych od wieka
Gad jakiś przepełza plugawy; —

I westchnął wędrowiec nad głupstwem człowieka,
Nad czczością potęgi i sławy.

TADEUSZ ŁADA-ZABŁOCKI.

Tyflis. 4 Sierpnia 1846.

COŚ NAKSZTAŁT ZDANIA

O powieści Kraszewskiego: *Pod Włoskiém niebem.*

(Z listu Alberta Gryfa do Józefa Kraszewskiego pisanego d. 26 Pazdzier. 1846 w Mostyszczach wyjątek).

... Czytałem niedawno powieść pańską: *Pod Włoskiém niebem*, powieść, która mi się podobała, pomimo, że w poglądzie, w idei, którą Pan tam rozwijasz, różnimy się od siebie znacznie. Pismo to w ogóle podobne jest do dawniejszych pism Pana, do tych, które właściwie możnaby nazwać pańskiemi *per excellentiam*, do ustępów z *Wędrówek*, *Cztérech Wesel*, a nadewszystko do *Świata i Poety*, utworu wiel-

kiéj wartości w moich oczach, który powinienby Panu zjednać europejską sławę. Młodość, którą wespół z Szyllerem i ruskim poetą Żukowskim nazawsze zachowasz, jaśnieje w tém dziele równie jak i w tamtych; świeżość myśli, barw i stylu owłada całkiem duszą czytelnika i unosi go tchnieniem swojém gdzieś daleko, wysoko *in das schöne Wunderland*. Są, którzy niesmakują w takich dziełach, gdzie główném tłem jest kolor duszy samego autora, ja wszakże trzymam w tym względzie z Pascal'em: „*On est etonné et ravie lorsque dans un livre au lieu d'un auteur on rencontre un homme.*" Ten liryzm zdaniem mojém cechuje mocno dzieła kochanego Pana te właśnie, które mi się najbardziej podobają, a do których sądzę i Pan sam musisz czuć predilekcyę. Najukochańsze dzieci najpodobniejsze są do ojca. Jakże bo nielubić tych kart, które są składem niejako najpiękniejszych owoców życia naszego; jak oderwać serce od tych xiążek, w których najlepsze najpoetyczniejsze pomysły, a co większa, najświeższe marzenia młodości zakopało się na wieki! Jestto skarb skąpca, którym on sam na sam najczęściéj delektować się pragnie; jestto bukiet uwity z nieśmiertelników młodości zwilżonych rosą najsilniejszego uczucia; jestto wizerunek przeszłości, téj najpiękniejszéj zawsze pory życia, chociażby ona do łez tylko i ciężkich westchnień pobudzała. A jednakże przy tak żywém, namiętném współczuciu, które ma zawsze pewny

zmysł młodości do przyjęcia jéj piękna i uroku, jest coś w tobie, co wyniosłeś z tego życia, jakiś osad rozczarowania, skeptyczna żyłka, co zadrga na chwilę i omroczy wszystkie obrazy przeszłości, lubo nam ich nigdy obrzydzić niezdoła. Ta wena skeptycyzmu w nowéj powieści pańskiéj najwięcéj się rozwinęła. W powieści *Świat i Poeta* były myśli, czasem słów kilka, co potęgę uczucia, miłość stałą, prawdziwą cierpkiéj poddawały wątpliwości. Któż niepamięta tego rozdziału: *Pod bzami*, świeżego jak maj, wonnego jak bzowe kwiatki, a w nim słów: „*i przysięgli sobie dzieci.*“ — słów, co potokiem łez wylały się z piersi autora? I sam motyw powieści zdawał się krzyczeć nad uchem niewinnego młodzieńca: — miłość stałą być niemoże! miłość niezaspokoi wszystkich potrzeb twojéj duszy! kobieta, którą tak dzisiaj ukochałeś, zpowszednieje w krótce w twoich oczach, a poetyczne obrazy twojéj miłości w poziomą przeistoczą się prozę, ich melodyjna harmonia rozedrze ci duszę niesfornym hałasem; ta przyszłość, co dziś przed oczyma duszy twojéj tęczowymi jaśnieje kolory, raz urzeczywistniona, spłowieje całkiem a jedwabna jéj tkanina w wytarte zmieni się płócienko! na miejscu niewinnéj kochającéj Maryni ujrzysz przed sobą zimną pełną pedanteryi Lucyę, i serce Gustawa, poety wzniosłego, kochanka przeczystych bozkich ideałów, to serce, co dzisiaj upaja się nieziemską harmonią platonicznego piękna, bić będzie

gorączkowém tętnem podłego opilca; szlachetna jego postać i pełne niebieskiego światła oczy zbrzydnieją — postać nagnie się ku ziemi by go bardziej do czworonogów zrobić podobnym, a oczy iskrzyć się będą blaskiem dzikiego szału, blaskiem zamglonym wyziewem głupoty i trunkowego odurzenia!

Cóżto za uroczysty ton poezyi Danta brzmi na początku pańskiéj powieści! Miłość jego ku Beatrice, owa nieziemska czystoduchowa miłość exaltuje myśl i serce czytelnika, budzi to, o czém już oddawna zapomniał i łudzi nadzieją i melodyjną urzeka piosenką. Mary poezyi cisną się zewsząd do duszy i już w niéj ludno, chociaż w około cisza, milczenie. Laura i Beatrice unoszą się jak wieszcze widziadła. Francesco di Rimini opowiada w niewypowiedzianéj boleści złote dnie swojego szczęścia:

> Nessun maggior dolore
> Che ricordarsi del tempo felice
> Nella miseria.....

W tych myślach pogrąża się Jan, exaltowany młodzieniec, powstając na oziębłość kobiet swojego kraju niepojmujących uczucia. O! bo to pewna, że u nas więcéj jeszcze głupstw wchodzi do kobiecego wychowania, niżby kto sobie wyobrażał; — rachunek, kupiecki rachunek największy ma udział w tém wychowaniu, przezeń tłumią to, co podnosi duszę, co prowadzi do uczucia własnéj godności, co mówi,

co jest godziwém, szlachetném, a co czczą, głupią minoderyą; — i mamyż, dzięki arytmetycznym rozumom rodziców i opiekunów, mamy mnóstwo żywych, zalecających się — lalek! Rozmowa Adama z Janem lepiej nas jeszcze z rzeczą oznajamia. Adam pojmuje spokojnie, Jan ogniście, namiętnie ale wysoko, ale tak, jakto u nas mówiono dawniéj, *platonicznie*. Jan odjeżdża do Włoch zostawując w kraju *quasi* — nieczułą, zimną Emilię. W staréj spróchniałéj Romie poznaje Pepitę, kocha się w niéj, nasyca się jéj wdziękami, upaja miłością, nad którą cięży skwarne niebo Italii. Ale wkońcu Pepita, dziewczyna gminu, wraca do swego elementu, do życia ludu błogosławionéj Romy, owego życia *dolce far niente*, życia pustych karnawałowych zabaw na *Corso*, rożańców, nisz z madonami i tlejącą lampą i dźwięków gitary i woni cytrynowych kwiatów, wraca i rzuca się na łono Lucia transteveranina, w krwi którego są jeszcze cząstki krwi towarzyszów Romula. Jakaż to była miłość Jana urzeczywistniona na chwilę w miłości Pepity? Oto, tłumiona, rozpasana, materyalna namiętność bachanki, jedném słowem *un amour d'une courtisane*, za którą, mówiąc prawdę, niewarto było w tak daleką puszczać się drogę. Taką miłość snadnie można było znaleść i u nas, na Ukrainie, na łonie naszych czarnobrewek, bo dla niéj wcale niepotrzebne moralne ukształcenie. Ale gdzież jest duch miłości, gdzie jéj poezya, ten

urok niebieski, co uszlachetnia nas prawdziwie napełniając duszę naszą uczuciem najczystszych bozkich roskoszy? Nie jest li to satyra na miłość i exaltacyą młodości? Nie jest li to nowa przeciw nam protestacya, że proste chucie fizyczne zowiemy potrzebami duszy, że uduchowniamy cielsko, aby przed niém jak przed bożyszczem bić czołem? Nie jest li to pobożne ostrzeżenie, że częstokroć szatan przemawia do nas łudzącémi słowami namiętności: — co napomyka, iż w podobnych razach właściwieby było udać się do średniowiecznéj włosiennicy i dyscypliny, owego *panaceum* cieleśnéj miłości? Bardzo być może, że z takiego pojęcia przedmiotu wyrodził się pietyzm, bo i kościoł zapatruje się na miłość nieinaczéj, tylko jak na popęd duszy udzielony nam od Boga dla wydania w uczciwym a zewszech miar spokojnym związku dziatwy, przyszłych sług bożych. Taka tam tradacyjnie przechowuje się nauka, taka a nie inna, pomimo wszystkiego, co nam prawi P. Kostrowiec w sążnistych swoich artykułach.

A jednakże tyle życia, świeżości i wdzięku w téj powieści kochanego Pana; tyle ustępów świecących poezyą miłości; tyle miejsc wrażających się mimowolnie w serce i pamięć czytelnika; tyle bezwątpienia szczegółów autobiograficznych!... Ach, są, są chwile w życiu naszém, w których najbardziej urzekające nas przedmioty budzą w nas wstręt, odrazę, w których mówię gotowi jesteśmy najpiękniejsze kwiaty uczuć

naszych rzucić wzgardliwie i podeptać nogami! Wiem to, jest, jest coś podobnego w sercu każdego człowieka!....

GŁADIATOR.

I see before me the Gladiator lie...
BYRON. —

Tłoczy się lud, jak fala Tybru rozhukana,
Grzmią w arenie oklaski. Zapaśnik na sile
Mdleje przeszyty mieczem, pada na kolana,
Nogi mu się ślizgają w zakrwawionym pyle.
Jedną ręką wspiera się, drugą kryje rany,
Mętnym wzrokiem o litość błaga widzów koło.. —
Darmo! tłuszcza zwycięzcy uwieńczyła czoło;
A on zchodzi ze sceny — aktor ogwizdany.

I krew mu bucha z piersi. Już śmierci sen chłodny.
Usiada na powiekach: — ot błysło widzenie..
Szumi Dunaj; on wraca do kraju swobodny;
Przed nim pola ojczyste, drzew domowych cienie;
Siwy ojciec ku niemu wznosi dłonie drzące;
Widzi żonę swą, dzieci przy niéj igrające,
Czekają go pełnego zdobyczy i sławy.. —
Darmo! on padł haniebną porażony blizną,
Jak dziki zwierz ofiarą chwilowéj zabawy. —
„Żegnaj rozpustny Rzymie! bądź zdrowa ojczyzno!"

FELIX WICHERSKI.

LISTY
ALBERTA GRYFA
DO
BENEDYKTA DOŁĘGI

(*Ciąg dalszy*)

LIST V.

Mostyszcze, *d.* 31 *Maja* 1846.

Quo magis pravitas eorum admiranda est, qui dediti corporis gaudiis, per luxum atque ignaviam aetatem agunt: caeterum ingenium, quo neque melius, neque amplius aliud in natura mortalium est, inculta atque secordia torpescere sinunt: cum praesertim tam multae variaeque sint artes animi, quibus summa claritudo paratur. —

Sallustius. —

Co wprzódy zauważyłem, to i teraz powtarzam, że chętka do filozofowania według własnego widzimi się cechuje wyłącznie pisarski zawód autora *Listopada*: nieprzepuszcza on żadnej zręczności do popisania się ze swoją loiką, rozumuje zawsze i wszędzie, to tylko bieda, że w tym processie jego rozumu nieprzewodniczą żadne

z czystych umysłowych źrzódeł pojęcia, a samę rzec można babskie przesądy i ten niczem nieprzełamany upor, co radby wbrew wszelkiej krytyce sankcyonować największe absurda. Nie bez słuszności więc pomawiają Hrabiego o brak wiary w to, o czém stara się drugich przekonać, bo doprawdy cała jego loiczna taktyka właściwie nazwaćby się mogła *sztuką czmucenia bliźnich*. Nierzadko sam on pada ofiarą swojéj sofisteryi; naprzykład, kiedy mówi, że dusze cnotliwe nie są wiele rozumujące, to tak, jak gdyby własnym swoim rozumowaniom niecnotliwe powody przyznawał. Niektóre też sądy jego tak są płytkie, że widoczną jest rzeczą, iż ferując je rachował na ciemnotę swoich czytelników. Jak np. trzymać o zdaniu autora *Listopada* wyrażoném w przypisku do Fragmentu umieszczonego w 1. T. *Gwiazdy*? „Rzecz dziwna (mówi on tam), „niechby kto pokazał podkowę a złożył niezaprzeczone „dowody, że ona była przybitą do kopyta rumaka Chod„kiewicza w dniu, kiedy on gromił Szwedów pod „Kircholmem, ta podkowa natychmiastby nabrała nad„zwyczajnéj wartości i ceny;— a potomek tegoż Chod„kiewicza, krew krwi i kość kości jego, niemiałby „ceny wyższej od tej, co ją mają wszyscy inni lu„dzie gminni? Przyznam się, że tego i nierozumiem „i nigdy rozumieć nie będę," Dziwna zaiste, jak hrabia mógł wpaść na myśl porównywania i podciągania pod jedno prawidło rzeczy anorganicznej i istoty rozumem obdarzonéj? kawałka żelaza, mogącego mieć jakąś cenę z ubocznych jedynie względów i duchowej jednostki — człowieka, którego wartości koniecznym warunkiem jest wewnętrzne, samodzielne życie? Wszak najprostszy rozum zdoła upatrzyć różnicę między tém dwojgiem, i każdy, ktoby przyznał wyższą cenę rze-

czy noszącéj na sobie cechę historycznego faktu, nieubliżyłby tém bynajmniéj jakiemuś trutniowi, czy osłowi, chociażby ten był potomkiem Chodkiewicza! Niewieleż-bo hrabia okazał honoru swoim arystokratycznym pretensyom, wywodząc je z tych samych principiów, jakie nadały cenę podkowie Chodkiewiczowskiego konia; — dość często i dzisiaj zdarza się widzieć potomków znamienitych niegdyś ludzi, błąkających się pośród nowego plemienia, jak te stare, wytarte numizmata, co mają tylko jakąś wartość w oczach archeologów; to też, jako kandydatom do gabinetowych tego rodzaju kollekcyj, nikt im nieprzeszkadza butwieć pomiędzy stosami zużytych rupieci! Pytam więc, azali sam ten przypisek tchnący fanatycznėm zaślepieniem nie naucza, że raczej za starannie ukształconym a nieomroczonym żadnymi przesądami umysłem, niż za tradycyjną powagą rodu iść należy? azali wykazane tutaj, jak i gdzieindziej, nonsensa niedowodzą, że owa umażona powaga, niemając nic w sobie racyonalnego, może tylko, jak właśnie wciąż przekonywamy się z pism autora *Mieszanin* i *Listopada*, wprowadzać w wir najniedorzeczniejszych pomysłów i w końcu przywieść do teoryi, która będzie obszernėm rozwinięciem fałszywej zasady? Pan hrabia zna tylko arystokracye rodu i pieniędzy (*Listopad* T. III. R. I.); niechże się dowie, że jest jeszcze inna, wyższa i daleko zaszczytniejsza od tamtych, arystokracya umysłu, łącząca się (chociaż dotąd niezawsze niestety!) z powagą urzędu i zasługi, arystokracya, którą światli monarchowie, niezależnie od prerogatyw rodu, używają do administracyi kraju, do rady Państwa czyniąc ją filarem niejako wielkiej świątyni, której sami są głową i szczytem. Człowiek o tyle tylko wielkim jest, czcigodnym, o ile, jako typ

prawdy, dobra i sprawiedliwości, reprezentuje w sobie ideę moralno-umysłowej istoty; owoż, prawdziwym według naszego pojęcia arystokratą ten być powinien, kto czynem albo pomysłem zbliża się do tego wysokiego typu człowieka. Wielki też człowiek, jakby niebył wielkim, całej doskonałości w sobie przedstawić nie jest w stanie; dla tego czyny jego nie mogą być brane za wzór postępowania, a zawsze się przyjmuje w tym względzie sama idea. Nie wielki człowiek staje się luminarzem, a idea, owa matka *wielkości*, do której każdy zwolennik poczciwej sławy synowskim pała affektem. Ten przeto najświetniejszego jest rodu, kto stał się prawdziwym człowiekiem, kto o całe niebo wyniósł się nad poziomą rzeszę tych istot bezmyślnych, które dla uderzającego kontrastu *lilliputami* nazwaćby należało. A iluż to takich lilliputów najznakomitsze wydają rodziny? iluż potomków najdawniejszych rodów większą pokryło się rdzą i pleśnią, niż podkowa Chodkiewiczowskiego rumaka pod Kirchholmem!? I gdzież te promienie światła, co przodkom ich torowały drogę do sławy? gdzie energia męzka, gdzie charakterystyczne rysy prawdziwej godności, co powszechną cześć i miłość jednały? wszystko to niestety uleciało razem z wielkością protoplasty, i w potomkach *wielkiego* naliczysz tuziny samych *lilliputow*! — Bo też wielcy ludzie, jak niektóre rośliny o pełnym kwiecie, wyradzają się tylko, zasiać ich niepodobna. Same dostatki jakże często zradzają płoche żądze i lenistwo, za któremi w koniecznem następstwie idzie umysłowa gnuśność, gnusność tém ohydniejsza, że piętnuje człowieka, którego imie przypomina *wielkiego*, co przekazał czyny swoje do skarbnicy historyi! A umysłowa mierność? — przystajeż ona jakkolwiek do arystokratycznego splen-

doru ? i czémże się ona wyda obok człowieka również dawnego rodu (wszyscy bowiem jedną składamy familię), którego oblicze światło geniuszu opromienia ? A jakże boleśnie jest przypuścić nawet, że prawdziwy talent, że geniusz z ostatnią passuje się nędzą wtenczas, kiedy mierność, wsparta jedynie *dawnością* rodu, opływa w dostatkach zasłaniając nikczemną swą facyatą drogę publicznych zasług! Ileż-to w myśli powstaje olbrzymich cieni mężów, u których skroni laur potomności, a u boku dar jedyny współczesnych — torba nędzarza! O bajeczny, pełny chwały i podziwu niezliczonych pokoleń, Homerze! o Miltonie! Kamoensie! Gilbercie! Czattertonie! o ty nakoniec, coś nowy świat prawie stworzył odkryciem Ameryki, wielki Kolumbie! wy wszyscy niestety gorżki wyssaliście ze swego życia pewnik, że powaga rodu nieprzyjazną jest powadze zasługi i geniuszu. I jeszczeż-to w nasze czasy śmie kto przemawiać za arystokracyą rodu, śmie wmawiać, że ona *pełna podań*, *udzielająca się dla ziomków*, *świadoma wszystkich tajemnic historyi swojego narodu* (!!?); że ona najgodniejsza stanąć u jego stéru! Nie jest-li takie rozumowanie wierutnym fałszem, ślepotą? Cóż-to jest ta świadomość wszystkich tajemnic historyi? ma-li to oznaczać, że zmarli arystokraci przekazali potomkom swoim pewny talizman, który, jak palladyum, jak owe zaklęte imie starożytnej Romy, winno przechowywać się w uprzywilejowanym ich rodzie, bo od tej skrytości pomyślne losy kraju zawisły? Nie! dziś już kuglarstwo takie nikogo omamić niezdoła, dzisiaj wie każdy, że duch narodu się rozwija; że tradycyjna tajemniczość maniery administracyjnej nic nieznaczy; że kto tylko chce zbadać duch swego narodu, musi pojąć położenie jego w ło-

nie ludzkości, poznać miejsce, jakie w jej dziejach zajmuje i z tego stanowiska zapatrywać się na jego przeznaczenie, na cele i tendencye z politycznej jego missyi wypływające. To-ż pojmuje dumny arystokrata? o jakichże-to tajemnicach prawi nam hrabia — może o tych, co w familijnych przechowują się kronikach, a które mogą być stekiem samych obrzydliwości, podobnych do historyi Dorotki Teńczyńskiej? — i to historya arystokracyi!? Niechże-to będzie wyłączna spuścizna pseudo-arystokratów, lilliputów! tak, przyznajemy, że to pojmują, pojmować jedynie są zdolni Arystokraci rodu i przywilejów! Ale rozumny, intellektualny ciąg dziejów swego narodu, jako duchową cząstkę rozległych dążeń całej ludzkości, ale mówię istotę, treść moralno-politycznych wypadków stanowiących właściwą historyę niekażdy pojmie, kto ma mitry na złotym puklerzu obwiniętym purpurą, z pod której śnieżne wyglądają gronostaje! niekażdy pojmie, kto od dzieciństwa nosi na sobie cacko zwane orderem św. Huberta (eques natus) i chełpi się tytułem, co pozornym swym blaskiem często ciemnotę umysłu pokrywa! nie! niekażdy! — to tylko pojmie umysł prawy, bezprzesądny, wszechstronnie oświecony; pojmie ten co do gruntu rzeczy sięga; pojmie, jednėm słowem, uczony! filozof! (1)

---

(1) To, co mówi P. Rzewuski o arystokracyi pieniężnej, jako organie dumy, jako nowym cielcu odlanym ze złota i ubóstwionym przez Francyę XIX. w., w której, jak dowcipnie zauważył Blepoński, pierwszym jest dzisiaj baronem nie Montmorency a Rotschild; — to uważam za słuszne z wielu względów. U nas, gdzie Francyę naśladują w karykaturze, ta pieniężna arystokracya *en miniature* śmieszniejszą się je-

Arystokrata i geniusz samodzielnie wzniesiony nad tłuszczę, czyli arystokrata wygasły i arystokrata poczynający są-to indywidua najsprzeczniejszych kierunków: u tamtego żrzódłem, podstawą i znamieniem prawdziwej

---

szcze wydaje. W mniemaniu wielu ten jest arystokratą, kto posiada 1,000 dusz albo dobrą fabrykę cukru z buraków; kto ma dóm w gotycko-wandalskim stylu, a nawet ten, kto paraduje w podwójnej karecie zaprzężonej dobraną czwórką. — Ale czyż można powstawać na podobne dziecińśtwa, albo mówić serio o takim upadku cząstki społeczeństwa? Arystokracya burakowa może być wielką tylko we własnych swych oczach, a herby, z których zamiast głowy cukru wygląda hrabiowska korona, mogą tylko zaimponować głupiej gawiedzi. — Francya piękny dawała przykład uszlachetniania ludzi jeniuszu; w XVIII wieku nobilitowała Franciszka *Arouet'a* pod imieniem Woltera; w XIX między innymi uczeni *Cuvier*, *Thenars* i *Gay-Lussac*, zostali baronami i parami Francyi; w Niemczech także wielu znakomitych ludzi dostąpiło godności szlacheckiej, że wspomnę *Szellinga*, Fr. *Schlegla* i Henr. *Schuberta*, a przed kilku laty W. X. Hessen Darmstadzki nadał tytuł Freihera sławnemu chemikowi *Liebig*; w Szwecyi również sławny chemik *Berzelius* otrzymał tytuł szlachcica i Baroneta. — Papież *Spontiniego* nawet uczcił tytułem hrabiego. — Zasługi uczonych ludzi w Rossyi podnosiły zawsze ich do wysokich rang i dostojeństw. Pamiętny jest przykład znakomitego Jurysty *Speranskiego*, którego łaska Monarsza zaszczyciła tytułem Hrabiego Cesarstwa. Przypomnijmy czém był *Derżawin*? jakiemi darami obsypany został *Karamżin*? jakich dobrodziejstw doznała familia zmarłego poety *Puszkina*? — Obecnie Królowa Hiszpańska ofiarowała *Guizotowi* tytuły Granda i Xięcia swego państwa, których on jednak nieprzyjął, jakby chciał dać poznać, że blask samodzielnej illustracyi obejść się może bez powierzchownych ozdób i tytułów. —

(Przyp. Autora późniejszej daty).

zacności są jedynie zbutwiałe, pyłem przeszłości okryte przywileje, u tego wszystko cechuje świeżość, siła i życie, a główną jego dźwignią racyonalizm i samodzielność. Są-to dwaj zapaśnicy mierzący się okiem wzajemnej nieufności i pogardy; atoli do bitwy, do stanowczej między nimi rozprawy nigdy przyjść niemoże, arystokrata bowiem odmawia zawsze spotkania się pod pretextem nierówności rodu, w istocie zaś, że przekonany jest mocno o swojém niedołęztwie; uśmiecha się on pogardliwie, gdy w duszy obawa i zwątpienie; czuje, że słuszność nie na jego stronie. „*Filozofy*!” woła z przekorą pan hrabia, — „*Arystokrata*!” szepce z politowaniem filozof: — i nieskończona ta kłótnia do niczego nieprowadzi. Zresztą tak zwana Arystokracya nie jest już dzisiaj tém, czém kiedyś była: nie wyłącza ona innych klass, niewyłącza zasługi, samodzielnéj promocyi i, kiedy człowiek czujący moralną swą wyższość zarzuca jéj ospałość i ciemnotę, nie woła już jak niegdyś „*oh! la canaille*!” wie bowiem, że *wiek* pojmuje samodzielność, że właściwie ocenia talenta indywiduów bez względu na ich pochodzenie, że wreszcie i jej samej nieodmówi szacunku, skoro do szychowych tytułów doda dyamentową koronę nauki i szlachetności myśli, która nie zawsze towarzyszy szlachetności urodzenia. Pomiędzy nami kłótnia tém bardziej byłaby pustą, że sami przeciwnicy są dawną herbową szlachtą: idzie tu więc tylko o samą słuszność, o supremacyę nauki, idzie o to, by przyznano pierwszeństwo światłu i niezasłaniano go obłokiem arystokratycznéj próżności. Dajcie się przekonać hardzi panowie, że ludziom wyższej oświaty, filozofom należy się od was pokora i uszanowanie; że oni z czołem upromienioném głęboką nauką stoją na przedzie; że za niemi postępować należy.

Wasi protoplaści byli także ludźmi moralnie wyższymi, jakimi możecie być wy sami, jakich niemało widzimy w waszém gronie, jakim (bez wszélkiej przesady) jesteś i sam autorze *Listopada*, ale sam przez się, własną swoją zasługą, nie zaś czyimś tam kosztem. Jeżeli syn za błędy nieodpowiada ojca, jego też zasługami szczycić się niepowinien. Są jeszcze pomiędzy arystokratami ludzie wysoce oświeceni, co jak lord Bajron niemogą pozbyć się rodowej dumy i radziby na każdym kroku imponować swoim kollegom geniuszem, a ludziom geniuszu urodzeniem; — jestto kontrast najśmieszniejszy: nikczemność gąsienicy przy wspaniałości orła, ubóstwo Ira przy bogactwie Krezusa! We Francyi ludzie nieznanego rodu, jak *Cousin*, *Guizot*, *Villemain*, *Thiers*, szczególniej dwaj pierwsi z głębokim filozofijnym umysłem godnie zajęli wysokie administracyjne posady: z razu professorowie, publicyści, lub adwokaci, pochwycili następnie z przed nosa Diukom i Margrabiom portfele ministrów i europejskiej dobili się sławy. Jeżeli autor *Listopada* chce, aby go oświecić, gdzie kiedy filozofowie ważną odgrywali rolę, to mu wskażemy na ojczyznę *Cousin'a*, na kraj, z którego wytrysnęła cywilizacya XVIII wieku. Autor *Listopada* tak niechętnym okazuje się dla filozofów żtąd, że oni szukając we wszystkiém przekonania niewierzą nawet, by głowa przykryta hrabiowską koroną była zawsze należycie oświecona; a wszelako mimo to, że wielu hrabiów, jak sam Pan Rzewuski, zaszczytnie mogą być wyjętymi z pod wpływu arystokratycznej zniewieściałości, nader liczne przykłady wspierają tę ich niewiarę. Najmniejby nas nieobchodziło, gdyby za przywilejami rodu obstawali ci, co jedyny cel życia widzą w zmysłowych uciechach; ale jakże doprawdy

boleśnie, że w naszym jeszcze wieku znajdują się ludzie i ludzie pewnych zalet umysłowych, którym potrzeba ciągle trąbić w uszy: „*Memento, quia homo es*!”

Od filozofów przyszło do filozofii i autor wielu pism dosyć filozoficznych jawnym jej przeciwnikiem oświadcza się, sypiąc według swego zwyczaju garściami paradoxów i sofizmatów. Robi on specyalny zarzut filozofii i z góry twierdzi, że oczyścić się z niego nigdy niepotrafi: tym zarzutem jest, że ona *nigdy nieobjawia się w społeczeństwie pełném tej dziewiczej czerstwości, gdzie cnota jeszcze jest obyczajem*: — to jest, że filozofija niedpowiada tej epoce towarzystwa, w której ono wychodząc ze stanu rodziny albo patryarchalnego rządu wchodzi w stan więcej skomplikowany państwa, wprowadzając za sobą liczne klassy wyrobników, ludności miejskiej, a z nimi obfitość i bogactwa, tudzież ich nadużycie, rozwiązłość i występki. Zarzut ten niemoże obciążać sumienia biednej filozofii, bo jeżeli ona zjawia się w czasie wyższej towarzyskości, to niejest bynajmniej przyczyną zepsucia, jakie się wtedy rozpoczyna: — uczy ona cnoty, sieje w duszy religijne uczucia porządku, zgody i sprawiedliwości, uczucia obowiązków moralnych, dopełnianych nie instyktowie i nie w skutek skłonności naturalnych, jak było pierwéj, w stanie *dziewiczej czerstwości*, ale w skutek moralnego prawa, już w rozumowém przeświadczeniu biorącego swój początek. Wszakże, jak we wszystkiém, pewne tutaj zachodzi stopniowanie i to prawo moralne nie od razu pojęte zostało w starożytności, albo w oryentalnej cywilizacyi; tu naprzykład widziano wolność jednego indywiduum, ówdzie kilku i niepoczuwano się bynajmniej do obowiązku moralnego względem niewolników, ilotów. Zarzut hrabiego bardziej możnaby by-

ło zregulować (gdyby to zgodzić się dało ze zdrową logiką), do tego *społeczeństwa pełnego dziewiczej czerstwości*, pytając, dla czego przy tej czerstwości niema filozofii? ale proszęż mi powiedzieć, dla czego dziecko przy piękności swojej młodej twarzyczki, na której rozlana niewinność i pogoda duszy, niema rozumu i doświadczenia mężczyzny? i dla czego znowu mężczyzna, przy swojej obszernej wiedzy, dalekim jest od stanu dziecięcej niewinności? Odpowiedź łatwa, bo dziecko niedoszło jeszcze samopoznania: właściwie nie jest ono ani złém ani dobrém, niema bowiem jak o cnocie tak i o występku żadnego wyobrażenia, i gdyby największy popełniło występek, gotowe ma usprawiedliwienie w stanie swojego dzieciństwa. Ale niechże to dziecko do lat przyjdzie, działa ono wówczas i źle i dobrze, a w każdym razie jest już czémś wyższém niż było pierwej, bo działa, bo ma wolę, bo rządzi się już nie instynktem, jak zwierze, lecz rozumem, jak człowiek: to rzecz prosta i ztąd wniosek naturalny, że filozofija musi być własnością ludzi, a nie dzieci. — Następnie twierdzi autor *Listopada*, że systemata filozoficzne mnożą się w społeczeństwach, które już utraciły wszelką ważność polityczną i z tego wyprowadza sens moralny: *ci co wiele rozumują, są właśnie ci, którzy jak najmniej działać umieją*, to jest, ludzie oddający się z powołania nauce najmniej są zdolni zaradzać materyalnym swoim potrzebom. Niejednokrotnie już okazałem, że hrabia niema należytego pojęcia o filozofii, zapatruje się na nią bowiem jako na naukę względną, której cała zaleta, jeżeli się da zastosować do czegoś. Jest u niektórych ludzi pewne stanowisko umysłowe, z którego oni nawet w Bogu widzą rodzaj policmejstra mającego swój byt jedynie dla moralnego rygoru, a praw-

dy matematyki i filozofii, stosując po prostu do kupieckich rachunków, uważają niejako za argumenta potrzebne do wywabienia grosza z cudzego worka; słowem, są ludzie, którzy każdą bez wyjątku naukę, jako *medium vitae*, kładą na równej szali z szewskiém i krawieckiém rzemiosłem. Nie! prawda absolutna, którą się zajmuje filozofija, ma w sobie samej, własną swoję wartość, i choćby ona w głębokiej dopiero starości ludu zdobytą była, niepozostanie przeto marnym owocem, owszem będzie skarbem ludzkości, który jedno pokolenie przekazuje drugiemu. Umierający starzec daje synowi naukę: szczęśliwy, jeżeli wynosi ten drogi klejnot z krótkiego życia, umiera on spokojny, wie bowiem, że nieżył bez celu, że życie jego nieprzeszło marnie w towarzyskiej spółce, miało owszem swoje znaczenie, chociażby to znaczenie nie większe było od zera, które samo przez się nicość tylko wyobraża. Tak postępuje ludzkość, takim trybem rozwija odwieczne, w łonie swojém zawarte prawdy, nieoglądając się, azali prawdy te przyniosą komu jaką korzyść? Dziwny-to bowiem człowiek, któremu powiesz: *prawda*, *cnota*, a on o ich użytek pyta! Czyliż natura dla tego ukryła ogień w krzemieniu, aby zeń wydobyty służył wam do upieczenia kawałka mięsa? na nieszczęście wielu jest jeszcze u nas takich, co nawet przy ognisku filozofii chcieliby upiec swoję pieczeń!

Niech sobie jak chcą rozprawiają o *narodowości filozofii*, rzeczą jednak niezawodną było i będzie, że filozofija więcej do całej ludzkości, niż do jakiego pojedyńczego narodu należy; ztąd ostatnie słowo narodowej missyi, rzucając pewne światło na jaki bądź dotąd niezbadany przedmiot, wypełnia poniekąd cząstkowe zadanie najżywotniejszej kwestyi ducha i tém się

przyczynia do rozwiązania całkowitej myśli, której dzieje ludzkości porządnym są processem. Filozofija zresztą, co wśród pewnego powstała narodu, niemoże się uważać za wymysł jakiś indywidualny; jest ona rzeczywiście intellektualnym extraktem narodowego bytu, ostatniém jego słowem, jego koroną: dla tego też częstokroć wymawia się to ostatnie słowo aż wtenczas dopiero, kiedy naród ma uledz przeznaczeniu ludów jak i indywiduów — *śmierci*, albo raczej, kiedy ma wyzuć się z przybranej formy politycznego swego bytu dla przejścia pod nowe warunki społecznego życia w wielkiej familii narodów. Niemożna wszakże z matematyczną ścisłością oznaczyć jak obszerną jest praca pewnego szczepu lub narodu? gdzie jej kres? gdzie ostatnie słowo? zwłaszcza, gdy na dział jakiego szczepu przypadło rozwinąć najogólniejsze pomysły filozofii, niekoniecznie mogące się wcielić w polityczne jego życie. Któż niewidzi np., że Niemcy odgrywają w XIX. w. wielką rolę w akcyi ogólno-ludzkiej umysłowości? położyli oni w filozofii największą, najżywotniejszą epokę, nadającą całej budowie tej nauki wyraźną postać, pełną rozumnej harmonii, w niej bowiem duch powszechny pojął swe cele, wziął o sobie jasne, głębokie przeświadczenie; a przecież Niemcy są dotąd narodem silnym, a przynajmniej nie w położeniu, z któregoby o blizkim jego upadku lub skonie wnioskować można było: — a jeżeli weźmiemy Prusy, gdzie heglowska filozofija do największego przyszła rozwinięcia, to na ten kraj wskażemy autorowi *Listopada*, jako na taki, co niestraciwszy bynajmniej ważności politycznej, przedstawia się w dziejach nauki, jakby spiżarnią niemieckiej spekulacyi w pierwszej połowie XIX wieku. Wszyscy znakomitsi myśliciele Germanii doszli swej sławy w tym

kraju; tutaj (w Królewcu) urodził się i zestarzał ojciec niemieckiej metafizyki Emmanuel *Kant*; tu (w Berlinie) znalazł schronienie prześladowany w Jenie *Fichte*; tu zajaśniał olbrzymią swoją chwałą *Hegel*; tu oto następnie *Szelling* chce dokonać upadku swego geniuszu. Wnieść przytém można bez przesady, że *Blücher*, któremu Arthur Welleslej (Wellington) odebrał całą sławę zwycięzcy pod Waterloo, zwycięzcy Napoleona, i *Fichte*, konający w sprawie narodowej wojny, są istnymi symbolami fizycznej i moralnej potęgi Pruskiej nacyi, ba nawet całej w ogóle Germanii!

Naucza nas jeszcze pan Hrabia, że ludy pospolicie poetów tylko kochają i wieńczą, a filozofom głęboką odpowiadają obojętnością: — oj, nie obojętnością panie Hrabio, bo prześladowaniem! co wcale obojętności nie dowodzi. *Sokrates* wychyla czarę cykuty; *Arystoteles* ucieka do Chalcis; *Abelard* wieniec swej sławy łzami oblewa; *Camponella* uwięziony; *Galileusz* u gorejącego stosu wyrzeka się swej nauki; *Vonini* okropną śmiercią okupuje swoje twierdzenia; *Fichte* już w nowsze czasy wypędzony; — zawsze i wszędzie prześladowani są za życia filozofowie, gdy po śmierci imiona ich wraz z nauką przez nich opowiadaną stają się największym zaszczytem narodowym. Arystoteles w średnie wieki o mało beatyfikowanym niezostał, ale w swoim czasie ten apostoł prawdy nienawiść tylko obudzał, apostatą, bezbożnikiem był mianowany; bo ci pospolicie uważają się za bezbożnych, co nie zmysłowie, lecz *w duchu i prawdzie* cześć Najwyższemu oddają. Zresztą należny wielkim myślicielom hołd uwielbienia nie szumnym applauzem, ani czczą extazyą, lecz rozumném i prawém wyraża się życiem: chwalcie, noście na ręku, obdarzajcie swoich kochanków, wszystkie z ogrodów wa-

szych kwiaty przeznaczcie na uwieńczenie poetów; dla filozofów zaś miejcie tylko głębokie uszanowanie, jakie się należy geniuszom powołanym do przewodniczenia w świętéj sprawie cywilizacyi, — szanujcie i czcijcie ich życiem prac umysłowych idąc za słowami Chrystusa; „*si me amatis, mea praecepta servate.*” Znać system filozofa, przejąć się nim, patrzyć na świat moralny i zmysłowy z jego stanowiska, jest oznaką najwyższego uwielbienia, a tego uwielbienia dla ludzi wieku żaden moralista średniowieczny, żadna jezuicka szkoła oziębić i zachwiać niepotrafi; duch bowiem wieku za najwznioślejszą uważać można epopeję, któréj bohatérem jest, musi być Geniusz, wyraziciel tego ducha. Gdybyśmy wzięli dosłownie powyższe twierdzenie pana hrabiego, to i tak fałsz jego okazałby się widocznym. Czémże-to byli filozofowie w XVIII wieku? imie filozofa było wtedy synonymem bogacza, a ostatni poeta, który ten wiek w wyniosłej przedstawił satyrze, umarł w szpitalu w przystępie szaleństwa! Dla *Gilberta* niebyło wieńca, a *Wolter*, *Diderot*, *Lamettrie* w dostatkach opływali!

Powtarza też często P. Hrabia, że filozofija żadnego niemiała i mieć niemogła praktycznego znaczenia; że ona zawsze, jako utopia, jako oderwana doktryna, żyje tylko w umysłach uczonych i marzycieli nieprzechodząc w czyn, niewpływając bynajmniej na losy ludów. Coż mu na to odpowiedzieć? Zamiast odwoływania się do dalekiej przeszłości, wskażemy raz jeszcze na wiek XVIII. Czyliż cywilizacya tego wieku, czy ulubione jego thezy czystą pozostały abstrakcyą? a wiek XIX czyż nieotrzymał żadnego spadku po swoim ojcu? Jako żywo! aczkolwiek idea wieku ultrowana porodziła szkarady rewolucyi, myśli jednak

Russa i wielkiego *Turgot* znaczną przyniosły korzyść ludzkości : — ten ostatni, trudniący się ekonomią państwa, wniósł bogactwa do kraju ; bo niepamiętając jedynie o możnych, zwrócił swą uwagę na wyrobników, na tych, co pracując dla innych, często niemają czasu pomyśleć o sobie. Jeżeli dla tego filozofa kraj niemiał wieńca wdzięczności, to nie filozofiję obwiniać o to przystało... Szczęściem, nie zawsze tak bywa, jak się komu chce, albo jak kto pisze! Oceńmy filozofiję, bo ona oddycha cnotą i prawdą, bo usta jej niekalają się kłamstwem, bo żaden wreszcie wzgląd niezdoła jej odwieść od pracy, którą ukochała, od żrzódła wszelkiej wiedzy, do której dąży prowadząc za sobą ludzkość! Tak jest, od tego wysokiego celu ani zuchwalstwo głów napuszonych kilkotomową erudycyą, ani nieuctwo pacholęce dowcipem teatralnym zbrojne, ani postrachy i protestacye wszystkich pietystów odprowadzić jej nie są w stanie! Ufajmy filozofom, bo oni pracują w duchu i prawdzie! Jeżeli systematami swymi wyrażają postępową myśl ludzkości, to bądźcie pewni, że myśl ta wydobyta z jej łona, a doprowadzona przez wyłączenie jednostronności do stanu czystego axiomatu, niepozostanie daremnym skarbem. Pamiętajmy przytém, że w drodze umysłowości najwyższą moralną cnotą jest samo poznanie prawdy, nie zaś stosowanie teoryi do jakichkolwiek rzemiosł i fabryk. Tak pojmować zwykli swój zawód ludzie do nauk powołani i tak go pojmować należy, lubo cnota dla cnoty, a prawda dla prawdy była i jest po dziś dzień przez hypokrytów za bezbożność uważana. (1).

---

(1) Jeżeli prawda, o czém nas upewnić chciano, że Autor *Listopada* nie uznał za całkiem bezzasadne

L I S T VI.

Mostyszcze, *d.* 25 *Czerwca* 1846.

...moi, je ne sais jamais si les gens du monde parlent serieusement ou non, car le mal français, c'est le persifflage.

Stello. Prem. Consult. Ch. XXVIII.

Gdy już kilka razy przychodziło mi pisać o Henryku hr. Rzewuskim, jako o autorze filozofującym, więc nie od rzeczy może będzie rzucić jeszcze kilka uwag o nim, jako o poecie, jako o twórcy historycznych zarysów polskiej narodowości w przeszłym XVIII wieku, czyli wyraźniej, jako o *Sewerynie Soplicy* i jego *Pamiątkach*, a następnie o *Listopadzie*, romansie historycznym, który, według opinii M. Grabowskiego, ma go postawić tuż obok Waltera Scotta. Samo od-

zrobionych sobie w poprzedniczych listach Alberta Gryfa zarzutów i że nawet pewny takt wyższego ukształcenia, pewną dojrzałość i sumienność sądu w autorze tych listów zauważył; to bierzemy ztąd powód do niepospolitego ukontentowania z naszej korrespondencyi. Dalszy bowiem jej postęp, w miarę nastręczających się podobnych wykazanym w tym liście błędów, dowodząc nieprzerwanie tychże samych zalet krytycznego poglądu, naturalnie zjednywać dla nas będzie coraz więcej umysł i serce Hrabiego; a takim trybem cóż za dziw jeżeli z czasem przyjdziemy do tego, że nasz Hrabia zstąpiwszy z piedestału *wyroczni*, na którym go źle zrozumiana miłość własna i pochlebstwo biernych rozumów postawiły, niewzdrygnie się zbliżyć do nas *beztytułowej*

bicie przeszłości w pamięci jest już poezyą, pamięć bowiem nasza jestto zwierciadło magiczne, w którém wypadki przeszłe, koleje, oraz indywidua i ich czyny przybierają pewny odblask nieśmiertelnego życia i ten powab czystoduchowy, co zdaje się niemieć żadnego związku z prozaicznością naszego bytu. Seweryn Soplica tak przedstawia niezbyt wprawdzie odległą przeszłość, jakby w niej żył rzeczywiście, w niej się zestarzał i potem ją sobie w tęsknocie serca, przy pełnym dzbanie miodu, dla własnej i przyjacioł swoich rozrywki głośno rozpamiętywał. Przyznać też potrzeba, że proste a czynne życie szlachcica litewskiego dość naturalnie się maluje w tych jego pamiątkach: czasami tylko wypłynie jakaś myśl, co przypomni *Bejłę* i jego *Mieszaniny*, albo inna niemniej cudacka, jak zdanie szlachcica o Wolterze i t. p., ale zresztą co widzi przed sobą, pojmuje to szlachcic dobrze po swojemu i wierną z tego drugim zdaje sprawę. Głównym personażem *Pamiątek*, oprócz samego Soplicy, jest Xiąże Karol Radziwiłł *panie kochanku*, w około którego gruppują się ważniejsze osoby albeńskiej bandy, jak: p. Wołodkowicz, p. Michał Rejtan i t. p. Oddanie charakteru Xięcia Karola uważam za najcelniejszą kreacyę pana Seweryna, za kreacyę wyborną, mistrzowską, chociaż-

---

szlachty, zbliżyć z pokorą i uczuciem bratniej sympatyi, aby odtąd wszystkiemi siłami odrodzonego ducha przykładać się do uprawy ojczystej literatury szczepieniem i pielęgnowaniem żywiołów postępowych? Dusze wzniosłe, jakkolwiek gęstym tumanem przesądów i wstecznych wyobrażeń owiane, zawsze są zdolne do podobnych nad sobą tryumfów: — czemużbyśmy więc niemieli żywić w sercach naszych takiej nadziei?

(Wydawca.) —

by kto nawet autentycznie dowodził, że ten Xiąże inaczej działał i myślał; poeta tworzy po swojemu, według swojego pojęcia; nie idzie tu bowiem o samego Radziwiłła, który mógł być sobie lepszym czy gorszym, a idzie o utwor poety, o wierność psychiczną, o *logikę sztuki*, idzie powiadam o takie przejęcie się charakterem personaża, aby ten wszędzie i zawsze wiernym był sobie, swojej mowie, swemu poglądowi i swoim sposobom działania. Jakaby nie była erudycya autora w tym względzie, jakichby on nieużywał żrzódeł, choćby nawet, jak niektórzy utrzymują, *gotowych pamiętników* zeszłego wieku, jednakże te *pamiątki* zawsze będą dowodem znakomitego talentu autora, talentu czysto malarskiego; od tego dzieła poczęła się szkoła malarska w literaturze, szkoła narodowych *męzkich* typów przeszłości, i Soplica słusznie zwać się powinien pierwszym tej szkoły mistrzem. Skoro maniera tej szkoły raz wykrytą została, skoro narodowe typy raz wyszły na jaśnią z wyraźną fizyonomią kontuszowej szlachty i panów polskich, wnet zjawili się adepci, co poszli za mistrzem w *sposobach*, a w pojęciu samego przedmiotu daleko go prześcignęli. Takim adeptem Soplicowskiej szkoły jest niewątpliwie p. Ignacy *Chodźko*. — W tej części *pamiętników Kwestarza*, gdzie się opisuje śmierć Wołodkowicza, okazał się P. Chodźko prawdziwym artystą, mężem natchnienia i zapału. O Soplicy powiedzieć tego niemożna, w nim najdotykalniej przebija się wszędzie jakaś krotofilność, co prowadzi do wniosku, że on maluje swoich bohaterów nie w poważném usposobieniu artysty, ani nawet w tej ku swoim czasom predylekcyi, jaką zwykł rządzić się w opowiadaniach swoich każdy starzec; to nader widoczne, bo kiedy naprzykład z wła-

ściwym sobie sarkazmem kreśli obraz pijatyki i pojedynków na szerpentyny, to nieomieszka zaraz zrobić swoich uwag nad nikczemnością takiego stanu rzeczy, a przytém pomimo sympatyi, jaka nim owładnie na chwilę, nie może on nigdy oderwać się od terazniejszości i zapomnieć o olbrzymiej dyfferencyi między tém, co jest dzisiaj w Europie, a co było w ostatniej ćwierci zeszłego wieku w Polsce. Byłto rzeczywiście wyjątek pośród szerzącej się kosmopolitycznej cywilizacyi XVIII w., cywilizacyi, co starała się znieść do szczętu elementa narodowości i całą Europę pokryć płaszczem francuzkiej dworszczyzny; ale do czegoż tu morały? Może się to komu wyda przesadą, mojém jednak zdaniem trudno niedojrzeć na ustach Soplicy jakiejś szyderczej, satanicznej weny, co bywa u niego pospolicie gruntem dyalogu i nadaje najpoważniejszym rzeczom pewien odcień tego, co francuzi oddają wyrazem *charge*, a my zwykle *przesoleniem* zowiemy. Jestto skutek indywidualności autora, który niemoże oderwać się od swego francuzkiego wykształcenia nawet i wtenczas, kiedy przywołuje do życia podgolone postacie kontuszników w karmazynowych hajdawerach. Nastaję więc, że z tego a nie innego punktu widzenia można sobie objaśnić powstanie *Listopada*, dzieła którego głównem zadaniem było przedstawić dwie sprzeczne cywilizacye, mianowicie; polsko-narodową w osobie Xięcia *Panie kochanku* i jego partyi, i francuzką w osobie Króla Stanisława Augusta i jego naperfumowanych petimetrów. Ten kontrast unosił się zawsze w duchu autora *Soplicy*: z jednej strony byłyto jego szczéro-polskie, narodowe postacie, z drugiej zaś był-to on sam ich twórca, — postacie wyszłe z pod jego pędzla tém czyściej i wyraźniej, że je pojął ob-

jektywnie, że między niemi a jego indywidualnością, krom talentu mistrza, nic niebyło wspólnego. Z tego też punktu widzenia możnaby rozwiązać wszystkie wypadające z dzieł tego pisarza krytyczne zagadnienia i odpowiedzieć w sposób zaspokajający na to główne pytanie: jak autor *Pamiątek Soplicy* mógł zarazem być autorem *Mieszanin obyczajowych* (1)? Te bowiem antiracyonalne filippiki umieszczone w przypiskach, to obstawanie za dawnym porządkiem rzeczy i ten pietyzm autora nikogo omamić nie są w stanie:— jestto w pewnym względzie kunsztowne umeblowanie artystowskiej pracowni, gdzie na malarskim stoliku widzieć się dają trupia głowa, dyscyplina i włosiennica, ale wejdź w istotę tych przedmiotów i podejm np. czaszkę, a ujrzysz tam porządny zapas trabukosów lub manilli; rozsuń dyscyplinę a znajdziesz pędzle i ołówki, obejrzana zaś zbliska włosiennica pokaże ci miękką tkaninę ciepłej i wygodnej bluzy.

---

(1) I *przypisków do Listopada*? — bo te najwłaściwiej za dalszy ciąg *Mieszanin* uważać się mogą. Opowiedziano mi za rzecz pewną, że po wyjściu z druku 2 t. *Mieszanin* Bałaguli na jarmarkowym swoim sejmiku w Berdyczowie uradzili byli domagać się od Bejły prośbą i groźbą aby zaprzestał całkiem tego dzieła i że wyprawiona przez nich w tym celu deputacya do *Bąkówki* wzięła swoj skutek, gdyż odtąd rzeczywiście niebyło i niema *Mieszanin*. Wiedząc o tém, wyobrażam sobie, jakiby-to straszny harmider podniosła horda Bałagułów, gdyby im kto wyświecił istotę rzeczy, mianowicie, że kiedy oni w przeglądaniu nowych katalogów xięgarskich znajdują powód do tryumfów swoich nad Bejłą, on tymczasem całą gębą śmieje się z ich łatwowierności, kontynując najbezpieczniej swoje *Mieszaniny* w dowcipnie przybranej formie Komentarza do *Listopada*, do *Podróży po Włoszech* i t. d.!?

(Wyd.)

Są-to *des petits affublemens*, figielki i nic więcej. Rozumiem przeto, że autor *Pamiątek i Listopada* jestto artysta satyryczny, krotofilny, pracujący w jednym tylko rodzaju; jego rzeczą malować samych kontuszników, karmazynową szlachtę, jurów ze statutem pod pachą, kapucynów przy kuflu miodu albo z brewiarzem w ręku; zmieniając zaś element przedstawi on jak należy markiza tylko co przybyłego z Wersalu, hrabinę, która miesiąc temu dopiero, jak tańczyła menueta na królewskich pokojach w Paryżu z samym Ludwikiem XV, albo znowu inną świeżo przybyłą z Lunewilu, gdzie gościła u ex-króla Leszczyńskiego; ale na tem już i koniec, ani wyżej ani dalej pędzel jego niesięgnie. Gdzie dosyć powierzchownych wiadomości, prostej uwagi i doświadczenia, gdzie wystarczy maniera i koloryt artysty o jednėm oku, wyraźniej jeszcze, gdzie idzie o przyprawienie zawiesistych wąsów, o podgolony łeb i karmazynowe hajdawery, równie jak o frak atłasowy, długą haftowaną złotem kamizelę i piętrzącą się upudrowaną perukę, tam autor *Listopada* wyśmienity, doskonały. Generał Wazgird i wieczny Xiąże *panie kochanku* ze swoją albeńską bandą, toż Buńczukiewicz, O. Kleofas, p. Stolnik, p. Chorąży *rozstąp się ziemio Mocium panie*, są-to figury dosyć zajmujące swoją naturalnością. Opisanie imienin Radziwiłła dobre: jestto scena narodowa, wierna, lubo już dostatecznie z *Pamiątek* Soplicy wiadoma, — rzecz powtórzona, może jeszcze niezupełnie nudna, lecz jeszcze jedno takie dzieło, a niepodobna byłoby wstrzymać się od poziewania. Otoż i wszystko prawie, czém się zaleca *Listopad*, a niema w nim tego, czego zwyczajnie pragniemy w romansie, co nas tam najwięcej zajmuje, co stanowi cały drammat, peripetyę, interes, jednėm słowėm, nie-

ma w *Listopadzie* treści romansu — miłości, albo raczej tak jak niema, bo ta co jest, rozwija się najniegodziwiej. Zosia, oddana po żakowsku, istota bez żadnego charakteru, bez mowy i woli, czysty automat! Autor niepojmuje znaczenia miłości i uczucia w ogóle, dla tego niemasz w jego romansie życia, interesu, sama oschłość; dla tego czytelnik śmiać się musi tam, gdzie Zosia stara się go rozczulić, prawiąc najoklepańsze frazy wprost wyjęte z jakiejś kiermaszowej melodrammy! Przywiązanie Starosty do Zosi wcale dla nas niepojęte, chyba autor przedsięwziął był dowieść, że miłość jest ślepa!? A jakieżto tu miłośne dyalogi!!! Trudno doprawdy uwierzyć, jak mógł Starosta wytrwać w serdecznej swojej inklinacyi ku pannie, która jak lalka wyuczona ciągle jeno zdobywa się na sentymentalne: *ach*! *och*! *niestety*!.. — *Okrutny*! *wzdrygnąłbyś się życie mi odebrać*, *a nierównie większą krzywdę chcesz mi wyrządzić*. — *Ach Ludwiku*, *coż śmiałeś wyrzec*!! i t. p. Wieluński snadź podrzeźniając jej mówi tymże tragicznym tonem: *Ach Zofio*! *utapiasz puginał w serce moje*! i tym podobne niedorzeczności. Następnie Zofia w desperackim stanie częstuje go moralną nauczką: *miłość twoja nieoparta na szacunku*, *jakąż rękojmię trwałego szczęścia by mi dała*? — dalej woła w extazyi: *broń mię odemnie samej*, *weź w opiekę sławę moją*! a dalej znowu: *okrutny*! i t. d. — I wszystkie te dziwolągi mają miejsce na jednej półstronicy T. II. Roz. XII.! Z taką kochanką oszalećby przyszło! i Ludwik ją wykrada — Ludwik? ów lew Warsalu!? a co dziwniejsza, tak się zakochał w Zosi, że ją wychwala, szczérze, nie żartem wychwala z rozumu!!? Jużto jedno dowodzi, że musiał się zakochać szalenie. Ale dajmy temu pokoj. Cha-

rakter Zofii całkiem chybiony, bo pan Hrabia stosownie do życzeń autora dzieła *o literaturze szalonej* chciał napisać romans wielce moralny, chciał i dla tego starannie zawsze wkładał w usta swojej heroiny poważne, ascetycznej surowości sentencye, których ona niemogła się nauczyć od nikogo więcej, jeno od poczciwego Bernacha, ojca Kleofasa, — człowieka, co jak wiadomo sam niemiał wielkiej pretensyi do rozumu. Zapytalibyśmy hrabiego, jak on uważa tę miłość, czy za objaw narodowego, niezfałszowanego cywilizacyą i obczyzną uczucia, czyli też za wypływ naczytania się francuzkich romansów? Jeżeli ów idiotyzm miłośny kładzie na karb prostoty Zosi, to niech nam daruje, że mu wzręcz zarzucimy wielki błąd psychiczny: miłość jest uczucie wrodzone, naturalne, wyraża się też nie retorycznie, nie kunsztowną a pustą deklamacyą, lecz prosto, samém uczuciem; wyraża się ona uśmiechem tkliwym, łzą, rumieńcem, westchnieniem, wyraża się doskonale jednėm słowem, nawet półsłowem, uściśnieniem ręki, pocałowaniem. Dla czegoż autor *Listopada* nieudał się w tym względzie do najprostszych źrzódeł, do poezyi ludu? ileż tam potęgi w uczuciu, a ile razem prostoty! ile wymowy, a jak mało słów i jak te słowa proste, zwyczajne! tam nic niemasz udanego, bijącego na effekt, wszystko płynie z serca, dla tego też prosto idzie do serca czytelnika, napełnia je współczuciem, na jeden ton z sobą nastraja! O miłości p. Starosty Wieluńskiego nic mówię, jest ona taką, jaka zwyczajnie była w XVIII w., słowo *amour* pojmowano wtedy tak, jak je i dzisiaj we Francyi pojmują, to jest, ni mniej ni więcej jak prawo natury; o takiej miłości *Senancour* dwa ogromne tomy napisał. Exaltowana mowa Ludwika szychowym świecąca blaskiem wyraziła

tylko żądze rozpustnika, lubo autor zamierzał podobno co innego oddać w tej mowie, ten bohatér mówi tak, jak wtedy wszyscy mówili, jak mówił i pisał zakochany *Saint-Preux*, odjąwszy tylko swobodę, wzniosłość i piękność stylu autora *Nowej Heloizy*. Wypada więc, że autor *Listopada* niemoże stworzyć typu kobiety czystej, poświęcającej się, kochającej, niemoże oddać charakteru kochanki z tém instynktowém pojęciem dziewiczej natury, jakiego tyle przykładów mamy w romansach Waltera Scotta. *Dyana Wernon*, *Minna*, *Brenta*, *Miss Klara Mowbray*, *Izabella Wardur* i wszystkie typy wykazujące nam w tysiącznych odcieniach piękny, pełny szlachetności, często niepojęty a tyle głęboki charakter kobiety, którego zasadą *uczucie*, niesą przystępne dla autora *Listopada*; — bo też Walter Scott byłto człowiek piszący z natchnienia, przejęty zawsze miłością swego utworu, byłto *prawdziwy poeta*! Autor *Listopada* tworzy, ale tworzy *na zimno*, z rozwagą człowieka oglądającego się na tę i owę stronę, dla tego udają mu się tylko wąsate facyaty, jak np. Xcia Karola, którego ma już raz doskonale odlaną formę, Stolnika i t. p. W takich kreacyach, jako autor *Pamiątek*, jest on znakomity pisarz — pisarz, któremu, jak powiedziałem, winniśmy pierwowzór; wszyscy inni, chociażby go nawet przeszli w rozmaitości takich typów, zawsze tylko należeć będą do utworzonej przez niego *Szkoły Soplicowskiej*; pan Ignacy Chodźko, pomimo całą swą wyższość, jest tylko uczniem jego. Ot co jest! — Romans historyczny dwa ma zadania: *pierwsze*, przedstawić fizyonomią epoki, obyczaje, charaktery działających personaży, i *drugie*, rozwinąć psychiczną część dzieła, to jest, fizyonomią, jaką naówczas przybierało *uczucie*, bo i ono ma od-

dzielną swą formę w każdym czasie. Uczucie u Greków mających klauzury pod nazwą *Gyneceum* inne było, niż u Rzymian; chrystyanizm i pierwiastek północno-germański średnich wieków nadając kobiecie szczytniejsze przeznaczenie naczechowały miłość innym kolorem; w Hiszpanii miłość została pojętą pod wpływem wschodnio-arabskiego pierwiastku; w posępnej Kaledonii, ojczyznie Waltera Scotta, była ona znowu inszą, u nas w Polsce musiała mieć także odrębny swój charakter. Skoro raz przyjmiemy pewną narodowość w miłości, będziemy zmuszeni przyjąć wpływ na nią czasu i cywilizacyi i takim sposobem lepsze historyczne romanse dadzą nam pełną charakterystykę tego uczucia; bohaterki Jerzego *Sand'a* może najdokładniej współczesną miłość wyrażają; *Don Juan* Bajrona przedstawia nam całą galeryę narodowych miłości; zresztą, chociaż w tém uczuciu, pomimo narodowych i czasowych jego odmian, jest pewny ogólno-ludzki element, co zawsze i wszędzie jednako się objawia i maluje, to jednak pewna, że Zosia, jako bohatérka historycznego romansu, nieprzedstawia bynajmniej uczucia miłości w Polsce; — jestto prawdziwy problemat w *Listopadzie*, personaż bez fizyonomii, bez głowy i mowy! Ale zato należy przyznać, że co sobie założył autor *Listopada*, to uskutecznił doskonale; przedstawił on po mistrzowsku passowanie się polskiej narodowości z pierwiastkiem francuzkiej cywilizacyi XVIII w., przedstawił to naprzód: pod względem obyczajów, powtóre: pod względem religii i moralności i potrzecie: w samym drammacie powieści, jako w starciu się dwóch różnych politycznych idei odpowiednych temu dwojakiemu kierunkowi narodu. Jeżeli Radziwiłł zupełnie nas zaspokaja, to przyznać należy, że również dobrze przed-

stawiony jest Król Stanisław, człowiek słaby, zajmujący się drobnostkami, którego najwyższém życzeniem było otrzymać pochwałę od Woltera, za co też płacił mu corocznie po 3,000 dukatów. We wszystkich czynach swoich czujne on nadstawiał ucho na wyrocznie paryzkich salonów, na głos koteryi pani de Tencin, Dudeffant, a szczególniej pani de Geoffrin, do której po swojém wstąpieniu na tron pisał; ,, *Maman, votre fils est roi*! "— którą sprowadził był do Warszawy, gdzie ją podejmował prawdziwie po królewsku, przygotowawszy wprzód dla niej apartament zupełnie taki, jaki miała w Paryżu. Szkoda, że autor *Listopada* niezamieścił w swojém dziele tej wizyty: — byłby to rozdział godny jego pióra i moment, w którym najwłaściwiej mógłby się był odbić charakter XVIII w. Szkicując ten charakter wieku, którego głównym rysem wolne myślenie w religii, autor zawsze wkłada w usta zagorzałych libertynów jakiś tajemny szacunek dla chrystyanizmu, jakąś niespokojność, co świadcząc o dobrych chęciach Hrabiego, o jego pobożności, niemało jednak przyczynia się do wystawienia w fałszywém świetle tej epoki, w której pogarda dla wiary i szyderstwo z rzeczy świętych bez żadnej wyrozumiałości były oznaką dobrego tonu, świetnego wychowania. Jeżeli taka rzeczywiście była indywidualność Wieluńskiego, to należało było wprowadzić nas w głąb tego ducha i objaśnić: w skutek jakiejto reakcyi, czy bogobojnego dzieciństwa, czyli też wpływu macierzyńskich nauk, ta wątpliwość w niezachwianą moc doktryny wieku obudzała się w duszy Starosty? Jeżeli gdzie, to w dziele roszczącém z samego tytułu prawo do powagi historycznej, szczególnem staraniem autora być powinno: oderwanie się od swojej indywidualności wtenczas,

gdy wystawia przeciwne swoim opinije, poglądy i przeświadczenia. Źle, że cała powieść przywiązana jest jedynie do interesu dwóch partyj, że interes miłośny prędko się kończy i nienazbyt zajmuje czytelnika; dalekoby lepiej postąpił autor, gdyby ugruppowawszy personaże około kilku oddzielnych interesów, celów, wprówadził był niejako kilka powieści do swego drammatu, ale tak, by ostateczne jego rozwiązanie było rozwiązaniem tamtych oddzielnych węzłów czyli podrzędnych powieści, jako cząstek wielkiej całości: z tego wypłynęłaby rozmaitość akcyi, a tém samém znikłaby ta nużąca monotonia, która często pomimo rzetelnych zalet dzieła odejmuje mu wdzięk interesu i tę ciekawość, co po odczytaniu jednego rozdziału pociąga do drugiego. Kiedy ten romans poczęto ogłaszać wielkiemi *intermedyami* w Tygodniku, nikt z upragnieniem nieoczekiwał następnych jego numerów, obojętnie się opuszczało niedokończony rozdział i z oboiętnością brało się do następnego (1). Tu oprócz Wojskiego, brata jego Ludwika i Zosi, to jest oprócz głównej historyi,

---

(1) Inne zupełnie w tej mierze zdanie pana M. Grabowskiego: ktoby o niém z prenumeratorów *Gwiazdy* niewiedział, niech odczyta list tego Estetyka do Autora *Listopada* umieszczony w N. 81 T. P. (r. 1845). Nie moja rzecz posądzać kogo o parcyalność i pochlebstwo, ale z takich niezawodnie zdań, jak te, co P. Grab. we wspomnionym liście swoim wyraził, urosła zarozumiałość Wydawcy Tygodnika, wiodąca go do absolutnych twierdzeń, że *pomysł jego ogłaszania obszernych dzieł feljetonami znalazł spółczucie u Publiczności* (!!?). Gdzież ta Publiczność? gdzie? — zapytywałem znajomych mi czytelników Tygodnika w Kijowie, Żytomierzu, Kamieńcu, Wilnie i w samym Petersburgu, a każdy z nich jednostajnie mi odpowiadał:

nikt niema swojej własnej, a działania Skołuby niewypowiedzianie nudzą. Nie tak zaiste pisze swoje powieści Lord z Abotsfortu: on przenosi nas całkiem w przeszłość pomiędzy wymarzone przez siebie osoby i tak zaznajamia z niemi, tak wtajemnicza w ich życie, że bierzemy najżywszy udział we wszystkich ich sytuacyach, jak gdybyśmy wiek swój z niemi przeżyli! i długo potém gościmy w tym idealnym świecie, długo myślimy o osobach romansu, jakby o oddalonych znajomych, przyjaciołach. W autorze *Listopada* widoczny brak daru wieszczej fantazyi, czyli *inwencyi*, która w obszerniejszém znaczeniu słowa stanowi właściwą twórczość poetycką. Utwórzyć osobę i jej charakter

---

„*tutaj niema, chyba w Czehryńskim powiecie.*" I doprawdy inaczej odpowiedzieć niemożna, bo, nieuwłaczając istotnym zaletom dzieła hr. Rzewuskiego, pismo takie, jak Tygodnik, dla przedmiotów jedynie periodycznej literatury wzięte i na ten oddział w rocznym swym zakresie zaledwie kilkanaście arkuszy mające, pismo takie przeznaczyć na ogłoszenie *Romansu we trzech tomach*, to nietylko jest czynem najniestosowniejszym, ale co większa czynem, dowodzącym niesumienności, lekceważenia publicznego urzędu, kiedy Wydawca każe sobie płacić za takie pismo po 50 z górą rub. assyg.! Jakaż jest wartość tego pisma i do czego ono przydać się może od dwóch lat, to jest, od czasu, jak Wydawca począł w nim (przepraszam, w *feljetonach* jego), ogłaszać *dzieła obszerne*? — dzieła, które prócz tego osobno się drukują na jego korzyść? Ten nowo obrany systemat utrzymywania prenumeratorów *w ciągłym głodzie i pragnieniu* jawnie okazuje, że Wydawca Tygodnika zanadto się przywiązał do materyalnej strony swego urzędu: — on, pomimo ogólnej antypatyi do takiego systematu, stara się wmówić we wszystkich, że zadość robi, że zdolen jeszcze robić zadość swoim obowiązkom, wtenczas, kiedy każdy inny na jego miej-

niejestto jeszcze to, co utworzyć gruppę osób, powiązać je z sobą mnóstwem węzłów, kazać im myśleć, działać, żyć w pewnej od siebie zależności i wreszcie zakończyć karyerę życia, wyświeciwszy w tym okresie istotę wszystkich duchowych elementów, z których wysnuło się takie a nie inne pasmo historycznego życia pokolenia, życia, mającego osobne swoje i wiele znaczące miejsce w historyi narodu: — a właśnie ta tak rozległa praca jest dzisiaj konieczném brzemieniem biorącego się do pisania historycznego romansu! Umieć prócz tego potrzeba ukryć sprężyny akcyi, rzucić tajemniczość na toczące się wypadki i fakta tak, aby każde następstwo z głównego planu pod wpływem dzi-

scu, poczuwszy w sobie właściwą zużytym starcom nieprzezwyciężoną skłonność do *far niente*, złożyłby natychmiast bez wszelkiej mitręgi edytorskie pióro życząc Czytelnikom swoim *dobrej nocy*. Nasz Tygodnikarz, znękany widocznie kilkonastoletnim trudem, potrzebuje wygodnej pościeli: — to też uczynni sąsiedzi, jak hr. Rzewuski i Żegota Kostrowiec, niezaniedbali pospieszyć z usługą dając mu zamiast piernata i poduszek swoje *obszerne dzieła*!.. Jakże nam żal dzisiaj tych czasów Tygodnika, kiedy-to najczynniejszym jego kollaboratorem był Kraszewski! Czyż one już nam, pragnącym nauki i pożytecznych rozrywek, nigdy niewrócą? Ten Pisarz wiecznie młody, czerstwy, nieznużony, z tąż samą energią, co przed laty opisywał w Tygodniku *moralne u nas choroby*, powstaje i dzisiaj na głupią pychę, egoizm, jedno-stronność, próżniactwo i gnuśność umysłową, powstaje dając z siebie najpiękniejszy przykład człowieka postępującego z wiekiem: — to też sprawiło, że stary, w ciepłą szlafmycę ubrany i od niejakiego czasu senne tylko marzenia w sferze ducha tolerujący Tygodnik zerwał z nim całkiem przymierze, więcej, bo nawet za tę szlachetną, godną uwielbienia wytrwałość w pracy umysłowej obelgi na

wnej mięszaniny woli i konieczności nie dało się przewidzieć, było zagadką: — to także sekret romansopisarskiego geniuszu, sekret (jak widzimy) niezbadany przez autora *Listopada* .....

niego miotać począł! ... Gdyby komu zdarzyło się dzisiaj być świadkiem czynu szkaradnej niewdzięczności, jak naprzykład gnuśnik, co niedawno przez swoję pasożytność do ostatniej przyszedł był nędzy, rozzuchwalił się przy pomyślnym zbiegu okoliczności do tego stopnia, że zapomniawszy o pierwotnym swoim stanie począł najgrawać się z najświętszych obowiązków, a nawet lżyć, hańbić, bezcześcić dobroczyńcę swojego, człowieka, który go na nogi postawił, — gdyby mówię widział kto taką scenę i opisawszy ją kwiecistym stylem podał do Tygodnika; to niezawodnie Wydawca umieszczając taki artykuł nieomieszkałby pod nim gładko, jak zwyczajnie, dobranémi słowy wynurzyć *sprawiedliwego swego oburzenia*; i niejeden z czytelników admirowałby z tego względu nieskazitelność jego charakteru, szlachetność duszy, tkliwość serca, prawość sumienia, gdy tymczasem ja! ja między owym niewdzięcznikiem a P. Wydawcą bliższy widziałbym stosunek, niż między tém oto piórem i kałamarzem! *Eheu*!... *Mundus vult decipi, ergo decipiatur*.

(Wydawca.)

L I S T VII.

Kijów d. 22. Lipca 1846. —

In felle enim amaritudinis et obligatione iniquitatis video te esse.

Actus Apost. C. VIII. 23.

Co wyrzekł Piotr Apostoł do słabo nawróconego czarnoxiężnika Symona; to właściwie daje się zastosować do P. Żegoty Kostrowca (1), z którym, pomimo udzielonej już Panu obszerniejszej rozprawki (*Spór Scholastyki z filozofią bezpośrednią*), konieczną znajduję rzeczą podysputować jeszcze, mówię konieczną, jego bowiem czysto-jezuickie przeciw rozumowi wystąpienie zbyt hojnie zaprawione zostało olejem duchownym, aby niemiało wsięknąć przekonaniem w te zwłaszcza głowy, które biernością swoją najlepiej naturę gąbki przedstawiają. W artykule swoim *o filozofii bezpośredniej w jej stosunku do naszej cywilizacyi* wyznał był zgóry p. Kostrowiec (rzecz wprawdzie powszechnie wiadomą), że filozofia niemiecka jest prostą wynikłością zasady

(1) A jeszcze właściwiej Horacyuszowskie: „*Ne sutor ultra crepidam.* — Tę uwagę zrobioną na boku ołówkiem przez któregoś z profanów umieszczam tutaj, nie aby czytelnik dał swoje zdanie o jej trafności, lecz aby oduczyć łaskawą moją konfraternię od używania ołówka do nieproszonych adnotacyi na cudzych manuskryptach i xiążkach.

(Wyd.)

protestantyzmu, że rozumowanie raz wyszedłszy z téj zasady, musiało dać ostatecznie w filozofii takie korollarya, do jakich doszła ta nauka w nasze czasy: — wyznał to, ale w dalszym ciągu swojej rozprawy całkiem już o tém zapomniał, twierdząc, że religijna okrasa systematu Trentowskiego jest jego wymysłem, że termina chrześciańskie przez niego używane jemu tylko są właściwe, że inni, jak np. Szelling i Hegel nietykając bynajmniej chrystyanizmu w swoich rozumowaniach, uważali je tylko za odpowiednie nauce filozofii, która w rezultatach swoich może niezgadzać się z zasadami nauki objawionej; i ztąd pioruny na Trent., pomówienie go o to, że chce przeciągnąć zdradą na swoją stronę nieświadomych czytelników lsniąc ich oczy sztuczną illuzyą wiary, terminami chrześciańskiej teologii nieprzypadającymi do głównej zasady systematu, i t. d. A przecież sam p. Kostrowiec przyznał, że między zasadą Trent. a zasadą całej niemieckiej spekulacyi ścisła tożsamość zachodzi i że punktem jej wychodu była powaga *rozbioru*, od której począł protestantyzm. Jeżeli zasada była taż sama, to oczywiście i rezultaty też same być musiały, rzecz jasna i logiczna: jakoż musimy tu wyznać, że charakter spekulacyi Trent., tak jak Szellinga, Hegla i jego szkoły, nosi na sobie wspólne piętno protestantyzmu i że niesłusznie p. Kostr. utrzymuje, jakoby Hegel i Szelling nieużywali w filozofijném znaczeniu słów: *Chrystyanizm*, *Chrystus*, *Trójca*, *Bóg Ojciec*, *Bóg Syn*, *Bóg Duch święty* i t. d. takiemi zdaniami dowiódł tylko p. Kostr. swojej antypatyi do niemieckiej spekulacyi, z nich bowiem widać, że dzieł filozofów, których tak niemiłosiernie potępia, nieczytał, że co prawdziwego z treści ich nauki przytoczył, to poczerpnął z dzieła Kozłowskiego, to zaś,

co z głowy swojej powiedział, żadnéj prawie niema styczności z prawdą. Zgadzamy się z p. Kostr., że nam prawowiernym smutną, poniekąd nawet nieznośną jest rzeczą czytać xiążki, których zasady, pogląd i całe okresy przeciwią się naszemu przekonaniu, naszej wierze, którąśmy wyssali z mlekiem matczynėm i w której do śmierci wytrwać pragniemy; ale z tém wszystkiém, biorąc rzecz po chrześciańsku, niegodzi się mówić czego dobrze niewiemy, a tém bardziej stanowić poważnie *ex cathedra*, i to jeszcze w naganny sposób, o dziełach, któryché́my nieczytali: gdzie idzie o pewny sąd, o wyrok stanowczy, tam wielka świadomość rzeczy towarzyszyć powinna. Dziwna jest widzieć człowieka (lubo to dość często się zdarza), który inaczej mówi, a inaczej robi:— p. Kostrowiec naprzykład oświadczył był w tymże swoim artykule, że niepojmuje, jak ludzie mogą sądzić o rzeczach filozofii i teologii, gdy żaden może z tych sędziów jednego teologicznego dzieła nieprzeczytał; a wszakże owi sędziowie mieliby może więcej prawa powiedzieć coś podobnego panu Kostr., zwolennicy bowiem bezpośredniej filozofii zwykle zostawują na stronie zasadę katolickiej teologii, dla tego dzieła jej mogą im być nieznane; co się zaś tycze zasady filozofii, to tej teologowie niemogą odrzucić w zupełności, przyznając umysłowi i spekulacyi pewną względną wartość:— rzeczą więc jest konieczną, aby teolog chcący mówić o filozofii w celu wywrócenia racyonalnych jej dedukcyj, starał się wprzódy poznać gruntownie tę naukę i brał się do oppozycyi wychodząc z samej zasady; inaczej, wszystkie jego rozprawy czczym tylko będą dźwiękiem, pustą bez celu gadaniną. W najnowsze czasy filozofia bezpośrednia i protestantska teologia (w Niemczech) zlały się prawie w jedno, i zasada i rezultaty są też same, szcze-

gólnie w szkole teologicznej, którą utworzyli uczniowie Hegla, *Daub*, *Marheineke*, *Rosenkranz*, *Vatke*, *Erdmann*, *Straus* i inni. Poczęli oni od spekulacyi, i z jej stanowiska obrabiali teologią, drudzy zaś od exegetyki, od krytyki teologicznej i historycznej pisma, i z tego punktu doszli do zasady i do poglądu uczniów Hegla. Ci krytyczni teologowie wzięli się do prac swoich jeszcze w końcu XVIII w., mianowicie: *Eichhorn*, *Herder*, nowsi *von Vethe*, *Gesenius*, *Hitzig*, *Ewald*, *von Vatke*, *Lengerke*, *von Bohlen*, *Bauer*; stanowią oni cały szereg teologów protestantskich, którzy krytyczną swoją teoryą przyszli do szkoły spekulacyinej. Są tu bez wątpienia pomysły, na które oburza się serce prawego katolika, z tém wszystkiem jak teolog tak i filozof pism ich w żaden sposób nieczytać niemoże, bo w dziejach kościoła wszelkie herezye znajdują miejsce, bo zawsze fałszywe korollarya świadczą o fałszywości zasady. Zmuszeni więc jesteśmy wyznać, że p. Kostrowiec, człowiek uczony, *teolog z professyi*, a co większa, teolog chcący mieć nawet kompetentne zdanie o niemieckiej filozofii, nic niewiedział o tém bogactwie protestantskiej teologii, gdy mógł mówić, że z taką zasadą, jaką mają Szelling, Hegel i Trentowski, niepodobna pogodzić chrześciańskiej idei. Niechże zapyta tych panów o ich religię, a odpowiedzą mu, że są chrześcianie: większa ich część są-to ludzie duchowni, członkowie protestantskiego kościoła, albo professorowie teologicznych fakultetów kształcący młodych duchownych. Powtarzam, że nam prawowiernym gorycz, żal i oburzenie przejmuje serce wobec pomysłów i zdań tych filozofów, w każdym jednak razie są-to ludzie mający pewną zasadę, których arbitralnie od społeczeństwa i nazwiska chrześcian oddzielać niewypada, a coż

dopiero niechcieć znać prac ich (odznaczających się niezmierną erudycyą i nawet przyznać potrzeba wielką głębokością myśli), a bardziej jeszcze, wydawć wyroki *a priori*, świadczące jawnie, że się ich nieczytało albo nawet, o nich (*tranchons le mot*), niesłyszało! Pochwalamy dobre chęci p. Kostr. w pisaniu jego artykułu, ale razem ubolewamy, że wziął się do tego najmniej nieprzygotowany, extrakty bowiem z dzieła Felixa Kozłowskiego niewiele są potrzebne: lepiej już same dzieło w całości przeczytać, chociaż i to dzieło, pomimo obszernej erudycyi autora, nikogo zadowolić niemoże, właśnie dla tego, że autor powstając przeciwko filozofii niezchodzi do jej zasady, a zbija ją ze swojej własnej, co stanowi czczą logomachię, nic więcej, taka sprzeczka mogłaby być wieczna. Że p. Kostrowiec niezaradził swoim artykułem temu niedostatkowi dzieła p. Kozłowskiego, to i odgądnąć niemożemy, w jakim on celu został napisany, istotnie bowiem przy owém dziele artykuł żadnego niema znaczenia. A jednakże o tym artykule p. Kostrowca p. Michał Grabowski w liście do Wydawcy Tygodnika Petersburskiego (r. 1846) twierdzi, że *rozjaśnia rzecz do gruntu* (!.)— dziwny sąd!— a p. Wydawca Tygodnika przez całe niestety półrocze, jakby czémś wielce posilném, budującém, traktuje nas tym artykułem (1)! — Ale wróćmy do naszego założe-

(1) Zwyczajnie jak wróblow. Wiadomo czytającej Publiczności, że pozazdrościł Trentowskiemu małej jego zdobyczy w tym rodzaju, otoż i sypnął oburącz najlepszém ziarnem ze swego gumna! Już ze świergotu, jaki dał się słyszeć za pomocą Tygodnika, wnieść można, że zdobycz będzie nierównie okazalsza; co wróble stare, to nie *pisklęta żółtodziobe*, bo też i między plewą Trent. a ziarnem Kostrowca ogromna różnica!

(Wyd.)

nia, do pokazania, że jak Trentowski, tak równie Szelling, Hegel i jego szkoła łączą ideę chrystyanizmu z ideą swoich systematów. Jestto już przymiotem niemiecktej filozofii, że ona objąwszy ludzkość całą owłada wszystkimi objawami jej ducha jakby stopniami, po których ten wznosi się w postępowém wykształceniu, naznaczając każdej fazie takiego rozwoju pewne wyrozumowane miejsce. Takowe połączenie filozofii z historyą zdaniem Guizota (*Hist. de la civil. en Europe. Introd.*) jest jedną z głównych cech naszego stolecia; chrystyanizm stanowiąc najważniejszą epokę w dziejach ludzkości, musiał zająć nieposlednie miejsce w niemieckiej filozofii XIX wieku *per excellentiam*. Jakoż Edgar Quinet tak się w tym względzie w dziele swojém *Du genie des Religions* na str. 87-ej wyraża: „*Le christianisme etant entré presque tout* „*entier dans les théories de ses métaphisiciens*, *n'a* „*jamais été aboli*, *même un seul jour*, *dans les es-* „*prits*, *en sorte qu'il a passé de la religion à la* „*philosophie*." Wiadomo, że Leibnitz już starał się pojednać ideę chrystyanizmu ze spekulacyą, ta jego dążność widna we wszystkich jego filozofijnych pismach. Autor Teodycei równie był teolog jak i filozof; znaną jest jego rozprawa: *Sur la conformité de la Foi avec la Raison*, tudzież objaśnienia jego o idei Trójcy, tej właśnie idei, która zawsze była zasadniczą myślą systematów niemieckiej spekulacyi, którą Hegel wyraził i nazwał osobami Ojca, Syna i Ducha i którą następnie, chociaż tylko powtórzył Trentowski, jednakże poczciwemu naszemu Żegocie wydał się zuchwałym nowatorem. Myślą Leibnitza, jak i poźniejszych niemieckich filozofów, było: uczynić zasadę chrystyanizmu *wyrozumowaną*; dowieść, że wiara nieprzeczy rozumo-

wi, a rozum wierzc; i to twierdzenie było powodem Leibnitzowi do napisania Teodycei. Podług niego, na to dał Bóg człowiekowi rozum, aby go pojmował tą władzą, władzą, któréj prawa przywołały do bytu całe stworzenie. Tém więcej, mówi on, kochać będziemy Boga, im więcej go poznamy, a Bóg, jako nieskończony objekt myśli stanie się niewyczerpaną skarbnicą poznania. Zdaniem tego filozofa przedmiot zmysłowy może być niepojętym, albo pojmowanym tylko w sposób wyobrażalny, symboliczny, ciemny: jakoż twierdzi on, że przymioty jakiego minerału, np. magnesu, i dwuznaczne, łudzące życie rośliny, ba nawet człowiek ze swémi niezliczonémi sprzecznościami trudniejszym daleko do zbadania, bardziej jest niepojętym, niż absolut—idea prosta, wszędzie sobie równa, zawsze z sobą zgodna, jednėm słowem, czyste życie i byt bozkiej substancyi. Byt zaś, objaśnia on dalej, w którym rozwiązują się wszelkie tajemnice, niemoże z kolei stać się nową zagadką, idea, która jest pierwiastkiem wszelkiego poznania (poznanie bowiem jako główny prycyp ma za osnowę nieskończoną ideę, np. nauka prawa poczyna się od idei powszechnej, absolutnej sprawiedliwości:) idea, która istotną realność, samą boskość wyraża, niemoże w żaden sposób być czemś ciemném, niepewném, niemoże stać się *My*-*óv* poznania. Tak zapatrując się na Religię, Leibnitz w racyonalny sposób wykłada jej zasady, dogmata, starając się zawsze zachować ideę chrystyanizmu. On broni Sw. Trójcy przeciw Wisosowatemu (*Defensio S. Trinitatis contra Wisosovatium*, 1670); on w korrespondencyi swojej z Bellisonem i Bossuetem usiłuje pojednać protestantów z katolikami, a przy tém wszystkiem jest on filozofem, jak inni, jak jego następcy: Szelling,

Fichte, Hegel. W XVIII wieku, kiedy idea chrystyanizmu wszędzie już się była rozprzęgła, w Niemczech Lessing (ur. 1729+1781) staje się gorliwym jej obrońcą, ale równie, jak Leibnitz, stara się on udowodnić, że tajemnice religii mogą mieć swoje *criterium* w umyśle. Według niego Rewelacya była zawsze miarą ukształcenia narodu, wśród którego czynny swój żywot brała: stary Testament, potém Nowy; dalej Reformacya następowały w porządku postępu umysłu ludzkiego. Kto wie, mówi on, azali niejesteśmy blizcy tej epoki, w której chrystyanizm zkupi w jedno ognisko rozstrzelone dotąd promienie i da nam w religii więcej, niż prostą moralność, więcej niż szczęście samo; więcej niż filozofię, więcej niż uczucie; bo każde z nich o wiele się pomnoży przez ścisłą z sobą wspólność. W tém samém dziele: *Ueber die Erziehung des Menschengeschlechts* rozbiera także filozofijnie naukę o Trójcy. *Hamann* (1730+1788.) przedmiotem dla filozofii naznacza pojęcie chrystyanizmu. *Jacobi* (1743+1819.) uważa umysł (*die Vernunft.*) za źródło, w którém Bóg objawia się człowiekowi, a objawia bezpośrednio, z umysłu więc wyprowadza religię, a filozofię swoją zowie filozofią wiary. *Kant* (1724+1804.) bada władze poznania i rozbiera krytycznie środki do wiedzy wiodące, zaczynając od poddania wątpliwości, azali możebną nam jest wszelka wiedza? —

Takto Niemcy w XVIII w. pracowali nad filozofią starając się ideę chrystyanizmu wybadać intellektualnie według zasady protestantyzmu, i tęż samą pracę przedłuża wiek XIX zawsze w duchu religijnej reformy, której początek w XVI wieku położyli Luter i Kalwin, a którą na zasadzie raz przyjętej rozwijali późniejsi teologowie. W Niemczech zwykle filozofowie do-

łączali do swoich systematów osobne traktaty w przedmiocie wiary pod nazwą filozofii religii (*Religions philosophie*), a teologowie opierali zawsze dzieła swoje na systemacie jakiej filozofijnej szkoły, co w protestantskim kościele nieuważało się bynajmniej za herezyę, głównem bowiem *vehiculum* nauki tego kościoła jest *wolne pojmowanie Pisma*. Czasami odbywały się dysputy pomiędzy teologami, ale te po większej części wynikały z powodu różnicy szkół i partyi. Wszelkie sprzeczki prowadzą się tu na gruncie czystej naukowości, często nawet z jakąś monomanią pedanteryi; nieraz uczony teolog strawiwszy nad starym Testamentem młode swe lata, z energią prawdziwie donkichotską broni Mojżesza, którego von Vethe zaprzecza i jak Homera uważa za mythus starożytności, za osobę zbiorową: nietyle tu chodzi naszemu starożytnikowi o Mojżesza, ile o ulubionego autora, na którego długie komentarze i rozprawy o jego indywidualizmie pisał; taką moc argumentów w tych rozprawach zgromadził, tyle erudycyi okazał, a tu ktoś, jakiś *von Bohlen* śmie lekkomyślnie twierdzić, że to ulubione jego indywiduum wcale niebyło indywiduum i że dzieło, którego studyowaniu piękne dnie życia swego poświęcił, było już napisane po powrocie z niewoli babylońskiej, nie zaraz, ale pomału, nie przez jednę, ale przez kilka osób. Taka krytyka Pisma jest w duchu protestantyzmu, w duchu analizy. W tym właśnie duchu pracowali Wolf i Niebuhr: a jako w czasy tych krytyków byli zagorzali Helleniści i Latyniści, co wiedli pomiędzy sobą kontrowersye, pierwsi o Homera i homerydów, a drudzy o królów rzymskich, to i *eruditi hebraeorum* podobnież dysputowali z sobą o autentyczność xiąg Pisma, jużto w charakterze filologów i historyków, już po prostu jako lu-

dzie żyjący sporami i dla sporów. Ci ostatni piszą dzisiaj o satanie, jutro o prorokach, pojutrze o czém inném, bo nie pisać, nie szperać niepodobna, i z tem wszystkiém, gdyby tym zapyrzonym erudytom śmiał kto powiedzieć, że niesą chrześcianami, to niezawodnie wszyscy oni cisnąwszy o ziemię komentarze swoje na Króla Dawida, na Jakóbową drabinę, toż dyssertacye o siedmiu plagach egipskich, o żonie Lota zamienionej w słup soli i t. d. i t. d. boleśnie daliby uczuć zuchwalcowi niestosowność takiego zarzutu! P. Kostrowiec utrzymuje, że Szelling i Hegel nieuważali swojej filozofii za chrześciańską, że niewidać w niej zamiaru nadania jej podobieństwa do tej religii, że niemasz tam wyrazów Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch i t. d.— ależ Szeling, wiadomo wszystkim, od kilku lat (1841) wykłada w Berlinie swoją filozofię Objawienia, która, jak sam chce we wszystkich wmówić, jest drugą częścią pierwszej jego nauki! Dziwna zaiste, jak p. Kostrowiec mógł pominąć ten ważny szczegół, a może i niedziwna, zważywszy, że wcale nad tém nierozwodził się p. Kozłowski w swojém dziele. Co do Hegla, ten wszędzie rozwija ideę chrystyanizmu tak, jak ją sobie wyrozumował protestantyzm, rozwija po swojemu ideę Trójcy na różnych miejscach, lubo według p. Kostr. Hegel nigdy o tém niewspominał. Hegel wspomina o tém naprzód mówiąc o logicznej metodzie inaczej dyalektyczną zwanej. Najpierwszém, mówi on, działaniem logicznego myślenia jest wydanie jednostronnego orzeczenia i oddzielenie go od przeciwnego mu zdania; jestto działanie rozsądku (der Verstand): pierwszym więc momentem metody jest moment *rozsądkowy*: — kto zostaje przy tym momencie, ten jest prostym dogmatykiem i zamyka swoje twierdzenie między *albo*, *albo*,

jak stoicy, epikurejczykowie i Wolf. Wkrótce atoli umysł (die Vernunft) pokazuje, że podobne rozsądkowe orzeczenia niemogą się razem ostać, że jedno powinno targnąć się na drugie, że muszą się wzajemnie zaprzeczyć; więc drugim stopniem logicznym jest działanie negacyjne, znoszące przeciwieństwa przez wzajemne ich starcie się: jestto właściwie dyalektyczny element logicznego myślenia, którym ograniczają się krytycyzm Kanta i skeptycyzm: — w tym stopniu otrzymało się już dodatni rezultat, bo jeżeli przeciwieństwa ścierając się z sobą kojarzą, to w takim razie oboje składają jedno. Następnie trzeci stopień, jedność dwóch przeciwności, uważać się może prawdziwym celem dyalektycznego ruchu myśli, jego wieńcem, i to trzecie działanie jest dodatnio-umysłowe (positiv-vernünftige), czyli spekulacyjne. Symbol Chrześciański jedności w Trójcy jest formą wszelkiej prawdy, co już oprócz Proklusa, Alexandryjscy filozofowie, Filon i Gnostycy, także Plato i Pytagoras najwyraźniej przyznali. Według tego Hegel pojmuje Trójcę. —

Bóg, mówi on, jako istota powszechna, substancya wszech rzeczy. Myśl, jest *Ojcem*. Ta myśl, jak wszelka rzeczywistość, niejest abstrakcyjnie powszechną, ale rozkłada się na szczegóły treści (des Inhalts), mnoży w innobycie i przechodzi z powszechnego elementu oderwanej myśli do wielości idei; w jakowym względzie jest już *Synem* (Λόγος) łonem życia, w którém Bóg rozwija się do sfery intelligencyi, do państwa idei: jestto wieczne poczynanie się Syna. Z takowej *różni* Bóg wiecznie powraca do siebie i pod tym względem jako *Duch* jest pojedyńczością. Bóg przeto stanowi absolutne indywiduum, w którém pomimo wielości osób jest jedna nierozdzielna istota. (*ob. Religions*

philosophie.) — Principium, że Bóg stał się człowiekiem, jest kamieniem węgielnym świata, bowiem w około niego obraca się ludzkość, do niego i od niego idzie historya. Bóg jest subjektem, Stwórcą nieba i ziemi, ale w tém zdaniu niemasz jeszcze Objawienia, to zamyka się dopiero w twierdzeniu, że Bóg wydał Syna, to jest, że On Sam odróżnił się od Siebie, a Duch jest właśnie wtedy, gdy się pojmuje jako przedmiot i samemu sobie służy przedmiotém. Tak więc to, co Bóg stawi po za sobą, jest Nim Samym, a to, że w innobycie samego siebie ogląda, jest miłością, duchem. Bóg o tyle jest Duchem, o ile pojmuje się jako jedność w troistości. (*Philos. der Gesch.* S. 331. Berlin. 1837). W témto rozumieniu Hegel powiedział (ibidem): „*Die Christliche Religion ist die Religion* „*der Wahrheit, denn der Begriff ist in ihr identisch* „*mit der Realität.*" (Chrześciańska Religia jest Religią prawdy, bo pojęcie w niej zgodne jest z rzeczywistością). — Nie w innem też znaczeniu przyznaje Hegel chrystyanizmowi charakter powszechności, o czém przecie wspomnieć raczył nasz Kostrowiec, nietyle już łaskaw na ideę Trójcy tego filozofa, aczkolwiek wyraźna o niej była wzmianka w dziele p. Kozłowskiego (tom 1. str. 402). — Główną myślą Chrześciańskiej Religii, mówi Hegel, jest, że *Bóg stał się człowiekiem*, ta myśl wyraża spójnię człowieka z Bogiem, wprowadza Boga z po za świata w łono ludzkości. Chrystus pierwszy pojął ten stosunek Boga i człowieka, on więc pierwszy był prawdziwym Bogiem-człowiekiem (1). He-

---

(1) Der historische Christus ist derjenige Mensch (mówi *Michelet*), in welchem sich das Bewustsein der Verknüpfung der göttlichen Persönlichkeit mit der men-

gel tak samo, jak Leibnitz, Lessing, Jacobi, określa stosunek wiary do rozumu (die Vernuft) i znajduje go w jedności obojga. Oddawna, mówi on, przeciwstawiano umysł religii, jak religię światu, ale rozpatrzywszy się bliżej, przedmioty te niesą względem siebie w przeciwieństwie, a zachodzi między nimi prosta tylko *różnica*. Tu kilka słów udowadniających, że ten Mistrz głębokim był znawcą chrystyanizmu. Hegel zostając na uniwersytecie w Tubindze (Tübingen) odbywał kurs filozofii, której został magistrem, ale obok tego chodził na wydział Teologii, w której takiż osiągnął stopień. Szwajcarski peryod życia Hegla (w Bernie, gdzie był domowym nauczycielem) od 1793—96 całkiem prawie był poświęcony studyom teologicznym: tam on pracował nad exegetyką, tam pisał *Zycie Chrystusa i Krytykę idei religii pozytywnej* (Kritik des Begriffs der positiven Religion). Jego korrespondencya z Szellingem z tego okresu traktuje wciąż o tym przedmiocie: głównem ich zadaniem było wyjaśnić za pomocą polemiki samą ideę religii, którą dawniejsza szkoła teologiczna w ciągłym utrzymywała symbolizmie; Kościoł ich miał być *niewidomą świątynią ducha*, a cześć samemu Bogu oddawaną być miała *w duchu i prawdzie*. Weźmy teraz jednego Teologa należącego do małej liczby uczniów Hegla. Jestto *Rozenkranz*. W jego *Encyklopedyi teologicznych nauk* (1831.) został wyłożony system chrześciańskiej teologii; we wstępie dzieli on cały obręb na trzy główne części, mianowicie: na Teo-

---

schlichen Individualität zum ersten Mal vollkommen aussprach und der Vorstellung enthüllte. (*Darstellung des Entwickelungsganges der neuesten Deutsch. Phil.* S. 385.)

logię *spekulacyjną*, naukę rozwijającą ideę chrześciańskiej religii, jako religii absolutnej, nie zależnie od jej pojawu; na Teologię *historyczną*, zajmującą się poznaniem idei religii w jej pojawie w przestrzeni i czasie, w jej skończoności, w bycie warunkowym, i na Teologię *praktyczną*, która dwa poprzednie stanowiska ściśle jednoczy, ona bowiem usiłuje historyczne kształty religii, które teraźniejszość otrzymała od przyszłości, pogodzić z ideą absolutnej religii, którą ta doczesna forma w sobie ukrywa, a przez to uczynić ów pojaw identycznym z samą istotą religii na łonie Boga spoczywającą. Podobnie postępowali drudzy uczniowie: *Marheineke*, *Daub*, a nawet *Straus i Bauer*, którzy najbardziej oddalili się od orthodoxyi. Mimo to wszakże *Michelet* w swojej historyi najnowszych systematów niemieckiej filozofii (T, II. str. 681.) mówiąc o krytyce Strauss'a utrzymuje, że przez tę krytykę chrystyanizm ani na włos nie niestracił: „*Straus hat dem Christ-* „*lichen Dogma kein Haar gekrümmt.*" owszem, powiada on, przyznać można, że tém dziełem wyprowadził on religię z formy zmysłowego pojawu i podniósł ją do potęgi boskiej istoty. „*Sondern vielmehr ist es aus der Form der sinnlichen Erscheinung in das Gebiet der allgemeinen Wirksamkeit des gottlichen Wesens erhoben.*" Zarzuca p. Kostrowiec Trentowskiemu, że u niego (jakoby to wyłączną było jego myślą) Bóg przychodzi do świadomości o sobie w przeświadczeniu ludzkiém i że osobowość Bozką widzi w obecności pojedyńczych istot: — wszakże takie pojęcie osobowości Boga właściwe jest Trentowskiemu, jak i Heglistom? wszak wiadoma jest sprzeczka w szkole Hegla o indywidualizmie Boga i nieśmiertelności duszy, oraz sposób, w jaki następca Hegla w uniwersytecie

Fryderyka Wilhelma (w Berlinie) Ludwik Michelet rozwiązał ją w dziele swojém: *Vorlesungen über die Persönlichkeit Gottes und unsterblichkeit der Seele* (Berlin, 1842.)? Osobowość Boga według niego jest ideą indywidualizmu rozwijającą się w osobowościach pojedyńczych istot, zupełnie tak, jak u Trentowskiego. *Der Erscheinunggott* (Bóg objawu) Trentowskiego jest osobowością bożą Heglistów: jestto wiecznie odradzający się Chrystus (*die ewige Menschwerdung*), ścisłe przymierze wiecznego pierwiastku z doczesnością. Według Straussa *ludzkość* jest Bogiem-Człowiekiem, Chrystusem. Niektórzy w ukrzyżowanym Chrystusie widzieli nieskończoność rozciągniętą na skończoności. Pomimo to wszystko protestantscy filozofowie nieprzestali nazywać się Chrześcianami i nigdy nieusuwali z widoku Pisma, co czynił także Trentowski, protestant, jak wiadomo, filozofujący w duchu szkoły niemieckiej. Żadnego w nim wstecznego niewidzimy kierunku, jak to utrzymuje p. Kostrowiec; niewidzimy, w czém odstąpił od niemieckiej filozofii, która, zdaniem tegoż recenzenta, *tak grubego panteizmu i człekobóstwa* ogłaszać nieśmie. Nie wiemy, co rozumie p. Kostr. pod słowem *gruby*, to jednak pewna, że w poprzednich rozdziałach sam częstował filozofię absolutną mianem *panteizmu i antropomorfizmu*. Trentowski, mówi on, zanurzył się w pogaństwie; pokazał się filozofem natury, nie spekulacyi; — jestto filozof wsteczny, — a przecież niedaleko są Szelling i Oken, owi filozofowie natury *per excellentiam*? a przecie filozofia ich wiele przyniosła odkryć nauce XIX wieku? Czy chwali, czy gani, czy broni, czy potępia p. Kostr. niemiecką filozofię, wszędzie widać, że jej nieznana i, chociaż z dobrym przewodnikiem (Kozłowskim), tyle na każdym kro-

ku popełnia błędów, iż trudno jest nieprzyznać, że z jedną xiążką w ręku niepodobna decydować o rzeczy tak wielkiej wagi, jaką jest spekulacya naszego wieku. Może być ona fałszywą, to zależy od przekonania, zawsze jednak taką ją wystawiać należy, jaką jest. Napada p. Kostr, na Trent.; że używa słów poświęconych przez chrystyanizm i wskazuje mu za nauczający przykład Hegla: — dowiedliśmy wyżej, że tych samych słów hojnie używał Hegel, a niedawno ziomek nasz hr. August Cieszkowski w dziele *Gott und Palingenesie* wyrzucał to samo następcy Hegla Micheletowi; który mu w *Darstellung des Entwickelungsganges der neuesten Deutsch. Phil.* na str. 388 odpowiedział témi słowy: „*Die Philosophie hat das Recht, den ausgeprägten Münzen der religiosen Symbole ihrer Stempel auszudrücken und sie umzuschlagen.*" Filozofia ma zupełne prawo na monetach religijnych Symbolów własne wyciskać stemple, a nawet je nanowo odbijać. Za cóż więc Trentowski, jak ów kozioł Izraelitów *Hazazel*, ma pokutować za wszystkich protestantskich myślicieli, kiedy on, jak p. Michelet, przebijał tylko starą monetę na nową!?

Nie od rzeczy dodać tu jeszcze słówko o duchu protestantskim, jakim jest przeniknioną filozofia Hegla i w ogólnosci nowej szkoły; w tym względzie bierzemy wyjątek z dzieła Karola Rosenkranza opisującego życie Hegla, które wydane zostało w Berlinie 1844. „Heglowska filozofia, mówi on (Vorrede. S. XXVII.), „jest istotnie protestantską pod względem religijnym: „protestantyzmem zaś zowię ja tę religijną formę, która przymierze Boga i człowieka na tej pewności gruntuje, że istota ludzkiego przeświadczenia ma swoją „treścią przeświadczenie bozkie i że tem samém ma

„za formę samą wolność ducha.” Z tego widzimy, że samo określenie protestantyzmu w filozofii stanowi właśnie to, co u Trentowskiego jest przedmiotem filozofii. Nic więcej nowego w tym względzie niewyrzekł Frejburgski professor nad to, co już powiedział Hegel i jego uczniowie, i daremnie apellował p. Kostr. do tego ostatniego; wszyscy oni zarówno rozwijali protestantską ideę, którą postawili za ideę wieku, za treść filozoii XIX stulecia. Potrzeba też mieć i to na uwadze, gdzie idzie o samą ideę, tam drobny jakiś, cząstkowy jej przejaw niepowinien nas nadto zajmować, opanowywać, wiadomo bowiem, że myśl oderwana urzeczywistnia się stopniowo, historycznie; że jak biały promień światła odbity w pryzmacie łamie się na całą skalę tęczowych kolorów, tak równie idea przechodzi przez wszystkie stopnie myśli zawarte pomiędzy dwoma ostatecznymi jej krańcami. Znajdziesz dziś w Niemczech szkoły zawarte między literalną orthodoxyą i zupełną krytyczną wolnością (1), znajdziesz gałąź materyalistów i nihillistów, realistów i spirytualistów, ale we wszystkich tych dyzjunkturach spoczywa całość idei, którą jedną na względzie mieć należy. Odzielne te doktryny i ostateczności niezastanowią przy sobie bezstronnego badacza, on zwraca uwagę na treść rzeczy, na plon ogólnych usiłowań i tam się dopiero zatrzyma, gdzie znajduje prawdę i zaspokojenie potrzeby umysłu. Kończę na tém list mój oświadczając, że niechodziło mi tutaj ani o Trentowskiego, ani o Hegla, lecz jedynie o to, by wyświecić istotę rzeczy okazaniem *grubych błędów* popełnionych przez pisarza, którego wielce zkądinąd szacuję i który rzeczywiście stać się może godnym po-

---

(1) Vide Vislicenus — *ob Schrift ob Geist.* —

wszechnego szacunku; jeżeli w obrębach właściwej sobie pewnej gałęzi nadobnej literatury pracować będzie, a nadewszystko; jeżeli wyrzecze się myśli, że bez wyłącznego oddania się studyowaniu prac wielkich myślicieli można z powagą arbitra wkraczać w obcą sobie sferę filozofii.

L I S T VIII.

Mostyszcze, *d.* 30 *Listopada* 1846.

Gryphus significat vis, virtus fortitudo. Nieodrodne plemie intellektualnego mythu starożytnych dzisiejszy Gryf Słowiański ma także szpony orła i lwa pazury, ma, ale ich przeciw ludziom choćby najzłośliwszym, z uwagi na przyrodzoną tępość zaczepnej i odpornej ich broni, nie używa, używać nie potrzebuje. Indywidua rozumem obdarzone zajmują go o tyle tylko, o ile przedstawiają mu się, jako idea, myśl, nauka; na resztę zaś, w czém wyraża się biedna, zwierzęca ich osobistość, niezwraca on żadnej uwagi. *Aquila non capit muscas.*

J. Jurkiewicz w *Silva rerum* pod lit. G.

Nareszcie w N. 86 tegorocznego Tygodnika otrzymaliśmy ultimatum *nieskończonego* (ztądto może i roszczącego pretensyę do filozofii narodowej, że na wzór narodowego tańca zdawał się nigdy nieskończyć.) artykułu p. Żegoty Kostrowca. Zakończył go, jak się należało było spodziewać, tiradą udanego rozrzewnienia mówcy na swojém wywyższeniu, skromną pochwałą siebie i swojej konfraternii, pochwałą wyrażoną zapewnieniem, że ze zgonem tych kilku piszących (do których *comme de raison* sam siebie zalicza) wszystko ogłuchnie, a prowincye nasze staną się słabém, śmieszném i niedorzecznem przedrzeźnianiem zkądeś zaleciałego echa. *Sic transit gloria mundi*!

Mój Boże! do czegożto zeszedł nasz Kostrowiec ze swego błyszczącego filozofijką założenia? — oto,

do samochwalstwa, do pychy pełnej *prostodusznego* zarozumienia o potędze swojej nauki, erudycyi, talentu, ku podtrzymaniu czego wszelkie środki były mu i dobre i godziwe a głównie, jak to zwykle bywa, posłużyło poniżenie innych, oskarzenie o nieumiejętność, brak wszelkiej zdolności (1) i to wszystko słowami nieoddychającémi ani szlachetnością, ani dobrą wolą, ani wreszcie tém Chrześciańskiém uczuciem, którém rządzi się w pożyciu z ludźmi najmniej oświecony katolik, a które powinno było zdaje się cechować artykuł wyszły z pod pióra Żegoty Kostrowca! Otożto owa potyliekroć u zalecana przez p. Kostr. Religia w nauce! otożto owa chrześciańska pokora, owa wyrozumiałość, o której nam tak gorliwie prawi w pismach swoich! I do czegożto poniżyć się może namaszczenie, kapłaństwo?— Oto, do udanego uczucia krasomowcy, do rozrzewnienia, do łez nad własną obrażoną dumą, a obrażoną tém, że ktoś inny wyraził przekonanie różne od przekonania Kostr. i Kompanii! Mój Boże! Kiedyżto moralność u niektórych ludzi przestanie być narzędziem próżności, teatralną maską, pustém a rozgłośném słowem, źrzódłem żakowskiego *pathos* i kwietnikiem szkolnego oratorstwa? Niepotrzebaż tu filozofii dla pokazania granicy pomiędzy swiętością charakteru a namiętnością zepsutej natury człowieka? Niepotrzebaż tu głęboko pojętego uczucia własnej godności — godności, co nieurażając się obelgą rzuconą jej na oczy, płacze poniżenia brata, który ją rzucił, a podając rękę by go podnieść w jego upadku, woła: bracie! o wiele się troszczysz

---

(1) Mało tego, bo o niegodziwe zamiary, o bezbożność, o oszukaństwo!!!

(Wyd.)

i frasujesz, kiedy tylko *człowiekiem* być należy! O, bo też wpośród natłoku ludzi rzadko gdzie napotkasz *człowieka* i latarnia Dyogenesa nie jednemu by się dzisiaj przydała! I cóż nada być choćby najznakomitszym pisarzem, człowiekiem sławy i wziętości, gdy sam wysoki typ człowieka zacznie się zcierać z fizyonomii naszego ducha? co nada wszelkie podniesienie, kiedy rdza żółci zacznie rozgryzać ogniwa bratniej miłości i pokrywać serce słojem piołunowej goryczy, pod którą odtąd lęgnąć się będą wszelkie namiętności z dumy, nienawiści i umysłowej nietolerancyi wyklute? Nie stosuję ja tego do nikogo w szczególności, a chcę tu tylko zanotować, że takimi są w ogóle ci wszyscy, co biorą krytykę za organ osobistości, za machinkę sztuczną, zapomocą której i sami się nachwalić dowoli i przeciwników swoich zelżyć, zpotwarzyć mogą. Nikt spodziewam się niezechce bronić klassy tych ludzi maluczkowatych, którym roi się, że w sobie, w swoich drobnych czaszkach skupili skarby mądrości i którzy gotowi są zawsze twierdzić o sobie zpyszna *à la Louis* XIV *nauka i literatura—to my*! Wszystko to wszakże w dość znacznem już rozwinięciu mógł widzieć każdy w rozdziale umieszczonym w N. 86 gazety Petersburskiej:— w wyjątku zacytowanym na początku mego listu, w licznych poniżających epitetach, tudzież w stanowczym do śmieszności tonie pisma, co, powiedzmy prawdę, niemały przynosi uszczerbek sławie Autora dzieła, którego ów rozdział (idąc za zeznaniem starożytnych — *ut finis coronat opus*) był summą rozumu, wieńcem! Zapomniał p. Kostr., że wszystkie te *osobistości* nienależące bynajmniej do rzeczy, której zlekka tylko po swojemu dotknął (1); są właśnie najlepszym dowodem, jak

(1) To jest, po jezuicku. Dotąd listy Gryfa są

kilka stronic puszczonych w obieg przez Gryfa silnie podziałały na zwolenników pewnej partyi, aczkolwiek bezstronna powaga literacka zawyrokowała o tych stronicach, że ton ich jest *spokojny*, *poważny i umiarkowany*. (Ob. Bibl. Warsz. 1846 m. Marzec.) — Zresztą,

---

tylko *objaśniane* przez Dołęgę, a tu trzeba, aby nie niebrakowało Kostr. do utworzenia słodkiej, muzykalnej, umizgającej się do bałabajki recenzyi, aby jeszcze były *poparte słówkiem* Fischa. Mieliśmy to na względzie i staraliśmy się zaradzić należycie tej istotnej potrzebie. Publiczność lubi czy nie te *objaśnienia i popierania*, nam nic do tego; nasze myśli i affekta zwracają się jedynie do naszego *Maestro* Kostrowca, niech tylko on będzie kompletnie z nas zadowolony, a wszystko pójdzie dobrze, pójdzie jak z płatka od *adagio* do *prestissimo* od *piano* do *fortissimo*, od *scherzoso* do *pomposo* od *giocoso* do *furioso*, drum, drum, poleją się strumieniem fantazyjki!... I serio mówiąc, recenzya, na którą tak się tutaj zżyma Gryphus, ma swoich szczerych, entuzyastycznych wielbicieli. Trzeba było widzieć *Kauzyperdę* Kruczkowskiego, kiedy ją przeczytał,— at! klaskał w dłonie, bił się po bokach nieposiadając się z radości i ciągle powtarzał: „Ach, jakże to rozumnie, jakże mądrze!"— A tę pochwałę *popierał* wyjętym ze wspomnionej przez Gryfa *machinki* argumentem. „Oto wam za to, żeście mnie tam niewiedzieć po jakiemu przedstawili! Napisali naprzykład, że ja obrabiam *Statystykę*! w Imie Ojca i Syna—jaką? gdzie? ja nietylko nieznam, ale i niesłyszałem, czy jest tu gdzie w okolicy taka *osoba*!"— A potem już znacznie zniżonym tonem uśmiechając się i pogłaskując czupryny dodawał: „Gdybyż jeszcze *Scholastyka*! — niemówię—hm—to przecież przedmiot, co jak słyszałem, nawet i uczeni ludzie z duchowieństwa obrabiają." Z tego entuzyazmu kauzyperdy każdy wyciągnie wniosek, że on całkiem należy do koteryi Tygodnika. *Eheu*! biada nam Gryfie, siły wzmagają się!!

(Wyd.)

ja pisząc te artykuły umieszczone w *Gwiazdzie* niespodziewałem się, niemogłem nawet w żaden sposób spodziewać się pochwał, bo i zkądże one wypaśćby miały, kiedy ciągnąłem niemiłosiernie na arenę krytyki właśnie najbardziej u nas wziętych pisarzy i ludzi dzierzących we wnętrznościach swoich kałamarzy całą literacką kontrolę? Każdy wszakże przyzna, że nie niebyło łatwiejszego dla Gryfa, jak pozyskać względy naszych Minosów i Radamantów. Cerber krytyki dałby się przebłagać miodową gomułką pochwały, a lekkie przygjęcie kolan i trochę dymu wypuszczonego choćby z krajowego *de Sampankrysze* sygara toby sprawiły, że Olympijskie głowy naszych luminarzy wdzięcznym rozjaśniłyby się uśmiechem zadowolenia. O, wtedy Gryf, ów Gryf co dzisiaj pozostał jako *simplex Dei servus*, a przynajmniej jako najnieznośniejsza odrażka, wtedy mówię nosiłby na swojej mythologicznej postaci olbrzymi *wieniec—girlandę* (jak zwykle dawany za pochwały i umizgi literackie) wieniec, coby mu spętał, skrępował na zawsze skrzydła! Ale Gryf chciał być wolnym, chciał swoję indywidualność utrzymać bez skazy, chciał mówię zachować ową prawdomowność, która już dzisiaj wraz ze Sfinxami, Minotaurami, Jednorożcami, Fenixami, Drakonami i Gryfami do mythologicznych czasów literatury należy. Gryf jestto prawdziwy *mythus*, prawdziwe monstrum fikcyjne dręczące nieraz jak nocna zmora wielu ludzi z rękami zabazgranémi atramentem; jestto straszydło ludzi żyjących w atramencie i dla atramentu, czyli ludzi *atramentorodnych* (1). Od tego straszy-

---

(1) Nowy u nas gatunek pisarzy czarniejszych bez porównania od kominiarzy.

(Wyd.)

dła ani się odłajać ani nawet odexorcyzmować niepodobna. O! bo ten Gryf ma coś innego na celu, nie *captare benevolentiam humanissimi Costrovii Companiaeque*, ma on na celu prawdę, rzetelność, a przynajmniej wyraz własnego niezachwianego żadnym ubocznym względem przekonania. Pisząc śmiało, otwarcie, nieczynił tego w skutek jakiego bądź osobistego nieukontentowania, on bowiem nikogo nieznał, od nikogo też wzajemnie znanym nie był, nikt go nieuraził krytyką i ztąd śmiało mógł powiedzieć z Tacytem (Hist. Lib. 1. C. 1.) „*Mihi Galba, Otto, Vitellius, nec beneficio nec injuria cogniti.*" Co znaczy po polsku: Mnie Grabowski, Bejła, Kostrowiec i Przecławski ani pochwałą swoją wywyższyć, ani naganą poniżyć niezdołają. O panie Kostroweze! do czego nam czcze pochwały i dymy? Wszak u nas w literaturze i krytyce pochwał, kadzideł i dymu — o! dymu, dymu szczególniej co nie miara, parcyalności także, a Gryf — cóż?— jestto sobie, jak wam wiadomo, niedoświadczony *młokos* (1)! Jest całe młode pokolenie *blanc-bec'ów i żółtodziobych piskląt*, pokolenie, w oczach którego cała

---

(1) Wszystkie te *grzeczne* epitety dawane nam młodym od koryfeuszów Tygodnika bynajmniej nas nieobrażają. My zamiast wstydzić się szczycimy się owszem swoją młodością, Dwudziesto kilkoletni młodzieniec ani jest dzieckiem ani też ma uprzedzenia i narowy ludzi podtatusiałych, Te to właśnie uprzedzenia znamionują zastój myśli czyli *stagnacyę*, która zaszywa na zawsze umiejętność w pewnego rodzaju jezuicką rewerendę. Niechaj inni cieszą się tą sukienką, my wolemy prawdę bez żadnej osłony. Wszystkie obelżywe krzyki tych panów dowodzą, że oni się starzeją i słabieją.

(Przyp. Gryfa.)

ta atmosfera panegiryków wydaje się podłą, brudną, nikczemną. Kształciło się ono w czasie podźwignienia nauk w kraju, w czasie, kiedy nauka przerosłszy szczupłe granice szkoły weszła w życie i stała się życiem, kiedy jej siedliskiem przestała być zapylona półka biblioteki, bowiem młodź, co ją namiętnie ukochała, pochwyciła ją w objęcia ducha i postawiła wysoko u szczytu exystencyi. Tu poczęto kochać naukę dla niej samej, nie zaś dla czczych splendorów, które z niej kiedyś spływały. Dla tego ci młodzi, czyli (jak chce Kostrowiec) *młokosy* niegodzą się z ludźmi *veteris stili*, co to trzymają naukę na jakimś odkupie — istném monopolium i niepozwalają jej wyjść poza koło wytartych twierdzeń puszczonych w obieg jeszcze *anno septingentesimo* od ś. p. Jana Śniadeckiego (twierdzeń o literaturze i filozofii); z ludźmi, co piszą na estetyczne motywa Mochnackiego, którego myśli do jedności systematu niedoszły, a wielu z nich nawet ślepo trzyma się tego, czego ich *togata gens PP. Soc. Jesu* papuzim sposobem wyuczyła. Ci ludzie, jeżeli co ze współczesnego okresu dziejów nauki czytają, więc robią to jedynie, aby wyszydzić, wyśmiać po arlekińsku tych zamorskich mędrców, owe *niemieckie sztuczki a pocieszne figle*, bo do jezuickich ramek z trudnością co przypaść może. Według nich cała nauka Niemiec i Francyi — *istne głupstwo Mości Dobrodzieju*; dzieła takie jak Eugeniusza *Sue*, Jerzego *Sand'a* — *wszeteczeństwo*, a wszelki postęp jest dla nich niesłychaną *herezyą*. Szczęśliwyż, godny zazdrości, kto może być potępionym wraz z autorami *Tajemnic Paryża*, *Listów Podróżnego*, *Wiecznego Żyda i Consuelo*! Mamy u siebie ludzi z nauką, z nauką specyalną, są u nas ludzie uczeni w całém znaczeniu tego słowa, ale ci siedzą spokojnie, pracują cicho w ga-

binetach, a nierozpierają się na uzurpowanych akademickich fotelach i niepiszą dzisiaj *de philosophia antediluviana*, jutro o Kraszewskim, pojutrze jakiś traktat o tradycyach Syryackich, albo o porterze i *Cognac'u* N. 1. — nie! tamci nieudają znawców wszelkiej starożytności, choćby się ta kryła w egypskim papyrusie, albo w zapleśniałej butelce. Mamy utalentowanych, płodnych pisarzy, mamy jednego, co stanie za wielu, ale ten nieprzypada do smaku naszym Minosom, nieprzypada dla tego, że ciągle idzie naprzód; — i ztąd antypatya ochrypłego od krzyków Tygodnika, ztąd ci, co się tulą pod skrzydła tej gazety (co właśnie miała kiedyś wziętość swoją dla kollaboracyi tego pisarza :), nieprzestają go ścigać aby choć uszczypnąć przynajmniej jeżeli nieuda się ukąsić; ale ten machnie, poruszy tylko silnémi skrzydłami i już wysoko, już go nikt niedosięgnie; on wzniósł się za popędem twórczego ducha niezważając na wszystkie te gawronie napaści, a tu tymczasem u spodu gwar, świergot i tym podobne głosy *z czarnych dziobów* oznajmują tryumf piszącej kohorty! Jeszcze słówko o tym jednym dla lepsze pojęcie o tych innych. Męczyzna z duszą młodzieńczą, z zapałem do pracy umysłowej, pomimo czternastu lat trudu, mozołu i prześladowań zazdrośnych. Dla niego pojętne są mgliste czasy ojczyzny jego Litwy, pojętne tradycye ludu, po objaśnienie których należałoby się udać aż nad Indus; Witol, Mindowe i Witold historyczny bohatér Litwy, tchną życiem w jego trilogii znanej pod ogólną nazwą *Anafielas*. Jestto nasz *Tegner*, nasz *Oellenschleger* powiedziałbyś, gdybyś niemiał pism, co go stawią na linii *Balzaka*, *Richtera Hofmana*, gdyby nie dzieła w kilku innych rodzajach (zawsze obrębem narodowości albo poetyckiej fantazyi

zakreślonych), co go czynią uczonym historykiem i wiernym poetą przeszłości. Cóż powiedziała o nim krytyka? Gdzież dzieła, co zbadały ten wielostronny talent? gdzie studya liczne? gdzie wreszcie oznaki wdzięczności, uwielbienia? ach! szukaj tego w sercach kilku tylko ludzi nieznanych, co mu czasem na stronie do głębi roztkliwieni dłoń bratnią uścisną. Krytycy poją go octem i żółcią! raz tylko, raz jeden, wydawca jednej gazety podał mu jakoś *przez roztargnienie* własną swą szklanicę mocnego *grogu* (?) za co wszakże wieszcz mu obojętnie podziękował. Jakaż tu pogarda nieprzejmie serca! Poeta śpiewa przeszłość Litwy, śpiewa wzniosłymi tony bohatera jej Witolda, wszystkie uczucia pięknej poetyckiej swej duszy wlewa w ten śpiew — i cóż? kiedy w końcu spoziera na swoich słuchaczy, by wyczytać na ich twarzy wyraz zapału, co go ożywiał, unosił, krytycy *ex officio* wysyłają mu herolda w różnobarwej szacie z grelotami, który przerzuciwszy się koziołka podaje mu rejestr opuszczonej powielekroć cząsteczki *się*... I to się nazywa czytać dzieła natchnionego poety, czuć je, pojmować i dawać o nich zdanie!? Tak zaiste, taka jest krytyka petersburskiego Tygodnika!! taka *sumienność* tej gazety!!! A jakaż to jej krytyka pod względem moralno-obyczajowym, pod względem owej *cesura morum* Rzymian!!? Jestto czysta *Korrupcya*, bo tu pochwała i nagana mają swoje uboczne cele, wszystko to są środki; myśl, sumienie, dusza, nauka, literatura, wszystko tutaj, wszystko zależy od okoliczności! Pokażcie mi choć jeden artykuł z lat ostatnich tego pisma, coby ocenił wiernie dzieła jakiego pisarza? Jeden gani dla tego, że jego ktoś zganił, drugi chwali, że jego pochwalono, trzeci chwali, aby być pochwalonym, a to do tego sto-

pnia, że każda recenzya mogłaby się zaczynać formułą: *Niechże będzie pochwalony ten albo ten!* Żeby tam być krytykiem, potrzeba tylko umieć chwalić albo ganić, nauki estetycznej wcale tam niepotrzeba: — i na co ona, kiedy według pojęcia tych panów wszelka nauka ma się dopiero utworzyć, a utworzyć za wodzą myśli uwiniętej w sukienkę z kapturem i białym powrozem u pasa!? tak, tak. A nim przyjdzie ta błogosławiona nauka, piszą tymczasem sążniste artykuły bez składu i ładu, gdzie kończą i zaczynają po dziesięć razy jedno, a sypią co niemiara takiemi słowami, jakie tylko w największej passyi mogą być gdzieś użyte, ale nie w xiążce i w nauce (1)! Niedawno w N. 81. Tygodnika sam Wydawca, ów wielki człowiek, który do-

(1) Stój Gryfie, wstrzymaj się w żartkim locie, jasny, promienny mój ptaku! Kędy powiewa znamie przyszłej twojej chwały, tam, na niedostępnym dla kruków i gawronów szczycie idei, na wysokości absolutu odpocznij sobie i podumaj chwilkę nad losami *Gwiazdy*, tutaj bowiem, na tym peryodzie twojego głosu potrzeba dać miejsce świadectwu. Niech się wysila kunszt na słodkie, ułudzające słowa, niechaj czcze widma przybierają kształty i ruchy żyjących istot, ja z woli Boga objąwszy urząd *Publicznego Sumienia* potrafię same nawet duchy wywołać na zawstydzenie wrogów prawdy i ludzkości. Tymczasem Mistrzu Przecławski, stawię oto przed tobą żyjącą osobę, Wydawcę Petersburskiej *Gwiazdy*, posłuchaj, co on powie o twoim, czyli Tygodnika twego charakterze. „Napróżno Tygodnik trąbi nam ciągle od lat kilku o religijnym swoim charakterze, on niema charakteru, ale jak chorągiewka obraca się za wiatrem. Kto zna Wydawcę bliżej, kto zna jak my go znamy, ten przyznać musi, że mu niechodzi ani o zbudowanie ani o zburzenie Kościoła, niechodzi mu ani o literaturę ani o literatów, ale chodzi mu po prostu o to, bez czego w stolicy żyć trudno.

tychczas wielkie tylko *NIC* utworzył, w konkluzyi artykułu własnej fabryki przyznając pewien talent pisarski Gryfowi ofiarował mu miejsce w swojej szanownej, siwobrodej aż zdzieciniałej od starości gazecie, z ma-

---

Co mu do tego, czy będzie Grabowski, czy Kraszewski, czy Bejła czy Szczeniowski na scenie; jemu chodzi o to, aby miał zawsze za sobą kogoś, coby jakim bądź sposobem mógł interessować publiczność. Żeby Trentowski mieszkał w Petersburgu, onby obstawał do upadłego za Trentowskim; żeby Towiański, onby umieszczał *objawienia* Towiańskiego. Tenże sam Tygodnik niedalej, jak przed kilku laty, tłumaczył *Nôtre Dame* Wiktora Hugo i właściwie brał na codzienny pokarm coś leciuchnego, coś błyskotnego, żeby to było z perfumami i modnie, jednėm słowem byłto francuzik śmiejący się, drwiący, stzelający konceptami na wszystko. Ale oto weszliśmy w epokę romantyzmu, Adam go wyniósł, Ewa przyklasnęła, więc w feljetonach Tygodnika posypały się szeroko z tej temy apologie na rzecz Grabowskich, Kraszewskich, Zaleskich, M.lczewskich i t. p. Broń Boże co było powiedzieć wtedy na kogokolwiek z tych panów — artykuł nieujrzałby słońca; przeciwnie zaś, pochwal ich najniedorzeczniej — artykuł wnet *jawi się* w Tygodniku. Żywo pamiętam tę epokę, kiedy owe panegiryki a madrygały dochodziły *summum* obfitości i o śmiertelne nudy przyprawiały publiczność. Ale ktożby mógł wówczas przypuścić, że z tego wielkiego serca gazeciarskiej miłości, z tegoż samego rogu Amałtei, który ronił niezwiędłe wawrzyny na jenialne czoła, spadną kiedyś groty zdrajczej krytyki i Wydawca z krwią najzimniejszą wyprze się że ich nieznа jak Piotr Pana Jezusa? niestety! tak się jednakże stało! Patrzaliśmy na tę dziwną metamorfozę Wydawcy i możemy przyświadczyć jej bytu. A rzeczy tak się miały. Jako położenie i stan kraju uprzedzają podróżnego o bycie jego mieszkańców, tak artykuły odbierane ze wszech kończyn prowincyi, jakiejby one nie były natury, stają się poniekąd wska-

łym tylko warunkiem, aby się wyrzekł samego siebie, to jest, aby zeszedł, jak się wyraża, z bezdroża mniemanego postępu i pisał rozumie się w duchu Tygodnika, to jest, w wyżej opisany sposób. Niemogąc być

---

zówką dla Wydawcy, czego mu unikać a ku czemu skłaniać się wypada, ażeby dogodzić publiczności a następnie i sobie za pośrednictwem liścików *co вложeніемъ* (!?) — Wydawca nie w ciemie bity, zmiarkował z nich, że temperatura, którą zagrzał im głowy, miała wiele pierwiastków *czadu* i że raniej czy później musiałby prześwietną publiczność przyprawić o womity i wykurzyć z Tygodnika. Jak na toż podtenczas właśnie zaczęły się wykluwać tu i ówdzie projekta wydawania pism zbiorowych i exystencya Tygodnika zachwiała się... — (Bo proszę wiedzieć, że Wydawcy nielubią Wydawców, a gniew ich wzmaga się zawsze w miarę zwiększania się liczby prenumeratorów na pismo przeciwnika. Założyłbym się o konia z rzędem, że pryncypalną przyczyną niechęci Wydawcy Tygodnika jest zazdrość powodzeniu naszej publikacyi — interes najczyściej materyalny. I nie jedna *Gwiazda* może służyć na to przykładem. P. Wydawca *rozumie dobrze swój interes* i starozakonny *Izmael* (*Śmierć i Odrodz.*) nie na wiatr uczył go arytmetyki. Tak on okazał się z samego początku nieprzychylnym dla *Athenaeum* i nawet powołał do odpowiedzialności Wydawcę za umieszczanie krytycznych artykułów; tak on zaraz zaczął niepoznawać Grabowskiego i ciskać nań z ubocza strzały, jak skoro dowiedział się, że miał wydawać *Kijowianina*, pismo mające być głównem ogniskiem naszej literatury. Nawet na *Rubona*, na *Rocznik literacki*, nawet na biednego *Radegasta*, na biedną *Rimembranzę* i biedniejszą od nich *Niezabudkę* zawsze nosił za pazuchą gadzinę i patrzył z podełba. Jakżeż po tém wszystkiém niemiało go dotknąć boleśnie powodzenie *Gwiazdy*, która w przeciągu 3-ch miesięcy liczyła do 400 prenumeratorów, której tom drugi liczy dwa razy tyle, a na dobitkę wszystkiego, że Wydawcami jej niesą wydawcy puffów podobnych do *Zorzy północnej*, lecz lu-

nieczułym na taki fawor Wydawcy Gryf przynosi mu dzięki swoje, ale razem oświadcza, że wtedy dopiero da się namówić, kiedy znajdzie w jego pismie jedną recenzyę sumienną, recenzyę, któraby pokazała całą

---

dzie z pewnym charakterem, dotrzymujący słowa, a więc mogący zaskarbić ufność Publiczności i nadal? Niemogę tu pominąć ciekawego fenomenu, który jedynie chyba przez doskonałą znajomość żydowskiej arytmetyki wytłumaczyć się daje. Przed kilku laty Wydawca Tygodnika przepowiedział był zjawienie się na Petersburskim horyzoncie *Zorzy północnej*. Patryarchalna Publiczność nasza nieostrzelana jeszcze z gazeciarskiemi puffami wytężyła wzrok swój i naiwnie czekała objawienia, ale oto czas naznaczony przyszedł i przeszedł, a *Zorza* niepokazała się! — Cożto jest? co to jest? — pytano się dokoła, — miałżeby z nas zażartować nasz *Herschel*? — Jeden z prenumeratorów na 1. tom *Gwiazdy* przesyłając mnie z Pińszczyzny rubelka taką dodał supplikę: ,, Ej panie Wydawco, zmiłuj się niebierz mię *na wędę* (*). Takem się już fatalnie zawiódł na tych waszych przepowiedniach o różnych nowych konstellacyach że i o jedną Gwiazdkę boję się. . . U nas panie gleba niewdzięczna — rubelek trudny — wy uczeni a my prostacy — coż dziwnego, że możecie otumanić wieśniaka? *Pinetti* powiadają umiał takie same sztuki: *puści* powiadają *tuman* i zdaje się doprawdy, że ono lizie przez środek kłody, a w istocie ono sobie lizie powierzchu i t. d.) — Coż robi Wy-

---

(*) *W ostatnim* 100 *Nrze tegor. Tygodnika jest wielka, monumentalna* Uwaga *pana wydawcy*, *a w niej coś* o wędzie słowa, *o tém*, *jakito nikczemnik ten Balzak*, jak gorzko z nas się naśmiewa *i t. d. i t. d. Polecamy wam kochani czytelnicy tę* Uwagę, *równie jak i epigraf wzięty do niej z dzieła* Smierć i Odrodzenie:— *nic moralniejszego*, *nic* sokratyczniejszego!!

(Wydawca.)

niestosowność dzieła *Śmierć i Odrodzenie*, któraby wyświeciła, że to dzieło jest prosty *puf* (paf, pif!) wielkie NIC: — bo jakże inaczej nazwać ten niby *psychologiczno-naukowy* pamiętnik, w którym Żyd jakiś

---

dawca? oto nadziewa *Bombę* pierwiastkami przeciw działającymi i jak bąka puszcza ją raptem pod nogi Publiczności. Kiedy ten wcielony Asmodeusz zaszypiał koło uszu uwieńczonych naszych literatów, facyaty ich przedłużyły się dziwnie a niedomyślając się przyczyn zmiany wytłumaczyć fenomenu niemogli. W trakcie tego niewiem już jakim sposobem zjawiła się między nami gorączka religijna. Ta choroba stała się wkrótce epidemiczną a miała to szczególnego w sobie, że ogarnęła najpierwej literatów. Na Kostrowcu, jako z konstytucyi najskłonniejszym do jej przyjęcia dały się nasamprzód widzieć symptomata tej zapalnej choroby wzmożone jeszcze nieobacznie miłośnymi sonetami Petrarki i nocną rozmową Romea z Juliettą. Wnet po nim mocno zapadł Bejła a *delirium* jego objawiło się zaraz *Mieszaninami*, od których wpadł w chorobliwe zachwycenie Grabowski i zaczął usprawiedliwiać Inkwizycyę hiszpańską; Bomba zmieniła się w pokutniczy *Pantofel*, a Wydawca wzniósł oczy ku niebu, otwarł na roścież podwoje Tygodnika i jak na odpust wzywał religijnych pisarzy. Metamorfoza stała się powszechną — zjawiły się cuda — umarli powstali z grobów! — (*A pròpos.* Panu Wydawcy dziwną się zdała moja metamorfoza, ale pytam, co już może być dziwniejszego nad *Śmierć i Odrodzenie*? Proszę uniżenie: zasłać całą Litwę trupami, jak dobry hollenderski port śledźmi (a *nb.* każdy trup był w atłasowej sukni i z wachlarzykiem w ręku :) potem umrzeć i znowu się odrodzić za pomocą rachuby (zapewne na Tygodnik) na świętoszka; — toż metamorfoza tak doskonała, że jej tylko brakuje buławy Madeja! Słuchajcie, jeśli wam ten fakt obcy. Oto macie przed sobą całą Litwę zasłaną trupami — tysiące ofiar leżą ze skrwawionémi, rozdartémi piersiami, bez życia, blade i chłodne — tysiące dogorywają

przychodzi do przeświadczenia tajemnic Chrystyanizmu *drogą kałkułu czystej matematyki*, czy też *kabały* (Śm. i Odr. str. 107)!!! O nieoszacowany Wydawco! na jakimżeto Soborze stawiono kiedy szkolną tablicę,

---

w mękach, a tysiące innych jęcząc tarzają się u nóg bohatéra sroższego od Kaliguli, okrutniejszego od Nerona! Aż mróz przechodzi po mnie na samo wyobrażenie tej krwawej sceny! Morderca przechadzał się po pobojowisku z krwią najzimniejszą, z tabakierką w jednej, z anatomicznym nożem w drugiej ręce. Jeśli się zbliżała jaka piękność i błagała na kolanach o litość, on, nieprzystępny czułości, odpowiadał że miłości ku niej czuć niemoże, niósł potężną dozę tabaki do nosa i niedługo myśląc zarzynał ją jak barana, poczém zakasawszy rękawy przystępował do dyssekcyi trupa. „Strach wspomnieć, powiada sam o sobie odrodzony, jak wiele na to trzeba było okrucieństwa! Wyobraźcie sobie kobietę kochającą z całą siłą pierwszej miłości, z całą exaltacyą, jaką w kilkunastoletnich głowach mógł wzbudzić nadzwyczajny charakter (??). Wyobraźcie ją mówię w chwili, kiedy odepchnięta od piersi człowieka co ją natchnął (och!) tarza mu się u nóg błagając o spojrzenie (biedaczka!), a ten, w którym jak w ognisku skupiły się wszystkie jej uczucia i myśli, *w którego wcieliła się tak* (aż tak??) iż bez niego niepojmuje własnego bytu, ten człowiek, ten tyran gorszy od Falarisa, zasiadłszy na Inkwizytorskiém krześle sadza ją na ławie oskarzonych i rozpoczyna badania!"— A toż masońska xiążka na rany P. Jezusa! rzekł mi jeden bogobojny staruszek wysłuchawszy tego okresu. I doprawdy ten obraz nieludzkiej tyranii mógłby przerazić samego nawet kata! Pewna Litwinka w Petersburgu, przeczytawszy powyższy ustęp, prosiła mię usilnie, abym jej pokazał tego pogromcę kobiet, tego straszliwego *Fra-Diavolo*, co zamordował ich tyle, gdyż, jak mówiła, ciekawą była widzieć groźną jego postać i *wspaniałe rysy oblicza*. Kiedy zaś jednego razu nastręczyła mi się sposobność ukazania go mojej ciekawej Damie na operze włoskiej, to zmieściwszy go

wiecheć i krédę? Czemuż niedałeś nam na końcu swojej xiążki tej błogosławionej formuły z tysiącem *Ixów*? Wszak jeśli przyznasz, że ten ostateczny rezultat dzieła nieśmiertelnego Józefa Emmanuela herbu Glaubicz

---

w lorynetce swojej od stóp do głowy: „Co za szatański dowcip, rzekła do mnie z uśmiechem, nawet i samemu sobie nieprzebaczył!"—) Tygodnik zamienił się w ambonę, na którą wstępowali kolejno religijniejsi od religijniejszych i kazali głośno. Nie było niedorzeczności, którejby niepołknął ten boa, byleby zaprawioną była wyrazami: Chrystus, chrystyanizm, objawienie, ewangelia, kościoł i t. p. W tęto sławną epokę narodziła się owa wiekopomna krytyka Bejły na Bochwica, gdzie mu pogroził klątwą za jego chrześcijańsko-filozoficzne dzieło; wtenczasto i Grabowski przeklinał Francuzów (a co do Woltera, popamięta on, gdzie zimują raki!) i Kostrowiec łajał Niemców, och! słodko wspomnieć, błogieto były czasy! wtenczasto i ja pisałem moje sławne artykuły i sławniejsze jeszcze od moich pisała *Siostra Miłosierdzia*! Byłato epoka najwyższej sławy Tygodnika, do jakiej kiedykolwiek mógł się wznieść, o jakiej mógł marzyć; — i od tejto pory nasz Wydawca, jak drugi Mojżesz, wyprowadziwszy lud wierny *na puszczę*, karmi go manną niebieską. Otoż jak widzicie charakter Tygodnika i jego od tylu lat wierność *poślubionym zdrowym zasadom filozoficznym*! Dodać do tego trzeba arcy szlachetny epizod o Kraszewskim, na którego, zawdzięczając tyloletnie dla siebie truda, cisnął błotem Bejły, — i będziecie mieli lekki zarys historyi tej sumiennej gazety.

Chcecież wiedzieć, jak i czém dzisiaj żyje Tygodnik? O! on jest dzisiaj drugą Troją, którą chyba miedzianym koniem dobyć można! On ma Kostrowca; który jak słychać zobowiązał się na lat dziesięć czytać exorty nad każdém filozoficzném dziełem; on ma Pantofla, którego używa w czasach szarugi w sferze literackiéj, kiedy nóg zamoczyć niechce; on ma Bejłę, który za *Listopad* zawarował sobie wolne ujadanie Kra-

Przecławskiego (dzieła jedynego, jak oko we łbie Polyfema,) jest całkiem fałszywy, to do czegoż powiedz cały ciąg jego, cała do niczego niewiodąca gadanina?? A też tak dobrze wykałkułowane, iście żydowskie maxymy, że dobro i cnota same przez się cenione być niemogą, że czcić je dla czegoś innego nie dla nich samych należy? Otoż następstwo konieczne u tych ludzi, którzy niemogą wznieść się myślą do absolutu idei, którzy we wszystkiem, nawet i w cnocie samą względność widzą! A coż to jeszcze za doskonałe wyrażenie: „Wiedziałem, że dobro nie jest żadném jestestwem mającém byt własny." Więc to, co jest od wieków w duchu ludzkim, niema własnego bytu!? Dla Przecławskiego konieczność i ogólność idei nic nieznaczą!!— jestto filozof w rodzaju Bejły i Kostrowca. Dla czegoż p. Kostrowiec, tak żywo biorący do serca wszystko, co o teologię zawadza, dla czego mówię ten *doctor mirabilis*, estetyk, teolog, filozof i krytyk, ten centr całej ludzkiej i nadludzkiej mądrości, nic niewyrzekł o tym nowym wynalazku dowodzenia chrześciańskiego dogmatu dyfferencyalnym czy integralnym rachunkiem? Wszak pierwszy ten krok do pogodzenia teologii z matematyką niechybnie tak, jak parowe i pneumatyczne wagony, jak rysowniczy typ *Daguerra*, aerostat *Green'a*, parowa napowietrzna machina *Henson'a*, jak elektryczny

---

szewskiego w Tygodniku; on ma nakoniec Grabowskiego z gotową w dłoni affirmatywką dla wszech wobec i każdego w szczególności począwszy od Kostrowca aż do Bejły *inclusive*. Czegoż mu potrzeba więcej? Literatura swoja, krytyka swoja, Filozofia swoja, wszystko, wszystko swoje! Zagospodarował się *non plus ultra*.

(Jestto wyjątek z listu Z. Fisch'a do Wydawcy *Gwiazdy* dat. 15 Listop.)

telegraf majacy działać za wpływem stosu Wolty i inne zastosowania Fizyki i Chemii, stanie się chlubą, zaszczytem naszego wieku? I czemuż pytam niedał p. Kostrowiec przywileju autorowi *Smierci i Odrodzenia* na jego tak zadziwiającą formułkę? Bo też to dzieło, *jedyne dzieło żywota*, dowodzi, że długo musiał się autor męczyć, tysiąc, milion razy dłużej od Jowisza, nim porodził taką Minerwę (1)! — Jeszcze jedno. Czy-

(1) Uważcie jeszcze szanowni Czytelnicy, że p. Przecławski, który z axiomatu: *życie z śmierci się odradza* wysnuł szczególną swoją logiką dzieło od 116 stronic, wziął ten sam axiomat za cel żarcików z Pana Karola Kaczkowskiego — z człowieka, który jak w mowie i w pismach, tak i we wszystkich swoich postępkach za wzór sumienności służyć może. I jakiż do tego powod? może myślicie nielogiczność jaka? mimowolny nonsens? paradox? — gdzietam! Przeczytajcie, jeśli wam nieznana, *Odpowiedź na list Kwestarza Somnambula* (Athen. 1845 Tom 4.), a znajdziecie tam najzdrowszy dla umysłu i serca swego zasiłek. Tam P. Kaczkowski we wzniosłym pełnym moralnej siły ustępie rozwija myśl o odrodzeniu się zmarłego swego Nauczyciela Tadeusza Czackiego w pomnikach wielkich jego czynow i usprawiedliwia tę myśl zastosowaniem do znanych sobie praw fizycznego świata; czyli, tam P. Kaczkowski oddaje cichy hołd podziwienia Bogu Wszechmocnemu, który stworzenia swego nigdy nieniszczy, owszem zniszczone na pozór nowém obdarza życiem, tutaj zaś w dziełku p. Przecławskiego widzicie, że Żyd (nie legendarny *Ahasverus* bynajmniej!) prosty, dzisiejszy żyd, może brat albo ojciec którego z waszych arendarzy, wykonywa dzieło Boskie! Boskie mówię, bo odradza umarłego w wierze chrześcianina (samego Autora) i to za pomocą czegoż? cha, cha, cha! rozumie się jak żyd, zapomocą *ein*, *zwei*, *drei*!!! Zadeterminujcie więc przyczynę żarciku p. Przecławskiego i powiedzcie, co może być śmieszniejszego, co zabawniejszego nad człowieka, który umysłową swoją roz-

tałem kilka lat temu xiążkę noszącą tytuł *Teka Rozmaitości* — dzieło, napisane przez osobę poważną, osobę, którą znałem dość zbliska, chociaż jej sam znany niebyłem. Widziałem tę osobę na ambonie, słyszałem ją mówiącą, byłem nawet świadkiem, jak niektóre staruszki popłakały się z wielkiego rozrzewnienia, które naturalnie (*Si vis me flere dolendum est tibi*:) począć się musiało od samego mówcy; a lubo to wszystko należało *ad artem dicendi*, wniosłem wszelako, że osoba ta musi mieć pewny wpływ na słuchaczy. Czytałem póżniej dzieło obszerne, wielkie, napisane w wyłącznym kierunku, z którego powziąłem przekonanie, że osoba ta posiada talent i naukę specyalną, chociaż

---

pustą przyszedł aż do tego, że cudze najlogiczniejsze, najzgodniejsze z rozsądkiem i sumieniem zdania za rzeczy warte śmiechu, a swoje bzdurstwa za genialne pomysły uważa! ? Ten sam żartowniś i w temże samém dziełku swojém przyznał się najwyraźniej, że on dzisiaj po swojej już śmierci błąka się pomiędzy ludźmi, jest on więc nie istotą a marą, nie człowiekiem a upiorem! Zadziwia nas mocno, że P. Barszczewski, ów biegły Konesor wszystkich Litewsko-Białoruskich djabłów i wilkołaków, nieumieścił go dotąd w swoich opowiadaniach pomiędzy *Białe sroki i Krzyczące włosy*? Gdyby to był dawniej zrobił, oszczędziłby niemało próżnych trosk i zachodów czytelnikom Tygodnika, z których nie jeden w silném oburzeniu na absolutyzm i sofisteryę Wydawcy podejmował trud sumiennego krytyka, gromadził ztąd i owąd oskarzające fakta, ściągał broń religii i filozofii, słowem, uzbrajał się do walki z nim, jak ze zwyczajnym, podobnym sobie człowiekiem, wtenczas, kiedy on niczém więcéj nie jest, jak maniakiem (*le feu follet*) marą, upiorem, i kiedy wszelką z nim rozprawę stanowczo roztrzygnąć może jeden ziarnojad z kurnika krzyknąwszy *kukarikuuu*!

(Wyd.)

w ściśle zakreślonym obrębie. Wziąłem nakoniec *Tekę Rozmaitości*. Serce chciwie pragnęło tej lektury:— tamto każda stronica miała być dlań pokarmem, balsamem, tamto dusza spodziewała się znaleźć potężną tarczę od burzliwych uczuć gniewu, zapamiętałości, nienawiści; tam piękne, budujące wzory ewangelicznych cnót pokory, słodyczy, wyrozumiałości ochłodzić powinny były krew zapaloną światowémi namiętnościami; — tak marzyłem, tego się spodziewałem: — ale ach! jakież było moje zdumienie, jaki wstręt, jakie nieukontentowanie przejęły mą duszę, kiedy tę xiążkę przeczytałem! Na początkuu jest artykuł: *Życie mojej matki* — artykuł pełen uwielbienia syna dla zmarłej rodzicielki. Nic piękniejszego nad podobne uczucie. Tam autor opisuje nędzę własnej familiii ufność matki w Bogu, który dodał jej sił i męztwa do zaradzenia najpierwszym potrzebom, do uratowania od głodu i wychowania swoich dziatek. W tej części autor rozwodzi się nad przeszłą swą nędzą, w czém, jak nie bez słusznosci sądzą niektórzy, więcej jest dumy niż w samochwalstwie jakiego Geldhaba; mówiono mu to, co jednemu Cynikowi w starożytności: „*Przez dziury twojej tuniki pycha wygląda.*" Ale to rzecz mała, główna tu jest myśl o matce, o tej ubogiej, prostej duszy, która wypełniwszy świętą powinność, wycierpiawszy siła, zeszła do grobu i nikt, nikt oprócz dzieci, nieuczuł jej straty, nikt niewiedział, wieleto męztwa, wiele ufności zagasło i pogrzebiono pod darniną jakiegoś może wiejskiego cmentarza! Myśl piękna, budująca: ALE ją autor całkiem zepsuł! On dobrowolnie zamącił czystość uczucia, jakie spływało do serca czytelnika, on (może-to przez zbytek synowskiego uczucia!??) miłości matki miłość bliźniego poświęcił; — wtenczas bowiem, kiedy zmęczona

życiem matka autora odchodząc do przybytku wiecznego pokoju zapomniała o przewinieniach krewnych, że jej w złej doli niewspomogli, kiedy przebaczyła im dla miłości cierpień Zbawiciela, on, Autor, nic niezapomniał i nic nieprzebaczył, wszystko owszem skupił w sobie, ażeby kiedyś w czarnych kolorach wykazać światu! Tak, rzeczywiście, przy postaciach Matki i Siostry widzisz cały szereg krewnych złych, niegodziwych... Figury te wprawdzie lepiej odcieniają dwie białe główne postacie, ale we wszelkich razach prawy Chrześcianin winien poświęcić obowiązkom swoim ułudne widoki sztukmistrza. Wielu mówi, że myśl o matce posłużyła tylko do napisania paskwilu. Naprzód opisując swego dziada nieprzepomniał, że ten wieszał na gałęziach żydów; babkę swoją wystawił starą sekutnicą, co w złości raz cisnąwszy kawałkiem cukru w głowę matki autora (naówczas dziecka, *souffre-douleur* całej familii :) zrobiła taką dziurę, że ledwie ją mogli załatać chlebem i pajęczyną. Ojciec byłto człowiek bez moralnej siły, bez charakteru; Stryj próżniak i utracyusz, którego wpływowi uległ ojciec i wszystko poszło z dymem przez różne spekulacye; dalej ciotka, co mieszka tam i tam, krewny ztąd i zowąd, i to tak, że czytelnik zaraz woła; a to pani Sędzina, a to Podsędek, a to ojciec Deputata! a biedny Deputat poci się ze wstydu, choć może na świecie jego nie było, kiedy tak feralny zdarzył się dla niego *casus*, Nic tam, nic zgoła niezapomniano krewnym! Niemówię jużto, kiedy jakaś Ciocia wypędziła mamę z synkiem z domu wpośród burzliwej nocy, ale niedarowano tam i tego, że małego Ignasia karmiła barszczem z rurą, a jemu chciało się marcepanów. — Jużteż to nadto, gdyby ten barszcz był ugotowany nie ze szczawiu

ale z piołunu, to i w takim razie obmową wypłacać się niewypadało. Można było chwalić matkę i nikogo nieobmawiać, a wreszcie uszłoby to jeszcze wszystko, gdyby dzieło puszczone było *anonyme*. Tak wydaje się to dzieło rozważane ze stanowiska moralności chrześciańskiej. Moralność starożytnych sąd świata uważała za nagrodę lub karę żywota zmarłego, Egypcyanie po śmierci sądzili nawet swoich Królow, którym według tego sądu naznaczano przyzwoity pogrzeb albo go odmawiano; chrześcianie zaś we wszystkich sprawach życia swego oddawali się wyrokom Miłosiernego Boga, który miał sądzić raz każdego z osobna po śmierci, drugi raz na sądzie ostatecznym. Chrześcianin każdy czuje, że sam jest grzeszny, że sam potrzebuje miłosierdzia Bożego, nieśmie więc podnosić kamienia... Dla tego to w chrześciańskim obyczaju przodków naszych było moralną maxymą: *de mortuis aut bene aut nihil*, niemówiąc już *de mortuis parentis*, bo oczywiście związek krwi tém bardziéj do pobłażania zniewalał. O Szanowny Kostroweze! i czemużto nieużyłeś swego świetnego i popularnego razem pióra, aby nauczyć *katechizmu* autora wspomnionego dzieła? czemu niedałeś mu nauczki, by odtąd do *Teki*, choć dla większej *rozmaitości*, wkładał wyrozumiałość na winy bliźniego? Czemu? hę? — w témto jak lubi wyrażać się pan Żegota, *w témto i sęk* (1)! Może dla tego,

---

(1) Już niemoże być większy admirator Kostrowca, jak wyżej wspomniony *Kauzyperda*, a i ten, kiedyśmy mu wyłuszczyli *casus* jak należy, to przyłożywszy swój index do łba, pomyślawszy trochę i potem zrobiwszy palcami silnego prztyczka, powiedział (co koniecznie trzeba napisać z podkreśleniem:) — *Istotnie, że tutaj sęk!* — Drum, drum — podzielcie radość mo-

żeś się obawiał jego łaskotliwości, obawiał, aby rozdąsany niestraszył, że jak on, drugi i trzeci życie skończą (zkąd taka desperacya?), to mgła i ciemnota opanują biedne nasze strony, gwiazdy spadną i xiężyc światłości niewyda! ach, mniejsza o te *xiężyce*, kiedy tak blado, martwo świecą! Przy tak nędznym stanie krytyki jakże pożądaném było pojawienie się człowieka, któryby, wolny od wszelkich osobistych pretensyj i bezwzględny na jakie bądź tytuły i roszczenia koteryjne, mówił samą prawdę, któryby się nielękał marszczenia brwi owych głów — *karystyd* Tygodnika, a co większa, któryby mógł poznać całą siłę tych wielkich ludzi, poznać, że i oni niesą bez *ale* i bez wielkiago *ALE*! Otoż właśnie z takim charakterem i usposobieniem pojawił się Gryf. Mówił on *z niesłychaném zuchwalstwem*, bo według p. Kostr. powiedzieć coś o nim i jego kompanii jest zuchwalstwem niesłychaném; takiego tonu były artykuły tego Gryfa (*ficta haec censetur avis.*). P. Kostrowiec mąż wielkiej powagi, podniosł dyscyplinę krytyki, a to w braku Inkwizytorskiej pochodni, która na nieszczęście zgasła wpośród cywilizacyi wieku. Błogosławiona Inkwizycyo! ostatniego

---

ją czytelnicy, będzie coś *risoluto*, *alla Zingaresa*, okrutnie jowialna fantazyjka — będzie, będzie!.. Ale chociaż i będzie, to względem tej zagajonej przez Gryfa rzeczy ja weale innej jestem opinii i niewidzę w niej, nie, niewidzę żadnego sęka. Jakiż tam proszę sęk, kiedy Kostrowiec, zwyczajnie jako *Doctor mirabilis*, osoba niepospolicie uczona, *popiera* tylko dziełkiem swojem to, co *objaśnili* Jezuici?.. A myślicie, jaki on miał na widoku Katechizm, kiedy nam śmiał zarzucać nieumiejętność jego? — jużci nie inny, tylko ten *jezuicki* ze swojém *po—po—po—po—po—po—pieraniem*!

(Wyd.)

masz jeszcze obrońcę, którego ja słuchałem ex cathedra. *Sit tibi terra levis*! Kiedy nam w nasze czasy braknie inkwizycyjnych płomieni dla upieczenia *młokosów*, co ważą się mieć inne zdania od *religijnych pisarzy, z których śmiercią skończy się u nas w kraju oświata*, więc Mistrz Kostrowiec ujął żylastą swą prawicą rzemienny miecz krytyki, owe boćkowskie narzędzie Jezuitów i wywija nim groźnie na wsze strony, a wywija siedząc na rydwanie nauki wyrobionej w kształt strucla na prywatny użytek kilku ludzi — rydwanie ciągnionym przez sowy i puszczyki (1)!

W tej nauce jedynym nowszym pisarzem z filozofów jest — (czy słyszeliście o nim kiedy?) — *Joachim Ventura*, *non plus ultra* Scholastyki! kompilator *jenialny*, doręcznik jedyny dla ludzi chcących wyrokować o filozofii a niechcących się jej poświęcić. Jego też najskrupulatniej przytrzymuje się znakomity nasz recenzent, jemu i pompatyczny wypalił panegiryk. To jedno już dowodzi, jak nauka Kostrowca bez porównania jest lepszą od nauki wieku, od tak zwanej nauki europejskiej. Nauka Kostr. i Ventury jest prawdziwą nauką postępu, bo największego *uproszczenia*. Są ludzie, co dla zbadania dziejów filozofii, dla ocenienia

---

(1) Gdyby z tych talentów rysowniczych, którymi otacza się *Rocznik Literacki*, był choć jeden na twoje usługi o *Gwiazdo*; jakiemiż to obrazkami zajaśniałyby twoje stronice! . . . Tak myślę *w trybie życzącym* zawsze, ilekroć wielkie, jak tutaj, rysy uderzą moją wyobraźnię: ale następnie wszedłszy w bliższe kombinacye i rozważywszy olbrzymi kontrast między naturą a sztuką, kończę tę myśl zwykle jak tutaj *w trybie rozkazującym*: ustąpcie artyści! ten obraz nad wasze siły!

(Wyd.)

jej systematów, ba dla poznania jednego nawet jej okresu poświęcają całe życie, wydają na zakupienie dzieł historyków filozofii, dzieł mężów uczonej Germanii całkowite swe dochody; ale do czegoż to wszystko? z dziełem Ventury przetniesz najzawilszy węzeł gordyjski filozofii, z tém dziełem tak dobrze wyłajesz zuchwalca, jak gdybyś połknął wszystkie owe *zamorskie rozumy*! Wielu porównywa Venturę do rozlegle ongi po szkołach jezuickich wziętego Emmanuela Alwara, jak gdyby to było ubliżeniem dla niego, jak gdyby oba oni niebyli świecznikami umiejętności i rzec można herkulesowémi jej kolumnami! Dzieło Ventury *de methodo philosophandi* zamyka wszystko, nic już niepotrzeba więcej! *nemo novas introducat quaestiones*! Ojcowie *Societatis Jesu* doskonale dadzą się tu zastosować. Zanic inne metody! zanic metoda matematyczna Spinozy! zanic krytyczna Kanta! syntetyczna Fichtego, konstrukcyjna Schellinga! zanic dyalektyczna Hegla! zanic, wszystko zanic! niemasz jak sposób filozofowania ojca Ventury! Gdzieindziej, w nieogłoszonej rozprawce napisanej z powodu artykułów p. Kostr. o filozofii (1), starałem się dowieść płytkość i bezzasadność

(1) P. Kostrowiec dosadnie dał nam poznać wstręt swój do krótkich a nic, *prócz ochoty do pisania*, niedowodzących artykułów, może więc ucieszyć się z wiadomości, że wspomniona tu rozprawka p. t. *Spór Scholastyki z Filozofią bezpośrednią*, którą do 3. Nru *Gwiazdy* odłożyliśmy, jest pismem jak to mówią *d'une longue haleine* i, co ciekawsza, pismem obfitującém w cytaty brane już nie *ze słuchu* ani *z trzeciej ręki*, ale prosto, prościuteńko z samych źrzódeł. Donosząc o tém, prawie pewni jesteśmy, że tą razą p. Kostr. niepożałuje rubla na *Gwiazdę*, chociażby taką szczodrotą miał się przyłożyć do dzieła niechrześcijańskiego,

zdań, nie p. Kostr, — broń mię Boże od podobnego zuchwalstwa! — ale p. Kozłowskiego i O. Ventury — dwojga szczudeł, bez których p. Kostr. krokiem nieruszy — szczególniej zaś ostatniego z nich, słodkie mleko doktryny którego wytuczyło nam tak dzielnych krytykarzy, na których czele stoi nieśmiertelny (wszak wystawił już *monumentum aere perennius*?) Kostrowiec! Czego to on niewyssał, jakiejżeto mądrości, jakiej głębokości myśli niewyciągnął z tej macierzyńskiej piersi nauki *reverendissimusa* Joachima! Według p. Kostr. *empiryzm* a *materyalizm*, *empiryści* a *materyaliści* — to jedno. Bakon jest *najpierwszy z materyalistów*!! Razem z tém zarzuca nam, że używamy słów nierozumiejąc ich znaczenia. To pewna, że w rozumieniu wielu słów i rzeczy znacznie różnimy się od p. Kostr. Naprzykład tutaj, my rozumiemy, że empiryzm czyli doświadczenie, wzięte w ogóle, materyalizmem ochrzczone być niemoże, to bowiem, jak wiadomo z najnowszej nauki, jest dwojakie: *wewnętrzne* czyli duchowe i *zewnętrzne* czyli zmysłowe. Chociaż Bakon wprowadził do nauki, metodę empiryzmu zewnętrznego, wszelako nauki jego nikt jeszcze (prócz p. Kostr.) nienazwał materyalizmem; on ducha stawił wysoko w nauce a nigdy niepoddawał pod władzę materyi; duch według niego miał odbywać w nauce funkcyę gospodarza porządkującego materyały nagromadzone przez zmysły. Szczególny kierunek jego — wyłączne oddanie się Fizyce

---

chociażby nawet tym rublem uzupełnić miał rozpoczętą przez nas *destrukcyę* — niepożałuje, nie! bo rozprawka, powtarzamy, niekrótka, dłuższa od wszystkiego, co dotąd Gryf napisał, zupełnie w smaku Kostrowca.

(Wyd.)

sprawiło ów empiryzm przemagającym w całości, w oddzielnych atoli myślach natrafiamy na zdania dowodzące, że ta jednostronność była tylko skutkiem nieudolności objąć całego obszaru nauki i postawić ją na stopie doskonałości. Należy pamiętać, że Bakon prawie tworzył naukę i że chciał pogodzić metodę *a priori* z metodą *a posteriori*, empiryczną z racyonalną: — *empiricam et rationalem mathodum conjugo vero et legitimo in perpetuum firmare*. Oto, co ten materyalista wyrzekł o intelligencyi. „*Non alii interpret s naturae magis fidi adhiberi consulive possunt*, *quam* intellectus *humanus*, *qui aeque ad profonda terrae et quae oculis omnino non cernuntur*, *sicut ad alta coeli quae plerumque* fallaciter cernuntur, *penetrat*." Lubo duch pism Verulamskiego Lorda przechylał się w ogóle na stronę sensualizmu, ten wszelako dopiero u Hobbesa przyjął wszystkie cechy materyalizmu. Mimo to, że Bakon przeczył, aby myśl skierowana na siebie samą (*si ipsa in se vertatur*) mogła dać prawdziwą naukę (zdaniem jego poradzała ona w takim razie naukową tkaninę dziwnej misterności a bez żadnego pożytku); mimo to powiadam, metoda jego, *metoda empiryczna* pod koniec zeszłego i na początku teraźniejszego wieku została zastosowaną i do kraju ducha. Teoretyczna analiza z szczególnego faktu, który jej doświadczenie podaje, rozwija ogólne środkiem porównywania i abstrakcyi: ta ogólność — istota rzeczy, pojęcie rodzaju, prawa. Cząstkowe prawidła wypełniają treść nauk naturalnych, których punktem wychodu jest obserwacya. Empiryzm i materyalizm nie są więc jedno, jak się zdaje p. Kostr., bo jeśli prawda, że z nauki Bakona wyszedł Hobbes, to należy także pamiętać, że na gruncie tej samej filozofii powstała szkoła filo-

zofii szkockiej Reida i Dugald Stewart'a, co odkryła owe *wewnętrzne doświadczenie* (innere Erfahrung — die Empfindung), na które już Lock był naprowadził nadając sensualizmowi kierunek *krytyki władzy poznawania*, i dała *psychologię experymentalną* — metodę psychologiczną w filozofii, która za pośrednictwem Royer-Collard'a przeszła do szkoły Cousin'a i Jouffroy, a w Niemczech nadała swój kierunek psychologom, tym szczególnie, którzy nieidą za Heglem. Logika i Psychologia stały się naukami experymentalnémi mającémi za przedmiot naturę ludzkiego ducha i myśli, takiemi są one, że wspomniemy tu tylko, u Bazylijskiego professora Fischer'a. Podobnaż jeszcze utrzymywać, że empiryzm a materyalizm to jedno — i utrzymywać owym nakazującym tonem zarozumiałego pedagoga, niecierpiącego żadnej sprzeczki, gotowego nawet w takim razie użyć owego sławnego jezuickiego argumentu znanego pod groźnem imieniem *argumenti baculini*, a który *vernaculo sermone* bećkowskim zowią monitorem!? W każdym względzie empiryzm ma swoje wielkie znaczenie w filozofii, niemówiąc już o tém, jakie w obszernem jego pojęciu nadał mu wiek XIX, nienależy go tylko ani wychwalać ani potępiać bezwarunkowo. Wprzódy powstawaliśmy na empiryzm (wreszcie na najgrubszą jego formę, na tak nazwaną *jawność*, która zwykle jest fałszem ;), a dziś go bronimy przeciw p. K., bo wyrozumienie, jak i obszérne pojęcie każdej rzeczy, cechować powinno naukę, powinno mówię, bo inaczej, jak tutaj żywy mamy przykład, czcze tylko rodziłyby się *logomachie*. Kogoż tu obwinić należy o nierozumienie technicznych wyrazów? Zdajmy się już choć na sąd ojca Joachima — *qu'il soit nôtre bête noire* (1)!

(1) Kauzyperda niechciał być sędzią w tej katego-

Co się tycze Scholastycznej filozofii w średnich wiekach, niezawadzi szanownemu Recenzentowi powziąść wiadomość, że ta miała w swojém rozwinięciu kilka głównych okresów, w którem dwa jej pierwiastki — religijnej powagi i filozoficznej samodzielności — we wzajemny wchodziły stosunek, i że w skutek tego rozwinięcia przyszło w końcu do zupełnego wyzwolenia drugiego pierwiastku, co się dokonało ostatecznie przy Bakonie i Dekarcie. Idealizm nie był wyłącznym charakterem Scholastyki, jak prawi Recenzent; prócz wielu innych, zadecydował i *Cousin*, uczony powagi europejskiej, że nominalizm i realizm w średnich wiekach reprezentowały idealizm i sensualizm. Szkoła mystyczna miała swego przedstawiciela w Kanclerzu Gersoniuszu i ta trwała dopóty, dopóki Scholastyka była życiem umysłowém wieku; później bowiem stała się ona martwą i pustą normą szkolnego ergotyzmu, usiłującego, ale nadaremnie, powstrzymać pęd postępowy ducha ludzkości.

Powiedziałem w 2. moim liście do P. Dołęgi, że tyle słynny w jezuickiej szkole *sensus communis* fundował się nie na czém inném, jeno na sądzie otrzymanym drogą zmysłowego przeświadczenia: — a ktoż, na-

---

r›i. Widząc jego opór, zdobywałem się na różne podejścia. Wiem, że jest zagorzałym miłośnikiem nacyonalnej muzyki, więc co tylko jest najromantycznejszego w Dumkach *Padury*, wszystkie prawie rozmiękczającej treści Kawatyny z *Szelmenka* i *Natałki* grałem mu i śpiewałem *con espressione*, słowem, wszelkich używałem sideł, — ale choć w łeb strzel nic niepomogło! o różnicy między empiryzmem a materyalizmem ani słyszeć niechce!!! eheu biada! całkiem przechylił się na stronę *Scholastyki*!.. drum, drum.

(Wyd.)

leżycie z rzeczą obeznany, niepotwierdzi tego zdania? Ow sąd powszechny na *powszechnej jawności* oparty, a odgrywający tak wielką rolę w metodzie O. Joachima, często przyjmuje jakiś fakt empiryczny za nieodzowny pewnik. O. Buffier Soc. Jesu (ur. w Polsce) w dziele swojém — *Traité des premiéres verités* — dziele nie bez pewnej wartości, wyraża to następującą formułą: „*Ce que disent et pensent les hommes en tous les temps et en tous les lieux du monde est vrai.*" Pod tę formułę mogą się podciągnąć wszelkie absurda, wszelkie zmysłowe pozory (*schein*) jak np., że ziemia jest płaska, jak żydowski placek, że stoi jak przykuta, że słońce się obraca w około naszego planety, że gwiazdy są to palące się iskierki, a z drugiej znowu strony wejdą tu za prawdę wszelkie gusła o wiedźmach, upiorach, słowem, cała demonologia, wszędzie bowiem jedna i taż sama mystyczna żyłka pociąga ludzi do wiary w cudowność. To działa tém więcej, że zmysłowy pozór ma wszelką siłę pewności — *naoczność* czyli *jawność* (*die Anschauligkeit* — *нагляднocmь.*), a skłonność do trwożliwych mar porodzona fantazyą stanowi także wielki autorytet, autorytet poszeptujący często skepticyzmem wbrew twierdzeniom nauki (1). Wieluż

---

(1) Dobrzeby było, aby nam kiedy p. Kostr. objaśnił w duchu Katolicyzmu, jak się tam pojmuje czarnoxięstwo, magia, demoniactwo, wywoływanie i ukazywanie się umarłych, zaprzedawanie się czartu, zachwycenia, exorcyzmy i t. p. przedmioty tyle ważne w duchownej średnich wieków juryzdykcyi, która niejednego negromanta spaliła na inkwizycyjnym stosie. Dziś wielu niewie, czego się ma trzymać w tym względzie, bojąc się z jednej strony uchybić powadze kościelnej a z drugiej dać wiarę gusłom; wypada więc istotna potrzeba traktowania tego przedmiotu przez oso-

to jest, co pozornie przyjmują twierdzenie Kopernika a w duchu ciągną za Ptolomeuszem i za Tycho-Brahe? Kto wie, czy nie taki sam powód pociągnął niedawno xiędza *Matelène'a* do dowodzenia naukowie mylności zdania polskiemu astronomowi (Ob. *Anti-Copernic. Paris* 1842.)? Otoż w jakiém znaczeniu (co zresztą jasne było jak dzień dla każdego, kto czytał *Gwiazdę* bez złej woli:) były powiedziane te słowa: „Niegdyś wszystko to, co miało za sobą jakiś pozór, jakieś prawdopodobieństwo, uważało się w całym rodzie ludzkim za prawdę, ba nawet do dziś dnia jeszcze za toż uchodzi i t. d. (Gw. N. 1 str. 216). Możnaż powiedzieć o chrystyanizmie, że on zmysły tylko łudzi? Czyż on jest pojawem zewnętrznego świata cisnącego się do ducha za pośrednictwem zmysłów? Już samo wyrażenie *w całym rodzie ludzkim* — pokazuje, że autor miał co innego w myśli; Chrystyanizm bowiem nigdy w całym rodzie ludzkim przyjętym nie był, a kiedyś dopiero będzie. Widna tu więc tylko krytyka złej namiętności, krytyka w duchu ojca *Rodin'a*.

Kiedym pisał, że rozsądek w filozofii podrzędne a nawet zawsze prawie oppozycyjne zajmuje miejsce (rozsądek bowiem stanowiąc dwie przeciwności nieznosi ich wcale a waha się ciągle pomiędzy albo, albo:) niewyobrażałem, aby mi kiedy przyszło dowodzić tego znakomitemu uczniowi Joachima Ventury. Każda władza ducha w hierarchii poznania ma swoje miejsce, które

---

bę tak kompetentnej w tym względzie nauki, jaką posiada p. Kostrowiec. (Przyp. Autora.)

W nagrodę za dokładne objaśnienie powyższych przedmiotów przeznacza się jeden exemplarz *Gwiazdy*.

(Wyd).

w swojej tylko sferze ma znaczenie, zaś uogólnione, przeciągnięte po za właściwe granice prowadzi do fałszu. Miałżeby i na to potrzebować objaśnienia p. Kostrowiec? Widzimy, że jest wielkim przeciwnikiem Filozofii, jako nauki samodzielnej, że jest w tym względzie pełnym uprzedzeń, tychto uprzedzeń, jakiemi ongi rządzili się ojcowie i dziadowie nasi, nazywając każdego myślącego wolterystą, farmazonem i t. d.; szczérze mu więc radzimy, aby na duszny swój pożytek przeczytał pięknie wypracowaną mowę (*Рѣчь — Discours*) Professora przy Uniwersytecie Ś-go Włodzimierza P. Oresta Nowickiego — *O zarzutach czynionych Filozofii* — dzieło, które sam zamierzam przełożyć na język polski. Tam wszelkie oppozycyjne hałasy zostały utulone, a powierzchowne mędrkowanie zbite na miazgę; tam światły Autor, professor nauki, objął ją w całej jej pełni, we wszystkich jej na pozór przeciwnych pierwiastkach, w najrozmaitszych pojawach szkół i systematów i takim sposobem przedstawił wielką, jednolitą całość, którą nadał filozofii wiek, właściwie mogący się nazwać wiekiem jej samopoznania, a której niepojmą ci wszyscy, co jak werstwowe słupy het gdzieś pozostawali się po drodze. I jakże mogą ci rezonować o filozofii, dla których Venter czy Ventura stał się herkulesową kolumną nauki? Myśląż oni, że jeśli wprost od niego przejdą do którego z myślicieli wieku, to zdołają pojąć go w jego stanowisku, na postępowej drodze dziejów nauki i będą mogli ocenić jego znaczenie?.. Co do mnie, ja się nietrzymam ani Pawła ani Gawła, a jeśli podzielam z którymkolwiek myśli wieku i stanowisko, na jakiém obecnie stoi spekulacya, to dla tego, że jestem równie jak on synem wieku, nie zaś, że zapisałem się do czeredy jego uczniów. Ztądto właściwie

śnie wypadła pomyłka poczciwego filozofastra, który duch czasu wziął za duch indywidualizmu.

P. Kostrowiec utrzymuje naiwnie, że wyjąwszy jego i kilku jakichś jeszcze, wszyscy inni naśladują zagranicznych. Naprzód w filozofii niema naśladownictwa, a potem sama ta nauka, którą się szczyci p. Kostr., czyliż niewiadomo, że jest obeliskiem Restauracyi, że przyszła z Francyi prosto od Ludwika XVIII, prościej jeszcze od X. Lammenais i de Maistr'a, a najprościej od X. Bautain'a, owego wielkiego rycerza, co to jednem machnięciem pióra odjął wszelkie znaczenie rozumowi, aż Arcybiskup Strazburgski wdać się musiał, aby odebrać rozum z rąk tego nieubłaganego antagonisty i postawić go trochę wyżej, tak wysoko przynajmniej, by go po raz drugi dosięgnąć nie mógł. L'abbé Bautain w przedmowie do filozofii moralnej publicznie przeprasza pokrzywdzony przez siebie rozum, a jeszcze bardziej wspomnionego Arcybiskupa, którego poźne lata zasępił swoją antiracyonalną zawziętością.

Oświadcza p. Kostrowiec, że do polemiki z nami, pomimo wrodzonego wstrętu do niej, zniewoliła go jakaś tam potrzeba wykazania czegoś, że odtąd przestanie polemizować i pójdzie swoją drogą. Wszystko to dobre, ale ostatnie szczególniej nam się podoba, bo właśnie tym, którzy nie w swoją rzecz się wdają, pospolicie mówią: *idź swoją drogą*! Nie dosyć jest chcieć pisać, potrzeba jeszcze módz, potrzeba umieć porządnie wykładać myśli, a każdy przyzna, że dzieło p. Kostr. umieszczone w Tygodniku, napisane jest bez żadnego ładu. Przynajmniej — jeżeli już na wszystkie części filozofii rzuca p. Kostr. anatemę — przynajmniej

potrzebna jest Logika, a tej dalibóg i przez mikroskop dopatrzeć się tam niemożna (1)!

Jeszcze jedna rzecz dowodząca w recenzencie złej woli. Utrzymuje p. Kostrowiec, że List mój traktujący o krytyce Grab... był powtórzeniem myśli Kremera, jakoby plagiatem? Kremer powiedział, że p. Gr. niedowodzi swego estetycznego zdania, i to mówi każdy, kto przeczytał jakąkolwiek recenzyę autora Lit. i Kryt.; myśl więc nie nowa, znana, prosta, a jednakże powtarzając ją sumienność kazała mi wspomnieć autora, który mu to samo zarzucał; jakoż wspomniałem tam P. Kremera ze czcią, jaka mu się należy. Ale nie to było celem mojego listu, celem jego było *wykazanie stosunku Krytyki do Estetyki*, co też, acz treściwie, wypełniłem według własnego mego przekonania. Bez okularów Ventury prześlepił mój recenzent całą treść rzeczy, której nie mógłem *wziąść żywcem z Listów z Krakowa*. Ominę wiele innych miejsc, w których niby mię recenzent niezrozumiał, *np.* miejsce o rozłożeniu myśli na jej osnowne prawa: — Ktoż tu niepojmie, że miałem na uwadze formę myśli, nie zaś myśl samą? Z powodu pomówienia o plagiat zrobię uwagę p. Kostr., że sam on musi doznawać wielkiego niepokoju, aby właściciele nieupomnieli się o swoje. Jakżeto często zapewne pośród nocnej ciszy cienie Tomasza z Aquinu, Anzelma z Kantorbery, oraz czarne postacie OO. Jezuitów trapić muszą znakomitego Kostrowca domaga-

---

(1) Niesłychané zuchwalstwo!! — a Kauzyperda na pierwszy dzień Bożego Narodzenia odśpiewawszy tenorem ,, *Zagrzmiała*, *runęła*", dopraszał się właśnie o te dzieło, jakby o *supplement do kantyczek*!.. drum, drum — będzie coś *animoso*.

(Wyd.)

niem się o powrót im owocu ich mozołów! Jakże często (jeżeli wraz z dziełem swojém przeszedł do wieczności) passować się musi z własnym mistrzem swoim O. Joachimem, który wydrzeć od niego usiłuje nieocenione dzieło swoje *De methodo philosophandi*! — wtenczas-to krople zimnego potu występują na czoło! Widma te nieubłagane wciąż zapewne w samą północ zjawiają się u wezgłowia polyhystora i niechybnie jeszcze porwą, porwą nawet z pod prassy Glücksberga ów fatalny rękopism, jeśli go pierwej niepochwyci Felix Kozłowski, by zeń powyjmować wszystko, co do niego należy! *Bone Deus*! I jakażto przyszłość dla uczonych ludzi na tym nędznym świecie! same ruiny! szczęty bez żadnej treści! mizerya! chaos nad chaosami! *nec locus ubi Troa fuit*!!... Obiecał p. Kostrowiec niepopełniać już więcej grzechu filozofomanii — och! a czyż nie dosyć? — dosyć, dosyć, aż nadto dosyć tej jednej próbki, aby się przekonać, że polyhystoryzm, pansophia, jedném słowem cała encyklopedyczność p. Kostr. bardzo niedaleko sięga! Dzieło p. Kostr. *O stosunku bezpośredniej Filozofii do Religii i Cywilizacyi naszej* świadczy tylko o antypatyi jego ku przeciwnej opinii, a antypatyi wielkiej, nadzwyczajnej, piekielnej, kiedy odważył się sam swoją osobą, swoją *venturowszczyzną* zbijać ją i narażać tym sposobem własną swą godność, która *wymownėm milczeniem* tak doskonale podtrzymywać się mogła!.. Musimy też zrobić uwagę p. Kostr., że nie ten jest zarozumiałym, kto objawia swoją opinię wbrew czyjemukolwiek przekonaniu, ale ten, kto cudzą opinię ma zanic, uważa za zuchwalstwo i dziwi się, jeżeli ktoś mówi co innego, niżby sobie życzył.

Pozostaje nam w końcu powiedzieć, co rozumiemy pod słowem — *światły chrześcianin*. Światłym chrze-

ścianinem jest ten, kto przedewszystkiem ukochał Chrystusa; kto usiłuje naśladować Go w życiu; kto duszę i serce swoje stara się przerobić według tego wzniosłego Ideału; kto wreszcie naukę Jego ma za skarbnicę moralności, za źrzódło pokoju, miłości i poświęcenia się, nie zaś za powód do dzikiego fanatyzmu, ciągłych swarów, prześladowania i nienawiści, nie ten mówię, kto w mniemanej gorliwości religijnej marzy o torturach średniowiecznej inkwizycyi; o swoim rozumie i tym podobnych niedorzecznościach, ale ten, kto w czynach swoich wyraża samą miłość, kto po obranej w społecznem życiu ścieżce kroczy sumiennie a uczciwie łożąc wszystkie swe siły na chwałę Boga i na pożytek bliźniego. Czytamy u Jana Apostoła w Roz. XIV. słowa naszego Zbawiciela: „*Jeśli mię miłujecie, chowajcie przykazania moje.*" Cała zaś nauka Chrystusa prowadziła Zakon i Proroków do miłości Boga i bliźniego, a temu, ktoby się przejął tą podwójną miłością, obiecane jest życie wieczne. Życzymy więc z duszy p. Kostrowcowi, aby, poskromiwszy w sobie pychę i inne pogańskie wady, stał się z czasem wraz z nami *młokosami* godnym wyznawcą tej Bozkiej nauki (1)!

---

(1) Amen! Amen! Amen! (Chór Kollaboratorów *Gwiazdy*).

NB. Kauzyperda (stracony na zawsze dla *Gwiazdy*, jako stronnik Tygodnika) nienależy wcale do Chóru — a szkoda! najpotężniejsza machina elektryczna niesprawi tego effektu, co jego płuca — tenor, jakich mało!! drum, drum, będzie coś *Vivace con brio*...

(Wyd.)

JESZCZE SŁÓWKO

o Żegocie Kostrowcu, jako Recenzencie Gwiazdy.

(List Zenona Fisch'a do Wyd. datt. w Żytomier. 31 Grud.)

Czytałem i 86 N. Tygodnika. Zdradzono nas okropnie, Dołęgo! Osoba, o której powiedział Wydawca, że „*ze stanu swego i wrodzonej dobroci serca skłonną jest do nieograniczonego pobłażania*," o której dawał świadectwo, iż wytrąciła mu powróz z ręki, kiedy się już gotował wiązać nas u pręgierza, — wyobraź sobie, ta sama osoba podkradła się do nas cichuteńko z tyłu i właśnie, kiedyśmy obnażyli ciało, opatrując rany zadane 81-m N. Tygodnika, taką nas przywitała kanonadą, że co do mnie, zapomniałem, na jakim jestem świecie . . . . Cóż-to u licha za *stan*, u którego takie *pobłażanie*?

I tu głównym zarzutem Autora artykułu jest posądzenie nas o niereligijność, z tą tylko różnicą, iż Wyd. Tygodnika napomknął o tém zlekka i tylko zganił naszą dążność, a P. Kostrowiec wyraźnie doszedł kłębka po nici i posądził o zaprzeczenie Objawienia.

Tłumaczyliśmy się już obszerniej z tego zarzutu. Cóż teraz mamy odpowiedzieć? Połóżmy na sobie znamię Krzyża, — nieprzekona to ich, ale może przekona Publiczność, którą ci panowie wśród dnia białego bałamucić usiłują. Co do mnie, w recenzijach tych obudwu Panów ja tylko jasno widzę: czapkę z dzwónkami

na głowie Numeru 81.go, a pianę na ustach Numeru 86-go Tygodnika.

N. 81, to *paiazzo*, jakich nie wiele u nas. On odegrał swoją rolę ze znajomością rzeczy — zimno — rozważnie — kpił — drwił — śmiał się — dawał koziołki — słowem, mało zrobił — dosyć nabawił — i wygrał tém przez pół niezawodnie. Tymczasem N. 86 wyobraża najzupełniej kota z uwiązanym pęcherzem do ogona. Bogi! czegoż też on niewyrabia! jakże się nie miota! gdzież się nie ciska!!..

W ogólnikach dostaje się najczęściej nam wszystkim, ale w szczegółach zaczął od Gryfa i tak powiada: „Czytając słowa, że *P. Grabowski wielce przezemnie ceniony*, że *P. Rzewuski pobudza mię do myślenia*, że *filozofii dziejów nauki przezemnie ulubionej*, — wykrzykuje: „*Cóż-to za zarozumiałość*!" — Słyszycie? Tak mówić — to zarozumiałość! A także sądzić pięknie? czy nie będzie coś więcej nad zarozumiałość??

Potém zbiera troje nas w jedno i woła; „*Czytając jak z góry traktują nieszczęśliwą kohortę jedynych w naszej stronie pisarzy*; (więc Bejła i Grabowski jedyni u nas pisarze? A za kogoż ma krytyk wszystkich innych?) *jak głoszą że bez rozumu rozumują* (bo co prawda to nie grzech, a z resztą któż wam winien?) *myślałbyś, że rzeczywiście są u nas jacyś inni sławni pisarze i mężowie bardzo uczeni* (t. j. że inni od nich. Żeby ten fakt mógł być rzeczywiście, to się szanownemu Recenzentowi nie może zmieścić w głowie). *Przeglądasz więc*, powiada, *Piśmiennictwo i nigdzie nie znajdujesz żadnego dzieła przez tych wielkich mężów i filozofów wydanego.*" (Tego zarzutu spodziewałem się. Ale czyż nie radziłem Dołędze i Gryfowi dawniej? Wydajcie, mówiłem, pierwej *Pielgrzymkę*

choć do Nielipiszek, wydajcie *Tekę rozmaitości*, przetłumaczcie *Sonety Petrarki*, wydrukujcie jakich półtuzina powieści i *Korrespondencиję*, ależ na miłość Boga nie z trzech, lecz ze trzystu trzydziestu trzech listów — zliczcie to razem — dodajcie do tego wszystkiego jaką *Mieszaninę* — a jeśli zrobi się z tej mixtury książek ze dwadzieścia, dopiero możecie popisać się z swém zdaniem; — a to, doprawdy, ni stąd ni zowąd stanęliście w oppozycii mając za sobą tylko jedną książeczkę! Przewaga ich widoczna o kilkanaście funtow!!)

Ale kiedy Szanowny Recenzent nie znalazł nic w Piśmiennictwie, rusza do pism zbiorowych — i oto tam znajduje dopiero *krótkie a wątłe lukubracije i zacieki i stosunki* — a tropiąc nas wszędzie, schodzi nakoniec jednego z nas pogrążonego w myślach i *leżącego do góry brzuchem*!! Przydybawszy taką niespodziankę, podkreśla tę wiadomość dla zwrócenia na nią uwagi Prześwietnej Publiczności i wykrzykuje z tryumfem, iż *kto leży do góry brzuchem, ten nie może udziewać togi autora*! Przyznam się, iż takie dowodzenie zabiło mi z początku klina w głowę. Dla czegoż, pytałem sam siebie, leżenie do góry brzuchem ma być tak występném? pozbawiać tak wielkich przywilejów? Nakoniec po mozolném badaniu, przez regułę trzech, doszedłem tajemnicy. I tak; jeżeli *leżąc do góry brzuchem*, nie można zasłużyć *na togę Autora*, tedy kładąc się przeciwnym sposobem, celu dopiąć można. Rezultat więc: — Szanowny tłumacz miłośnych sonetów Petrarki musiał często leżeć nie do góry brzuchem, kiedy zasłużył na togę autora. Panowie Literaci! Jeśli chcecie być *autorami*, nie kładnijcie się nigdy do góry brzuchem. Ślicznie! możem tu w swoją kolej podziwiać *ton przyzwoity* krytyki.

P. Kostrowicc powiada z kolei, że p. Gryf pochwytał wszystko z Trentowskiego i Kremera. Ale za to dostało się nie tylko Gryfowi; dostało się i Trentowskiemu porządnie. Tu w okropny wzięto nas ogień. Czytasz obficie rozrzucone po całym artykule dwa przeczenia, zmieniające jedno drugie kolejno. Raz powiada Recenzent, iż nic niemamy znajomości, drugi raz, że chwytamy wszystko z cudzych książek. Jakże to pogodzić? Z resztą, ktoż tu się starał o oryginalność i czy była onej potrzeba? W utworzeniu poematu, romansu, — tam potrzebny jest pomysł, któryby nową stronę odsłonił nam w artyzmie, — ale przy rozwinięciu myśli, na które się zgadza, które się ukazuje w zbiciu czyichś błędów, jak np. empiryzmu Grabowskiego, albo bąków historycznych Rzewuskiego, jakiejże chcecie oryginalności? Tam raczej wy byliście oryginalni przez swe błędy.

Następuje potém *dacapo* cała drukowana karta klątw, piorunów i pocisków wszelkiego rodzaju za rozkrzewianie zasad anti-religijnych. Trudno jest czytać coś bardziej przesiękłego ślepą namiętnością gniewu. Recenzent zgubiwszy cel, nie bacząc na środki, nie widząc ludzi, — pieni się — pryska gniewem — szermuje na oślep — i tak brnie sam niewiedząc dokąd, jak i po co? Kręcenie się Ulemów aż do zawrotu głowy może nam dać słabe wyobrażenie jego entuzyazmu. Ton przyzwoity krytyki do tyla zostaje straconym, iż słyszymy nakoniec takie słowa skierowane ku nam: „*Cóż sądzić o tych, którzy oszukując naszą Publiczność chrześciańską, wydają dziełko na kościoł Niemenczyński, dla podkopania kościoła naszego i wydarcia z serc wiary przez upowszechnienie pism Trentowskiego?*”

Niechże proszę ktoś, co nie czytał pierwszego tomu *Gwiazdy*, przeczyta i przyjmie w dobrej wierze powyższe zdanie? Przeżegna się i będzie uciekał od nas, jak od dżumy! A tymczasem wszystko to jest najistotniejszą mydlaną bańką, puszczoną w oczy Publiczności na zemszczenie się nad nami za zarzucenie, jak powiedziałem wyżej, empiryzmu Grabowskiemu a wykazanie filozoficznych i historycznych bredni Rzewuskiego, których w dopiskach *Listopada* (właściwie dalszym ciągu *Mieszanin*) jest pełno. — O stanie! o dobroci serca! skłonne do nieograniczonego pobłażania! Jakże szczytnie odpowiadacie celowi!!!

Ale koniec, powiadają, dzieło wieńczy. Na samych ostatnich pięciu wierszach, przyszedł nasz Arystarcha do przytomności, i znużony, osłabiony całogodzinném wysileniem, składa dłonie jak do modlitwy— oczy wznosi ku niebu — twarz przybiera wyraz niezwyczajnej pokory, a usta tak głoszą ze łkaniem: „*Co się tycze naszej w tych stronach oppozycii niech nie rozpaczają. Ze śmiercią tych kilku u nas piszących* (???) *wszystko ogłuchnie* (!!!) *a prowincije nasze staną się tém, czém pragną ci nowi mędrcy, t. j. słabém, śmieszném echem i niezręcznėm podrzeźnianiem tego, co w innych stronach pismiennictwa naszego prassy wytłoczą.*”

P. Wydawcy Tygodnika, gdy przeczytał ten *quasi* nekrolog, zaczęło się zbierać na płacz nie żartem. Wyobraził już siebie leżącego na katafalku *do góry brzuchem* — strach mu najeżył włosy — dreszcz śmiertelny przebiegł wszystkie członki... spuścił się więc co prędzej na cieniuchnym odsyłaczu na sam koniuszek

Tygodnika i, usiłując nieborak nadrobić miną, wyjąkał pchikając: „*nie popodziel . . la . . lamy tak sm . . smutnego prz . . prz . . przeczućććia.*”

Tak się skończył ostatni akt tej wiekopomnej tragi-komedyi (1).

OSTATNIA PIEŚŃ

Władysława Strzelnickiego.

Może ja kiedyś, ja, com tak wysoką
Przyszłość wyroił myśli mej świtaniem,
I nieraz śmierci zajrzał oko w oko
I jej pogróżki odbił urąganiem; —
Może ja kiedyś, kiedy głos cierpienia
Zagłuszy duch mój i polot umorzy
Natchnionej myśli, gdy widmo zniszczenia
Mękami zgonu dumę upokorzy,
I ducha dawną potęgę przełamie; —

---

(1) Nie! ostatni akt zbyt jeszcze od nas odległy, jak i *śmierć tych kilku u nas piszących*. Weź-no się P. Zenonie (jeśli cię tyle co mnie zastrasza chłosta u pręgierza), weź się mówię szczerze do *Katechizmu i Słownika*, o których dotąd, lubiąc leżeć do góry brzuchem, pomyśleć nawet niechciałeś. — Ja w dotychczasowej Interlokucyi *bezbożnej Triady ze świątobliwą Dekadą* widząc tylko wstępny Prolog, zamyślam oto umizgnąć się przy bałabajce do Euterpy, aby mię natchnąć raczyła stosowną do wielkiej opery Uwerturą.

(Wydawca.)

Może ja spadnę pod bolów nawałą
Wezwę litości i skargą się splamię,
Spadnę, jak sokoł ugodzony strzałą?

O, precz odemnie przeczucia dręczące!
Potożeś Stwórco po ziemi rozstrzelił
Własne ognisko w promieni tysiące
I każdy promień w rdzeń nicestwa wcielił,
Aby tak ciężko było Twym promieniom
Przelać się w Ciebie i zajaśnieć znowu?
Potożeś kazał myśli Twej stworzeniom
Pełzać jak gady u tego parowu;
By mogły w swojém kochać się wygnaniu
I przedać ziemi za kruszynę chleba
Swe pierworodztwo, tęsknotę do nieba?...
Dla tegoż, kiedy w samotném dumaniu
Serce się grąży dalekie od ziemi,
Tyle płomiennej zlewasz na mnie wiary,
Że pragnę, jako falami wrzącemi,
Zalać jej światłem Stworzenia obszary, —
Bym stracił kiedyś patrząc na mogiłę
I siłę wiary i nadziei siłę
I drgał jak robak nogą przydeptany?
Aby się duch mój z wyżyn swych zegnany
Dał skalać zmysłów zamąconym ściekiem, —
Bym był człowiekiem i gardził człowiekiem?

Milcz o mój duchu, nieupadaj duchu
Z wyżyn promiennych w bezdroża zwątpienia!
Płyń o mój duchu przez jezioro próby
W bezpiecznej łodzi wiary i natchnienia,
By cię błędnego na skałę zaguby
Niepotrąciła fala niepogody,
Abyś niezmienne przepłynąwszy ciszę

Błogi zawinął do portu nagrody! —
Bądź o mój duchu jasny jak niebiosa,
I choć cię ziemia wichrem rozkołysze,
I choć cię ziemia tumanem owionie,
Ty tam, nad ziemią, na wieczności łonie
Złóż swoją przyszłość i jaśniej od słońca
Swieć dumy swémi, swojemi gwiazdami,
I zlej swe pieśni z Serafów pieśniami,
I świeć bez końca i śpiewaj bez końca
Chwałę Jehowy! . . . .

Na śmierć Władysława Strzelnickiego.

O płaczcie, przyjaciele! swego brata
Na zimne czoło jego rońcie łzy,
Bo wcześnie schodząc z objęć tego świata
Promienne uniosł ducha swego sny,
Sny, co ujęte w życie piórem skromném,
Gwiazdą na niebie lśniły by potomném!.

Harmonijo! gdzie byłaś, w jakim kraju,
Gdy twój pieszczoszek, ulubieniec twój,
W napół rozkwitłym jeszcze wiosny maju
Głębokich dum i natchnień tracił zdrój?
Czy gdzieś daleko od ziemskiego cienia,
Słuchałaś wielkiej muzyki Stworzenia?

O czemuż'eś śród ostatecznéj walki
Z wysokich nieb nie przyleciała do'ń?
Przeczuciem nie przeczuła ty Westalki
Że jego serca gaśnie blask i woń?

I wiejąc sfer rozdźwiękiem na około,
Nie rozjaśniłaś smutnych druhów czoło? —

Co zamyśleni, ze łzą i ze drzeniem
Śledzili jego konwulsyjnych tchnień,
I co widzieli jak za każdém tchnieniem
Rozświtał dlań wieczności jasny dzień;
Jak doń, zbliżały się zamierzchłe wieki
Jak anioł snu zatulał mu powieki. —

Garczyński, Zimorowicz i Malczeski
Rozbitych harf niedomówiony dźwięk,
Z krainy wychylali się niebieskiéj
Na jego ducha przedostatni jęk,
I wyciągając doń pokrewne dłonie,
Potomny wieniec kładli mu na skronie. —

Harmonijo! on w twe uleciał strony
Do których tęsknił od najrańszych dni,
Jak kwiatek od dziewicy smutnéj czczony
Na którym wiszą miasto rosy, — łzy,
Nieczekał on aż niebo się przechmurzy,
Jak lilija legł pod oddechem burzy. —

I niebo znów ozłoci się blaskami,
Po ziemi znów zadzwoni życia pieśń,
Lecz on nie wstanie już na ucztę z nami,
Nie zejdzie z jego serca śmierci pleśń, —
I sławy blask na kwiatach nie zapłonie
Któremiśmy wieńczyli jego skronie. —

Nie wstanie on na szumną ucztę bytu
Gdzie bezrozumny kipi stworzeń gwar,
I gdzie w odmęcie żądzy i przesytu
My przepalamy gwiazdy rajskich mar;

Prysnięte iskry z oceanu Ducha
My świecim, nim zaleje noc nas głucha. —

My świecim, jedną chwilę — lecz w tej chwili
Walk ileż odbyć musim? ileż mąk?
Naprożno płytki nasz rozum się sili
Odgadnąć cuda tajemniczych rąk;
Widzowie sceny dziwnej i tajemnej,
Skąd i gdzie dążym w téj pracowni ciemnej?

Gdzie wieczny duch materyą przesięka
I pędzi ją do wzięcia nowych form,
Gdzie forma po dopiętym celu — pęka
I znów się kształci według danych norm;
Gdzie z życia śmierć, ze śmierci wstaje życie,
Wiecznego Boga przejaw i odbicie. —

Nie płaczmyż więc, o przyjaciele! po nim,
On się obudził z ciężkich życia snów,
Widziadła błędne, za któremi gonim,
Już pierzchły przed nim i nie wrócą znów;
Już jego duch w zamęcie drogę kréśli,
I świeci stamtąd słońcem czuć i myśli. —

Nie płaczmyż po nim więc, o przyjaciele!
Już znikła dlań burzliwa ziemi noc,
Już przed nim przestrzeń się bezdenna ściele
Już wieczność go ujęła w swoją moc. —
On zasnął z głową cichą — z sercem ciepłém
Śród biegunowych lodów nie zakrzepłém. —

I może już śród ciszy i pogody
Zaświecił słońcem w miryadzie słońc,
Lub zlał się z dźwiękiem, z pięknem wszej Przyrody
W wietrzyku jęcząc, lub się w tęczy lśniąc,

Lub może w szumie swej ojczystej jodły
Za biednych braci gorące śle modły? —

Zostawmyż zwłoki jego na tej górze
Ukołysane do wiecznego snu ; —
Może w powiewie wichru lub we chmurze
Duch jego święty zechce zlecieć tu ,
By wspomnieć życia burze i pożogi ;
Do zobaczenia się , nasz Władziu drogi !

Do zobaczenia się w wieczności toni
W bezdni wszechświata , w jaśni rajskich zorz ,
We drżących falach boskiej sfer harmonij
Gdzie głuchnie szum rozkołysanych morz ,
I skąd w ostatniej ziemi tej godzinie ,
Na gwar ludzkości wieczna cisza spłynie. —

1846 Października 25.

T. Łada — Zabłocki.

Tę Poezyę Żalu otrzymał Wydawca przy liście P. Zabłockiego datowanym 27 Października, w którym jest następne doniesienie : „ Dnia 19 b. m. o godzinie 8 wieczorem ponieśliśmy ciężką okropną stratę; w tej chwili bowiem skonał nasz drogi, kochany Władysław Strzelnicki po krótkiej chorobie we 26 r. swojego życia na ręku mojém , Leona Janiszewskiego i Doktora Pileckiego. Byłto człowiek wielkich nadziei a tém droższy dla mnie , żem go sam rozwinął i śledził za jego postępem. Pogrzeb najwspanialszy odbył się d. 22 b. m. przy wielkim natłoku ludu, wśród łez i głośnego łkania jego przyjaciół i znajomych. Złożyliśmy ciało jego w wymurowaném sklepieniu na górze Sałałakskiej

bliżej niebios, do których tak tęsknił za życia." Ten sam Strzelnicki, zaledwie ukazał się był w Tyflisie nasz Prospekt na Gwiazdę, pospieszył uwiadomić nas za pośrednictwem P. Zabłockiego, że chętnie ofiaruje jedno z dzieł swoich wyższej wartości na kościoł Niemenczyński i że życzy sobie abyśmy się zatrudnili wydaniem tego dzieła. Nieprzyjęliśmy, bo nawet niewypadało nam przyjąć takiej ofiary . . . . .
. . . .
. . . . ale przywodzimy tén szczegół dla okazania jedynie, że Publikacya nasza nie tak pojętą została przez ludzi z wiarą i sumieniem, jak ją jezuicki rozum wystawić usiłował. —

P. Zabłocki pragnąc uczcić pamięć zmarłego swego przyjaciela wzniesieniem trwałego nagrobka, zajął się przygotowaniem na ten cel do druku pozostałych po nim rękopismów. Chcemy szczerze dopomódz do tak pięknego czynu i dla tego wzywamy szanownych naszych kollektorów, aby podzielić raczyli starania nasze w rozdaniu biletów na Dzieła Władysława Strzelnickiego. —



KILKA SŁÓW

o *Pisarzach uprawiających filozoficzną grzędę na polu Tygod. Petersburskiego* ([1]).

(Z Listu Alberta Gryfa do Kraszewskiego datowanego w Mostyszczach 27 Marca 1847. wyjątek.)

. . . . . W Petersburgu polscy Literaci zfixowali na filozofii: nikt z nich niewierzy w tę naukę, a każdy uważa za obowiązek napisać coś w Tygodniku pod rubryką *Filozofii.* Pierwej pisał Kostrowiec, teraz kolej przyszła na Rzewuskiego, a gdy ten skończy, to niechybnie sam Wydawca, zaczerpnąwszy coś z treści pana J. E. herbu G. (jedynej swojej powagi) przystąpi do tego przedmiotu, aby zawyrokować ostatecznie, je-

---

(1) Nowa w Tygodniku rozprawa hr. Rzewuskiego *o Filozofii*, będąc prostą wynikłością rozpoczętej przez nas literackiej oppozycyi, zasługuje ze wszech miar na właściwe w niniejszym ciągu ocenienie. W tym celu bierzemy z udzielonego nam przez Alberta Gryfa listu jego do Krasz. wyjątek, który będzie już niejako uzupełnieniem wywołanej przez redakcyę Tygodnika Pet. krytyki. Ta uboczna a najmniej w szczerości niepodejrzana odpowiedź wykrywa nowe paroxyzmy *kołowacizny* Autora Mieszanin i jego komp. Co do nas, gotowi zawsze nieść pomoc cierpiącym, częstujemy ich z serca tém *zalewaniem*.

(Wyd.)

żeli go nie uprzedzi w tém (co bardzo podobne do prawdy :) Autor najoryginalniejszej powieści pod tyt. *Kataleptyk*. W idei *Żyda tułacza* Sue znalazł nasiennik swego dzieła, ale niemasz myśli wysokiej, któraby nie wydała czegoś zupełnie głupiego. *Żyd* porodził dwutomową powieść Sztyrmera! Czy nikt nie pisał recenzyi tego dzieła?

Jakie-to śmieszności w artykule Rzewuskiego o filozofii! Wszyscy ci panowie niewierząc w filozofię, śmiejąc się z niej, mają się przecież za wielkich filozofów i nawzajem siebie tą godnością uraczają. Rzewuskiemu wmówił filozofię Grabowski : — (odpowież on za to ciężko przed Panem Bogiem!). W recenzyi na *Mieszaniny* p. Michał twierdzi, że Autor tego dziełka *pierwszy zbadał kierunek wieku* i nazwał go właściwém imieniem, jak Adam przedmioty, które Bóg dla niego utworzył. Autor *Mieszanin*, powiada Recenzent, nazywa po nazwisku tę najnowszą dążność filozoficzną, do której dziś niemal wszyscy mniej więcej przylgnęli i ogłasza to za *Panteizm*. *Nie bez zasługi*, dodaje Gr., *przybić właściwe nazwisko do czoła tej doktryny*.— A co? czyż nie recenzya!? Wtenczas, kiedy od lat trzydziestu z górą przeciwnicy Szellinga i Hegla w Niemczech głoszą ich za Panteistów ; kiedy X. *Bautain* pisze o nowej herezyi XIX wieku panteizmem ją mianując ; kiedy drugi X. *de Maret* wydaje (1839) wzięte dzieło : *Essai sur le Pantheisme dans les sociétés modernes* ; kiedy Jezuici we Francyi, Belgii, Niemczech i Szwajcaryi w niebogłosy wołają na Panteizm;— u nas Rzewuski powtórzywszy ten kommunał staje się wielkim filozofem, statystą, pierwszym mędrcem i pierwszym... niewiem już czém. To już taki sposób pisania u nas, tak jak weszło we zwyczaj do najgłupszego

frazesu wyjętego ze Skargi dodawać: „*jak pięknie powiedział nieśmiertelny X. Skarga.*"

W Artykule o Filozofii powtarza autor bezustannie, że Filozofia niejest i w żaden sposób nauką być nie może. Nauka, mówi p. Hrabia (jak zadecydował nieboszczyk Marewicz:), jest to, czego uczą a czego bez nauczenia się umieć niemożna. Z tego otrzymujemy prosty jak obręcz wniosek, że o filozofii można prawić nieucząc się jej wcale i to nam doskonale wyjaśnia nonsensa tygodnikowych myślicieli. Rzewuski powstaje na Szczeniowskiego, że w Filozofii widzi osnowę rozwoju myśli całej ludzkości, że widzi w niej jedność przy sprzecznościach szczególnych systematów; takie zapatrywanie się odnosi on do XVIII wieku i uważa poczętém we Francyi. Mnie się zdaje, że ten wyższy pogląd, czyli instynktowe jego przeczucie powstało wtenczas, kiedy powstało pytanie: — czy Filozofia, jako nauka, może mieć swoją historyę? — dzieje bowiem nauki wykazują postęp i jedność prac szczegółowych. Wiadomo, że Francya w przedmiocie historyi Filozofii najmniej zdziałała. Początkowe materyały do nauki, połączone z pracami na drodze filozoficznej, więcej były gromadzone w Hollandyi: — z nich-to korzystał *Bayle* do ułożenia swego Dykcyonarza. *Leibnitz* pojął jedność ciągu nauki w swoiej idei o wiekuistej filozofii (*perennis philosophia*) i ta idea organizowała następnie materyały historyków, którzy mniej więcej spajali oddzielne części swojej nauki w jedną całość. Nauka dziejów Filozofii od początkowych prób *Bruckera*, *Gurlita* aż do *Tennemana*, *Tiedemana*, *Buhle'go* i ostatecznie do *Hegla* robiła ciągły postęp. Hegel w dziejach Filozofii ujrzał, jak w przezroczystym krysztale, myśl organizującą te dzieje, oraz logiczne pra-

wa, według których rozwija się ten organizm. *Cousin* i jego uczniowie zastosowali tę myśl do swego widzimi się chrzcząc ją imieniem Eklektyzmu. Nasi *uczeni*, ci szczególniej, co przeczytawszy Demaistra (całą swą mądrość) tytułują się pisarzami religijnymi, ci o niczém mówić niemogą niezaczepiwszy za wiek XVIII i niezłajawszy go na funty. Wiadomo, że ci panowie mając za grzech czytanie niereligijnych xiążek, nieczytają ani encyklopedystów, ani pantheistów: ztądto umysłowe ich płody niewypowiedzianie dręczą najckliwszą swą monotonią. Artykuł Rzewuskiego, równie jak i dzieło Kostrowca ogłoszone w przeszłorocznym Tygodniku, nie będąc wypadkiem należytego oczytania, które mogłoby posłużyć za materyał do znaczących myśli, uwag, kombinacyj i ostatecznych wywodów, jest tylko czczą, jałową, w najwyższy sposob nieporządną gadaniną, istném przelewaniem z próżnego do próżnego kieliszka.

Rzewuski przypisuje Filozofii zgubny wpływ na literaturę nadobną: — mamy przecież fakt przed oczyma świadczący, że promienie intelligencyi cudnego użyczyły blasku pomysłom poety XIX wieku czyniąc je rzeczą poważną, uroczystą. Okazałem to dosyć treściwie w Artykule umieszczonym w ostatnim tomie Rocznika Podbereskiego.

Pan Hrabia twierdzi, że przedstawicielem narodu jest nie filozof, lecz poeta. Wyjawiwszy to zdanie, pyta: kto był przedstawicielem Niemców — Hegel, czy Göthe? Nienależę wcale do tych, co rozprawiają o filozofii narodowej, dla tego widzę w Heglu przedstawiciela nie niemieckiej tylko, ale uniwersalnej idei, która tém bardziej dziwić nas powinna, że tak wyraźnie odbija się przy dosyć jeszcze charakterystycznej nacyonalności Niemców. Teraz i ja zapytam, jaki jest

charakter dzieł autora Fausta, Tassa, Ifigenii i wschodnio-zachodniego Dywanu? Pytam, gdzie i w czém (odsunąwszy na stronę autobiograficzne dzieła) przejawiła się narodowość Göthego? Jaka była działalność jego w czasie wojny narodowej Niemców z Francuzami? Co robił, nad czem pracował wówczas Göthe? — Uczył się chińskiej literatury!! I ktoż znający Göthego w jego dziełach będzie mówił o jego narodowości? Był-to poeta uniwersalny, jak Hegel był uniwersalnym filozofem, więcej jeszcze, bo był on poetą filozofów i filozofem poetów.

Następuje nowe zdanie, nowe absurdum: — *Literatura wtedy tylko kwitnie, kiedy filozofia niejest rozpowszechnioną w narodzie.* Udajmy się do dziejów literatury — i coż tam widzimy? Oto, w Grecyi Sofokles i Arystofan żyją wespół z Sokratesem; Eurypid jest uczniem tego ostatniego w przedmiocie moralności, mając za nauczyciela fizyki Anaxagora; Shakespeare jest współczesnym Bakona Werulamskiego; Kornel Deskarta; Schiller Kanta, Fichtego, Herdera, a Göthe ich wszystkich, będąc przytém żywym odgłosem sławy Szellinga i największym wielbicielem Hegla— filozofa, z którym razem prawie zstąpił do mogiły. Wiadomo także, ile był przejęty Göthe duchem filozofii Spinozy i jak entuzyastyczną wiarę przykładał do nauki o monadach Leibnitz'a. Że dzisiaj niema w Niemczech poetów pierwszego rzędu, to nic niedowodzi; kraj ten tylu ich razem był wydał, że może czas jakiś odpocząć. Niejest on wszakże i dzisiaj bez piszących wielkiego talentu; — ma on Rückerta, ma Mundta, Gutzkowa, ma Spindlera, Ludwika Tiecka autora sławnej Vittoryi Akorombony, Steffensa; ma historyków pierwszego rzędu; ma malarzy Corneliusa, Schnor-

ra, Owerbecka, Hessa, Lessinga — artystów pojmujących i czujących poezyę, ową poezyę, którą jeszcze można oddychać w rodzinach Niemców. Ani poezya sztuki, ani poezya życia niewymarły za wpływem filozofii! Cóż śmieszniejszego nad tych ludzi, ktorzy mając głowy niefilozoficzne wołają: ,, *Filozofia zabija poezyę*, *narodowość*! — *Ja niesprzyjam*, *nienawidzę filozofii*, *więc jestem narodowym poetą*!! "— Takie rozumowania świadczyłyby doprawdy za wielkim talentem poetyckim, gdyby ten mógł się uważać w prostym stosunku do braku logiki (1).

Czytając podobne dziecińtstwa złości biorą, jak można prawić wszystkim w żywe oczy to, co już oddawna zostało wyśmianém! Tu polemika jest rzeczą niepodobną, jak bowiem dostałoby komu cierpliwości powtarzać wciąż jedno i to samo? Trzebaby raczej wleźć na jaką górę, albo na najwyższą *kałanczę* w Petersburgu i ztamtąd krzyczeć do nich: — idźcie do szkoły! naüczcie się pierwej, poznajcie zbliska to, o czém mówić chcecie! — Ale i to niepomoże, na to wszystko odpowiadać oni nieprzestaną: ,, *Filozofia nie nauka*, *jej uczyć się niepotrzeba*! "— I znowu po swojemu rozprawiać zaczną, że *filozofia jest marzeniem wylęgłém z próżniactwa*, i każdy z tych panów będzie ci doradzał zajęcie, ten *modlić się*, chociaż sam wcale o tém niemyśli (bo modlitwa zmiękczyłaby przecie rogatą pychę :), drugi odeszle cię do *zielonego stolika*, trzeci do *kieliszka*, czwarty do *rozbierania pamiętników*, piąty do *pisania fantastycznych powieści*, zapowiedzia-

---

(1) Uwaga wiadoma już czytelnikom naszym z artykułu P. Kaczkowskiego o Sobowtórze Bejły.

(Wyd.)

wszy, że pisać o waryatach i po waryacku jest najlepszém dziełem w rodzaju Teodora Hoffmanna! — I tak każdy, uważając w sobie wcielenie ideału prawdziwego człowieka, zechce cię przerobić na obraz i podobieństwo swoje, a wszystko-to z tej *fatalnej* przyczyny, że filozofia jest czczą i niepotrzebną *łomigłówką*, jak się wyraża jeden z Tytanów naszej literatury (1)!

Przezwyciężmy wstręt i wypiszmy co jeszcze z tygodnikowego Salomona. „*Jeżeli nauka nie jest podaniem, więc był czas, kiedy się ludzkość bez niej obchodziła: a więc niewidzę by warto było wielce się ubiegać za tém, bez czego ludzkość przez tak długi czas umiała się obchodzić.*" Pomijam to, że ludzki umysł ma świadomość prawdy w sobie i poza sobą zawartej, ma *in potentia* samopoznanie ogólnych idei, pod które podciąga fakta świata widomego, pomijam to wszystko, co rozwijało naukę żyjącą *immanentnie* w umyśle ludzkim, a zastanawiam się nad kierunkiem twierdzenia hrabiego i pytam, do czego ono zmierza, jeżeli nie do najobrzydliwszego obskurantyzmu? A wszystko-to z przyjęcia fałszywej zasady, która do najfałszywszych prowadzi wniosków. Ta sama zasada doprowadziła fanatycznego *Lacordaire'a* do rzucenia w obec XIX wieku tych oto fraz: „*La raison vient du demon*! — *La raison cette fille de satan*!" i t. p. — którym, jako wymówionym przez duchownego reguły Ś. Dominika, p. Hrabia zapewne przyznaje zupełną słuszność, bo chociaż wstydzi się jeszcze głośno z tém odezwać, widoczna atoli, że i on i p. Kostr. rozwijają *implicite* tęż samą myśl w swoich antifilozofijnych

---

(1) Drum, drum!

(Wyd.)

filippikach. Nie inna zasada kierowała piórem nieboszczyka *Cacciniego* także Dominikana ; — ten broniąc we Florencyi astronomii Jozuego przeciw systematowi Kopernika i Galileusza, nazwał matematykę *sztuką djabelską*, nauką, kryjącą w sobie początki wszelkiej herezyi i obstawał za tém, że ją należałoby koniecznie wypędzić ze wszystkich krajów. Gdyby przyszło usłuchać tych mędrców, pisarzy religijnych, więc wypadłoby naprzód za radą *Lacordaire'a* wyrzec się rozumu, a potém, ponieważ dowiedziono, że wszystkie nauki są niepotrzebne, możnaby matematykę oddać na pastwę potomkom Cacciniego, filozofię Kostrowcowi i Rzewuskiemu i wkrótce wrócilibyśmy do wieku Astrei, do tych czasów błogich, kiedyto *żadnej niebyło nauki*, a tak było dobrze, wygodnie, spokojnie! — Jestto nowa utopia, utopia Jarosza Bejły!

Nasz Patrycyusz, jako najgorliwszy zwolennik de Maistra, jest wielkim Mystykiem: w tym charakterze utrzymuje on serio z Bonaldem, że nauka niemogła się rozwinąć naturalnie, a musiała być objawioną pierwszemu człowiekowi. Niedopuszcza postępu, bo o nim, jak zeznaje, nic niemówi Objawienie; a niewiem, na jakiém miejscu Pisma opiera to *objawienie wiedzy*, o którém najpierwej mówią Rabbini, dodając, że Adam tak wielkim był uczonym, że dzieła pisał (??).??— Podług nich edukacyą rodu ludzkiego mieli się zajmować Elohimy: — wszakże o tak pięknej i arcy pożytecznej tradycyi nic niewspomina nasz myso-filozof, poważny tygodnikowy *Myślinnik*. Oto, do czego może doprowadzić zaparcie się rozumu, owego *syna Szatana*, jak go w duchu nazywają stołeczne nasze świeczniki!

Nasz petersburski areopag choruje na mystycyzm. Hrabia, jak wszystkim wiadomo, mystyk całą gębą.

Kostrowiec w trakcie recenzyi swojej na Trentowskiego musiał uciekać się do exorcyzmów i kropielnicy. Mikros boi się piorunów, w piorunie bowiem, jak się wyraża, siedzi dusza! Wpadające przez okno światło xiężyca zapędza go pod łóżko, bo do tego jest lunatykiem. A nasz Hoffman, co tak niemiłosiernie krzywdzi żonę przypisując jej swoje powieści (mnie się zdaje, że to byłby punkt najważniejszy do rozwodu:) wielki, jak wiadomo, stronnik supernaturalizmu, jest za zwierzęcym magnetyzmem i za wszystkiém, co ma pozory głupstwa . . . . . —

FORTEL SOWY.

(*Bajka.*)

Gdzieś, na dalekiej Północy,
W sosnowém dziuple, podczas ciemnej nocy;
Dwie czy trzy Sowy siedziały
I o czemś z sobą *obszérnie* gadały. —
Aż oto niespodzianie jedna Gwiazdka mała
W górnym błękicie mocno zajaśniała,
I przez szczególne zdarzenie
Wprost na ich ślepia cisnęła promienie.
Sowa, jak wiecie, ciemności dziecie. —
Zaraz więc hurmem w dziupło się zapchały
I nuż kląć gwiazdę co sił i co mocy
Za to, za owo, a wszystkie wrzeszczały —
Jak śmiała świecić wśród nocy!?

Ale czyż Gwiazdce szkodziły te krzyki?
Ona sobie, jak przedtem, świecąc za obłokiem
Strzelała w dziupło figlarnie swém okiem
I złote z siebie sypała promyki.

Kiedy więc postrzegły Sowy,
Że krzyki nic niepomogą
A tylko kaszlu nabawić ich mogą,
Poszły po rozum do głowy.

Jedna z nich rzekła, ja wam podam radę
Na najpewniejszą tej Gwiazdy zagładę: —
Oto, zamiast ją łajać lub do walki lecieć,
Zamrużmy oczy a — przestanie świecić!

I wnet, wielbiąc projekt nowy,
Pozmrużały oczy Sowy.

Więc pyta pierwsza, tryumfując w duszy —
A cóż? wszak zgasła? — Zgasła! mówi druga.
A Gwiazdka patrząc z góry na duże ich uszy
Świeci jasno, jak przedtem i figlarnie mruga.

Ta bajka jestto prawda — a ten fortel Sowy,
Jestto koncept twej własnej T....... głowy.

(*Z rękopismów nieboszczyka Kajetana Jaxy-Marcinkowskiego.*)

KONIEC.

RACHUNEK.

Odbito N. 2 Gwiazdy składającej się z arkuszy 25, exemplarzy . . . . . . 1,550.

	Rub.	Kop.
	Srebrem.	
Na druk, papier, i oprawę podług wyliczenia i kwitów Zarządzającego Drukarnią Glücksbergowską w Kijowie, Wacława Kalinowskiego, wyłożono kosztu..........	510	65
Do tego dodawszy zapłacone rewersalnie : —		
Za litografię portretu X. Jundziłła w Wilnie z przesyłką................	52	—
Za litografię biletów prenumeracyjnych w Kijowie........................	12	—
Za wydrukowanie 600 exemplarzy Prospektu na Gwiazdę..................	12	—
Oraz wydatek na korrespondencyę Redaktorską od pierwszych dni Czerwca 1846 po 1 Maja 1847 roku..................	37	15
Wypada, że wydanie powyższej liczby exemplarzy Gwiazdy kosztuje ogółem R. sr.	623	80
Mówię *ogółem* : bo niewątpię, że koszt przesyłki, który ustanowić musimy średnią proporcyą raz na zawsze po 15 kop. sr. od exemplarza, zechcą na siebie przyjąć PP. Prenumeratorowie.		

Zaprenumerowano N. 2 Gwiazdy:

	Exemplarzy
w *Kijowie*, u Wydawcy i osób przez niego uproszonych.	84
w *Okolicy Kijowa*, u P. Antoniego Jaxy-Marcinkowskiego	39
w *Berdyczowie*, u PP. Karola Kaczkowskiego i Grzegorza Lubeckiego	57
w *Okolicy Berdyczowa*, u P. Alexandra Grozy.	22
w *Machnówce*, u P. Mikołaja Żurawlewicza.	32
w *Lipowcu*, u P. Macieja Kamińskiego	10
w *Taraszczy*, u P. Alexandra Liebmana	14
w *Humaniu*, u P. Jana Liwskiego	12
w *Czerkasach*, u P. Franciszka Zanickiego	16
w *Czehrynie*, u P. Adolfa Zubowskiego	13
w *Okolicy Czehryna*, u P. Jana Rakowieckiego	5
w *Radomyślu*, u PP. Mikołaja Sielickiego, Zenona Fisch'a i Franciszka Zawiszy	42
w *Żytomierzu*, u PP. Łukasza Meleniewskiego, Edwarda Barona de Conti i Edwarda de Galli.	56
w *Ostrogu*, u P. Leona Romanowskiego	13
w *Kamieńcu Podolskim*, u PP. Erazma Ostapowicza i Felixa Wicherskiego	26
w *Okolicy Hajsyna*, u P. Izabelli Świętkowskiej.	24
w *Okolicy Tulczyna*, u P. Bonawentury Kościelskiego	10
w *Grodnie*, u P. Alberta Danileckiego	16
w *Wilnie*, u P. Alexandra Parczewskiego	287
w *Tyflisie*, u P. Tadeusza Łady-Zabłockiego	50
w *Groźnej na Kaukazie*, u P. Wincentego Dawida i X. Jezierskiego	25
w *Tobolsku*, u P. Adolfa Mąstowicza	10
w *Tomsku*, u P. Józefa Maleckiego	17
Ogółem.........	880

Tym sposobem summa exemplarzy 1,550 zredukowaną została do . . . . 670.

Z tych Wydawca wyłącza do swego osobistego rozporządzenia na *honoraria* exemplarzy 50, oraz należne Komitetowi Cenzury i archivum drukarni 10, razem 60.

Pozostaje zatem do sprzedania na rzecz Kościoła Niemenczyńskiego po 1 rub. 50. k. sr. exemp. 610.

	Rub.	Kop.
	Srebrem.	
Teraz gdy wiadomo, że z prenumeraty na N. 2 Gwiazdy wpłynęło......................	880	—
A wydanie tej xiązki koszłowało........	623	80
Więc powinnoby pozostać w ręku Wydawcy...	256	20
Wydawca jednak ma sobie zakommunikowany przez P. Alexandra Parczewskiego szczegołowy wyciąg z xięgi sznurowej zbieranych przez Niego dobrowolnych ofiar na Kościoł Niemenczyński, w której pod N. 523 zaadnotowano, że Dołęga z wyprzedaży biletów prenum. na N. 2 Gwiazdy odesłał P. Parczewskiemu d. 12 Listopada 1846 roku..	235	—
Strąciwszy przeto te pieniądze z wyżej ustanowionej kwoty, widzimy, że pozostaje u Wydawcy do dalszej kalkulacyi..	21	20

NB. Pomieniony wyciąg ze sznurowej xięgi, wyświecający fundusz dotychczasowy na Kościoł Niemenczyński urosły z dobrowolnych składek; będzie umieszczony treściwie w następnej naszej xiążce, gdy się uzupełni rachunkiem P. Zenona Fisch'a z rozlokowanych przez niego exemplarzy 1. Nru Gwiazdy.

Benedykt Dołęga.

Kijów, d. 1 Maja 1847.

SPIS ARTYKUŁOW

w Numerze 2-m Gwiazdy zawartych.

ERRATA.

Str.	wiersz		czytay
IX.	24.	a ustanowienie,	o ustanowienie.
XXIII.	27.	definacyi	definicyi.
65.	22.	konskewentnym	konsekwentnym.
74.	27.	z motylką	z motyką.
81.	19.	piéwszy	pierwszy.
99.	28.	Ten	Tam.
100.	3.	Miecowski	Micowski.
102.	10.	uchylienie	uchybienie.
119.	16.	wznioskiem	wnioskiem.
—	27.	Kwestarze	Kwestarza.
123.	26.	koncenpt	koncept.
157.	12.	duchowieństwa	duchowieństwo.
162.	32.	przezumpcyi	prezumpcyi.
163.	15.	myśl	myśli.
—	20.	po wyrazie *tojest* spójnik *i* niepotrzebny.	
175.	3.	wesole	wesele.
186.	15.	Olduk	Oldbuk.
188.	33.	Tam	Ten.
213.	17.	Francesco	Francesca.
252.	3.	wydawć	wydawać.
267.	12.	przed wyr. *zalecona* niepotrzebne *u*.	

NOWE DZIEŁA

NAKŁADOWE

ZNAJDUJĄCE SIĘ U TEOFILA GLÜCKSBERGA.
